ELI MAKOWER

CZĘŚĆ II

ELIZA ORZESZKOWA

PISMA

WYDANIE ZBIOROWE ZUPEŁNE ZE WSTĘPEM
AURELEGO DROGOSZEWSKIEGO

TOM VII

ELI MAKOWER

CZĘŚĆ II

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK □ THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

ELIZA ORZESZKOWA

ELI MAKOWER

CZĘŚĆ II

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK — THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ WYDAWCÓW.
WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.
1913

I.

Ciekawość, którą Porycki w monologu swym objawiał, żywo musiała być zaostrzona; interes, nad którym rozpocząć miał starania, obiecywał mu się snadź bardzo ponętnie i korzystnie, bo nazajutrz, zaraz po rozmowie swej z Makowerem, wyjeżdżał on z N. wynajętym na prędce koczykiem, czwórką koni zaprzężonym. Na koźle, obok najemnego woźnicy, siedział świeżo, bo przed godziną zaledwie przyjęty do służby lokaj.

Pomimo przeciwnych zaleceń Elego, Ildefons Porycki jechał do Orchowa. Pragnął może na własne oczy przekonać się o trudnościach, które przebiegły Żyd zapowiadał mu z tej strony albo też poprostu lekkomyślny, tam nawet, gdzie szło o rzeczy ważne dla niego i upragnione, folgował zachciance podrażnionej ciekawości. W pośpiechu i uporze, z którymi dążył do osobistego zapoznania się z Mieczysławem Orchowskim, było też zapewne wiele ufności w spryt własny, w umiejętność zawiązywania stosunków, wydających się zrazu prawie niepodobnymi dla niego.

To też siedząc, a raczej z wielką swobodą postawy napół leżąc w koczyku i paląc cygaro, miał on minę człowieka, który mówi sobie: przyjadę, spojrzę, zwyciężę! Co pewien czas rozglądał się po przebywanych okolicach i uśmiechał się wzgardliwie.

Widoki to były smutne, krajobrazy, po których, mimo słońca, jaśniejącego w pełnym blasku letnim, błądziły tajemnicze, głębokie cienie. Nad szerokimi, okiem nieścignionymi rozłogami unosiła się cisza martwoty i bezludności; wśród pól odłogujących, albo w pierwotny sposób uprawianych, słychać było tylko świergot ptactwa; dzikie zielska porastały obszerne przestrzenie dzikiej przyrody; bezładna bujność mieszała się z okry-

wającą miejsca inne żółtą, nagą jałowością. Tu i owdzie ukazywały się z oddali siedziby ludzkie, samotne i milczące domostwa, których ściany z za opadającego tynku świeciły kruszącą się cegłą czerwoną, lub ciemniały próchniejącem drzewem sczerniałem. Niekiedy, z dwóch stron ścieżki, sterczały w nieprzeliczonych szeregach odziomki, po ściętych drzewach pozostałe, a w rzadkich odległościach, na tle pustej przestrzeni, wznosiły się kalekie niedobitki sosen i jodeł. Nigdzie w okolicy tej całej nie można było dostrzedz tego krzątania się, ruchu, życia, tych robót różnorakich, które gdzieindziej objawiają żwawe bicia serc ludzkich, działalność rąk i myśli, natężenie i walkę sił człowieka z przyrodą. Tu serca, zmęczone lub nierozbudzone, uderzały snadź powoli i trwożnie, ręce leniwe były lub nieuzbrojone, myśli i siły ludzkie rozbijały się o skałę fatalnej niemożliwości jakiejś.

Nie była to pustynia, niemniej przecież czułeś tu nadciąganie ciężkich, duszących oddechów pustyni.

Kto inny, jadący tędy, miałby westchnienie w piersi — Ildefons Porycki uśmiechał się wzgardliwie, lub obojętnie, znużonem spojrzeniem tocząc po pustych przestrzeniach... Przestał jednak uśmiechać się i obojętny wyraz twarzy zmienił na zaciekawiony, gdy powóz jego wjechał na szeroką drogę, dwoma gęstymi rzędami starych kasztanów osadzoną, a wiodącą do otwartej na oścież bramy orchowskiego dworu.

— Czy to Orchów?

— Orchów, panie!

Porycki podniósł się z siedzenia i położył dłoń na ramieniu woźnicy.

— Słuchaj-no! — rzekł — trzy ruble dostaniesz, jeśli przed dom ten zajedziesz zręcznie, z szykiem, po pańsku, rozumiesz?

Woźnica zrozumiał.

Cztery rosłe i dobrze utrzymane konie ruszyły tak żwawo, że aż tumany kurzu podniosły się z pod kół koczyka, i pełnym kłusem, podzwaniając uprzężą, wbiegły na wielki podwórzec, gdzie kolista droga, niegdyś gracowana snadź i żwirem usypywana, dziś czysto wymieciona tylko, wiodła ku nizkiemu, długiemu domowi.

Rozglądając się dokoła, Porycki spostrzegł, iż szykowność ekwipażu i jego zapłata, woźnicy przyobiecana, zupełnie były stracone. W oknach domu nie ukazała się twarz żadna i na ganek nie wyszedł nikt.

Nie miano tu snadź czasu ani zwyczaju wyglądać gości, nie trzymano służby licznej, w każdej chwili gotowej wybiedz na spotkanie przybywających.

Porycki wyskoczył z powozu, rozkazał woźnicy z powozem i końmi zatrzymać się na uboczu i stanął na ganku. Od dachu, podtrzymywanego sześciu grubymi słupami i od dzikich powojów, pnących się po zielonej kracie, był tam cień chłodny i orzeźwiający; z obu stron stały drewniane ławki z poręczami, a przed jedną z nich znajdował się stół obszerny. Siedziano tu widać niedawno, spożywano śniadanie, czytano i rozmawiano, gdyż na białej serwecie, stół przykrywającej, leżała książka napół roztwarta, stał koszyk z robotą kobiecą i inny, napełniony pięknymi ogrodowymi owocami. Na ławce drobne jakieś ręce dziecięce pozostawiły zabawek parę.

Osoby, które w cienistem miejscu tem przepędziły wczesne godziny poranku, rozproszyły się teraz po różnych stronach dworu. Szerokie gałęzie drzew kasztanowych rzucały na ganek ruchome swe cienie. Rozkwitające wśród gęstej zieleni białe kielichy powojów wydawały woń lekką. Pod gzymsem dachu świergotały w gniazdach jaskółki, a za oknami domu, które wychodziły na ganek i na oścież były otwarte, panowała cisza głęboka i wznosiły się ściany obszernych pokoi, czyste, lecz poprostu pobielone i nieprzyozdobione niczem. Zieloność, cień chłodny, zapach kwiatów, świergot ptaków, ciche, prostotą obyczajów tchnące wnętrze starego wiejskiego domu, nie były to rzeczy zdolne poruszyć struny wrażeń i uczuć w organizacyi głównego agenta, który widocznie daleko więcej lubować się musiał w bezładnych hałasach tłumów i pstrych objawach zgiełkliwego życia. A jednak w wyrazie twarzy swojej nie objawiał niecierpliwości i znużenia, owszem, z zajęciem żywem i badawczością ciekawą, przyglądał się różnym częściom dworu, nad wszystkiem, co tam widział, uważne czyniąc wnioski, ze wszystkiego wyciągając dla siebie wróżby powodzenia dobrego lub złego.

Orchów nie miał już teraz tak zaniedbanego i upadającego pozoru, jak przed siedmiu laty, niemniej przecież, obok staranności, usiłowań, uporczywej pracy i umiejętnej myśli ludzkiej, znać tu było na każdem miejscu walkę, potrzebę, łataninę, troskę.

Dwór ten, przebudowany, podpierany, oczyszczony z ruin, na których zupełne usunięcie niedostawało czasu i pomocni-

czych środków, podobnym był do wszelkiego dzieła, którego logiczny rozwój spotyka się z mnogiemi przeszkodami.

Wzrok Poryckiego obiegł dokoła wielkie podwórze, zawierające w sobie tylko dom mieszkalny z przyległemi oficynami, i zatrzymał się długo, ze zdwojoną ciekawością, na dziedzińcu folwarcznym. Tam dopiero byli ludzie i wrzał dość ożywiony ruch gospodarski. Przez szerokie wrota stodoły, na oścież rozwarte, słychać było głuche warczenie maszyny jakiejś, bielały płócienne ubiory robotników. Przed szarą oficyną, służącą niegdyś za pomieszkanie żydowskim dzierżawcom Orchowa, kilka kobiet w wiejskich ubraniach dokonywało nad drewnianemi naczyniami robót jakichś około nabiału czy prania; od strony zaś śpichrza szła szybkim krokiem dość wysoka, bardzo kształtna postać kobieca w perkalowej sukni, którą blask letniego słońca czynił jasną i pozłocistą, w słomianym kapeluszu o szerokich brzegach na głowie.

Kobieta ta spostrzegła snadź powóz w pobliżu ganku, bo stanęła, popatrzyła chwilę, a potem ze zdwojonym pośpiechem iść zaczęła ku domowi.

— A! — szepnął Porycki — pani domu zapewne, guwernanteczka owa, która tak zręcznie oplątać umiała serce młodego dziedzica, że wyrzekł się dla niej żony z posagiem, mogącym mu dziury w dachach połatać. Ciekawym, czy ładna przynajmniej.

W chwili, gdy to mówił, kobieta w perkalowej, od słońca jaśniejącej sukni, znajdowała się już w połowie dworskiego dziedzińca, gdy nagle zatrzymały ją w drodze głośne śmiechy i wołania dwojga dzieci, które, wysunąwszy się z za gęstych krzewów, osłaniających boczną ogrodową furtkę, biegły na jej spotkanie.

Tuż za dziećmi, w otwartej furtce, w cieniu rosnącej tam lipy rozłożystej, stanęła kobieta stara, w białym czepcu i czarnej sukni, z bladą, pomarszczoną, lecz łagodną twarzą. Pilnowała snadź dzieci, które bawiły się w ogrodzie, a teraz, ujrzawszy matkę, uczepiły się rąk jej i z głośnym szczebiotem podniosły ku niej drobne swe, rumiane twarze.

Kobieta w perkalowej sukni stanęła na chwilę i, pochylona, zamieniła z niemi słów kilka, poczem, przesławszy staruszce uśmiech i skinienie głowy, a młodszą, pięcioletnią dziewczynkę wziąwszy za rękę, szła dalej ku domowi.

Gdy znajdowała się już w bliskości ganku, zdjęła słomiany kapelusz, a blask słońca, który dotąd złocił tylko jej suk-

nię, oblał teraz i ukazał w pełni kształtną jej głowę, zwieńczoną dwoma grubymi warkoczami ciemnych, lśniących włosów.

— No! — szepnął Porycki — niczego sobie! ale żeby to było znowu coś tak bardzo osobliwego... nie powiem. Dumnie jakoś i zimno wygląda ta eks-guwernantka.

Powierzchowność eks-guwernantki nie była w istocie taką, którąby uczynić mogła wrażenie przyjazne na ludziach, Poryckiemu podobnych.

W cerze twarzy jej, śniadawej, ogorzałej nieco, w oczach pełnych blasku i spokoju, w zarysie ust, których słodycz nie wyłączała energii, w kształtach, postawie i poruszeniach jej kibici znać było pełną i jędrną dojrzałość sił fizycznych i moralnych, powagę naczelniczki domu, dumę i spokojną radość szczęśliwej żony i matki.

Była to postać niewieścia, na pierwszy rzut oka surowa i nieco zimna, bo pozbawiona wszystkich owych drobiutkich powabów i przystrojów, które wokoło wielu innych kobiet tworzą atmosferę sztucznej miękkości i fałszywego ciepła; trzeba było w istocie długo na nią popatrzeć, z oczu jej wyczytać myśli, w uśmiechu ust pochwycić uderzenia serca, aby nazwać ją piękną.

Oddała gościowi grzeczny, choć lekki ukłon i, widząc przed sobą nieznajomego, stanęła w wyczekującej postawie.

Porycki, po złożeniu ze swej strony wytwornego ukłonu, wyjął z kieszeni kamizelki bilet wizytowy, a oddając go pani domu, z pełnym przymilenia uśmiechem oświadczył, iż przybył tu w celu zabrania osobistej znajomości z panem Mieczysławem Orchowskim i pomówienia z nim o interesach, które, jak sądzi, mieć będą dla dziedzica Orchowa wagę niemałą.

— Wszakże nie mylę się — dodał agent główny z nowym i głębszym jeszcze, niż przedtem, ukłonem — mniemając, że stoję przed żoną pana Mieczysława Orchowskiego, panią tego domu? Prawdziwe to dla mnie szczęście, że poznać mogę osobę, o której cnotach i piękności...

Nie dokończył zaczętego frazesu, bo twarz Michaliny, która schmurzyła się już była zlekka przy odczytywaniu tytułu, wypisanego na wizytowej kartce, stała się wobec prawionego jej pochlebstwa zimną i nieruchomą.

— Nie mylisz się pan, — rzekła — jestem żoną Mieczysława Orchowskiego i gospodynią tego domu. Mąż mój zajęty jest w tej chwili gospodarstwem, ale wnet poślę po niego. Chciej pan wejść.

Rzekłszy to, weszła w głąb domu i giestem zaprosiła gościa, aby szedł za nią.

Po chwili Porycki znajdował się sam jeden w obszernym pokoju, trzema oknami na dziedziniec wychodzącym.

Był to ten sam pokój, w którym Kajetan Orchowski pędził ostatnie, smutne lata swego życia, w którym umierał i prowadził z synem uroczystą, przedśmiertną rozmowę. Też same szafy, ksiąg pełne, stały tu pomiędzy oknami, też same wizerunki ludzi, mądrością i czynem wielkich, okrywały jedną ze ścian bocznych.

Zachowano tu nawet stare obicie błękitne z wypłowiałemi złoceniami, a niedostawało tylko łoża, na którem tak długo spoczywał, chorobą do niego przykuty, starzec przedwczesny; na wielkim zaś stole u komina leżały, nie widywane tu dawniej, księgi gospodarskie i rachunkowe, przeróżne regestry, notatki. Parę kanapek, tanim perkalem obitych, i kilka krzeseł, otaczających stół przed kominem, dopełniały umeblowania pokoju tego, który miał pozór poważny i wesoły zarazem.

Na twarz Poryckiego, gdy został znowu samotnym, spadł wyraz niepokoju i niezadowolenia. Przybycie jego odbyło się w istocie pod wróżbą niedobrą. Nikt tu nie wybiegł na jego spotkanie, nikt olśnionym i odrazu podbitym nie został przez szyk ekwipażu i całej osoby jego. Gospodyni domu, zrazu uprzejma, stała się po przeczytaniu nazwiska jego i tytułu zimną, dumną prawie; a jakkolwiek nie rozminęła się względem niego z prawidłami grzeczności, odchodząc jednak i pozostawiając go samotnym, okazała mu aż nadto jawnie, iż zabieranie z nim bliższej znajomości nie jest wcale dla niej pożądane.

To też zachmurzona twarz jego rozjaśniła się wtedy dopiero, gdy w głębi domu ozwały się śpieszne męskie kroki, i do pokoju wszedł mężczyzna, w płóciennem letniem ubraniu, z twarzą ogorzałą od skwarów słonecznych i, w tej chwili przynajmniej, bardzo poważnie wyglądającą.

Mieczysław Orchowski w jednej ręce trzymał, oddany snadź przez żonę, bilet wizytowy gościa, drugą zlekka bardzo dotknął podanej sobie dłoni przybysza. Wskazał Poryckiemu krzesło przy stole i bez śladu uśmiechu na twarzy, po której znać jednak było, że uśmiechać się serdecznie umiała i lubiła, rzekł:

— Żona moja mówiła mi, że przybyłeś pan tu z interesem, mającym dla mnie i dla pana wagę wielką. Czy mogę zapytać, jaki jest ten interes?

Chłodna ceremonialność wiała od tego doraźnego przystępowania do interesu; ale Porycki postanowił nie zrażać się byle czem i śmiało zapuszczać sondę w usposobienie i położenie człowieka, którego miał przed sobą. To też, z fizyognomią rozjaśnioną, z pełną swobody i ugrzecznienia postawą, odpowiedział:

— Wątpię, abym się mylił, mniemając, że państwo wiedzą coś o powodach, które mnie w te strony sprowadziły...

— Nie mylisz się pan — przerwał Orchowski. — Powody te łatwe są do odgadnienia z tytułu, umieszczonego na wizytowej karcie pana. Jesteś pan wysłannikiem »Domu pośrednictwa«, a może i członkiem stowarzyszenia, które dom ten założyło.

Porycki skłonił się potwierdzająco.

— W istocie, jestem wysłannikiem i członkiem stowarzyszenia tego — rzekł uprzejmie. — Pragnąc też z zadania swego wywiązać się ku jak największej korzyści i zadowoleniu stron obu, postanowiłem osobistą zabrać znajomość z mieszkańcami okolicy tutejszej, a uczyniłem to tem śmielej, że okolica ta słynie z wykonywania na szeroką skalę starosłowiańskiej cnoty gościnności.

Słowa ostatnie, w mniemaniu gościa, zobowiązywać zapewne miały gospodarza domu do wykonywania i względem niego cnoty wspomnianej.

Ale Orchowski nie uczuł się snadź zobowiązanym do niczego.

— W imieniu okolicy mojej — odparł zimno — dziękuję panu za dobre o niej wyobrażenie; zastrzedz przecież winienem, iż różne zmiany i okoliczności zmusiły nas obecnie do praktykowania gościnności na daleko mniejszą, niż dawniej, skalę.

— O! — śmiejąc się lekko, zawołał Porycki — przebacz pan, ale słów jego zastosować nie mogę do tego przynajmniej miejsca. Ten dwór starożytny, wspaniały, te pokoje widne i przestronne — wszakże to typ naszych dawnych szlacheckich siedzib, w których...

— Dwór ten wspaniały — zwolna i jakby powściągając się przerwał Orchowski — dwór ten wspaniały w części dopiero wydźwignięty został z ruiny, a połowa jego zamknięta jest na klucz, gdyż dla skromnego życia, jakie prowadzę tu ze swą rodziną, kilka pokojów wystarcza zupełnie.

Agent główny westchnął i uczynił ręką giest pożałowania.

— Tak, tak, — zawołał — jesteście dziś panowie ściśnieni, skłopotani, podobni do załogi oblężonego miasta, którego prowizye wyczerpywać się zaczynają. Przebacz pan jednak, jeśli wyrażę zdanie, że położeniu swemu sami winni jesteście.

— Czy, mówiąc to, myślisz pan o przeszłości, czy o teraźniejszości? — zapytał gospodarz domu.

— O przeszłości?... — odparł żywo gość — któż o niej mówić może? Warto-ż myśleć o tem, co już minęło? Wszak dla wszystkich ludzi nowych idei, do których i pan zapewne należysz, tradycya jest niczem więcej, jak pustym i przestarzałym przesądem!

Zamilkli na chwilę.

Oczy ich spotkały się długiem, ze stron obu upartem spojrzeniem.

Natury dwóch tych ludzi odtrącały się wzajem, w sposób dla obu nieprzezwyciężony, a dręczący. Wszystko, co wiedzieli o sobie, czem byli i być pragnęli, wlewało w rozmowę ich tę ostrą ucinkowość, za której pozornym chłodem wre płomień powstrzymywanego z trudnością oburzenia.

Porycki jednak nie rad był z siebie. W życiu jego były przejścia i plątaniny, które utwierdziły w nim wiarę głęboką we własny zmysł dyplomatyczny, w giętkość własnego obejścia się i charakteru. Tu spostrzegać zaczynał, iż uległ mimowoli wrażeniu, wywartemu na niego przez przyjęcie, które go spotkało, przez cały pozór domu, w którym się znajdował, a nawet przez powierzchowność pana domu tego, piękną, wyniosłą nieco, lub prostą, zimną dla niego, a jednak pełną ognia i życia. Zamiast badać, zdradzał się, zamiast pochlebiać, obrażał.

Był pewnym, że posiadł do gruntu sztukę obłudy, a przecież oręż ten, używany przez niego wiele już razy z powodzeniem, wypadł mu z ręki, pod wpływem ugodzonej przykro miłości własnej i instynktowo budzącego się w nim nieprzyjaznego uczucia.

Wszystkie uwagi te nasunęły się snadź myśli głównego agenta, twarz bowiem jego, szydercza już i niechętna przed chwilą, stała się na rozkaz woli uprzejmą, przymiloną, żartobliwą.

— Spostrzegam — zawołał z dobrodusznym śmiechem — spostrzegam, że nie rozmawiamy z panem tak, jak pozytywnym ludziom rozmawiać przystoi. Sądzę bowiem, że pan zaliczasz się do rzędu ludzi pozytywnych?

— W istocie — odparł Orchowski — uważam siebie za

człowieka pozytywnego, nie wiem tylko, czy jednakowe znaczenie ja i pan do wyrazu tego przywiązujemy.

— O, ani wątpię, że jednakowe. Pomiędzy dwoma ucywilizowanymi ludźmi, którzy obaj wysoko cenią nowe, humanitarne idee naszego czasu, różnica zdań może być tylko pozorną. W każdym razie, przyznaj pan, że rozmowę prowadziliśmy dotąd w sposób nieco zagadkowy, a to nie doprowadzi nas do żadnego pozytywnego celu. Jeżeli więc pan pozwoli, przystąpię do interesu.

— I owszem, słucham pana — rzekł Orchowski.

Agent główny wygodniej zasiadł w staroświeckiem krześle i, z jednostajnym zawsze uśmiechem przymilenia, obok wyrazu głębokiej rozwagi i powagi, mówić zaczął:

— O ile domyślam się, jesteście tu panowie niezupełnie trafnie poinformowani o celu, dla którego »Dom pośrednictwa« założony został, i o ludziach, którzy na czele przedsiębiorstwa tego stanęli. Ludzie ci, jako kapitaliści, mają zapewne prawo żądania, aby obroty pieniężne, przez nich dokonywane, przynosiły im odpowiednie zyski; ale głównym ich celem jest — idea, idea przyniesienia korzyści krajowi temu, przez uwolnienie kapitałów, nieruchomo dotąd w ziemi uwięzionych. Szlachta tutejsza ogołocona z zasobów materyalnych, nie jest w możności powiększyć produkcyjnej siły posiadanych przez się gruntów, trzeba więc dać jej w ręce kapitał i pchnąć ją na nowe tory przemysłu, handlu, zarobkowych profesyi; ziemią zaś owładną ci, którzy będą mieli czem żywić ją i ulepszać. Tym tylko sposobem odświeżą się siły i zasoby kraju tego, a rolnictwo z upadku podźwigniętem będzie. Są to prawdy i pewniki ekonomiczne, które zachęciły członków »Domu pośrednictwa« do rozpoczęcia działalności trudnej, ale szlachetnej i w skutkach swych dla stron tutejszych dobroczynnej. Oto jest szczere przekonanie moje o »Domu pośrednictwa« i jego działalności.

Słowa te wymówione zostały z nieudaną mocą i prawdą. Niepodobna było mylić się: Porycki miał w istocie swoje przekonania, a niektóre z nich wyraził teraz zupełnie szczerze. To też Orchowski, po chwili namysłu, odpowiedział:

— Nie pozwalam sobie wątpić o szczerości przekonań pańskich we względzie celów i zamiarów »Domu pośrednictwa«. Jakiemi zaś są moje w tym względzie przekonania, będzie to dla pana i jego spółstowarzyszonych rzeczą zupełnie obojętną, gdyż o sprzedaży majątku mego nie myślę wcale.

Porycki skinął parę razy głową na znak pobłażliwego przytwierdzenia.

— Wiem, wiem — odparł. — Nie myślałeś pan dotąd, ale gdyby się zdarzyła okazya dobra, pewna, korzystna... może-byś pan i pomyślał. Ja tu do pana z gotową już propozycyą przyjechałem. Dobry znajomy mój, mogę powiedzieć przyjaciel, baron von R..., życzy sobie nabyć w tych stronach obszerne dobra. Baron jest wielkim kapitalistą, a położenie jego nie pozwoli mu z pewnością targować się o nędzny tysiąc, a choćby i dziesiątek tysięcy rubli.

Porycki mówił z lekkim tryumfem. Wierzył snadź w moc niezbitą pierwszego argumentu, z którym wystąpił. Argument ten nie uczynił jednak na młodym dziedzicu Orchowa ani dodatniego, ani ujemnego wrażenia. Nie uczuł on nawet potrzeby odpowiadania na niego.

Milczał...

Agent milczenie to korzystnem dla siebie wahaniem się wytłómaczył, bo wnet, śmielej jeszcze, niż wprzódy, mówić znowu zaczął:

— Ponieważ już tak szczerze i otwarcie ze sobą mówimy, powiem panu, że nie wiem doprawdy, jakim sposobem i od kogo baron otrzymał mniej-więcej dokładny opis znajdujących się w tych stronach majątków. Orchów podobał mu się z opisu nadzwyczajnie. Ogromne dziedzińce, jego starożytne ogrody, malowniczość tutejszego położenia, uczyniły na wyobraźni barona jak najlepsze wrażenie. Marzy już tylko o zbudowaniu tu pałacyku i przyjeżdżaniu do Orchowa każdego lata ze stolicy. Jest to zapewne kaprys kapitalisty i człowieka możnego... ale... rozumiesz pan... gdy jedni ludzie mają kaprysy swe i gwałtowne zachcianki, drudzy z kaprysów ich i zachcianek korzystać mogą...

Umilkł, i zupełnie już tryumfująco patrzał na gospodarza domu.

Orchowski milczał jeszcze chwilę, a potem odparł:

— Bardzo żałuję, że nie będę mógł zadowolić kaprysu tak sławnego kapitalisty, jakim jest baron von R... Orchowa nie sprzedam.

W mowie Mieczysława brzmiała zrazu lekka, bo siłą woli powstrzymywana ironia; ostatnie przecież trzy wyrazy wymówił z taką stanowczością, powagą i chłodem, że plenipotent barona uczuł się na chwilę zbitym z toru i do przytaczania argumentów onieśmielonym.

Krótko to jednak trwało. Podniósł wnet głowę i, z wyrazem twarzy napół zdumionym, napół przyjaźnie doradzającym, zawołał:

— Ależ dlaczego? panie szanowny! dlaczego? Państwo tu rdzewiejecie na wsi, odmawiacie sobie wszelkich przyjemności i rozrywek, które stanowią, że tak powiem, żywioł życia ucywilizowanego człowieka. Mam tu na myśli przyjemności i rozrywki szlachetne, kształcące smak i umysł. Gdybyście państwo posiadali w ręku kapitał, który więzicie w ziemi, wymagającej dziś wiele, a produkującej mało, moglibyście zamieszkać w wielkiem mieście, otworzyć salony swe dla wyborowego towarzystwa, otoczyć się komfortem... Doprawdy, czyliż egzystencya taka nie byłaby weselszą, szczęśliwszą od tej, którą prowadzicie tu państwo, od świata oddaleni?

Mówił to znowu z wyrazem szczerego i silnego przekonania.

Widać było w istocie, że sam, postawiony między dwoma rodzajami istnień, o których wspominał, ani na chwilę nie wahałby się z wyborem.

— Różne są pojęcia o szczęściu — zwolna i obojętnie odparł Orchowski. — Co do mnie, sądzę, że człowiek na każdem miejscu szczęśliwym być może, jeśli posiada przed sobą cel życia, który wydaje mu się pięknym i trudów jego godnym, a wokoło siebie tych, których kocha i szanuje.

— Bardzo pięknie pan powiedziałeś. Zgadzam się na to, że... przy pewnych osobistych gustach i usposobieniach, czuć się tu można szczęśliwym i zadowolonym. Ale, przebacz pan uwagę, którą uczynię, zbyt poufną może: masz pan rodzinę, żonę... dziatki, które przed chwilą widziałem. Czy nie sądzisz pan, że dla interesów... dla bezpieczeństwa przyszłości tej jego rodziny...

Tym razem oczy Orchowskiego, spokojne i zimne dotąd, błysnęły uczuciem ostrem, przemocą na zewnątrz wydzierającem się, bo długo powstrzymywanem.

— Chciej pan pozwolić — przerwał z odcieniem porywczości w głosie, — abym troskę i starania o byt i przyszłość mojej rodziny pozostawił najzupełniej samemu sobie. Mniemam — dodał, topiąc znaczące spojrzenie w twarzy głównego agenta — mniemam, że najdroższym spadkiem, który rodzina jakakolwiek po naczelniku swym otrzymać może, jest przykład wiernego trwania przy pracy i obowiązku.

Lekkie rumieńce rozdrażnienia wybijać się zaczęły na

żółtawe policzki głównego agenta. Tracił on znowu panowanie nad sobą.

Chłód i stanowczość Orchowskiego, za któremi niedobrze kryć się umiała milcząca wzgarda, wyczerpywały cierpliwość jego, podniecały żądze i wyrachowania, z któremi tu przybył.

— Rozumiem — rzekł po chwili milczenia i jakby walki wewnętrznej — rozumiem myśl pańską. Ha, może to bardzo piękne, tkliwe, poetyczne; ale my, ludzie nowych idei, jesteśmy bardziej prozaicy i realiści...

— Pozwól pan, — przerwał Orchowski — abym stanął tu w obronie tego, co pan nowemi ideami nazywasz. Według słusznych i rozumnych pojęć czasu naszego, spokojna, na prawach i prawnych drogach dokonywana, a ku celom sprawiedliwym wiodąca praca potrzebą i powinnością być nie przestała.

Wymawiając ostatnie słowa, Mieczysław Orchowski powstał.

Było to poruszenie nie dwuznaczne wcale, na którego znaczeniu gość pomylić się nie mógł. Z za ciemnych szkieł oczy jego błysnęły, nietajoną już, gniewną obrazą; ciemny rumieniec, szybki, jak błyskawica, opłynął mu policzki i podniósł się na czoło, aż ku krótko przystrzyżonym włosom.

Wstał z krzesła, z ironicznym uśmiechem na wązkich wargach:

— Postanowienie więc pana jest stałem i niecofnionem?

— Stałem i niecofnionem — powtórzył dziedzic Orchowa.

Skłonili się obaj w milczeniu, rąk sobie nie podając.

Porycki z kapeluszem w ręce zwolna przechodził przez pokój. Orchowski, nie ruszając się, ogarniał spojrzeniem postać jego, zmierzającą ku drzwiom.

O kilka kroków od drzwi gość zatrzymał się i twarz odwrócił. Oczy dwóch tych ludzi spotkały się raz jeszcze, ale tym razem ciemne oko Mieczysława gorzało posępnym blaskiem, we wzroku zaś głównego agenta była ostra, jawna, wyzywająca groźba.

— Jeżeli jednak namyślisz się pan kiedy... — zaczął plenipotent barona von R...

— Nie rachuj pan na to — przerwał mu głos Orchowskiego stłumiony nieco, lecz groźbą dźwięku odpowiadający na groźbę spojrzenia.

— Niech mi wolno będzie przynajmniej rachować na okoliczności nieprzewidziane...

— A mnie przewidywać je i im zapobiegać.

W parę minut potem, na dziedzińcu orchowskiego dworu turkotały koła szybko odjeżdżającego powozu.

Za bramą, w połowie alei wspaniałej, starymi kasztanami ocienionej, agent główny podniósł się nieco z siedzenia, odwrócił głowę, pałającem spojrzeniem objął wysoki dach starego domu i wyrzekł zcicha:

— Chyba żyć nie będę, jeśli ty stąd nie wylecisz, dumny szlachcicu, rycerzu z papierowym mieczem!

Wyrazy plątały się i syczały mu w ustach. Przyjeżdżał tu z rachubą i chytrymi planami w głowie, odjeżdżał ze śmiertelną obrazą i żądzą zemsty w sercu.

O parę wiorst od Orchowa, powóz Poryckiego skrzyżował się w drodze z bardzo skromną, parokonną bryczką, na której siedział Eli Makower. Obaj zawołali na woźniców, aby zatrzymali konie; wysiedli i zeszli się na drodze.

— Skąd to pan jedzie? – zapytał Żyd.

— Z Orchowa — odpowiedział agent. — Chciało mi się bardzo na własne oczy zobaczyć majątek i tego dziwaka, który jest jego właścicielem. Ale teraz żałuję, żem pojechał...

— A czy ja panu nie mówił, że to będzie strata czasu tylko?

— Nie! — z mocą rzekł Porycki — nie uważam bytności tam swojej za stratę czasu. Podwoi ona we mnie energię działania.

Tu zniżył głos i dodał:

— Słuchaj, panie Makower! jeżeli zrobisz tak, aby Orchów sprzedany został baronowi von R... otrzymasz nie dziesięć od sta, ale piętnaście... Porachuj pan dobrze, ile to wypadnie.

Makowera twarz drgnęła i oczy błysnęły.

Była to jednak chwila przelotna, po której wrócił do zwykłego spokoju.

— Co o tem mówić, kiedy to jeszcze takie niepewne — rzekł. — Pan dużo już zepsuł przez to, że tam pojechał. No, ale ja pojadę także i może naprawię. On ze mną inaczej gadać będzie, niż z panem. Teraz jedź pan do Ręczyna.

W kwadrans po tej rozmowie, bryczka Elego skręciła na boczną drożynę, która przez uprawne pole i kawał łąki wiodła ku młynowi, świeżo na ruinach dawnego, nad wązką, lecz bystrą rzeczką, zbudowanemu.

W drzwiach budowli spotkał przybywającego Izraelita,

w chałacie mąką ulepionym, wyraźnie młynarz. Powitali się skinieniem głowy i kilku krótkimi wyrazami.

— Co słychać u ciebie, Lejbo? — zapytał Eli.

— Źle słychać — markotnie odrzekł Lejba. — Orchowski wydzierżawiać młyna już nie chce; mówi, że puścił mi go z biedy tylko, bo pieniądzów bardzo potrzebował, a teraz, kiedy kontrakt skończony, chce go mieć w ręku, żeby większe korzyści ciągnąć.

— To źle, bardzo źle dla ciebie, Lejbo! Ty tu dużo pieniędzy zarabiał. A co będzie z tymi pieniędzmi, co ja ci na wzięcie młyna dałem?

— Ty już, Eli, o swoich pieniądzów bądź spokojny. Kiedy ty był taki dobry, że mnie ich pożyczył, to ja ich pewno nie skręcę, i chwalić Boga, mam oddać z czego. Żeby mi on tylko jeszcze choć na trzy lata młyn puścił!

Mówiąc ostatnie słowa, Lejba młynarz drżącą trochę ręką gładził kędzierzawe pejsy i błagającemi oczyma w twarz Elego patrzał.

Po chwili odezwał się znowu:

— Hörst, Eli, zrób ty tak, żeby on mnie tego młyna nadal puścił. Ja wiem, że jak ty chcesz czego, to tak być musi. Moja Małka to przecież twoja siostra: zrób to dla niej!

— Zobaczymy — rzekł Eli. — Ja tu dziś przyjechał, żeby z nim o ważnych interesach gadać. Czy on jest w domu?

— On zawsze w domu — odparł Lejba. — Dziś on cały dzień w stodole, bo tam żyto młócą. Idź do niego zaraz i o moim interesie pogadaj.

Z miejsca, na którem stali dwaj izraelici, widzieć mogli ogrody orchowskie, pokrywające małe wzgórze, i szerokim szlakiem spuszczające się na równinę. Wśród zieleni ogrodów, w perspektywie wspaniałej, długiej alei, błyszczało pod promieniami słońca kilka okien mieszkalnego domu. Eli patrzał na okna te, jakby namyślając się i wahając.

— Nie, — rzekł po chwili — teraz ja do niego nie pójdę. Człowiekowi zajętemu przeszkadzać nie trzeba, bo on zaraz w zły humor wpadnie, a wtedy o interesach gadać najgorzej. Ja do niego pójdę wtedy, gdy stodołę zamkną i w oknach dworu zapalą świece. A gdzie Małka? niech ona mi jeść da, bo ja dziś przed wyjazdem z N. wypił tylko szklankę herbaty.

* * *

Wieczór nadszedł.

W dworze orchowskim ruch i gwar dzienny ustawał zwolna; okna domu, iskrzące się długo rubinowymi połyski, zagasły; szary zmrok wisiał nad gęstymi ogrodami i przylegającą do nich łąką, wśród której, za wysoką ścianą młyna, szemrała i połyskiwała kręta wstęga strumienia.

Na pogodne sierpniowe niebo występowały gwiazdy; nad ziemią, wilgotną od mgieł wieczornych, unosiła się cisza głęboka, przerywana tylko głuchym turkotem oddalających się wozów wieśniaczych, brzęczeniem owadów i głosami żab, skrzeczących w stawie ogrodowym.

Eli wstał z ławy, na której przed drzwiami młyna siedział i przed którą stał jeszcze stół z resztkami zsiadłego mleka na wyszczerbionym talerzu, z okruszynami razowego chleba i trochą niedopitego piwa w zielonawej butelce; wstał, skinął na pożegnanie głową Lejbie i Małce, siedzącej z dwojgiem dzieci na nizkim progu, i zwolna poszedł ścieżyną, wydeptaną wśród łąki i wiodącą wprost ku dworskiemu ogrodzeniu.

Ogrodzenie to składało się teraz, nie jak dawniej, ze sztachet kosztownych, choć w większej połowie nadgniłych i ku ziemi pochylonych, ale z prostego, mocnego płotu, utworzonego z kołów grubych i wysokich, wiązadłami z giętkiej łozy silnie ze sobą spojonych. Z za płotu strzelała wysoko, w nierozwikłaną zda się gąszcz splątana, leszczyna, i cienisto, poważnie rozpościerały się liściaste gałęzie starych lip i klonów.

Eli obszedł dokoła ogrodzenie, minął folwarczny dziedziniec, na którym słychać było gwar wieczerzającej w oficynie czeladzi, i drogą, przerzynającą podwórze, zmierzał ku mieszkalnemu domowi.

Szedł powolnym, ale śmiałym krokiem, jak człowiek, który, namyśliwszy się dostatecznie, co i jak ma czynić, bez najlżejszych już wahań się, z zupełnym spokojem i pewnością siebie, przystępuje do wykonywania planu, logicznie ułożonego i stanowczo przyjętego.

Wokoło domu panowała najzupełniejsza cisza; była to snadź dla mieszkańców jego pora spoczynku, żadnemi zajęciami obowiązkowemi, żadnem głośnem krzątaniem się nieprzerywanego. Drzwi od sieni były zamknięte, a okna domu nie oświetlone, z wyjątkiem trzech, należących do pokoju, w którym przed kilku godzinami Orchowski przyjmował niezbyt miłego sobie gościa. Trzy te okna były otwarte. Wypływał z nich blask lampy, palącej się w pokoju, i strugą bladego srebra oble-

wał rosnące za oknami wysokie, gęste krzewy bzów, róż i jaśminów.

Eli chciał zrazu wejść do domu przez sień główną; wszedł już był nawet pod ciemne sklepienie gankowe i dotknął ręką klamki szerokich drzwi, na których fantastycznymi zarysami odznaczały się wśród zmroku staroświeckie rzeźbienia. Rozmyślił się jednak.

Przyzwyczajony do wchodzenia w domy szlacheckie bocznemi wejściami, zstąpił cicho i bez szelestu z gankowych schodów i szedł wzdłuż dworu, zmierzając do małej, oszklonej sieni, znajdującej się u jednego z jego końców. Idąc w kierunku tym, minął już dwa oświetlone otwarte okna, gdy nagle stanął i, przez gałęzie wysokiego bzowego krzaku, utkwił oczy w przedmiocie jakimś, który wzbudził w nim widocznie żywą ciekawość. Po chwili uczynił poruszenie takie, jakby iść miał dalej. Nie poszedł jednak, tylko wsunął się głębiej w cień drzew i krzewów.

— Nu! a co to szkodzi, że ja posłyszę, co oni między sobą gadają? — szepnął sam do siebie.

Słowa te odnosiły się do dwojga ludzi, u otwartego okna stojących.

Przed chwilą był tam tylko jeden mężczyzna, z ramionami skrzyżowanemi na piersi i głową w zamyśleniu schyloną. Teraz, z głębi łagodnie oświetlonej komnaty, wyszła i ku niemu zbliżyła się poważna, a jednak kształtna i wdzięczna postać kobiety. Stanęła także u okna i drobną dłoń miękko złożyła na ramieniu zamyślonego mężczyzny.

— Mieczysławie! — rzekła półgłosem — smutny dziś jesteś.

Była to właśnie chwila, w której Eli stanął za krzakiem bzowym, z głową nieco naprzód wysuniętą, z wyrazem twarzy wyczekującym i ciekawym.

Na dźwięk głosu kobiety, Orchowski podniósł głowę. Półuśmiech przesunął się mu po ustach, a w oczach błysnęła głębia serdecznego przywiązania i... ciężkiego smutku.

— Tak, Michasiu moja, — odpowiedział zcicha — smutny dziś jestem, i przed tobą, jak przed własnem sumieniem mojem, wyznaję, że strwożony także. Ten nasz gość dzisiejszy, charakter, w którym przybył on tutaj, propozycye, jakie mi czynił, wzburzyły mnie do głębi, przypomniały mi, żywiej, niż kiedykolwiek, niepewność położenia naszego, trudności i niebezpieczeństwa dróg, któremi do celu wytkniętego dążymy. Dotąd

walczyliśmy tylko z materyalnemi przeszkodami i niedostatkami, teraz na drodze naszej staną ludzie.

Słowa te nie okryły twarzy słuchającej ich kobiety wyrazem przestrachu; owszem, zdwoiły one energię jej spojrzenia, a zarys ust jej uczyniły słodszym.

Wzięła rękę męża w obie dłonie i zapytała znowu:

— Czego obawiasz się, Mieczysławie? czy grozi nam dziś coś więcej, niż zwykle?

— Obawiam się, — odparł mężczyzna — czy tyle trosk przeniesionych i podjętych trudów nie obróci się w niwecz; czy jutro, pojutrze, za rok lub dwa lata, nie będziemy zmuszeni porzucić tego miejsca, tak nam drogiego, i puścić się w świat, pod dach cudzy, z dziećmi naszemi i tą gorzką myślą, żeśmy znaczną część życia i sił naszych zużyli... daremnie.

— Mieczysławie! — rzekła kobieta — przypomnij sobie, ileśmy już zrobili, ileśmy ciężarów z siebie zrzucili, ile ruin podźwignęli, ilu groźbom zapobiegali skutecznie. Dlaczegoż przypuszczać mamy, że przyszłość trudniejszą jeszcze będzie i mniej pomyślną, niż była przeszłość?

— Dlatego, — z bolesną porywczością zawołał Orchowski — że jeden cios, skądkolwiek pochodzący, obalić może długie i mozolne budowanie nasze. Niech nam przez rok jeden ziemia nieurodzajną będzie, niech omyli mnie wyrachowanie jedno, niech jeden człowiek złej woli stanie mi w drodze, niech Lila...

— Lila jest siostrą twoją! — szepnęła Michalina.

— Znasz Lilę... — odparł zcicha i smutnie.

Na czole kobiety i w oczach jej ku ziemi spuszczonych odbiła się zaduma, nie trwożna, nie samolubna, ale z całych sił umysłu i serca szukająca słów i środków ku wsparciu zachwianej na chwilę odwagi, ku uspokojeniu zmąconej myśli i wzburzonych uczuć ukochanego człowieka.

On okiem, pełnem miłości i smutku, ogarniał pochyloną ku sobie jej głowę.

— Czy wiesz, Michasiu, — rzekł po chwili — w imię czego człowiek ten skłaniał mnie dziś do opuszczenia stanowiska mego, do oddania w ręce obce ścian tych, wśród których przysiągłem sobie żyć, pracować i walczyć? Oto w imię dobra, szczęścia i przyszłości rodziny mojej, w imię twoje, droga moja, i dzieci naszych! Odpowiedziałem mu naturalnie tak, jak odpowiedzieć należało; ale... zrodziła się we mnie wątpliwość, czy naprawdę nie popełniam szaleństwa, narażając byt twój i tworząc ci teraźniejszość tak surową a trudną. Oto już siedm lat,

najpiękniejszych lat młodości naszej, zeszło nam na pracy i wyrzekaniu się wszystkiego. Jesteśmy niewolnikami gleby, przykuci do niej, wszelkich pomocniczych środków pozbawieni; nie rozporządzamy dowolnie żadną chwilą czasu naszego, żadnym groszem, ciężko jednak zapracowanym. Czy masz ty kiedykolwiek choć jedną z tych przyjemności szlachetnych, których słusznie młodość twa i wykształcenie wymagaćby mogły? Czy otacza cię choć drobna cząstka tych wygód i ozdób życia, w które opływają kobiety, tysiąc razy mniej warte od ciebie? Wprowadziłem cię w dom pusty i nagi; w ręce twe złożyłem połowę trudnej roboty swojej; a jednak dziś, mniej może, niż kiedykolwiek, zaręczyć ci mogę, czy obronić cię zdołam od twardszego jeszcze losu, od tułaczki po świecie, od śmiertelnej trwogi o przyszłość naszych dzieci!...

Mówił to z bolesnem uniesieniem.

Znać było, że pragnąłby wszystkie bogactwa i rozkosze ziemi roztoczyć wkoło kobiety tej, którą kochał nad życie, że przyzwyczajenia i wyobrażenia dawne buntowały się w nim niekiedy przeciw woli i postanowieniom, kreślącym mu ogólny plan życia.

Ale kobieta, do której mówił, dla której cierpiał, o której los drżał, słuchała go z uśmiechem na ustach i twarz jego ogarniała coraz jaśniejszem, goretszem spojrzeniem. Nikt dawniej spodziewaćby się nie mógł, aby te ciemne, nieśmiałe oczy biednej guwernantki posiadać mogły tyle mocy.

— O, mój drogi! — zawołała — przebacz, że śmieję się wśród tak poważnej rozmowy. Kim-że byłam? Czy bogatą dziedziczką? Czy wypieszczonem, kapryśnem dzieckiem pałaców?

Spoważniała znowu, i bez uśmiechu już mówiła dalej:

— Bieda, twarda bieda była piastunką i nauczycielką moją; tułaczka po cudzych, zimnych dla mnie domach — moim losem. Za jedyny promień szczęścia miałam uścisk starej matki mojej, za jedyną pociechę spokój sumienia, które mówiło mi, że robiłam wszystko, co mogłam, aby materyalnie — cudzego chleba nie żebrać, moralnie — kształcić się i wzrastać. Więcej nie miałam nic, coby należało do mnie, a uroczystej chwili połączenia się naszego nie uprzedziłam przygotowaniami żadnemi, bo mnie nawet na parę nowych sukien nie stało. Tyś mi dał wszystko... miłość bez granic, ciepło rodzinne i spokój własnego ogniska. Kiedy po raz pierwszy weszłam do domu twego, uczułam się bogatą i dumną, jak królowa; kiedyś po raz pierwszy opowiedział mi zamiary swe i postanowienia, pokochałam cię dwa razy

więcej, niż wprzódy... Pokochałam także cel, do którego dążysz, bom znaczenie jego zrozumiała, i teraz iść z tobą ręka w rękę, choćby wśród największych trudności, być towarzyszką twoją i pomocnicą, matką i nauczycielką dzieci naszych... to dla mnie takie szczęście i takie źródło codziennych, cochwilowych uciech, że losu swego nie zamieniłabym na żaden inny w świecie.

Nie skończyła jeszcze mówić, gdy Mieczysław otoczył kibić jej ramieniem i silnie przycisnął ją do piersi.

— O, ty mocy, odwago, pociecho moja! — rzekł zcicha, i długi pocałunek złożył na jej czole, które podniosło się ku niemu, zrumienione siłą uczucia i zapału. — Przebacz mi — mówił dalej — przebacz mi zwątpienia i trwogi, które oblegają mnie niekiedy!

Słowa te wyrzekł ze szczerym, niekłamanym zapałem. Znać było, że zamiłowanie w przedsięwziętem dziele, uczucie potrzeby jego i obowiązku dosięgało w nim do stopnia namiętności; a jednak pod wpływem spojrzenia i słów kobiety, która, obok niego stojąc, trzymała rękę jego w swej dłoni i ramieniem otaczała mu szyję, z oczu jego znikały gorączkowe blaski smutku i trwogi, a zastępował je spokój woli silnej, rozumu, znającego dobrze cele swe i środki.

Jednostajna miłość paliła się w ich sercach, jedne pojęcia przenikały ich umysły. Rozumieli się... Czuli, że dłonie ich nie rozłączą się nigdy i wspierać się będą wzajem w doli i niedoli, w trudzie i walkach, w każdem serca uderzeniu, w każdym porywie myśli i wysileń ku wyższym szczeblom męstwa, doskonałości, pożytku. Wiedzieli dobrze, iż ze związku, który ich łączy, nie słabość i rozdarcie, lecz moc i zgodę czerpać zawsze będą. To też doskonałe to zrozumienie się wzajemne, to uczucie bezgranicznej ufności, to wspólne zawieszenie wzroku na punktach wysokich, nietylko potęgowało miłość ich ku sobie, ale zdwajało życiową ich dzielność i siłę.

— Michasiu! — po długiej chwili milczenia, lecz całkiem spokojnie już rzekł Mieczysław. — Mam w głowie plan, który, jeżeli spełnię, w tym roku jeszcze spłacę połowę długu Lili, za rok lub dwa najdalej oddamy jej resztę, a wtedy będę mógł powiedzieć sobie, że do pewnego stopnia przynajmniej stałem się panem położenia.

— Jakiż to jest plan, mój drogi? Nie mówiłeś mi o nim jeszcze.

— Chciałem, aby, zanim podzielę się nim z tobą, dojrzał

on wprzódy we własnej głowie mojej. Pójdź, pokażę ci to na papierze; ale pamiętaj, że będą to cyfry... same cyfry...

Mówił to prawie już wesoło, Michalina zaśmiała się także.

— Wiesz dobrze, — rzekła — że cyfr się nie lękam. Kiedy byłam nauczycielką, nie usuwałam wcale arytmetyki z programatu nauczania swego...

– I był to, o ile pamiętam, jeden z powodów, dla których przestałaś być nauczycielką mojej siostry.

— Nie wspominajmy o tem — rzekła żywo Michalina.

Lekka i wesoła, poskoczyła w głąb pokoju, przysunęła dwa krzesła do stołu, na którym paliła się lampa i, na jednem z nich siadając, zawołała:

— Rachujmy!

— Rachujmy! — powtórzył Mieczysław, siadając obok żony i porządkując rozrzucone na stole papiery.

Oboje więc odeszli od otwartego okna, a jednak ciemna postać, stojąca z pochyloną naprzód głową za gęstym krzakiem bzowym, nie opuściła swego ukrycia.

Eli na inne teraz okno domu spoglądał. Było ono zamknięte i przed chwilą ciemne; ale teraz błysnęło w niem światło świecy i widać było, jak przez długą salę kroczyła zwolna stara kobieta, w czarnej wełnianej sukni, ze srebrnymi włosami, wymykającymi się z pod białego czepka, na twarz bladą i łagodną, na płócienny kołnierzyk, otaczający pomarszczoną szyję.

Kobieta ta niosła na ręku dwuletnie dziecię, do snu już snadź idące, bo w bieluchną tylko koszulkę przyodziane, różowe, złotowłose, śmiejące się, z główką opartą o pierś babki. Z obu stron jej szły dzieci starsze; chłopczyk z minką poważną i dziewczynka, szczebiocąca jak ptaszę.

Grupa ta, oświecona słabym blaskiem świecy, którą stara babka, wchodząc, wniosła do sali, przesunęła się zwolna za szybami kilku okien, i stanęła na progu pokoju, w którym, pochylona nad stołem i papierami, zcicha i poważnie rozmawiała para małżonków.

Miało to być zapewne pożegnanie codzienne przed snem nocnym, codzień udzielany i odbierany uścisk rodzinny; ale stara kobieta, ujrzawszy dwoje młodych ludzi, pogrążonych w pracy i cichej naradzie, zatrzymała się w progu, przyłożyła palec do ust, gestem tym nakazując dzieciom milczenie, a po chwili niemego przypatrywania się tym dwom młodym i pięknym głowom, schylonym ku sobie z wyrazem zamyślenia na twarzach, odeszła.

Po chwili świeca z sali zniknęła; natomiast otworzyło się jedno z jej okien, i z ciemnej komnaty wychyliła się pod światło gwiazd głowa starej matki, bez czepca już teraz, całkiem opłynięta długimi, srebrnymi włosy, z modlitewnym wyrazem w zagasłych, ku niebu wzniesionych oczach.

Przez kilka minut usta jej poruszały się zcicha i zwolna; ale uczucie, z jakiem modliła się, wzbierało w piersi jej falą tak gorącą i błagalną, że szept jej cichy przemienił się w napół głośną modlitwę.

— Panie! — mówiła, patrząc w gwiazdy — daj im spokój cichy, szczęście uczciwe i cnotę wytrwałą! Zsyłałeś mi w życiu mem krzyżów wiele — zniosłam je w pokorze i cierpliwości; ale to, co przecierpiałam, i to, com kiedykolwiek dobrego uczynić mogła, niech w oczach Twych, Boże, nie będzie moją zasługą, ale niech się stanie ofiarą błagalną i korną, za którą opiekę Swą i błogosławieństwo roztocz nad dziećmi mojemi!

* * *

Lekki szum starych kasztanowych gałęzi, poruszanych chłodnym wietrzykiem nocnym, zagłuszył szelest kroków Elego, gdy, wysunąwszy się ze swego ukrycia, powoli i z pochyloną w zamyśleniu głową, oddalał się od orchowskiego dworu. Po kilku minutach można go już było widzieć na ścieżce, przez łąkę ku młynowi wiodącej.

Lejba młynarz siedział sam jeden nad grubą jakąś księgą modlitewną, przy której paliła się żółta łojówka, gdy otworzyły się drzwi izby i wszedł Eli.

Młynarz, po kilku minutach kiwania się i szeptania, złożył księgę.

— Nu, Eli! — rzekł — czy ty z nim gadał o moim interesie?

Eli nie odpowiedział.

Przechadzał się zwolna po izbie, z rękoma w tył założonemi, patrzał w ziemię, i zamyślony był tak głęboko, że zdawało się, iż zapytania szwagra nie słyszał.

— Eli! czy ty z nim gadał o młynie, i żeby un mnie jego choć na trzy lata jeszcze w posesyę puścił?

Tym razem Eli, nie przerywając przechadzki swej, odpowiedział:

— Ja z nim dziś wcale nie gadał.

— Jakto, ty j e g o nie widział?

— Ja jego widział, ale z nim nie gadał.

— A dlaczego?

Na ostatnie pytanie to Eli żadnej nie dał odpowiedzi. Zaręczyć nie można, czy sam zdawał on sobie dokładną z tego sprawę, dlaczego, znajdując się tuż przed progiem orchowskiego domu, progu tego nie przekroczył, dlaczego nie dokonał czynu, nad którym długo myślał, dla którego dokonania przybył tu o mil kilka, porzucając dla niego inne korzystne sprawy i zabiegi. Na twarzy agenta »Domu pośrednictwa« i wspólnika Ildefonsa Poryckiego malował się namysł głęboki, z wewnętrznych wahań i wątpliwości złożony.

Lejba oddawna już za drewnianem przepierzeniem usnął snem twardym.

Godzina była już późna, popołnocna, gdy Małka, zbudzona krzykiem dziecka, złożonego w kołysce, na sznurach do sufitu przytwierdzonej, wstała z pościeli i, zapaliwszy łuczywo, przez wązkie drzwi w głąb pierwszej izby zajrzała. Zobaczyła tam Elego, który w zupełnie jeszcze dziennem ubraniu, przy świetle jaskrawo dopalającej się w lichtarzu łojówki, siedział na stołku z obu dłońmi na kolanach złożonemi, z głową pochyloną i wzrokiem wbitym w ziemię.

— Eli! — zawołała Małka — czemu ty spać nie idziesz? Ja dla ciebie tak łóżko posłałam, że aj! aj! Spróbuj tylko położyć się na niem.

Eli podniósł głowę.

— Czego ty chcesz ode mnie, Małko? Idź do swego bachura, który tam krzyczy.

W głosie jego było tak niezwykłe mu zniecierpliwienie, że onieśmielona Żydówka usunęła się szybko za przepierzenie i słychać było, jak, poruszając kołyską, cichym szeptem i głośnem cmokaniem uspokajała wrzeszczącego dzieciaka.

Eli pozostał w uprzedniej postawie.

Od chwili do chwili przechylał głowę z jednej strony na drugą, zsuwał brwi i dłonią głaskał rudawą brodę, jakby dziwił się czemuś i własne zdziwienie sceptycznym odpierał rozumem. Wątpił i wahał się, wątpliwości te i wahania, nagle we wnętrzu jego zrodzone, pokonać usiłował, lecz nie mógł.

Nazajutrz, około godziny siódmej zrana, Eli, tylko co snadź przebudzony, wyszedł przede drzwi młyna. W tej samej chwili, od dworu śpiesznym krokiem zbliżał się Lejba. Twarz dzierżawcy młyna rozjaśniona była i widocznie uradowana. Za-

pomniał o przywitaniu się ze szwagrem i z zadowoleniem zawołał:

— Ny! już ja sam jego widział i z nim gadał. Młyn będzie znów na trzy lata moim!

Eli nie okazał najlżejszego zdziwienia.

— Jak to było? — zawołał.

— On przysłał po mnie jeszcze przed szóstą godziną, on zawsze tak rano wstaje. Jemu widać na gwałt pieniędzy potrzeba, bo powiedział, że mi młyn puści, jeżeli tylko ja jemu za trzy lata arendę z góry dam.

Eli pogłaskał brodę, patrzył w ziemię i chwilę milczał.

— A żebym ja ciebie poprosił: nie bierz ty w posesyę tego młyna i pieniędzy z góry nie dawaj, póki ja o tym interesie nie pomyślę, czy ty jego masz zrobić, czy nie?

Lejba przenikliwie wpatrzył się w twarz szwagra.

— A dlaczego ty mnie masz o to prosić?

— No, już ja wiem, dlaczego co robię, a ty także wiesz, że jeżeli ja tobie jeden dobry interes odbiorę, to z pewnością dam inny, jeszcze lepszy.

— Ny, to prawda. Jabym i tego młyna nie trzymał, żeby nie ty i twoje pieniądze.

— Może być, — rzekł Eli, siadając na ławie — że ja zechcę, abyś ty jemu dał pieniądze, a może być, że nie zechcę. Ja tu za parę tygodni będę znowu i powiem, co zrobić trzeba. Kontrakt na dwa miesiące jeszcze wystarczy, a przez ten czas dużo wody w tej rzece przepłynie i dużo myśli przez moją głowę przejdzie.

Lejba zmarkotniał trochę, ale oporu najmniejszego nie stawiał.

— Niech tak będzie, jak ty chcesz, Eli — rzekł. - Ja wiem, że ty nikomu źle nie życzysz. Kiedy ja przez ciebie tutejszego młyna nie wezmę, to ty tak zrobisz, żebym ja w posesyę wziął ten, co na białowolskim stawie stoi...

— Wiem, wiem — dokończył Eli. — Powiedz teraz memu człowieku, żeby konie do bryczki założył. Pora mi już jechać.

— A dokąd ty pojedziesz?

— Niedaleko: do Rydlówki, do pana Kamila Orchowskiego.

II.

Czy rzeczywiście istnieć mógł gdziekolwiek człowiek taki, jak Ildefons Porycki? Jakich wpływów i okoliczności był on dziecięciem i wynikiem? Jakie żywioły, przeszłością jego rządzące, złożyły się na moralną istotę jego? Jaki był najgłębszy, najtajniejszy grunt tej istoty? Pytania te nasuną się zapewne myśli czytelników.

Kiedy długa, silna burza wstrząsa nurtami wód szerokich, powierzchnię ich pokrywają zarówno dyamentowe blaski łamiących się fal słonecznych, smętne kielichy lilii białych, wichrem poszarpanych, jak brudne szmaty piany mętnej i odrażającej.

Gmachy wielkie, walące się, albo już obalone, wspaniały i melancholijno-poetyczny przedstawiają widok, gdy księżyc je osrebrzy i bluszcz dziki owije; tu i owdzie jednak sterczy cegła jakaś, deska, głaz, które, w ogólnym rozruchu i bezładzie padania, z właściwych miejsc swych wytrącone, przygniatane, popychane, leciały coraz niżej, pod uderzeniami sił fatalnych, aż stanęły w dole, wyszczerbione, nadgniłe, oczom ludzi ku obrazie, krokom ich ku szkodzie.

Ildefons Porycki urodził się na Wołyniu, w dość skromnej, lubo dostatniej, szlacheckiej zagrodzie. Na pozór przyszłość jego rysowała się jasno i wyraźnie. Syn uczciwego rolnika, mógłby był otrzymać w spadku, wraz z rolą przez ojców uprawianą, obyczaje ich, uczucia i spokojny tryb życia. Bystrością pojęcia i rzutkością charakteru obdarzony, byłby, przy sprzyjających okolicznościach pod wielu zapewne względami prześcignął tych, co w ojczystych kątach poprzedzili go bezpośrednio; ale w latach jeszcze młodzieńczych, dziecięcych prawie, pusty jakiś wyskok studencki, ze współtowarzyszami nauk podzielony, pchnął go wprost ze szkoły, której nie ukończył nawet całkiem, w strony odległe i obce. Pierwsze lata w stronach tych przepędzone, spłynęły mu mozolnie, a jałowo, wśród szamotań się po miejscach różnych, wśród zajęć rozlicznych, niczem do siebie nie przywiązujących, bo dorywczych. W porze tej niedostatek, osierocenie, niepewność jutra były pierwszymi bodźcami, ktore, pod wpływem samozachowawczego instynktu, wywołały z głębi młodzieńczej, niedokształconej istoty jego wszystko, co tylko było w niej sprytem, przebiegłością, giętkością i obłudą. Nauczył się wybadywać twarze ludzi, szperać w usposobieniach ich i nawyknie-

niach, kłaniać się nizko, przybierać na siebie, według potrzeby, postać pedanta lub wietrznika, dworaka, niewolnika, lub wyższość swą znającego i narzucającego władcy.

Wszystko to dało mu w zysku wiele stosunków zjednanych, które zaprowadziły go wkrótce ku jakiemu takiemu życiowemu portowi, mającemu postać jednego ze znajdujących się w stolicy biur rządowych. Z dziesiątka lat, w ciągu których był urzędnikiem, Ildefons Porycki wyniósł, jako korzyść umysłową: poznanie dokładne wszystkich form i formułek prawnych.

Dokoła ścian kancelaryi, w której pracował na byt skromny bardzo i nieznany, wielka stolica szalała przepychami blasku, rozkoszami wszelkiego użycia, gonitwami za wysokiem znaczeniem i złotodajnym zyskiem, burzami i walkami najrozmaitszych pojęć i namiętności, teoryi i mrzonek. Obcy zrazu otaczającym go żywiołom, im dłuższe upływały miesiące i lata, im bardziej w sercu jego gasły wspomnienia dzieciństwa, tem ściślej spajał się ze wszystkiem, co bezpośrednio wkoło niego istniało, tem więcej porywały go z sobą gorączkowe ruchy, gwary, gonitwy i pożądania tłumów. Jak wprzód obłuda, przebiegłość, giętkość karku i obrotność języka, tak teraz zrodziła się w nim żądza wyniesienia się, zysków, blasków, środków, dających użycie wszelakie.

Z wrzących dokoła niego teoryi i mrzonek, z wywieszonych chorągwi i wykrzykiwanych haseł wybrał i za swoje przyjął te, które najlepiej odpowiadały moralnej istocie jego, wykształconej tułactwem, w dzieciństwie jeszcze rozpoczętem, osieroceniem zawczesnem, biedą, pokorą zewnętrzną, i buntującej się przeciwnie pychą wewnętrzną, złymi przykładami, gorączką umysłu, którego siły rozwijały się w podskokach bezładnych, po liniach krzywych.

Wkrótce przestał być urzędnikiem.

Zabrakło mu cierpliwości do dłuższego zginania się pod jarzmem pracy, uczciwej, lecz ciężkiej i zmudnej; wszystko, co praca ta przyrzekać mogła w przyszłości, wydawało mu się zbyt drobnem, poziomem, szarem i odległem. Rzucił się w przedsiębiorstwa, rachunki, pożyczki, w kupowanie akcyi, grę na giełdach i targach.

Podróże, o których opowiadał Elemu, nie były zmyśleniem. Znał on, niby dom własny, wszystkie place targowe miast, na północy i południu państwa położonych. Różne strony zwiedzał w charakterze najrozmaitszym. Tu handlarzem był, owdzie fabrykantem, gdzieindziej dostarczycielem materyałów ku ja-

kiejś publicznej potrzebie, tam znowu usłużnym pośrednikiem pomiędzy prawującemi się stronami, a owdzie jeszcze pełnomocnikiem wielkiego jakiego pana, albo agentem przemysłowej spółki jakiejś. W miejscach jednych mianował się jurystą, w innych przemysłowcem; tu w czarnym fraku i białych rękawiczkach wchodził na salony, błyszczące bogactwem i wytwornością, gdzieindziej przywdziewał kożuszek barani i w palonych butach obchodził dokoła wozy i namioty wielkich jarmarków. Bogacił się i ubożał, zarabiał i trwonił.

W życiu swem miał punkta ciemne, o których nikt, prócz niego samego, nie wiedział nic.

Agentem »Domu pośrednictwa« został niedawno, wskutek protekcyi i żądania barona von R..., który znał go w stolicy i, za biurowych jeszcze czasów jego, zaliczał do grona swych pochlebców i dworaków.

Ogólnie rzecz określając, był to awanturnik, podszyty spekulantem, spekulant z zachciankami i zdolnościami oszusta, oszust z odcieniem krańcowego socyalisty.

* * *

Takim był człowiek, który, rozparty w ładnym powozie, unoszony czterema dzielnymi końmi, zbliżał się teraz ku ręczyńskiemu pałacykowi, za którego białemi ścianami i szkarłatnym dachem wznosiła się wysoka, długa, ciemna ściana lasów sosnowych, u którego stóp płynął w skalistej oprawie poważny, cichy, błękitny Niemen.

W pałacyku ręczyńskim, w pokoju, który niegdyś, za bytności i gospodarowania tu pani Malwiny, miał pozór składu wszelakich drobiazgów, na tem samem nawet miejscu, na którem zwykła była siadywać matka Konrada, siedziała i teraz kobieta. O ile przecież teraźniejszy przystrój pokoju różnił się od uprzedniego, o tyle nowa jego właścicielka niepodobna była do dawnej...

Ściany pokoju tego okryte były obiciem białem, usianem wielkimi bukietami z róż i zielonych liści; takaż materya, barwna i kwiecista, oblekała sprzęty zgrabne a lekkie; na etażerkach leżało kilkadziesiąt książeczek małych, z tytułami słynnych romansów na pozłocistych okładkach; u okien kwitły wazonowe rośliny.

Głównym jednak, najwidoczniejszym i najwytworniejszym

sprzętem była w pokoju tym gotowalnia kobieca, kształt prześlicznie rzeźbionej komódki mająca i dźwigająca na sobie ogromne lustro, szufladkami i podstawkami różnej wielkości otoczone. Na komódce i na umieszczonych powyżej podstawkach znajdowało się mnóstwo sprzęcików, gracików i narzędzi toaletowych. Pokój ten cały, wraz z urządzeniem swem, tchnął miłą oku zgodnością i żywością barw, woniał lotnymi wyziewami perfum, śmiał się mnogością kwiecia, rozrzuconego po ścianach i sprzętach.

Przedziwnie też harmonijne, łagodne były linie, zakreślające kształty kibici i rysy twarzy siedzącej na kanapce kobiety. Kibić to była wysmukła, cienka w pasie, spadzista w ramionach, posiadająca w sobie coś polotnego i giętkiego, coś może słabowitego trochę, ale dziwnie delikatnego. Wśród twarzy białej, otoczonej splotami włosów hebanowej czarności, paliło się pod powieką podłużnie wykrojoną dwoje czarnych oczu, o wielkich źrenicach i błękitnych białkach, przypominających ogniste lazury południowego nieba.

Usta młodej kobiety wydatne, lecz kształtne i drobne, bladawe były i w krew ubogie; z za przezroczystej tkanki jej cery nie przebijał się także rumieniec najlżejszy. W twarzy jej prześlicznej, zarówno jak w kibici, panującą cechą była delikatność wytworna i widocznie słabowita, wdzięczna, pociągająca, lecz smętna, więc, obok zachwytu, budząca uczucie, do litości podobne.

Ubranie kobiety tej... o! ubranie to było rzeczą niesłychanie skomplikowaną, czemś nakształt mozaiki, łamigłówki, lub... wystawy sklepowej. A jednak rzecz ta, błaha na pozór, podrzędna, przyoblekała właścicielkę swą w charakterystykę bardzo odrębną i niepospolitą, rzucała na nią całą, pod względem tak zewnętrznym, jak wewnętrznym, światło szczególnie jaskrawe. Suknia jej była biała, gładka, jednolita, za ozdobę i bogactwo całe mająca obfitość i powłóczystość fałd, ułożonych ze smakiem. Ale powyżej, od cienkiego stanu, opasanego wstęgą barwistą, aż do szczytu misternej i wysokiej budowy, ułożonej z włosów na głowie, znajdowała się moc wielka nagromadzonych tam przedmiotów. Od szyi do pasa spływały mnogie sznury bujnych, szkarłatnych korali; pomiędzy nimi połyskiwał medalion złoty, przytwierdzony zapinką z tegoż medalu; długie, złote kolce spuszczały się od uszu młodej kobiety aż prawie na jej ramiona; we włosach tkwiły nad czołem szpilki, w kształcie złotych gwiazd urobione; z tyłu głowy przepaska z czarnej lawy

przytrzymywała kolorowego motyla, na ramionach śnieżnej białości, wyłaniających się z szerokich rękawów sukni, wiły się bransolety ze złota, lawy i korali. Wszystko to świeciło, połyskiwało i, przy najlżejszem poruszeniu, uderzając o siebie, wydawało leciuchne, metaliczne brzęczenie. A jednak nagromadzenie to barw i błyskotek nie przywodziło na myśl, jak w podobnych razach zdarza się najczęściej, ducha parafiańszczyzny, nieumiejętnej, niezgrabnej próżnostki. Owszem, wszystko to było wytworne, harmonijne, dobrane i ułożone z przedziwną zręcznością. Łatwo w tem było dostrzedz nie próżnostkę ulotną, ale zamiłowanie głębokie, nie słabostkę niedorzeczną, ale namiętność pochłaniającą, nie naśladownictwo niezgrabne, ale oryginalność gustu.

Patrząc, jak popiersie to kobiece, delikatne i kształtne, pod ślizgającym się po niem wązkim promieniem słońca lśniło, migotało, drżało, całe w iskrach niby i błyskawicach, anibyś zdołał pomyśleć o śmiesznej parafiance, strojącej się w papuzie barwy i błyskotki. Na pamięć raczej przyjśćby ci mogła zalotna i królująca postać kobiety, do pierwotnego świata jakiegoś należącej, dzikiej Indyanki może, w chwili, gdy, wychylając się z pod przenośnego namiotu, staje wśród świateł słonecznych, przyobleczona od stóp do głowy w barwiste wzory, w błyszczące i podzwaniające rzędy blaszek, na sznury nanizanych — jedynych podarunków, wziętych przez nią od sąsiedniej cywilizacyi.

Takiem było, po siedmiu latach, dziewczę owo, w czarną, surową suknię niegdyś przyodziewane, rankami modlące się z matką przed krucyfiksem i trupią czaszką, a nocami czytające romanse, dziewczę, zamykane przed światem, a rwące się do świata całą siłą ognistej swej wyobraźni i przed czasem rozstrojonych nerwów.

Taką była teraz Lila z Orchowskich Ręczycowa, siostra Mieczysława Orchowskiego, od czterech lat żona Konrada Ręczyca i pani domu tego, a od trzech lat matka ślicznej małej dzieciny, chowanej przez piastunkę i bonę na najwyższem piętrze pałacu.

Pomimo wesołego przybrania pokoju i błyskotliwości stroju, który ją okrywał, młoda kobieta nie wydawała się wcale wesołą.

Siedziała na kanapce, w postawie niedbałej, z kibicią naprzód nieco pochyloną, ramionami otaczając stojącą na kolanach jej szkatułkę znacznej wielkości, lecz lekką i bardzo ładną. Szka-

tułka była otwarta, Lila od chwili do chwili zanurzała w niej białą rękę i, wyjmując z kolei różne zapisane ćwiartki papieru, wstążeczki, zasuszone kwiatki, zatrzymywała na nich długie, zadumane spojrzenia.

Przed ośmiu mniej więcej laty przeglądała ona w ten sposób zbiór pamiątek matczynych; teraz były to własne jej wspomnienia, w przedmiotach napełniających szkatułkę upostaciowane. A jakże wiele, wiele już wspomnień tych napełniało owe lat kilka, które pozostawiła ona za sobą, wspomnień leciuchnych, jak ćwiartki cieniutkiego papieru, drobniutkich i kruchych, jak zasuszone różane i niezapominajkowe listki. We wspomnieniach tych przecież zaklęta mieściła się historya całej jej przeszłości; przeglądała ją kartka po kartce, wyczytywała z niej tryumfy swe nieustanne, uniesienia ogniste a nietrwałe, zawody wieczne, tęsknoty i pragnienia, których dotąd nic nie ugasiło.

A najprzód, z samego dna szkatułki wydobyte, w palcach jej ukazały się ody, sonety, akrostychy, na cześć jej układane przez Fabiana Łozowicza. On dał jej uczuć słodycz tryumfów światowych wtedy, gdy zaczynała zaledwie marzyć o świecie, on pierwszy począł składać jej hołdy, gdy czarna jeszcze okrywała ją suknia.

Lila odczytała parę utworów tego romantycznego a platonicznego wielbiciela, któremu uwielbienie ku niej nie przeszkadzało uznawać „złotego serca“ w gospodarnej swej żonie, ani kochać nad życie siedmiu domowych aniołków, i — uśmiechnęła się przyjaźnie, łagodnie. Lubiła pana Fabiana tak, jak ambitna królowa, której poddanych zawsze za mało, lubi najdawniejszego i najwierniejszego ze swych dworaków.

Potem ukazały się w rękach Lili dwa papierki różowe, podpisane splątanym i misternym wielce monogramem. Było to coś ważniejszego już, niż ody i akrostychy pana Fabiana, było to błagalne i ogniste pismo pewnego młodzieńca, z którym po raz pierwszy zamieniła słowo: k o c h a m! Wtedy, po śmierci ojca, mieszkała z matką w żałobnej Białowoli, za jedyną towarzyszkę mając nudną, acz pobłażliwą, Francuzkę, „dame de compagnie“, za jedyną rozrywkę codzienne przechadzki po miasteczku Orchowie.

Młodzieniec, piszący listy na różowych papierkach, mieszkał w miasteczku, gdzie piastował skromny bardzo urzędzik jakiś; miał on oczy nieśmiałe, lecz wcale ładne, drobny wąsik płowy, głos miękki i czuły.

Spotykali się w miasteczku, przechadzali się razem po łą-

kach, zrywali kwiaty w polu, a raz, zszedłszy się wieczorem u brzegu stawu, pod białowolskiemi płaczącemi brzozami, gdy „dame de compagnie“ poszła do pokoju swego czytać książkę powiedzieli sobie, że się kochają. Na nieszczęście, pani Leontyna, o której myśleli, że, jak zwykle, znajduje się zanurzona w modlitwie i samotnej melancholii, wyszła tym razem melancholię swą podzielić z pięknym wieczorem letnim, i szept dwojga młodych posłyszała. Zaszła wtedy pomiędzy matką i córką scena burzliwa.

Pani Leontyna zawodziła skargi nowe na swą niedolę, a Lila płakała spazmatycznie i przysięgała namiętnie, że nikogo, prócz młodzieńca z misternym monogramem, kochać nie będzie.

W chwili przecież najgwałtowniejszej burzy zjechała do Białowoli pani Malwina. Uwiadomiona o wszystkiem, zadecydowała, że Lili trzeba rozrywek, niczego więcej, tylko rozrywek, i prosiła panią Leontynę, aby pozwoliła jej zabrać młode dziewczę do domu swego w N.

Pani Leontyna zgodziła się na propozycyę, oddając córkę pani Malwinie, dla dokończenia edukacyi i poprawy charakteru.

Wtedy dla szesnastoletniej dziewczyny rozpoczęła się nowa era życia.

Z ery tej Lila posiadała sporą garść pamiątek. Był tam kwiatek zasuszony, od metra muzyki, czarnowłosego Włocha pochodzący. Lila przez kilka tygodni śniła i marzyła o pięknym Włochu, lecz gdy marzenia przechodzić zaczęły w ciche rozmowy, zamiany spojrzeń ognistych i pamiątkowych kwiatów, pani Malwina spostrzegła wszystko i cicho a zręcznie wzięła się do rzeczy.

Włoch zniknął z domu, a Lila — po nowych, kilka dni trwających burzach, płaczach, przysięgach — z uśmiechem przyjęła z ręki jednego z młodych sąsiadów Orchowa pyszny bukiet, z którego jeden kwiat schowany i uschły kruszył się teraz w jej dłoni.

Z sąsiadem tym przecież historya była krótka. Pani Malwina, mająca w tem szczególny interes, aby wszystkie historye podobne szybko przerywać, uczyniła tak, iż herbowy i zamożny sąsiad, podobnie jak metr ubogi, zniknął z domu jej i więcej nie wrócił.

Natomiast Konrad Ręczyc coraz częściej bywać zaczął w domu swej matki.

Dla Lili był on dotąd obojętnym zupełnie; gniewała się na niego nawet zcicha, że wprządz się nie chciał do tryumfalnego jej wozu i, będąc z nią razem, więcej zda się myślał o dzielności i rasie koni, świeżo na jarmarku nabytych, niż o piękności młodej swej kuzynki.

Pewnego dnia jednak Konrad zbliżał się do niej częściej, niż zwykle, zatrzymywał na twarzy jej długie spojrzenia, ani razu nie wspominał o koniach, a parę razy westchnął. Zmiana ta zaszła w nim po długiej, tajemnej rozmowie, którą miał z matką, a po której wyszedł markotny i zamyślony.

Wieczorem dnia tego, pani Malwina, całując Lilę na dobranoc, rzekła do niej ze zwykłą sobie żywością ruchów i mowy:

— Figuruj sobie, moja duszo, że Konio zakochany w tobie à la folie! Jest to dla mnie prawdziwa siurpryza, bo byłam zawsze pewną, że chłopiec ten spokojny ma temperament i pasyi żadnych doświadczać nie może. Ale twoje oczy, kochaneczko, lody topić mogą!

Nazajutrz Flora Ręczycówna, siedząca z Lilą przy oknie, od niechcenia niby rzekła:

— Konrad smutny był wczoraj bardzo. Czemuż okazywałaś się dla niego tak obojętną, Lilo?

W tej samej chwili przed oknami mieszkania przechodził młody człowiek, o którym mówiono.

Lila po raz pierwszy w życiu uważniej na kuzyna swego spojrzała i głośną uczyniła uwagę, że w szafirowej aksamitnej czapeczce bardzo mu jest do twarzy. Flora uwagę tę kuzynki wypowiedziała wchodzącemu bratu.

Konrad objął śliczne dziewczę gorącem spojrzeniem swych bezmyślnych trochę, lecz pięknych, błyszczących oczu, i zawołał z zapałem:

— Jabym, jak Boga kocham, żeby podobać się kuzynce Lili, nietylko szafirową czapkę, ale ośle uszy na głowę włożył i chodził w nich po ulicy.

Oślich uszu jednak nie włożył i więcej nawet o nich nie mówił, bo mu siostra z wyrzutem powiedziała, że powinien był poetyczniej wyrazić się i zamiast tego brzydkiego szkolnego wyrażenia, wspomnieć raczej o koronie cierniowej; lecz aksamitnej czapeczki stale odtąd używał i odegrała ona w życiu Lili rolę wielką, bo była pierwszem zadzierzgnięciem węzła, który już potem w żwawej i zręcznej dłoni pani Malwiny przemie-

nił się pomiędzy synem jej i posażną krewniaczką w węzeł małżeński.

Kilka tygodni przed ślubem i kilka miesięcy po ślubie Lila kochała Konrada ogniście, głośno, z uniesieniem, z przysięgami, z przystępami spazmatycznego płaczu i szalonej zazdrości, kochała go, słowem, po swojemu — tak, jak niegdyś młodzieńca z misternym monogramem, Włocha z czarnemi oczyma, sąsiada z bukietem i kilku jeszcze ludzi innych...

A potem... potem zjawiły się w szkatułce pamiątki nowe, mniej lub więcej cenne, parotygodniowe zapały i parodniowe łzy przypominające.

Tym razem młoda kobieta zamknąć już miała tajemniczą swą skarbnicę i powstać z kanapki, gdy, z pośród drobiazgów napełniających szkatułkę, wymknął się i na kolana jej upadł papier, kobiecem nakreślony pismem, dawny snadź, bo zżółkły, zestarzały.

Na widok p a m i ą t k i tej, Lila uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Kochana moja panna Julia! gdzie ona jest teraz?—szepnęła i stary, zżółkły list roztworzyła.

Było to pismo przez byłą nauczycielkę Lili, pannę Julię Grejs, przesłane dawno, bo więcej, niż przed sześciu laty.

Lila przebiegła oczyma pierwsze wiersze listu, zawierające te wyrazy:

»Droga Lilo!

»Donoszę ci, że jestem szczęśliwą! Pozazdrość mi. Zna»lazłam swój ideał, znalazłam człowieka, którego obraz »przedstawiały mi zawsze najpiękniejsze rojenia mej wy»obraźni i — od wczoraj jestem jego narzeczoną. Narze»czony mój ma imię Ildefons. Ildefons! ach! imię to wyma»wiać trzeba, patrząc na gwiazdy lub kwiaty, słuchając »szmeru wietrzyków i srebrnego strumienia! Cudne imię, »nieprawdaż? Zażądasz może, abym ci opisała twarz, postać, »całą słowem powierzchowność j e g o. Więc powiem ci: po»dobnym do niego musiał być l e j e u n e p a u v r e naszego »kochanego Feuillet'a; niekiedy przypomina mi on też Raula »z historyi Sybilli, lub naszego nieszczęśliwego a sympaty»cznego pana de Camors. Mniejsza zresztą o to, jak on wy»gląda, ale gdybyś znała jego piękną, wielką duszę, jego »umysł szeroki i silny, gdybyś słyszała, jak opowiada o swych »nieszczęściach, walkach z losem!... Nie myśl jednak, proszę »cię, abym była narzeczoną nędzarza, człowieka nic nie ma-

»jącego i nic nie znaczącego. Przeciwnie, mój Ildefons posiada »pozycyę i perspektywę świetniejszej jeszcze przyszłości... »Jaką jest pozycya ta i na czem zasadza się perspektywa, »nie umiem ci tego dokładnie wytłómaczyć, a zresztą czyliż »zajmować mię mogą tak błahe, prozaiczne szczegóły?... Bo»gatym być musi, bo do domu, w którym przebywam, przy»jechał powozem i, zdaje się, że w sąsiedztwie majątek »ma kupować. Z kilku wielkimi panami zostaje w stosun»kach najściślejszej przyjaźni... Wszystko to jednak nic mię »nie obchodzi. Ale oczy jego wymowne, dusza piękna, mi»łość jego dla mnie, mająca w sobie coś rycerskiego i t. d., »i t. d.«

W liście znajdowało się jeszcze kilkanaście wierszy, równie obficie, jak poprzedzające, w wykrzykniki zaopatrzonych, ale Lila nie czytała już dalej.

— Szczęśliwa Julia! — szepnęła.

Po chwili zaś dodała:

— Jak-bym chciała wiedzieć, gdzie ona jest teraz? co robi? czy o mnie choć trochę pamięta? O! niezawodnie zapomnieć musiała. Wszak list ten był ostatnim, jaki miałam od niej. Tak, przyjaźń, miłość, radość, szczęście, wszystko przemija, wszystko zawodzi na świecie.

Wyrzekłszy to w zamyśleniu głębokiem, powstała zwolna, postawiła na stole szkatułkę, a podnosząc nad głowę śliczne ramiona i ręce na czarnych krzyżując splotach, z oczyma szklisto w przestrzeń patrzącemi, wymówiła rozpaczne francuskie przysłowie:

— Tout passe, tout casse, tout lasse!

W głębi domu ozwały się akordy, na fortepianie wygrywane, a zarazem do pokoju weszła służąca z pękiem kluczy u pasa.

Była to ta sama ładna i fertyczna Brygisia, która niegdyś w Orchowie usługiwała Lili i jej nauczycielce. Postarzała ona trochę przez czas ubiegły, spoważniała, a na twarzy jej malowała się poufałość sługi dawnej, będącej powiernicą, nieledwie przyjaciółką swej pani.

— A! — zawołała, wchodząc — pani nie wyszła jeszcze do bawialnych pokojów? A tam goście oddawna już zjedli śniadanie i nudzą się bez pani.

Lila wzruszyła ramionami.

— Któż tam jest taki? — zapytała niedbale.

— A któżby był? Ci sami, którzy zawsze prawie są w Ręczynie. Pan Paweł Szyłło z synowcem swym, panem Klemensem, pan Łozowicz z synem, teorbanista ten, co z naszym panem na jarmark wczoraj jeździł... więcej niema nikogo. Ale pan Apolinary Łozowicz — po chwili milczenia, z filuternym uśmiechem dodała służąca — pan Apolinary przez cały ranek błąkał się po ogrodzie, jak Marek po piekle, i ciągle na okna tego pokoju spoglądał...

— Doprawdy? — przeciągle wymówiła Lila.

Stała przed lustrem i czarne włosy swe zdobiła rzędem kryształowych, w złoto oprawnych, szpilek. Uśmiech lekki zaigrał na bladawych jej ustach.

Akordy fortepianowe dochodziły do uszu jej coraz silniej, jakby niecierpliwiej wygrywane.

— Poukładaj mi tu wszystko w szufladach, Brygisiu — rzekła Lila. — Pójdę już do salonu.

Zwróciła się ku drzwiom.

— Niech pani zaczeka jeszcze chwilkę, — rzekła służąca — ja przyszłam tu, aby zapytać się pani, co będzie z dzisiejszym obiadem. Posyłałam dziś do miasteczka po mięso, ale na kredyt nie dali...

— Moja Brygisiu! nie nudź-że mnie, proszę, tem gospodarstwem. Cóż ja na to poradzę? Wiesz, że z takiemi rzeczami udawać się trzeba do Konrada.

Wyrzekłszy to niechętnie i ze znudzeniem, opuściła pokój.

W dość obszernym, ładnym saloniku siedział przy fortepianie dwudziestoletni młodzieniec, szczupły, z bladą twarzą, ozdobioną małym czarnym wąsikiem, i z miną napół nadąsaną, napół melancholijną, wygrywał zwolna jakiś utwór muzyczny.

Przy stole, umieszczonym przed kanapą, Fabian Łozowicz, z twarzą, jak dawniej. rumianą i dobroduszną, pochylał się nad kawałkiem papieru, na którym rysował widoczek, przedstawiający jakąś chatę w lesie.

U okna Paweł Szyłło, podnosząc zwisłe swe, posiwiałe już nieco wąsy, dopijał szklanki herbaty i dojadał porcyi chleba z masłem. Naprzeciw niego stał Klemens Szyłło i, patrząc przez szyby na dziedziniec, gdzie widać było chodzącego tu i owdzie Konrada, poziewał szeroko.

— Dyabelna nuda na wsi! — ozwał się po chwili starszy syn Augustyna Szyłły. — Nie rozumiem, doprawdy, dlaczego ojciec

sam nie pojechał tu dopominać się o swoje pieniądze, tylko mnie przysłał.

— Czy mówiłeś już z panem Konradem? — zcicha zapytał Paweł.

— Kiedyż miałem mówić? wczoraj był na jarmarku, a dziś późno jakoś wstałem...

— Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje — ze zwykłą sobie, na trefnisiostwo zakrawającą rubasznością rzekł Paweł — ja rano wstałem i z panem Konradem mówiłem.

— I cóż? — ciekawie zapytał Klemens. — Pieniążki będą?

— Przyrzeka... — wymówił Paweł.

— Pi! obiecanka cacanka, a wiesz komu radość — zaśmiał się Klemens.

— Fałszywie, Apolku! — z nad rysunku swego zawołał do syna pan Fabian — b moll dwa razy i trel na piątej górnej...

Apolek niecierpliwie rzucił się na krześle.

— Co mię tam ojciec poprawia, jak studenta jakiego! Już ja wiem dobrze, dlaczego tak gram, a nie inaczej.

W tej chwili otworzyły się drzwi, do dalszych pokojów prowadzące, i w progu stanęła Lila, opłynięta malowniczemi fałdami sukni, połyskująca cała od paciorek, szpilek, kolców i bransolet.

Dwudziestoletni Apolek poczerwieniał nagle, jak piwonia, i porwał się z krzesła; żwawo też, z rysunkiem swym w ręce, powstał pan Fabian; Klemens Szyłło poziewać przestał i, z galanteryą wątpliwego smaku, w ukłonach cały, zbliżał się do posuwającej się zwolna ku towarzystwu pani domu. Uprzedził przecież wszystkich Paweł Szyłło, który, szybko otarłszy z ust resztki masła i wiechcie wąsów założywszy za uszy, dwoma krokami długich nóg swych znalazł się obok Lili i wielką ręką swą po drobną, delikatną rączkę jej sięgnął.

— Pani nasza! — zawołał, schylając się i rączkę całując — dobrodziejko nasza! królowo!

— Ciekawam, dlaczego nazywasz mię pan królową? — z powabnym uśmiechem i kłaniając się lekko wszystkim dokoła, zapytała Lila.

— Słusznie! słusznie! — zawołał pan Fabian rozradowany. — Lilia jest królową kwiatów, a pani nosisz jej imię.

— Słyszałam zawsze, że królową kwiatów jest róża.

— Zdetronizowaliśmy ją, a panowanie nad wszystkimi kwiatami tej ziemi oddaliśmy lilii — rumieniąc się znowu i z iskrzącym wzrokiem, szepnął Apolek.

— Odziedziczyłeś pan po ojcu swym zamiłowanie w kwiatach i poetycznych przenośniach — odpowiedziała kobieta, topiąc w twarzy rozkochanego widocznie młodzieniaszka wymowne spojrzenie.

— Ja tam — zawołał Klemens — z pewnością daru do poezyi po ojcu nie odziedziczyłem, a jednak, dalibóg, gdyby mi dali kawałek papieru, to-bym może w tej chwili wiersze jakie napisał.

— Spróbuj pan! no, spróbuj! — z serdecznem rozradowaniem wykrzyknął Łozowicz, i posunął ku synowi ubogiego prawnika papier i ołówek.

Lila opuściła się zwolna na kanapę i usiadła tam w pozie ponętnej bardzo, malowniczej, z ramionami niedbale na piersi skrzyżowanemi.

— Pan Klemens — rzekła — ukaże nam później swe poetyczne talenta.

— Pani wie, że posiadam ich trochę — szepnął młody Szyłło. — Pamięta pani tam na wzgórzu, pod sosnami... w przeszłym roku...

Zdawało się, że kobieta wyrazów tych nie dosłyszała.

— A teraz — ciągnęła — niech pan Apolinary kończy to Nocturno, które grał, gdym weszła. Jest to moja ulubiona kompozycya, a pan grasz ją tak pięknie!

— Jak pani rozkaże — zawołał uszczęśliwiony młodzieniec i, z pośpiechem usiadłszy przy fortepianie, rozpoczął na nowo minorowe akordy z b m o l l i smętne trele na piątej górnej.

Pan Fabian pokazywał tymczasem Lili wyrysowany przed chwilą widoczek.

— Chciałabyś pani mieszkać w tej chatce, wśród lasu, nad strumieniem?...

Kobieta z rozmarzeniem na rysunek patrzyła.

— Alboż ja wiem, czego chcę naprawdę? — szepnęła, głowę na piersi pochylając. — Chcę ciszy i gwaru, takiej chatki leśnej i pięknego pałacu miejskiego, szmeru strumyka i orkiestry balowej... chcę — dokończyła z nerwowem, niecierpliwem poruszeniem — chcę wszystkiego, czego nie mam, a nie chcę niczego z tego, co mam.

— Ani nas, którzy tu wkoło pani jesteśmy? — żałośnie zapytał pan Fabian.

Lila podała mu rękę.

— Pan wiesz, — rzekła z nieudaną serdecznością — że uważam pana za najlepszego przyjaciela mego.

— Będę nim do grobu! — z rycerskim zapałem i łzami rozrzewnienia w oczach zawołał pięćdziesięcioletni romantyk.

Apolek grać przestał; Klemens Szyłło przysunął się do rozmawiających.

— Dyabelna nuda na wsi! — rzekł — nie prawdaż, pani? Możeby pan Łozowicz był łaskaw, dla rozweselenia nas tu wszystkich, zadeklamować cokolwiek.

— Nie umiem na pamięć żadnych rozweselających wierszy — z lekką urazą w głosie odrzekł zagadnięty.

— Niech pan zadeklamuje! — wymówiła Lila, opierając czoło na ręce.

Apolek, wzdychając, Klemens, uśmiechając się ironicznie nieco, Paweł Szyłło, wąsa kręcąc i w sposób żartobliwej zachęty na pana Fabiana mrugając, usiedli wkoło stołu w uważnych postawach.

W tej samej chwili wsunął się do pokoju Hryhory Oroszczenko, w szarej świtce swej, z kosmykiem włosów, »oseledec« naśladującym, a miarkując z fizyognomii obecnych, że się na coś uroczystego zanosi, pocichu przemknął przez pokój i usiadł w pobliżu leżącego na fortepianie teorbanu swego.

Pan Fabian usunął się nieco z krzesłem od stołu, skrzyżował ręce na piersi, wyprostował się i swemi blado-błękitnemi, mrużącemi się, miodowemi oczyma patrząc, jak w tęczę, w twarz Lili, z nadzwyczajnem wezbraniem zachwytu i melancholii zadeklamował:

O! jej życie piękne było,
Ach! takie piękne, jak ona!
W sercu jej z bólów korona,
A w jej twarzy szczęście lśniło!
I miała takie spojrzenia
I tak anielskie uśmiechy,
Że. . . . . .
. . . . . .

— A, jak Boga kocham! już też to jest rzecz nie do darowania, abyście państwo w tym dusznym pokoju siedzieli, kiedy pogoda taka piękna.

Słowa te, wymówione basowym, donośnym głosem we

drzwiach otwierających się, przerwały panu Fabianowi deklamacyę na punkcie jej najpatetyczniejszym.

Był to Konrad, który wszedł do salonu ze szpicrutą w ręku, w spencerze myśliwskiego kroju, w butach zabłoconych.

— Nie dziwię się już Lili — mówił dalej — bo wiadomo, że baby lubią zamykać się w pudełkach; ale pan Fabian, pan Klemens i pan Apolinary zrobiliby, jak Boga kocham, daleko lepiej, gdyby poszli zobaczyć, jak tam mój Białonogi popisuje się na linie. Wiesz co, Pawle! wiele koni miałem w życiu, ale takiego nigdy. Ognisty, jak sto dyabłów...

Mówił tak długo jeszcze, zamaszystym krokiem przechadzając się po pokoju i ślady swe znacząc na posadzce wilgocią, przyniesioną z łąki, na której codzienne harce swe odbywały ulubione jego rumaki.

Wkoło stołu przed kanapą grobowe zapanowało milczenie.

Lila niżej jeszcze głowę na dłoń pochyliła, a na ustach jej, lekko wydętych, malowała nię niechęć i wzgarda. Pan Fabian i Apolek patrzyli na nią wzrokiem takim, jakim wierni spoglądają na święte męczennice; Klemens coraz ironiczniej uśmiechał się, Paweł dowodzeniom głośnym pana domu kiwaniem głowy przytakiwał.

Nagle Oroszczenko, który na grupę tę spoglądał swemi filuternemi, południowemi oczyma, pochwycił teorban, brzęknął po strunach i szybkiem tempem zawiódł swawolną jakąś pieśń ukraińską.

— Otóż to tak zwykle bywa u nas! — westchnęła zcicha Lila do pana Fabiana.

— O! pani, jak ja tę samotność duchową pani rozumiem! — również cicho odszepnął mąż pani Adeli. — Niezgoda myśli i uczuć... ziemia i niebo... materya i ideał...

Apolek współczucie dla przedmiotu uwielbień swych objawiał tylko spojrzeniami, gniewem i wzgardą pałającemi, a w stronę pana domu ciskanemi; ale Klemens swobodniejszym był w wyrażeniu tego, co myślał.

Pochylił się ku uchu Lili i rzekł bardzo cicho:

— Gybym ja był na miejscu pani, wypędziłbym stąd poprostu pana Konrada za jego zabłocone buty i za to, że tak głośno krzyczy.

Lila, nie odpowiadając nic, uśmiechnęła się boleśnie i wzgardliwie zarazem, przyczem oczy jej stykały się często

z rzucanemi na nią ognistemi spojrzeniami młodzieniaszka Apolka.

Ukrainiec kończył piosenkę swą, z której Konrad śmiał się serdecznie, gdy przez drzwi przymknięte wyjrzała strojna głowa Brygisi, i rzuciła pomiędzy zebrane towarzystwo słowa:

— Goście jadą!

I wnet zniknęła.

Wszyscy, prócz Lili i Apolka, pobiegli do okien. Młodzieniec z czarnym wąsikiem tak wpatrzony był w swe bóstwo, że wątpić należało, czy zwiastowaną wiadomość nawet usłyszał, a twarz pani domu, jakkolwiek sama nie poruszyła się z miejsca, błysnęła nagle i drgnęła ożywieniem.

— Ciekawam, kto-by to mógł być! — zawołała, podnosząc głowę.

— Natręt jakiś! — mruknął Apolek.

— Ładny koczyk! — ozwał się u okna Fabian Łozowicz.

— W dyszlu kasztany tęgie, ale ten z prawej strony na orczyku z narowem, jak Boga kocham, z narowem, choć teraz nie znać tego — wykrzyknął Konrad.

— Uprząż co się nazywa, na koźle furman i lokaj — zauważył Oroszczenko.

— Ktoś *z szykiem!* — dokończył pan Klemens Szyłło.

— Mężczyzna, czy kobieta? — zapytała Lila.

— Mężczyzna! — chórem u okien odpowiedziano.

— Jakaś *figura,* panie! — rzekł Paweł. — Siedzi rozparty, jakby na stu koniach jechał! Ale fizyognomia nieznajoma i w okolicy nie widziana! Ktoś chyba zdaleka.

— Janek! — krzyknął Konrad, przechodząc szybko salę jadalną i otwierając drzwi od przedpokoju — hej, Janek! wyjdź na spotkanie tego pana!

Kozaczek kredensowy, Janek, zbiegał już ze schodów głównego balkonu, w parę zaś minut wpadł zdyszany do bawialnego saloniku, niosąc w ręku kartę wizytową.

— Daj! — z najwyższą już i nieukrywaną ciekawością zawołała Lila.

Kozaczek kartę podał.

Pani domu przeczytała głośno:

— Ildefons Porycki, agent główny »Domu pośrednictwa«.

— Ildefons! — zawołała — dziwny zbieg okoliczności! dziś właśnie myślałam, a nawet czytałam o pewnej osobie, imię to noszącej.

— Porycki! — z zamyśleniem mówił pan domu. — Gdzie ja to słyszałem? Niech jego!... przypomnieć sobie nie mogę...

— Słyszałeś pan pewno o Tadeuszu Poryckim — przypomniał pan Fabian. — Wielki to był człowiek, piękna dusza... Musi to być krewny jaki!... syn, wnuk może wielkiego męża tego...

— Wnuk wielkiego człowieka! — z iskrzącemi się oczyma powtórzyła Lila.

— Na Wołyniu są hrabiowie Poryccy — zauważył Oroszczenko — ja z Ukrainy, sąsiad tedy Wołynia. Wiem o Poryckich. Grafy to i pany całą gębą.

— Hrabia! — szepnęła Lila i dodała, patrząc na wizytową kartę:

— Ildefons! piękne imię!

Tytuł, umieszczony na bilecie, niczyjej tu nie zwrócił uwagi. Imię to i nazwisko gościa mnogie wywołało komentarze...

Kozaczek ozwał się:

— Ten pan pyta się, czy państwo jego przyjmują.

— Proś! proś! — zawołał zgodnie chór głosów.

Porycki wszedł do pokoju, we fraku i w jasnych rękawiczkach, z postawą wyprostowaną, z uśmiechem na ustach i kapeluszem w ręku.

Z za szkieł szafirowych obrzucił szybkiem spojrzeniem pokój i znajdujące się w nim osoby, a nie trudno mu było odgadnąć, że atmosfera miejsca tego była mu ze wszech miar przyjazną...

Salonik modnie i błyszcząco przybrany, to grono mężczyzn różnego wieku, bezczynnie zgromadzone dokoła młodej kobiety wystrojonej i ze skrzyżowanemi rękoma na kanapie siedzącej, przedstawiało z tem wszystkiem, co uderzyło go przedtem w Orchowie, sprzeczność najzupełniejszą.

— Zapewne gospodarza domu tego mam przyjemność witać? — rzekł do Konrada, postępującego ku niemu ze zmieszaniem, zwyczajnem ludziom, niecclującym towarzyską wprawą i ogładą, a niemy ukłon jego za twierdzącą biorąc odpowiedź, mówił dalej:

— Raczcie państwo przebaczyć, że tak bez ceremonii dom ich najeżdżam. Jestem w stronach tych obcy, nieznany, podróżny... Przejeżdżając, ujrzałem ten pałac piękny, tę oazę wśród pustyni stron tutejszych, i oprzeć się nie mogłem chęci zabrania znajomości z jej mieszkańcami.

Słowa te z ust jego wyszły płynnie, dźwięcznie, gładko i słodko.

— O, proszę pana! nam bardzo... bardzo... miło... przyjemnie!... — bąkał Konrad.

— Postawa wspaniała... fizyognomia rozumu pełna! — szepnął do Lili pan Fabian.

— Dystyngowany jakiś człowiek! — odszepnęła młoda kobieta.

Konrad, po pierwszej chwili zakłopotania, zdobył się na przytomność umysłu.

— Moja żona! — rzekł, prowadząc gościa ku kanapie.

Lila podniosła się lekko.

Promień słońca zaiskrzył się w kryształowych szpilkach, zdobiących nakształt korony krucze jej włosy. Gdy poruszeniem, pełnem wdzięku, uprzejmem, a jednak dumnem, skłaniała przed gościem głowę, nagły rumieniec ożywił bladość jej twarzy i powolną, przezroczystą falą podniósł się na czoło.

Porycki oddał ukłon głęboki, i na twarzy młodej kobiety zatrzymał spojrzenie długie, niepostrzeżone przez nikogo, prócz tej, dla której w hołdzie złożone było.

Usiedli znowu wszyscy dokoła stołu przed kanapą.

Łozowicz pierwszy do nowego gościa przemówił:

— Pan dobrodziej z dalekich stron do nas przybywa?

— Nie wiem prawdziwie, jak mam panu na pytanie jego odpowiedzieć — z uprzejmą swobodą odrzekł gość. — Przybywam ze stron różnych, albowiem w roku bieżącym odbywałem kilka z rzędu dalekich podróży.

— Kilka dalekich podróży w jednym roku!... — bąknął nieśmiało gospodarz domu, który czuł, że mówić mu coś wypadało.

— Tak, panie — skłaniając lekko głowę, odparł Porycki. — Panowie, jako właściciele dóbr ziemskich, przywykliście do spokojnego życia, do jednostajnych widoków i zajęć. Nie takim jest los nas, przemysłowców, którzy żyjemy o własnych siłach, i fortuny sami po świecie szukać sobie musimy. Jestem przemysłowcem; dom mój to świat szeroki, a drogi, wśród świata tego krzyżujące się, to rola, na której żnę i zasiewam. Dziś tu, jutro tam, a pojutrze gdzieindziej jeszcze, byle użytecznym stać się sobie i drugim, byle celów swych dościgać i idee swe popierać... oto egzystencya, nieznana panom, ale, wierzajcie mi, panowie, nie pozbawiona powabu i przyjemności.

— I owszem, — ozwała się dotąd milcząca pani domu —

zdaje mi się, że taka tylko egzystencya, pełna zmian, wrażeń i rozmaitości, prawdziwie powabną i przyjemną być może.

— Zależy to od gustu, niemniej przecie uszczęśliwionym się czuję, że pani bez niechęci i wzgardy zapatrujesz się na stan i zajęcia takich, jak ja, włóczęgów, którzy, nie mając szczęścia odziedziczyć po przodkach dóbr ziemskich, albo — tu Porycki głos swój zniżył nieco — dobra te bez własnej winy utraciwszy...

— A już to pan dobrodziej pewno do drugiej kategoryi należysz — przerwał mówiącemu Paweł Szyłło. — Tylko co właśnie przyjaciel mój, Hryhory Oroszczenko, dziwy opowiadał mi na ucho o bogactwie i wielkości dostojnej familii hrabiów Poryckich.

— Z Ukrainy jestem — rubasznie ozwał się Oroszczenko. — Poryckich znałem i widywałem. Grafy i pany...

Porycki słów tych słuchał w milczeniu, ze spuszczonemi powiekami i niedbałym uśmiechem na ustach.

— Pan dobrodziej zapewne krewnym jesteś naszego wielkiego Tadeusza? — zagadnął nareszcie Łozowicz.

— Tak, tak, — jakby z niechęcią i ociąganiem się odpowiedział gość — jest pokrewieństwo niejakie... mój dziad i Tadeusza ojciec byli...

— Rodzeni bracia? — z uszczęśliwieniem na twarzy dokończył pan Fabian — a więc pokrewieństwo bardzo blizkie.

Powstał z krzesła i rękę ku gościowi wyciągnął.

— Pozwól pan, abym uścisnął dłoń tak blizkiego krewnego jednego z wielkich mężów naszych...

Przykład był dany: Konrad, Paweł Szyłło, Oroszczenko, a potem Klemens, wszyscy zatem z wyjątkiem Apolka, który w kątku, za poręczą kanapy, ale najbliżej Lili siedział, przystępowali ku Poryckiemu i ręce mu podawali. On powstał żywo, kłaniał się na wsze strony i, z rodzajem skromnego zakłopotania, mówił:

— Dziękuję... pokornie dziękuję... prawdziwie, zawstydzacie mnie panowie... nie zasłużyłem...

W oczach Łozowicza kręciła się już łza; na białą twarz Lili, która nieruchomo przypatrywała się tej scenie, wybił się lekki rumieniec ożywienia. Było to coś niezwykłego, a wszelka niezwykłość wywierała na umysł jej wpływ szybki i wzruszający. Ale i w żyłach Konrada płynęła krew, nie woda. I w nim wszelkie sceny niezwykłe, a zbiorowe, animusz budziły.

Pozbył się dotychczasowego zakłopotania swego i raźnie zawołał:

— Ależ to, jak Boga kocham, pan hrabią jesteś! Dlaczego pan tytułu tego na bilecie swoim nie wydrukowałeś? Ja, żebym był hrabią, to-bym sto razy, nie raz, wydrukować kazał, bo choć to głupstwo, ale...

— Skromność, chwalebna skromność pana Poryckiego dobrodzieja! — ozwał się Paweł Szyłło.

— Nie, panie, — zaprzeczył gość — nie skromność wzbrania mi używać tytułu tego, ale przekonania moje, idee nowożytne, które równają stany wszelkie, zacierają do szczętu średniowieczne błyskotki i przywileje...

— Najpiękniejszem szlachectwem jest szlachectwo duszy — patetycznie wyrzekł pan Fabian.

Porycki skłonił mu się głęboko.

— Prawdziwie uszczęśliwiony jestem, widząc, że postępowe idee i tu już zawitały, a w panach stronników i wyznawców mają. My, przemysłowcy, nie przykuci do jednego kawałka ziemi, idee te czerpiemy z szerokiego świata i rozwozimy je po drogach, na które rzucają nas praca i los.

Ile razy Porycki w rozmowie swej wymówił: »ja przemysłowiec, my przemysłowcy«, tyle razy Lila ze zdwojoną ciekawością oczy na twarz jego podnosiła.

Zawód, wyrazem tym określony, był jej z imienia tylko i bardzo mglisto znany, ludzi, zawodowi temu oddających się, nie widywała nigdy w swem życiu. Była to więc nowość, a nowość jakakolwiek, przez to samo tylko, że była nowością, miała moc wstrząsania znudzonym, mnóstwa rzeczy nieświadomym umysłem jej i nerwami, wrażeń spragnionymi.

— W jakich krajach podróżowałeś pan? — zapytała gospodyni domu.

Porycki opowiadać zaczął o licznych swych podróżach. Pomimo językowych usterek, których dopuszczał się dość często, i na które zresztą nikt tu szczególnej nie zwracał uwagi, mówił on płynnie bardzo, używać umiał wytwornych, a niekiedy dowcipnych, w ożywiony i malowniczy sposób opisywał strony, które w różnych okolicznościach awanturniczego życia swego wszerz i wzdłuż zwiedzał.

Pobieżnie i najkrócej opowiadał o Niemczech, przyczem dość zręcznie żartował z Niemek, robiących wiecznie pończochy i ubierających się bez smaku, tak wysoko ukształconego w *naszych paniach* (tu skłonił głowę przed Lilą), a także nie omiesz-

kał rzucić kilku słów szyderczych i niechętnych o zaborczym duchu germańskiego plemienia, o nieprzyjaźni, które ono żywi względem Słowian i t. d.

Nierównie jednak dłużej zatrzymał się na krajach mniej ogólnie znanych, odznaczających się wyraźniejszem piętnem oryginalności rasy i urządzeń. Opowiadał chwilę o żyznych i szerokich równinach Besarabii, zachwycał się skalistą przyrodą Kaukazu i niezrównaną pięknością Czerkiesek, wspomniał nawiasowo o olbrzymich lasach i dzikich wąwozach Wołoszczyzny, zatrzymał się chwilę nad modrym Dunajem, wjechał do Węgier, gdzie spotkał się z Kossutem, z wypadkami 1848 roku, z Honwedami, Słowakami, z czardaszem i malowniczym strojem czarnookich Węgierek.

Towarzystwo, zebrane wkoło stołu, słuchało go z wytężoną uwagą i niezmiernem zaciekawieniem, kiedy niekiedy tylko wydając głośne wykrzykniki, lub ciche bardzo czyniąc komentarze...

— Ach! jak tam pięknie być musi! jakie to ciekawe! jakbym ja tam być pragnęła! — wołała co chwila gospodyni domu, której oczy rzucały błyskawice na twarz opowiadającego.

Dalekość, osobliwość, miały dla niej powab romantyczny, a nieprzezwyciężony. Jak wszystkim tym, których życie puste jest i jałowe, których sercu niedostaje uczuć gruntownych, oczom celu trwałego, głowie woli mocnej, zdawało się jej, że wszystkie miejsca świata piękne są, czarujące, szczęścia i świetności pełne, prócz tych, które znała już sama, wśród których przebywała.

Po wielu latach upłynionych, córka pani Leontyny była jeszcze pod pewnymi względami takiem samem dzieckiem, jak wtedy, gdy, czytając o wyjeździe przyjaciółki na Wołyń, wołała:

— »O jak-bym ja tam chętnie pojechała! to tak daleko!«

— Jaka elokwencya, panie! hoho! — szepnął na ucho panu Fabianowi Paweł Szyłło.

— A jakie wykształcenie! jaka erudycya! — odszepnął Łozowicz.

— Znać zaraz pana z panów — mruknął pod wąsem Oroszczenko.

— Ildefons złotousty! — ze zjadliwym przekąsem szepnął do Lili, nierad wymownemu gościowi, młodziutki Apolek.

— Proszę bardzo nie żartować z imienia tego! — ze zmarszcz-

kami na czole i równie cicho odpowiedziała młoda kobieta. — Prześliczne imię!

— Szczęśliwy! — westchnął muzykalny potomek pana Fabiana.

Jeden tylko Klemens Szyłło nie mówił nic, a nawet i opowiadań gościa z mniejszą, niż inni, słuchał uwagą. Obracał zato w ręku bilet wizytowy Poryckiego i wlepiał oczy w wydrukowany na nim tytuł. Raz tylko schylił się do ucha ciotecznego brata i rzekł:

— Noszony to ptaszek, ten jegomość! Spekulant i stosunki widać ma... Będę go prosił, żeby mi powierzył jakie interesa.

W chwili najbardziej zajmującego opowiadania gościa z za drzwi przymkniętych dał się słyszeć brzęk kluczy i wyjrzała głowa Brygisi.

— Panie! proszę pana! — półgłosem zawołała służąca, na pana domu patrząc.

* * *

Konrad wstał i zcicha, nieznacznie, aby rozmów toczących się nie przerywać, wysunął się z pokoju.

Po chwili, w przeciwnej stronie domu, tam, gdzie były pokoje służących, garderoba i śpiżarnia, toczyły się rozprawy żwawsze jeszcze i innego wcale rodzaju, niż te, które brzmiały w salonie śmiechem i podniesionymi głosami.

Brygisia, stojąc na środku garderoby, łamała ręce ze zniechęceniem, blizkiem rozpaczy; przy drzwiach, nad stosem rzuconych na ziemię rondli, stał kucharz z miną napół zakłopotaną, napół szyderską; po pokoju zaś szerokimi krokami chodził pan domu.

— Nie dają? — zawołał po raz dziesiąty już. — Nie dają? gałgany! głupcy! Ja ich nauczę! ja im pokażę!

— Ale tymczasem, zanim pan ich nauczy, obiadu nie będzie — zawołała zarumieniona od zgryzoty i gniewu klucznica. — Ani mięsa! ani jaj! ani wina! codzienny jaki taki obiad możnaby jeszcze skleić, ale tu dziś gość jakiś przyjechał... przyjąć go byle czem nie można...

— Nie można! — powtórzył Konrad — ale co robić? Czy pytałaś się, Brygisiu, pani, co robić?

— Pani mówiła, żeby panu powiedzieć.

Konrad schwycił się rękoma za głowę.

Nagle, jakby mu myśl zbawcza do głowy przyszła, zawołał do kucharza:

— Idź po Efroima! a żywo!

— Wiedziałam, że na tem się skończy — mruknęła Brygisia, ze stukiem otwierając napół pustą śpiżarnianą szafę — nie pierwszy to raz i nie dziesiąty, Efroim sprowadzi nam z miasteczka wszystkiego, czego potrzeba. Coby to było, gdyby tego Żyda tu zabrakło?

Kilka minut nie upłynęło, a wysoki, barczysty Efroim stanął w garderobie przed obliczem dziedzica i oddał mu, zwykły, sobie, szybki, a nizki ukłon.

W kwadrans potem kilku posłańców konnych rozleciało się ze dworu w kierunku sąsiedniego miasteczka i wsi poblizkich.

Zakulisowe te stosunki i tarapaty znacznie dnia tego opuźniły obiad w Ręczynie. Słońce zachodziło, a w sali jadalnej nie objawiał się ruch żaden.

Lila, jakkolwiek gospodarstwu domowemu najzupełniej obca, znała zbyt dobrze zwyczaje najprostszej gościnności, aby jej ta uparcie trwająca zwłoka razić i zawstydzić nie miała. Po kilka razy wysyłała zcicha Klemensa, Apolka i Oroszczenkę, z rozkazami do Brygisi i innych służących o jak najprędsze podanie obiadu.

Podjął się nakoniec misyi tej Fabian Łozowicz, a gdy wrócił, Lila, ściskając mu nieznacznie dłoń na podziękowanie, szepnęła:

— Widzi pan, jakie jest życie moje! nie mogę nawet gości swych, jak należy, przyjąć!

Przy tych słowach wzrok jej, z wyrazem niechęci i rozgniewania, spoczął na twarzy męża, który, od zajścia owego w garderobie, zmarkotniał znacznie i, siedząc na stronie, a do rozmowy nie mieszając się, w myślach przykrych zatonął. W poruszeniach Lili, w rumieńcach, które ognisto wybiły się na jej twarz, znać było gniew, niecierpliwość, zmieszanie; ukrywała jednak starannie uczucia te i, pragnąc ożywioną rozmową pokryć i zrównoważyć niejako niedostatki przyjęcia, mówiła wiele, a zwracała się wciąż do gościa, który uradowanym, wesołym, oczarowanym wydawał się, lub może i był istotnie. Gdy nareszcie o zmroku już oznajmiono podany obiad, Porycki, z gestem pełnym galanteryi zręcznej i bez zarzutu, podał ramię gospodyni domu, a prowadząc ją przez obszerne i liczne pokoje, rzekł z odcieniem powstrzymywanego uniesienia w głosie:

— Zdumiony jestem i uszczęśliwiony prawdziwie tem, że, podróżując w suchych, a po części i przykrych interesach, przepędzam tu chwile, które do najprzyjemniejszych w życiu swem zaliczyć mogę.

— Niech pan będzie pewny — z półuśmiechem odparła kobieta — że w naszem samotnem i nudnem życiu dzień, podobny dzisiejszemu, zdarza się bardzo rzadko.

— Pragnąłbym w to wierzyć — szepnął gość.

Blask wielkiej lampy, zwieszonej od sufitu, oblał kibić i głowę Lili, gdy, opuściwszy ramię przewodnika swego, stanęła przy swem krześle.

Oczy jej płonęły i jaśniały, jak dwa czarne dyamenty; bladoróżowe, delikatne rumieńce podnosiły białość twarzy, rzucając na nią zarazem odblask gorejącego życia. Głowa i popiersie jej od błysku i migotań strojących ją klejnotów wydawały się osypane iskrami, a mnogie rzędy szkarłatnych korali kołysały się na jej piersi, poruszanej przyśpieszonym oddechem.

Ale i Porycki wyglądał teraz nieco inaczej, niż w hotelowym pokoju, gdy naradzał się z Elim, albo w surowej orchowskiej komnacie, gdy myślą i słowami toczył z Mieczysławem głuchą, zjadliwą walkę.

Nie był on młody i na pierwszy zaraz rzut oka można było dać mu lat najmniej czterdzieści; ale musiał być niegdyś bardzo pięknym mężczyzną, a teraz, ze względu tylko na kształty postaci i rysy twarzy, był jeszcze takim. W tej chwili sztywność jego zwykła, przypominająca mocno wyprostowanego w wojskowej mustrze urzędnika, zniknęła; żółtawość cery zmniejszyła się, wysokie i pięknie zarysowane czoło przyoblokło się wyrazem żywo rozbudzonej inteligencyi, i podnosiło się z dumą, na pozór szlachetności pełną. W nim także, pod wpływem tajemnej myśli, z jaką tu przybył, a może i niespodzianie doznanych wrażeń innej natury, poruszyły się i pełnem życiem drgnęły wszystkie struny humoru, dowcipu, zręczności i wymowy, zawartej w dźwiękach głosu, lub spojrzeniu oczu.

Po obiedzie, bardzo długo trwającym, bo sporządzonym na prędce, więc nieporządnie podawanym, towarzystwo przeszło znowu do salonu.

Tym razem Klemens Szyłło nastręczył przedmiot do rozmowy.

— Proszę pana — rzekł, zwracając się do gościa — niech pan będzie łaskaw oświeci nas dokładnie i szczegółowo o tym »Domu pośrednictwa«, którego, jak z biletu pańskiego widać,

jesteś pan głównym agentem. My tu coś wiemy o tem, ale bardzo mało.

— Z największą przyjemnością uczynię zadość życzeniom pana — odparł Porycki.

I z postawą pełną powagi, lecz z uprzejmym uśmiechem na twarzy, począł opowiadać, jak, dlaczego i przez kogo założone zostało stowarzyszenie, któremu służył i którego był członkiem. Powtórzył tu po wielekroć wyraz: idea, mówił o ekonomii politycznej, o korzyściach, jakie przynosi krajowi częste przechodzenie ziemi z rąk do rąk, o potrzebie pchnięcia szlacheckiego stanu na nowe tory, o kapitałach martwych i czynnych, o różnych skalach procentów i t. d.

— Co za erudycya! — uprzednie zdanie swe powtórzył Łozowicz, który jednak całej mowy gościa, napół ją tylko rozumiejąc, markotnie trochę słuchał.

Konrad wysilał się też widocznie, aby dobrze zrozumieć, o co chodziło, i jedną snadź tylko rzecz pojął dokładnie, bo ozwał się z rodzajem smutku:

— Wszystko to prawda, co pan mówi, ale wyrzekać się swego majątku, to, jak Boga kocham, rzecz niewesoła.

— Można mieć inny, piękniejszy — rzucił niedbale agent.

I ciągnął dalej rozprawę swą, której wszyscy obecni słuchali z oczyma, w twarz jego wlepionemi.

Apolek nawet, zły i zgryziony przez dzień cały, począł, słuchając, myśleć nad czemś głęboko i pokręcać drobnego wąsa tak, jakby błysnęła mu nagle nadzieja dni lepszych. Jedna tylko Lila słuchała z roztargnieniem, ze znudzeniem widocznem. Przedmiot rozmowy nie obchodził jej widać ani trochę, nie rozumiała go i rozumieć nie usiłowała. Ziewnęła skrycie parę razy, co spostrzegł Fabian Łozowicz, który często na nią spoglądał i, korzystając z przerwy, zaszłej w rozmowie, głosem pokornym i błagalnym prosił, aby raczyła zaśpiewać.

Po pewnem, dość krótkiem zresztą ociąganiu się, Lila usiadła przed fortepianem i, po wzięciu kilku przedwstępnych, bardzo minorowych akordów, zaśpiewała pieśń melancholii pełną. Głos jej nie posiadał skali rozległej, ale czysty był, miły, dobrze ukształcony i wyrobiony.

Przy pierwszych zaraz tonach instrumentu, młodziutki Apolek umieścił się w kątku naprzeciw grającej i oczu z niej nie spuszczał; Łozowicz, rozmawiający z Konradem i Pawłem, wpadać począł w roztargnienia ciągłe; ale Porycki, którego Klemens z nadzwyczajnem zajęciem o »Dom pośrednictwa« wciąż

się rozpytywał, wstał z krzesła i powoli, z uśmiechem, zbliżył się do fortepianu.

Zrazu stał chwilę za krzesłem Lili, potem usiadł na stojącym tuż obok taborecie, i dopóki śpiewu nie skończyła, siedział nieruchomo, z czołem na dłoni opartem.

— Dlaczego śpiewasz pani tak smutnie? — rzekł zcicha, gdy Lila, melancholijną pieśń swą odśpiewawszy, roztargnionymi palcami po klawiszach przebierać zaczęła.

— Alboż świat ten jest wesoły? — zaśmiała się kobieta.

Ale, gdy z ust jej srebrny śmiech wybiegał, pierś podniosła się westchnieniem i czarne oko zaświeciło boleśnie, prawie posępnie.

— Dla pani świat rajem być powinien.

— Dlaczego?

— Chociażby przez wdzięczność — uśmiechnął się Porycki — przez wdzięczność za to, że jesteś pani jedną z najcudowniejszych ozdób jego.

Lila silniej w klawisze uderzyła.

— Świat nie może dać tego, czego sam nie posiada.

— Czegoż on nie posiada?

— Szczęścia.

— Śmiem pani zaprzeczyć. Szczęście istnieje na ziemi, ale zdobyć je trzeba...

Lila, jakby sobie o czemś przypomniała nagle, dłoń od klawiszy oderwała i do czoła ją poniosła.

— O! tak — westchnęła — są na ziemi ludzie szczęśliwi. Wiem nawet o kobiecie jednej, która jest bardzo szczęśliwa, bo znalazła swój ideał! Była to moja nauczycielka i serdeczna przyjaciółka. Ale, ach! przypominam sobie... pan ją znasz może... wszak mówiłeś pan, że rodzinną stroną jego jest Wołyń... Moja przyjaciółka przed siedmiu laty wyjechała na Wołyń i tam prawdopodobnie za mąż poszła.

— Jak nazywa się przyjaciółka pani?

— Imię jej Julia, a nazwisko było Grejs, ale je zmieniła zapewne.

Gdy Lila wymawiała te wyrazy, ręka, na której gość czoło swe opierał, nagle w dół opadła, a oczy jego, za szafirowemi szkłami, zamigotały ostro i niespokojnie.

Przez chwilę milczał.

Ciemny jakiś, szybki, a jednak głęboki namysł schmurzył mu czoło.

— Julia Grejs! — wymówił nakoniec — nie znałem nigdy osoby z tem nazwiskiem.

— Szkoda! powiedziałby mi pan co o niej. Tak, pragnęłabym wiedzieć, czy spełniły się jej marzenia, czy w człowieku, którego kochała, znalazła rzeczywiście ideał upragniony!

— Któż to był ten człowiek? jak się nazywał? może go znałem kiedy?

Pytania te rzucone były śpiesznie, jakby w nieładzie cisnęły się na usta mówiącego.

Oczy jego błysnęły parę razy, w sposób niepokoju dowodzący.

— O, mój Boże! — westchnęła Lila — to bieda właśnie, że nie wiem zupełnie, kto był owym ukochanym mojej drogiej Julii.

— Jakto! nie znasz pani, ani imienia, ani nazwiska męża swej przyjaciółki?

— Nie wiem nawet, czy został on jej mężem... Wśród pośpiechu i wzruszenia, z jakiemi list do mnie pisała, zapomniała donieść mi o nazwisku swego narzeczonego... wiem tylko, że imię ma on... takie jak pan... Ildefons! Julia kochała go bardzo, każdy wyraz jej o nim objawiał najgorętsze, prawdziwie idealne uczucie!

Porycki patrzył w ziemię.

Trochę bolesny, trochę szyderski uśmiech przewinął mu się po milczących ustach.

Lila mówiła dalej:

— Siedm lat z górą upłynęło od owego listu, pełnego uniesień, szczęścia, poezyi! Odtąd przestałyśmy pisywać do siebie... ja nie wiedziałam nowego jej adresu, ona zaś... zapomniała widać o mnie...

Westchnęła.

Gość podniósł na nią spojrzenie długie i badawcze.

— Przebacz pani, że jej zaprzeczę — rzekł. — Przyjaciółka pani nie mogła o niej zapomnieć!

— A jednak... — przerwała Lila.

— Nie mogła, — powtórzył Porycki — bo ktokolwiek miał szczęście, raz choćby, ujrzeć panią, przed tego pamięcią obraz pani wiecznie stać musi.

Lila zaśmiała się zcicha i znowu lekko w klawisze uderzyła.

— O! — rzekła — zapewne to z szerokiego świata tego,

na którym przebywasz pan zwykle, przywiozłeś do naszego zakątka wszystkie te piękne słowa!

— Nie, pani, — z mocą odparł gość — słowa swoje czerpię zazwyczaj wprost z serca i z myśli, a z szerokiego świata, o którym pani mówisz, wywożę nie dźwięki, lecz idee.

— Jakież są to idee?

— O jednej z nich miałem zaszczyt rozmawiać przed chwilą z panią.

— Nie przypominam sobie. Jakże się idea ta nazywa?

Porycki głęboko spojrzał w zwróconą ku sobie twarz młodej kobiety i zwolna wyrzekł:

— Nazywa się ona — szczęście!

W tej chwili za rozmawiającą parą ozwał się głos pana Fabiana:

— Słyszę, iż państwo rozmawiacie o szczęściu. Bajka to stara, jak ludzkość, i na zawsze pozostanie bajką. Ziemia nasza jest padołem smutku i płaczu, a jak powiedział poeta: »tyle życia, co jest w pieśni, tyle szczęścia, co człek prześni«.

— Przepraszam pana, — rzekł Porycki z podniesioną głową i lekkim uśmiechem na ustach — ja nie o sennem, ani o śpiewającem szczęściu mówiłem. Jest na ziemi szczęście istotne, realne, pełne życia, krwi i ognia...

— Gdzież je znaleźć można? — chórem wykrzyknęli Łozowicz, Konrad, Apolek i Klemens, wkoło fortepianu zgrupowani.

— Zdobyć je trzeba! — z mocą i pewnością siebie rzekł gość.

— Rozumiem myśl pańską — zawołał pan Fabian — szlachetna, poetyczna myśl! Jedynem szczęściem na ziemi jest to, które zdobywamy sobie poświęceniem, zaparciem się, dobrymi uczynkami...

Po ustach Poryckiego przeleciał szyderski, szybki, jak błyskawica, uśmiech.

Oczy jego tkwiły nieustannie w twarzy Lili, schylonej nieco, rozpromienionej i zarazem zadumanej.

— Nie o takich orężach — zaczął — mówi nam nowożytna idea, nauczająca sztuki zdobywania szczęścia. Ażeby być szczęśliwym, potrzeba przedewszystkiem być wolnym. Być wolnym nie można inaczej, jak otrząsnąwszy się z kajdan, które nakładają na nas przestarzałe pojęcia, przesądy, próżne skrupuły średniowiecznej kazuistyki. Jesteśmy po większej części dorosłemi, lub staremi dziećmi, co to, pragnąc dostać się do zaczarowanego pałacu, lękają się strachów, które na straży jego po-

stawiono, a które noszą najrozmaitsze imiona: porządku społecznego, tradycyi, opinii i t. d. Jeżeli ktokolwiek ma dosyć dojrzałości umysłu, aby wiedzieć dobrze, czego pragnie i czego mu potrzeba do szczęścia, dosyć mocy, aby zerwać kajdany swe, dosyć odwagi, aby śmiało spojrzeć w oczy wszelkiego rodzaju strachom i nie zlęknąć się ich, ten dojdzie z pewnością do celu swego, ten zdobędzie szczęście!

Mowy tej wszyscy, prócz Lili, która pochylała wciąż zadumaną swą głowę, słuchali z oczyma szeroko otwartemi i w twarz gościa, jak w tęczę, wlepionemi.

— Pi! jaki filozof — szepnął panu Fabianowi Paweł Szyłło.

Ale pan Fabian markotnie jakoś słuchał wygłaszanej teoryi.

— Jednakże — ozwał się nieśmiało — nie wiem, doprawdy, czy z pewnością powiedzieć można, że porządek społeczny, tradycya, opinia są niczem więcej, jak tylko strachami, wystawionymi dla odstręczania od szczęścia dorosłych dzieci. Mnie-by się zdawało, że w każdem ze słów tych mieści się... mieści... ideał, wyrobiony wiekami... Może jednak mylę się... chciałbym bardzo, abyś nam pan był łaskaw powiedzieć, z jakiego mianowicie punktu zapatrujesz się na te rzeczy...

Na te słowa Lila podniosła głowę i wzrokiem, pełnym ciekawości i niepokoju, objęła twarz gościa.

— »Odpowiedz! — wołały oczy jej niecierpliwie — odpowiedz!«

Ale Porycki powstał z krzesła i, śmiejąc się lekko, rzekł:

— Widzę, że państwo chcecie, abym teoryę moją wyłożył im obszernie i do gruntu. Ja przecież nie uczynię tego, z obawy, aby zbyt długą rozprawą nie znudzić i nie utrudzić towarzystwa. Rzucić słowo, myśl, iskrę, a potem umilknąć i oddalić się, pozwolić słuchaczom, aby zagadnienie, postawione we własnych głowach, rozwiązali, aby pieśń zaczętą we własnych duszach dośpiewali — oto, co uczynić powinien każdy, kto, jak ja, pragnąłby towarzystwu, wśród którego spędził chwilę szczęśliwą, miłe pozostawić wspomnienie. Powiedziałem państwu, że szczęście istnieje na ziemi, że na straży jego stoją strachy, podobne tym, których rolnicy używają na odpędzanie wróbli od swych zagonów, że strachy te zwyciężyć trzeba, aby wejść do pięknego gmachu szczęścia. Jak zaś nazywają się strachy te, kto je wystawił i dlaczego, jakimi orężami zwyciężyć je można? myślcie państwo nad tem już sami... mnie pora w drogę!

Przy ostatnich słowach oddał dokoła ukłon bardzo zręczny i sięgnął po kapelusz.

— Pan jedzie? — zawołała Lila.

Wykrzyk ten wydarł się z ust jej nagle i jakby mimowoli.

Konrad pośpieszył do gościa z prośbami, aby pozostał.

— Konie pańskie zmęczone — mówił. — Dziesięć mil jednego dnia ujechać, to dosyć...

— Pozostań pan, — nalegał Łozowicz — pomówimy jeszcze z panem obszerniej o tem szczęściu i o tych strachach, a potem mam nadzieję, że nie odmówisz pan zaproszeniu memu i pod mój skromny dach wstąpić zechcesz.

Porycki wahał się chwilę, opierał, dziękował i namyślał, ale oczyma szukał wciąż spojrzenia Lili, jakby od niej oczekiwał rozkazu.

Spojrzenie to podniosło się nakoniec ku niemu, smutne a wabne, wzruszone a proszące.

Porycki kapelusz na dawnem miejscu położył.

— Ach! — rzekł — dom to właśnie państwa nazwaćby można zaczarowanym pałacem szczęścia... Kto raz próg jego przestąpi, nieprędko potrafi z niego się wyrwać. Najmocniejszymi więzami są te, które wkłada na nas nagle zrodzona, niespodziewana, a tak długo już może, jak życie, trwać mająca sympatya!...

— Któż i cóż zaręczyć może za trwałość uczuć ludzkich?— zbliżając się ku kanapie, rzekła Lila.

— Serce młode i niezepsute — szepnął siedzący obok nich Apolek.

— Serce wypróbowane w ogniach różnych kolei życia, idące w parze z rozumem i wolą! — odpowiedział Porycki.

Lila, która patrzyła na niego, gdy to mówił, spuściła nagle wzrok przed jego spojrzeniem, takie ono było gorące a uporczywe, pełne żaru, namysłu i woli, wobec których uczuła się dziwnie słabą i nieśmiałą.

* * *

Rezydent łozowskiego dworu, a w tej chwili gość Ręczyckiego pałacu, Paweł Szyłło, blizkim był zmienienia stanu, w którym od kilkunastu lat się znajdował, i przejścia na eks-rezydenta.

Paweł Szyłło żenił się, i to z dziedziczką wcale niezłej folwarczyny, w blizkości Łozowej położonej. Dziedziczką tą była także rezydentka państwa Fabianostwa, owa panna Antonina Łojwiczówna, o czarnych, złośliwych oczkach, wiecznym bólu zębów i mowie szybkiej, której zgłoski zdawały się w ustach jej wyprawiać zaciekłe gonitwy i zjadać jedna drugą.

Spełniły się gorące prośby, zanoszone przez biedną Antoninę do ołtarzyka, przybranego w muśliny, paciorki i pawie pióra.

Miała już ona teraz chatynkę własną. Była to chatynka, po starym stryju, sknerze wielkim otrzymana, więc zniszczona, waląca się, pusta prawie; ale przylegał do niej spory kawał pola dobrego, z odpowiednią ilością łąki i ładnym brzozowym gaikiem. Dziedzictwo to, jakkolwiek skromne, stało się dla biednej dziewczyny, podstarzałej w sieroctwie i upokorzeniach, szczęściem wielkiem, niespodzianem.

Nazajutrz zaraz po otrzymaniu wieści o niem odjęła od twarzy ochrończą, przybrudzoną zawsze, chusteczkę, i włożyła najlepszą swą czarną sukienkę, dar imieninowy pani Adeli. W stroju tym cera jej wydała się mniej żółtą, a figurka szczupłą i wcale zgrabną.

Pani Eustachia, która, od chwili dowiedzenia się o szczęściu nienawistnej współtowarzyszki, schudła znacznie i zapomniała o cerowaniu jedwabnych swych sukien, wyrzekła z przekąsem, iż patrzeć tylko, jak panna Antonina, posażna i odmłodzona, znajdzie sobie dozgonnego towarzysza.

Proroctwo to spełniło się niebawem.

Paweł Szyłło, którego i dawniej już ogólnie w Łozowej posądzano o pewną sympatyę dla młodszej z rezydentek, wciąż teraz przysiadywał się do niej; zakładając za uszy olbrzymie swe wąsy, trzymał przed nią moteczki nici i kłębuszki upuszczone podnosił, aż nakoniec bardzo uroczyście oświadczył się państwu Fabianostwu o jej rękę.

Antosia rozpłakała się z radości i wdzięczności, pani Eustachia aż się rozchorowała, na podwójne teraz szczęście patrząc, pan Fabian, ze łzami rozrzewnienia w oczach, błogosławił szkolnego kolegę i daleką swą krewną, a pani Adela poczęła grzebać się w swych kufrach i wyciągać z nich różne przedmioty, wyprawę długoletniej rezydentki składać mające. W kilka dni po oświadczynach zaręczona para pojechała oglądać nowe, wspólne już swe dziedzictwo.

Pusto tam było i nago: ani koła, ani woła, dziury w dachach i rudery wszędzie.

— Żeby tak mieć do tego kapitalik jaki, — rzekła narzeczona, której wraz z powodzeniem energii i praktycznego rozsądku przybyło wiele — toby to można wszystko jak cacko urządzić!

Paweł przypomniał sobie, że miał kapitalik spory na dobrach ręczyńskich i, po siedmiu leciech ponownego cierpliwego czekania, wybrał się znowu do Konrada z prośbą o zwrot swej własności.

Za dwa tygodnie ślub miał nastąpić, sprawa więc była pilna, bo do opuszczonego, pustego dworku trzeba było sprzęcików, bydełka, całego słowem małego zagospodarowania!

W Ręczynie siedział już od tygodnia przeszło, a niczego jeszcze pewnego o sprawie swej dowiedzieć się nie mógł.

Konrad przepraszał, ściskał, przyrzekał, na ciężkie czasy użalał się, co Pawła miękczyło niesłychanie, onieśmielało i do milczenia zmuszało.

Po prawdzie rzadko on pana domu widywał, bo gdy w bawialnym saloniku towarzystwo, z codziennych gości złożone, skupiało się wkoło siedzącej na kanapie Lili i czas pędziło na muzyce, deklamacyach i żartobliwych rozmowach, Konrad przebywał z masztalerzem swym i stangretami, albo długiemi godzinami przesiadywał w ustronnym pokoju z dzierżawcą Efroimem, z którym miał zawsze tysiące interesów i interesików, a który przyprowadzał też z sobą niekiedy, niby zastęp pomocniczy, miejscowych pachciarzy, arendarzy i faktorów. Wtedy pan domu leżał na sofie, z cygarem w ustach, albo zwykłym sobie zamaszystym krokiem, z rękoma za plecy założonemi, przechadzał się po pokoju, a Izraelici, stojący u drzwi, opowiadali mu różne różności o sąsiedzkich sprawach i sprawkach, o swych handlowych obrotach i t. p.

Nazajutrz przecież, po przybyciu do Ręczyna Poryckiego, Szyłło wstał bardzo wcześnie, z mocnem postanowieniem stanowczego rozmówienia się ze swym dłużnikiem.

Po ogrodowej alei przechadzał się Konrad. Wyjątkowym sposobem był on sam jeden, bez zwykłego towarzystwa masztalerza lub Żyda dzierżawcy. Chodził zamyślony bardzo, ze spuszczoną głową i zmarszczką na czole. W ogólności bywał on teraz często markotnym i stroskanym. Nie można było powiedzieć, aby rozumował on o stanie swych majątkowych interesów i o przyszłości, która go czeka, ale instynktowa troska o pierw-

sze i również instynktowy strach przed drugą, pogrążały go w długie i chmurne, acz bezowocne, rozmyślania.

Zamyślonemu człowiekowi zaszli z dwóch stron drogę Paweł i Klemens Szyłłowie.

Konrad obu im rękę bardzo serdecznie podał i długo tak chodzili po cienistej ogrodowej alei.

Widać było, że zrazu głos zabrał Paweł, poczem śmielej nierównie i natarczywiej przemawiał Klemens. Konrad stawał wśród drogi, rozmachiwał rozpacznie rękoma, chwytał się za głowę, jak człowiek, który przeprasza, wstydzi się, boleje, a spełnić żądań czyichś nie może.

W pół godziny potem obu Szyłłów nie było już w ogrodzie. Paweł, giestem pełnym zgryzoty pociągając długie swe wąsy, odszedł, bo ujrzał przez otwarte okno sali jadalnej dymiący się samowar; Klemens zaś spostrzegł wychodzącego na jeden z bocznych balkonów Poryckiego i z ukłonami do niego pośpieszył.

Konrad usiadł na ławce i, w zamyśleniu, cięższem jeszcze niż wprzódy, począł końcem nieodstępnej szpicruty kreślić na piasku różne esy i koła.

Nagle podniósł głowę, bo ujrzał spływający na ziemię cień wysokiej postaci ludzkiej, która stanęła przed nim.

Był to Efroim.

Konrad poskoczył z ławki ku temu, o którym mniemał, że raz jeszcze wybawcą jego będzie.

— Efroimku, — zawołał — wystaraj się ty dla mnie skądkolwiek ośmiu tysięcy rubli! Procent, jaki chcesz, dam! Jak Boga kocham, nie chybię ani o dzień jeden! Ale teraz oszaleję chyba, jeżeli pieniędzy tych nie dostanę! Ci ludzie spokojności mi nie dają i wiem zresztą dobrze, że im się należy, święcie należy, ale skądże im wezmę, kiedy nie mam?

— A ja skąd wezmę? — odparł Żyd, gładząc czarną swą brodę.

Nie złożył on tym razem Konradowi zwykłego ukłonu, a w twarzy i całej postawie jego było coś niezwykłego, coś, co Konrada tknęło przeczuciem niedobrem.

— Skąd ja wezmę? — powtórzył Żyd. — Ja wszystko, co miałem, już jasnemu panu dałem, a nikt inny nie da ani grosza. Ja tylko jeden taki głupi był, że pieniądzów tyle w Ręczyn wsadził: ale w dziurawe sito lać, to zła robota, bo woda wyleje się, a sito jak próżne, tak próżne!

Na zuchwałe te słowa Konrad osłupiał zrazu; zdziwiły go one i obraziły.

Przez chwilę zdawało się, że gniewem wybuchnie; ale postacie dwóch Szyłłów, w towarzystwie wielu innych jeszcze postaci, to samo złowrogie dlań znaczenie mających, w oczach mu stanęły i do pokory go zmuszały.

Oblał się gorącym rumieńcem.

Cierpiał naprawdę i silnie; pomimo to jednak, a może dlatego właśnie, w nowe prośby uderzył.

Efroim stał wyprostowany i sztywny, jak słup wiorstowy. Widać było po nim, że skończył już epokę elastycznych ukłonów i uprzejmych przysług. Gdyby ktokolwiek zapuścił teraz dłoń za klapę jego chałata, znalazłby tam wczorajszego wieczora odebrany przezeń list Elego, zawierający informacyę o przybyłym do Ręczyna panu i ścisłe przepisy postępowania z dziedzicem.

— Ny! na co jasnemu panu tych kłopotów i tych lamentów? — po długiej rozprawie rzekł Żyd. — Żebym ja był na jasnego pana miejscu, tobym prosił tego jegomościa, co wczoraj tu przyjechał, a un-by mi tak majątek sprzedał, że i kredytory odebraliby zaraz swoje, i jasny pan byłby jeszcze jaśniejszym panem, niż teraz.

Na słowa te Konrad żywo podniósł w smutku pochyloną głowę, szeroko rozwartemi oczyma w twarz Żyda spojrzał i, jakby go kto ukropem oblał, z ławki poskoczył.

— Co? — krzyknął — ja, ja miałbym Ręczyn sprzedać? Taki majątek i rodzinne miejsce moje! Jak Boga kocham, zwaryowałeś chyba, Efroimku! Czarny chleb będę jadł i siermięgę włożę, a tego nie zrobię nigdy!

Efroim uśmiechał się, a oczy jego z pod brwi krzaczystych szydersko błysnęły.

— A jasna pani czy także będzie czarny chleb jadła? — wyrzekł przeciągle.

Słowa te ostudziły zapał Konrada i pogłębiły zmarszczkę, rysującą się mu na czole. Usiadł znowu na ławce i milczał chwilę.

— Śmieszna myśl! — rzekł, wstrząsając głową, jakby z niej ciężar jaki chciał zrzucić! — Ja miałbym Ręczyn sprzedać? Nie! nic z tego nie będzie! Nikt mnie do tego nie zmusi!

— Ny, — rzekł Efroim obojętnie — kto ma zmuszać? Ja to tylko tak powiedziałem. Ale ot ten pan idzie tutaj, to ja pójdę

już sobie, bo mnie do stodoły trzeba. Ale niech jasny pan o obietnicy pamięta, co mi ją dał.

— O jakiej obietnicy?

— Że ja mam na Nowy Rok moich pięć tysiąców rublów odebrać. Mnie korzystny interes zdarza się, to ja tych pieniądzów koniecznie mieć muszę!

— W porę wybrałeś się... niechże cię!... — zaczął Konrad; ale, nie dokończywszy słów zaczętych, powstał szybko z ławki, aby spotkać idącego ku niemu gościa.

Efroim odszedł, nie tak jednak prędko, żeby nie módz zamienić z nadchodzącym znaczącego spojrzenia. Jakkolwiek ujrzeli się dziś po raz pierwszy w życiu, wiedzieli wzajem o sobie, kim byli i w jakich celach porozumiewać im się ze sobą wypadało.

Porycki zbliżał się wyświeżony, promieniejący z wyprostowaną postawą i z ręką, ku gospodarzowi domu wyciągniętą.

— Miłe sny miałem pod gościnnym dachem państwa — zaczął tonem, pełnym wesołej swobody.

Nagle jednak, jakby go coś szczególnego w twarzy pana domu uderzyło, ścisnął mu dłoń z przyjacielską serdecznością i, z wyrazem twarzy troskliwym a zasmuconym, zawołał:

— Spostrzegam, doprawdy, żem się z opowiadaniem o błogich marzeniach sennych nie w porę wybrał. Pan wydajesz mi się dziś smutnym, zasępionym, mizerniejszym, niż wczoraj. Jakże żałuję, że niedawna znajomość żadnych mi jeszcze praw nie udziela do zapytania o powód troski, na twarzy pana wyrytej!

Konrada słowa gościa i ton serdeczny, jakim je wymawiał, za serce ujęły.

— O! — rzekł, wzdychając — zgryziony jestem rzeczywiście; ale sekretu w tem żadnego niema. To nasze życie na wsi, to, jak Boga kocham, piekło czyste. Z kłopotów ani wyleźć, a tu majątek w dzierżawę puszczony za bezcen... Żydzi obdzierają i jeszcze naśmiewają się z nas potem...

Mówił to z płaczem nieledwie.

Słaba natura jego i umysł niedołężny gwałtownie w tej chwili powiernika i pociechy jakiejkolwiek potrzebowały.

Porycki fizyognomią wyraził głębokie, dobroduszne, zdziwienia pełne, współczucie.

— No proszę! — zawołał — ktoby się to spodziewał, patrząc na to prześliczne miejsce, na ten pałac, na ten ogród, do raju podobny, że się tu mieścić mogą jakiekolwiek troski i zmartwienia!

— Dyabelne zmartwienia! — wtrącił Konrad.

— Ale czyliżby tak trudno było im zaradzić?

Konradowi myśl jakaś ożywcza w głowie błysnęła. Wahał się chwilę z jej wypowiedzeniem, ale, zachęcony współczuciem, malującem się wciąż na twarzy gościa, rzekł proszącym i zarazem porywczym tonem:

— Ot, mam do pana prośbę. Pan interesami zajmujesz się... możebyś... możebyś pan był tak łaskaw wystarać mi się o pożyczkę... jakich ośmiu... dziesięciu tysięcy rubli...

Porycki zdawał się namyślać przez chwilę i czoło dłonią potarł.

— Bardzo, bardzo mię to boli, że żadnej przysługi oddać panu nie mogę... Interesami trudnię się w istocie, ale innej wcale natury... W stronach tych obcy jestem i kredytu mieć nie mogę. Zdaje mi się... zdaje mi się jednak, że pan nazbyt sobie do serca bierze kłopoty chwilowe, przemijające... Nie może być, aby tak piękne dziedzictwo środków jakich nie dostarczyło...

— Jakie tam środki! — sarknął Konrad. — Wyciśnięte, jak cytryna. Mamie do miasta posyłam, a posyłam pieniądze... żona też potrzebuje na ubranie i wyjazdy z domu...

— O ile wiem, pani posag znaczny miała... — poufnym tonem wtrącił gość.

Konrad ręką machnął.

— Na papierze. Kapitału ani tknąłem jeszcze, brat procenty tylko płaci...

— A więc — coraz poufalszy ton mowy przybierając, zauważył gość — możnaby braciszka prosić, aby oddał...

— A kiedy on sam nie ma. Tylko co z długów wylazł...

— Egzekwować sądownie! — ciszej, lecz z przyciskiem, doradził Porycki.

Konrad spojrzał na niego wielkiemi oczyma.

— Jakto egzekwować?

— Ot tak: majątek na sprzedaż wystawić, albo... albo przynajmniej zagrozić egzekucyą, to sam z wolnej ręki sprzeda i posag siostry odda.

Konrad patrzył na mówiącego, jakby słowa słyszane długo w umyśle swym ważyć musiał, zanim myśl ich dobrze wyrozumieć zdołał.

— Wystawić na sprzedaż Orchów?... — wymówił nakoniec zwolna — wypędzić z Orchowa Mieczysia?...

Wstrząsnął głową ze stanowczością wielką i rzekł:

— Nie, to niepodobna! Ja tego uczynić nie mogę. Mieczyś,

widzi pan, to mój krewny i mój rówieśnik... chowaliśmy się a potem po prawdzie i hulaliśmy trochę razem...

Brwi Poryckiego drgnęły i ścisnęły się lekko. Nie spodziewał się snadź odpowiedzi takiej. Wyobrażał sobie, że ma do czynienia z kimś pozbawionym zupełnie własnej rozwagi i woli; spostrzegł zaś, że w człowieku tym, słabym bardzo i nierozsądnym, brzmiała jednak struna serdeczna, którą zerwać będzie trudno.

— Ależ to z widoczną korzyścią samego pana Mieczysława... — próbował jeszcze nalegać.

Lecz Konrad powtórnie głową wstrząsnął.

— Ja tam nie wiem, co z jego korzyścią, a co nie, ale dokuczać mu nie chcę. Niech już ja sam jeden cierpię i biedę klepię... Żeby zresztą nie mama i nie Lila, tobym się jako tako wykierował; ale kobietom dyabelnie wiele potrzeba, a moja zasada już od dzieciństwa była taka, że matka to pierwsza w domu mym osoba.

— Niechże już matka — szepnął gość — ale brat, i do tego brat żony...

— Ja Mieczysława lubię — upierał się Konrad — on mój krewny i rówieśnik; a choć pogniewaliśmy się byli, bo on mi z Lilą żenić się przeszkadzał i mówił, że myśmy nie dla siebie stworzeni, to jednak ja teraz myślę sobie, że może on miał trochę racyi... i nie gniewam się na niego... i w biedę go za nic w świecie nie wprowadzę!...

Porycki zamilkł.

Oczy jego, w ziemię utkwione, wyrażały uczucie zawodu i zdziwienia.

Tu, gdzie spodziewał się znaleźć grunt do działania, ze wszelkich przeszkód oczyszczony, stanęły mu w drodze stosunki, związki, uczucia i skrupuły, ważną odgrywające rolę i, jak się zdawało, dość silnie ugruntowane w organizacyi tego nawet, moralnie i umysłowo upośledzonego, człowieka.

Niedługo jednak dumał, lekceważący uśmiech przemknął mu wnet po ustach; widoczne było, że pomyślał: »Mniejsza o ciebie, głupcze.

Zarazem zwrócił twarz w stronę, gdzie wśród ogrodowej zieleni bielała, w kolumnadę i balkony zdobna, ściana pałacu.

Na jednym z balkonów błysnęło, zaświeciło, zamigotało. Była to Lila, która, w długiej sukni liliowego koloru, ze srebrnemi i kryształowemi ozdobami u szyi, rąk, piersi i głowy, stanęła na balkonie.

Porycki wstał z ławki i skierował się ku pałacowi. Po drodze zerwał z klombu parę pysznych białych astrów i, zwolna wszedłszy po kręconych schodach, z kwiatami w ręku stanął obok Lili.

Twarz młodej kobiety jaśniała uśmiechem; Ildefons złożył jej ukłon głęboki i parę sekund dłużej, niżby może wypadało, rękę jej w swej dłoni zatrzymał. Potem, wsparci oboje o żelazną balustradę balkonu, rozmawiali zrazu głośno i śmiejąc się, potem ciszej trochę i ze wzruszeniem w spotykających się co chwila oczach.

Około południa Lila siedziała już na zwykłem swem miejscu, to jest na kanapie w bawialnym saloniku. We włosach jej, pomiędzy kryształowemi szpilkami, wpięty był jeden z białych astrów, zrana przez Ildefonsa zerwanych.

Konrad upatrzył chwilę, w której wyjątkowym sposobem grupa mężczyzn, skupiająca się zazwyczaj około kanapy, rozsiała się po pokojach, i usiadł obok żony.

— Lilciu, — rzekł — wiesz co? mam dziś z tobą do pomówienia.

— O czemże takiem? — z nietajonem lekceważeniem i nie patrząc na męża, zapytała kobieta.

— Chciałbym pomówić z tobą o interesach naszych. Dyabelnie złe być zaczynają!

Teraz Lila zwróciła na mówiącego oczy, gniewne trochę i z góry już znudzone.

— Mój Konradzie, — odparła — nie nudź mię, proszę!... Wiesz dobrze, że nie znam się na interesach i nic a nic nie rozumiem, a ile razy mówiłeś mi o nich, dostawałam zawsze migreny.

Konrad stęknął, wstał z krzesła, zamaszyście przeszedł parę pokojów, drzwi od przedpokoju zamknął za sobą z głośnym stukiem i poszedł ku stajniom.

Przeznaczenie człowieka tego było w istocie dość dziwne. Matka jego, przy wzmiance o majątkowych interesach, dostawała zwykle poziewania, żona migreny...

Po sali jadalnej tymczasem Porycki przechadzał się z Klemensem Szyłłą.

— Gdybyś pan dobrodziej — mówił syn Augustyna Szyłły — mógł i chciał powierzyć mi interes jaki, to byłbym panu bardzo wdzięczny...

— I owszem, — rzekł Porycki — nie będzie to, zdaje

mi się, rzeczą niemożliwą; tylko... czemże pan zajmujesz się stale?

— Stale... tak, prawdę mówiąc, nie zajmuję się niczem — zająknął się trochę młody Szyłło. — Widzi pan dobrodziej, ojciec mój był dawniej urzędnikiem, stracił posadę i zaczął panom obywatelom interesa prowadzić. Nie można jednak powiedzieć, żeby mu się dobrze wiodło. Panowie obywatele nieakuratni są... Ot i pan Ręczyc, naprzykład, i pan Łozowicz winni ojcu spore pieniądze; ale cóż robić, kiedy nie oddają?... Ja i brat mój kierowaliśmy się sami o własnych siłach... Brat mój jest kancelistą, nieetatowym ma się rozumieć; cierpliwy, jak wół, dziesięć lat już w biurze pracuje i dorobił się dwudziestu rubli na miesiąc. Ja tam już nie zdałem się do roboty takiej; mam, chwała Bogu, zdolności i gnić w biurze nie myślę. Stałe jednak zajęcie nie wydarzyło mi się dotąd żadne... Jestem, prawdę powiedziawszy, człowiekiem, jak to mówią, bez kondycyi: ale czy to ja jeden?... Żebyś pan dobrodziej wiedział, ilu nas jest takich, którzy rąk nie mają o co zaczepić.

— Proletaryat! — półgłosikiem rzekł Porycki — ofiary monopolu, który bogactwo ogólne w ręce jednej klasy oddaje... Tak to, panie Klemensie, — dodał głośniej — tak bywa na świecie: z jednej strony bogacze, z drugiej nędzarze; tu ludzie, którzy rodzą się już w dostatkach i honorach, a owdzie tacy, którzy, jak pan mówisz, kondycyi nawet żadnej dobić się nie mogą...

— Oj, to prawda! — westchnął Klemens. — Jużto sprawiedliwości na świecie niema! Dlaczegóżbym ja, proszę pana, nie mógł do bogactwa dojść tak, jak i kto inny? Ot nie zdarza się jakoś... Możeby pan był łaskaw dla mnie miejsce jakie naprzykład przy »Domu pośrednictwa« wyjednać...

Porycki myślał chwilę.

— Zobaczymy — rzekł. — Tymczasem dam panu na początek zlecenie jedno. Zrób pan tak, aby ojciec pański sumę, należną mu od pana Ręczyca, na imię pana przekazał. Nie znam ojca pańskiego, ale przypuszczam, że musi to być człowiek miękki i energicznie wziąć się do rzeczy nie zdolny, a tu trzeba...

— A tu trzeba — pochwycił Klemens, kiwając głową na znak zrozumienia, a rękami czyniąc gest taki, jakby miał coś i dusił w giarści — tu trzeba *przycisnąć*...

— Zrozumiałeś mię pan... — obojętnie wyrzekł agent główny.

— A kto, proszę pana, Ręczyn chce nabyć? — szeptem zagadnął człowiek bez kondycyi.

— Nie wiem jeszcze dobrze, jak to będzie; zdaje mi się jednak, że nabyć go chce graf K...

— Może pan będzie potrzebował posłać kogo do grafa? — z błyszczącemi oczyma zapytał młody Szyłło.

— Bardzo być może. Pomyślę o panu.

W tej chwili zbliżył się do rozmawiających syn pana Fabiana, Apolek.

Markotny wczoraj i gniewny na gościa, że go od przedmiotu uwielbień jego oddalał, dziś postanowił przecież zbliżyć się do niego, i to z miną wielkie ugrzecznienie objawiającą. Miał snadź ku temu ważne powody.

— Proszę pana — rzekł, kłaniając się lekko i muskając czarny wąsik — ja mam do pana prośbę...

Klemens odszedł.

— Słucham pana — rzekł Porycki bardzo uprzejmie.

— Mówiłeś pan wczoraj — ciągnął młodziutki syn Łozowicza — że »Dom pośrednictwa« ułatwia sprzedaże majątków, a pan stowarzyszenia tego jesteś członkiem i agentem. Otóż, czy nie mógłbyś pan wystarać się o kupca na majątek nasz Łozowę i namówić ojca mego, aby go sprzedał?

— Czy sprzedać ta byłaby panu pożądaną? — zapytał gość.

— Ależ i jak jeszcze! Niech-bo pan wyobrazi sobie, jakie ja życie zmuszony jestem prowadzić na wsi! Nuda, jednostajność i perspektywy na przyszłość żadnej! W przeszłym roku miałem jechać do konserwatoryum, aby kształcić się dalej w muzyce; ale ojciec pieniędzy nie miał, i znowu zostać w domu musiałem. W moim wieku, przy moim talencie, smutno doprawdy tak marnować się w zakącie. Gdyby ojciec sprzedał Łozowę, zamieszkalibyśmy w mieście jakiemś i zaraz wszystko byłoby inaczej.

— Chętnie postaram się o spełnienie życzeń pańskich — odpowiedział Porycki i przeszedł do salonu, w którym Lila, niecierpliwie oczekując jego zjawienia się, z roztargnieniem słuchała przewlekłej i poetycznemi cytatami naszpilkowanej mowy siedzącego przy niej Fabiana Łozowicza.

III.

Dzień jesienny miał się ku końcowi. Na ulicach miasta N. zapadł zmrok, połączony z wilgotną, chłodną rosą drobnego deszczu.

Chodnikiem jednej z ulic, powolnym i spokojnym krokiem, szedł Eli Makower.

Znajdował się on właśnie naprzeciw obszernego i dość pięknego hotelu, którego kilka okien rzęsistem jaśniało oświetleniem, gdy z hotelowych schodów zszedł szybko mężczyzna w wielkim płaszczu z peleryną i stanął naprzeciw przechodzącego Izraelity.

Pomimo zmroku, dwaj ci ludzie poznali się w okamgnieniu.

— Idziesz pan do mnie zapewne? — zapytał Elego Ildefons Porycki.

— A, tak — odparł Izraelita — szedłem do pana. Miałeś mi pan dziś dać wiadomość o wszystkiem. Ja na pana od południa czekał i doczekać się nie mógł...

— Ot, tak jakoś, cały dzień przesiedziałem u Ręczyców — z wahaniem się i pewnem jakby zawstydzeniem rzekł agent główny.

— Och, panowie! panowie! — kiwając głową, uśmiechnął się Eli. — Wszyscy wy tacy! Ot pan, naprzykład, niby na interesach zna się i interesami zajęty, a jak tylko gdzie trafi się przyjemność jakaś, to interes na bok przed nią idzie.

— Interes interesem, a przyjemność przyjemnością — odparł Porycki — w tem cała sztuka, żeby jedno łączyło się z drugiem i jedno drugiemu pomagało.

Eli spojrzał na oświetlone okna hotelowe.

— Czy Ręczycowie mieszkają tam, gdzie się tak świeci?

— A tak; mieszkamy w sąsiedztwie. Pokój, który zajmuję, znajduje się na jednym korytarzu z pokojami, które oni zajęli.

— Czy Ręczyc przyjdzie dziś do mnie? — zapytał przeciągle Eli.

— Naturalnie — krótko odparł Porycki.

— A ja dziś jeszcze jednego szczupaka złapałem — uśmiechnął się Izraelita.

— Któż to taki?

— Łozowicz.

— A! więc przyjechał?

— A co on miał robić? On musiał przyjechać, bo jego za nieopłacone podatki już opisali.

— Dobrze. Otrzymałem dziś właśnie listy od barona, grafa i radcy stanu.

— Nu, o co oni piszą? — pośpiesznie zapytał Żyd.

— Grafowi podoba się bardzo Ręczyn, a radcy Łozowa, ale baron nie chce i słuchać o innym majątku, jak Orchów, z Rydlówką i Białowolą...

— To kiepsko! — wymówił Eli.

Podobnie ordynaryjnych wyrażeń lub wykrzykników, żydowski szwargot przypominających, Eli używał teraz w chwilach takich tylko, w których ciekawy był bardzo, zniecierpliwiony, lub zakłopotany.

— Dlaczego? — zapytał agent główny.

— Rydlówka i Białowola będą... ale o Orchowie babka zawsze na dwoje wróży...

— Będzie ona wkrótce wróżyła inaczej — zjadliwie uśmiechnął się Porycki, i jakby mimowoli rzucił spojrzenie ku oświetlonym oknom mieszkania Lili i Konrada.

— Do zobaczenia, — dodał — do zobaczenia! O siódmej więc zejdziemy się wszyscy w twojem mieszkaniu.

Rzekłszy to, pożegnał wspólnika skinieniem głowy i szybkim krokiem zmierzać począł ku oświetlonym drzwiom szklanym miejscowej cukierni.

Dnia tego przegrał on żartobliwy jakiś zakład z Lilą i śpieszył po najpyszniejsze cukry, jakie tylko w N. znaleźć się mogły. Widocznie lubił on i umiał łączyć pożyteczne z przyjemnem. Z jednego źródła czerpał dobre szanse dla interesów swych i środki miłego przepędzenia czasu. Ale Elego nic nie przyzwyczaiło do wesołych i drażniących gier życia, do wrażeń, wstrząsających nerwami i gorących bujań wyobraźni. Zajęty więc jedynie interesami, obiecującymi mu znaczne zyski, ważąc w głowie różne interesów tych szanse i zwroty, szedł on prosto ku mieszkaniu swemu, w którem dziś spodziewał się przyjmować licznych gości.

Mieszkanie Elego znajdowało się w jednym z niewielkich drewnianych domków, które, jak bywa zwykle w dość dużych nawet litewskich miastach, przedzielają tu i owdzie wysokie i ozdobne kamienice ulic głównych.

Wchodziło się do niego od ulicy po kilku schodkach

i przez drzwi, do połowy oszklone, a z wewnątrz białą firanką przysłonione.

Z obu stron drzwi były w oknach dużych i czystych małe wystawy trunków i przekąsek, nade drzwiami zaś wisiała tablica, z napisem, ogłaszającym znajdowanie się w tem miejscu bilardu, win i wódek.

Pierwsza od wejścia izba, dość obszerna, oświetlona była lampą, u sufitu wiszącą. Pod jedną ze ścian jej znajdował się bufet, na którym stały butelki z trunkami, oraz talerze ze śledziami, serem i marynowaną rybą.

Za bufetem siedziała żona Elego, Chaja, wcale inaczej już teraz wyglądająca, niż wtedy, gdy na folwarcznym dziedzińcu Orchowa rozwieszała na sznurach własnoręcznie upraną bieliznę. Twarz jej, zwiędła podówczas i żółta, stała się rumianą i okrągłą, kibić nabrała tuszy imponującej, a ubranie składało się z sukni jaskrawego koloru, jedwabnej mantylki i czepca z wielką ponsową kokardą. Siedziała ona za bufetem, widocznie z obecnego położenia swego wielce zadowolona i dumna, z drutami w ręku, na których powoli i od niechcenia robiła pończochę.

W drugiej izbie był bilard i u sufitu paliła się także lampa. Dwie izby te, bufet i bilard zawierające, były miejscem, na którem działalność swą handlarską i gospodarską wyłącznie rozpościerała Chaja, odkąd mąż jej, przestając być wiejskim dzierżawcą, został agentem przemysłowego stowarzyszenia i zamieszkał w mieście.

Eli nie wtrącał się tu do spraw żony, ani pytał jej o zyski, które z handlu swego otrzymywała. Handel ten założył on na jej żądanie, a może też potrzebował go jako miejsca, do którego schodzili się ludzie różni, z którego pomocą zabierał znajomości i stosunki, które nakoniec służyło do zamaskowywania, do otaczania cieniem i milczeniem działań, dokonywających się w izbie trzeciej, tuż za bilardową położonej. Trzecia ta izba miała już pozór bawialni, małej ale czystej, w kanapę, fotele, lustro i dywan zaopatrzonej. Pod jedną ze ścian stał tam nawet dość staro i mizernie wyglądający fortepianik, pod drugą zaś znajdowała się żelazna ogniotrwała kasa.

Od lat trzech nikt w powiecie całym, a nawet w dwóch czy trzech pogranicznych powiatach, nie sprzedał i nie nabył własności ziemskiej, zanim kilku godzin, lub czasem i wieczorów, nie przepędził w tej bawialni Elego. Tu cicho, smutnie, z prośbą na ustach wsuwali się troskami zmęczeni, ciszą wiej-

ską znudzeni, własną lub nie własną winą zrujnowani i nędzy lękający się dziedzice dawni; tu z pieniędzmi lub bez pieniędzy, lecz z głośną zawsze mową i dumnie podniesioną głową, wchodzili kandydaci na dziedziców nowych.

Tu, za pośrednictwem Elego, poznawały się strony, dokonywały targi, rozstrzygały się losy i zmieniały drogi licznych rodzin, a niekiedy całych grup społecznych.

Eli Makower miejsce to nazywał, uśmiechając się, *stawem swoim*, a tych, którzy do niego przybywali, *szczupakami*. Nazwę ostatnią udzielał bezwzględnie obu stronom, z któremi do czynienia miewał, obie bowiem płaciły mu procenty znaczne, niekiedy ogromne, od sprzedanych lub nabytych wartości, procenty, których drobna zaledwie część przypadała »Domowi pośrednictwa«, a całość napełniała coraz obficiej stojącą u ściany żelazną szafę.

Wieczoru tego, w którym Eli spotkał się z Poryckim u hotelowych schodów, Chaja, z którą mąż zamienił, wchodząc, słów kilka, mniej jakoś uprzejmie, niż zazwyczaj, przyjmowała przychodzących do handlu jej gości, a lubo z poważnym pośpiechem przysługiwała się wszystkim wódką, piwem i przekąskami, to jednak gawędą i zaprosinami nie starała się na dłużej zatrzymywać nikogo, i nawet kilku gościom z ubolewaniem oświadczyła, że bilard zepsuł się i że nikt dzisiaj na nim grać nie może.

Bilardowa więc izba cichą była wieczoru tego i pustą, a słabo ją tylko oświetlał, przenikający przez drzwi blask lampy, w pierwszym pokoju zapalonej.

W bawialni zato na stole, przed kanapą umieszczonym i kwiecistą serwetą przykrytym, paliły się dwie świece w wysokich mosiężnych lichtarzach. Wkoło stołu, na kanapie i fotelach, siedziało pięciu mężczyzn: Konrad Ręczyc, Fabian Łozowicz, Augustyn Szyłło, Porycki i Makower.

Po chwilowem milczeniu, jakie pomiędzy nimi zapanowało, poznać można było, że rozprawy toczyły się tu już od dość dawna i do żadnego jeszcze stanowczego rezultatu nie doprowadziły.

— A to, doprawdy, zwaryować można od tych kłopotów— z giestem zniecierpliwienia zawołał Konrad. — Ja tu już, jak Boga kocham, własną głową nic zdecydować nie mogę! Co pan myślisz o tem wszystkiem, panie Szyłło? Co pan mi radzisz uczynić?

Prawnik, do którego słowa te zwrócone były, zmieszał

się widocznie, wzruszył lekko ramionami i, jąkając się, odpowiedział:

— Ja nie wiem... ja gotów jestem, w razie, jeśli pan zdecydujesz się na tę sprzedaż, dopilnować wykonania wszystkich prawnych formalności... ale radzić... cóż ja tu mogę radzić? pan sam najlepiej...

— Czy mówił już pan o interesie tym ze swoją mamą? — z cienia, w którym siedział, przerwał Eli.

— Nie mówiłem jeszcze.

— A więc — uśmiechnięty i ugrzeczniony, jak zawsze, zawołał Porycki — nic nie nagli przecie. Niech pan o tem z szanowną swą mamą pomówi. Któż bliższy, kto lepiej poradzić może, niż matka?

— Co do mnie, — zaczął zcicha Fabian Łozowicz — zdaje mi się, panie Szyłło, że... interesa moje... nie są... nie są tak...

Przerwało mu mowę poruszenie Elego, który obejrzał się na drzwi i pośpiesznie wstał z krzesła.

— Zdaje mi się, że ktoś jeszcze przybywa do naszej kompanii.

Wyraz zadowolenia błysnął na twarzy Poryckiego.

Eli opuścił bawialnię.

W istocie, drzwi od ulicy otworzyły się przed chwilą i na progu pierwszej izby stanął Kamil Orchowski.

— Czy tu mieszka Eli Makower? — zapytał.

— Tu, tu! — poznając dawnego współdziedzica Orchowa i śpiesznie podnosząc się z krzesła, odpowiedziała Chaja. — Niech jasny pan wejdzie! bardzo proszę! Oto gość! to będzie dla mego męża niespodzianka!

— Moje uszanowanie panu! — wymówił, zbliżając się, Eli. — Jak to dobrze, że pan przyszedł! U nas tu interesa, jak żelazo, kują się na gorąco. Ja dziś sam chciałem iść do pana.

— Albo-żeś pan wiedział, że przyjechałem do N.?

— Czemu ja nie miał wiedzieć? Ale niech pan będzie łaskaw do bawialnego pokoju!

Chaja, słysząc wzmiankę o bawialnym pokoju, uśmiechnęła się z niewymowną błogością i ze zdwojoną powagą na opuszczonem przez chwilę miejscu zasiadła.

Kamil udał się we wskazanym przez Elego kierunku.

Obecność kilku osób, które znalazł w bawialni, przykre na nim zrazu uczyniła wrażenie; po chwili jednak rozmarszczył czoło i podniósł wysoko głowę, jak gdyby nie chciał być posą-

dzonym o zmieszanie, lub jakikolwiek przymus. Obojętnie witał Konrada, Łozowicza i Augustyna Szyłłę, z Poryckim zaś kilku słowami zapoznał go Eli.

— Namyśliłem się, panie Makower, — rzekł, siadając, rzekł brat Mieczysława — i propozycyę, którąś mi pan uczynił, co do sprzedania Rydlówki baronowi von R., przyjmuję, jeżeli naturalnie panowie przyjmiecie wzajem warunki, które postawię i od których nie odstąpię. Wiecie panowie o tem dobrze, iż żadna przykra konieczność nie zmusza mię do pozbycia się mej własności; że, nie życząc sobie nigdy w podobnej znaleźć się konieczności, gospodarstwo w majątku swoim utrzymywałem porządnie i wzorowo, a naweł do pewnego stopnia podniosłem je i udoskonaliłem; że, lubiąc wygodę i piękne otoczenie, wybudowałem w Rydlówce dom ozdobny, założyłem piękny ogród kwiatowy, przyozdobiłem słowem dwór w sposób rozmaity; że zatem jestem w położeniu, nie zmuszającem mię do pośpiechu i nie nadającem się do ustępstw żadnych. Jeżeli warunki panów sprzyjać będą wyrachowaniom moim i obiecywać mi egzystencyę przyjemniejszą, niż ta, jaką mieć mogę, mieszkając w Rydlówce, to sprzedaży tej dokonam; w przeciwnym razie zostanę przy swojem.

Jakże rzadko mowy podobnej słuchały ściany bawialnego pokoju Elego!

Najczęściej, zawsze prawie, przybywał tu przymus gorzki, smutny, cichy i upokorzony.

Teraz zjawiło się w postaci Kamila wyrachowanie zimne, śmiałe i dumne.

Porycki słuchał mowy Kamila z pełnem szacunku i uwagi skłonieniem głowy; potem zabrał głos, a gdy mówił powoli, płynnie, słodko i przekonywająco, z wyrazu twarzy jego poznać można było, iż szacunek niezmyślony wcale, ale rzeczywisty i z sympatyą połączony, uczuwał dla człowieka, który wbrew wszystkim innym, widywanym tu przez niego ludziom, tak troskliwie dbał o wygodę swą i bezpieczeństwo swej przyszłości, który do sprawy, rzucającej innym gorycz w serca i zmarszczki na czoła, przystępował tak chłodno, dumnie i imponująco, bez cienia jakichkolwiek przesądów i skrupułów, bez żalu... za niczem.

Eli tymczasem usiadł pomiędzy Konradem a Łozowiczem i półgłosem do każdego z nich z kolei przemawiał.

Gdy tak sześciu tych ludzi wkoło stołu siedziało, z powierzchowności ich wyczytać można było położenie, w jakiem

znajdował się każdy z nich, każdego z nich chęci i wahania się, obawy i nadzieje, smutki i tajemne zadowolenia.

Konrad czoło miał zarysowane zmarszczkami zakłopotania i złego humoru, oczy pełne niepewności i niepokoju, usta otwarte nieco, jak bywa zwykle u ludzi, którzy niedobrze rozumieją, co się z nimi dzieje, i nic a nic nie wiedzą, co im czynić wypada.

Łozowicz siedział w kątku kanapy, z policzkami rozczerwienionymi, z postawą, jakby zalęknioną, a bardziej jeszcze zawstydzoną.

Kamil w wytwornym ubiorze swym, ze swą twarzą pulchną a bezbarwną, z białą, jak u kobiety, wypieszczoną ręką, złożoną na stole giestem niedbałym, pozostawał zawsze chłodny, ironiczny trochę, badawczy a niedostępny.

Augustyn Szyłło, milczący, posiwiały, przygarbiony, bierność i znękanie całą powierzchownością swą objawiający, siedział w cieniu i na uboczu; Porycki zato, środkowe miejsce kanapy zajmujący, z głową pod światło świec wychyloną, jaśniał wymową, promieniał pełnym uprzejmości uśmiechem, a z za szkieł szafirowych błyskał oczyma, w których osiadła rachuba, utajona, lecz chciwa.

W kilka minut po wejściu Kamila, otworzyły się znowu drzwi od ulicy, tym razem jednak głośno, ze stukiem, a w pierwszej izbie zjawili się dwaj młodzi ludzie. Starszy z nich, trzydziestoletni z wejrzenia, był Klemensem Szyłłą, drugi, młodszy znacznie, zgrabnej, wysokiej, bardzo szczupłej postaci, wyglądał najwyżej na lat 21. Twarz jego ściągłością rysów i śniadością cery przedstawiała typ izraelski, ale w bardzo pięknym swym przejawie; delikatną była, jakby wypieszczoną, otoczoną kręcącymi się, ciemnymi włosami, rozgrzaną dwojgiem żarzących się i niespokojnych oczu, przyozdobioną drobnym wąsikiem, ocieniającym usta bladawe, ale cienkie i kształtne.

Ubiór pięknego młodzieńca tego znamionował staranność wielką i wybredność, połączoną ze smakiem, niezupełnie jeszcze wykształconym. Miał on na sobie tużurek z bardzo cienkiego materyału, u szyi mocno barwisty krawat, na kamizelce złoty łańcuch od zegarka, brzęczący zbyteczną ilością breloków stalowych i pozłacanych.

W ręce, ociągniętej świeżą rękawiczką, trzymał czapeczkę, na znak spełnianego urzędu jakiegoś, otoczoną srebrnym galonkiem. Był to syn Elego i Chai, Abramek ów, przed laty z tylu nadziejami i kłopotami do szkół gimnazyalnych wysłany.

Na widok wchodzącego syna, Chaja wydała okrzyk radosny i twarz swą uśmiechem niebiańskiej błogości rozpromieniła. On skinął ku niej głową niedbale, mimochodem i, przeszedłszy izbę w całej długości, wraz z towarzyszem swym zasiadł za stołem niewielkim, białą serwetą przykrytym.

— Abramkie! libeczkie! może ty jeść chcesz? — z miejsca swego zapytała Chaja.

Izraelski młodzieniec zwrócił się ku matce z giestem niecierpliwości; wązka, ciemna brew jego gniewnie drgnęła.

— Wieviel mal — ozwał się nie szwargotem żydowskim bynajmniej, ale poprawną niemczyzną — wieviel mal prosiłem cię, mamo, żebyś mię Abramkiem nie nazywała! Albo ja jestem ciemnym jakimś i zabobonnym Żydem, żebym miał nosić imię waszego patryarchy, co to taki był głupi, że dla starej Sary młodą i piękną Agarę z namiotu swego wypędził?

— Abram... — chciała zawołać Chaja, ale, przypomniawszy sobie świeży zakaz syna, umilkła i tylko oczy szeroko otworzyła i ręce z z przerażeniem splotła.

Młody i, jak widać było, mocno emancypujący się Izraelita wybuchnął głośnym śmiechem, a zawtórował mu śmiech Klemensa.

— Kannst du, Mutter, den Namen »Gottlieb« nicht, aussprechen? — śmiejąc się wciąż, zapytał syn. — *A szejne nazwiskie!* — dodał, parodyując zwykłą, codzienną mowę Żydów.

— Może ty jeść chcesz, Gott... — zapytała znowu matka.

Ale przybrane imię syna nie mogło jej jakoś przejść przez usta.

Nie czekając tedy odpowiedzi, powstała, otworzyła szafę i, wyjąwszy z niej parę talerzy z rybą i śledziami, postawiła je przed synem i jego towarzyszem.

— Danke! — rzekł Abramek — i, podniósłszy rękę, poklepał nią matkę po ramieniu.

Pieszczota ta, aczkolwiek zbytecznie poufała i na lekceważenie zakrawająca, rozpromieniła znowu twarz Chai.

— Gottlieb! — rzekła, z widocznem wysileniem imię to wymawiając — a gdzie ty był tak długo, mein Bubchen? Ja ciebie od wczoraj nie widziała! Dlaczego ty do domu na noc nie przyszedł?

Abramek, przezywający się Gottliebem, szybkie spojrzenie zamienił z towarzyszem, matce zaś odrzekł:

— Ja dziś w biurze telegraficznem przez całą noc pracował. Wiesz, mamo, że kiedyś ty tu spała w twoich betach, ja

dwa tysiące depesz wysłał w różne strony świata.

— Aj, aj! — krzyknęła Chaja z podziwu wielkiego, i z dumą niewysłowioną na syna patrzyła.

— Ja dziś w nocy do Sułtana tureckiego depesze wysyłał! — ciągnął Abramek, patrząc wciąż na matkę swemi błyszczącemi, żartobliwemi oczyma.

— Aj, aj! — powtórzyła Chaja z większem jeszcze, niż wprzódy, zdumieniem i zachwyceniem.

Klemens dusił się od śmiechu.

— So! — w kształcie zakończenia wymówił syn Chai. — A teraz geh, mama, na swoje miejsce; my tu będziemy z panem Klemensem jeść i rozmawiać.

Posłuszna rozkazowi temu, Chaja odeszła, uśmiechając się wciąż z radością i dumą, i na palcach prawie stąpając, aby synowi, który »wyglądał jak lustro«, a do Sułtana tureckiego depesze wysyłał, w rozmowie z towarzyszem nie przeszkadzać.

Abramek z Klemensem jedli, popijali piwo i zcicha rozmawiali.

Młody Szyłło chwalił się snadź przed towarzyszem ze zleceń jakichś, które otrzymał od głównego agenta »Domu pośrednictwa«, i ze świetnych widoków, otwierających się przed nim wskutek tego nowozabranego stosunku, bo w szepcie jego nazwisko Poryckiego powtórzyło się kilka razy, a oczy Abramka świeciły gorączkowo, migotały niespokojnie a zazdrośnie.

— Za tydzień więc jedziesz do stolicy? — zawołał, gdy Klemens na chwilę mówić przestał.

— A tak, za tydzień.

Abramek jeść przestał, czoło na dłoni oparł i ze wzrokiem, wbitym w ziemię, zamyślił się nad czemś głęboko.

Po zsuniętych brwiach jego i linii warg cienkich, które wykrzywiły się nieco, poznać można było, że zaduma jego pełną była gorzkich niecierpliwości jakichś, głuchych niechęci i gniewów.

Z bawialni tymczasem dochodziły do pierwszej izby zmieszane odgłosy rozmów bardzo ożywionych; wyróżniały się pomiędzy innymi głosami dźwięczny a przekonywający głos Poryckiego i porywczy sposób mówienia Konrada.

Po chwili jednak dwa głosy te zniżać się poczęły, w szept jakby przechodząc.

Rzeczywiście, agent główny i mąż Lili usunęli się nieco od reszty towarzystwa i, wsparci obaj o wytarty fortepianik, półgłosem zamieniali ze sobą następujące wyrazy:

— Mam nadzieję, — mówił Porycki — że pan wierzysz w żywą życzliwość, którą powziąłem ku niemu od pierwszego wejrzenia.

Konrad wyciągnął rękę do uścisku.

— Jak Boga kocham! — odrzekł — nie wiem dlaczego, ale i ja pana z całego serca pokochałem...

— A więc posłuchaj pan mojej rady! Egzekwuj sądownie oblig żony u jej brata...

Konrad myślał chwilę ze spuszczoną głową.

— Nie! — odparł — trudno... widzieć się z Mieczysiem mogę i poprosić go, żeby oddał, jeżeli może... ale dusić go... On, widzi pan, mój krewny i rówieśnik...

Przytaczałby dalej argumenty, których już raz w podobnej użył rozmowie, ale przerwał mu Porycki.

— A więc pomów pan z szanowną matką swą o sprzedaży majątku.

— Pójdę zaraz do mamy — zgodził się Konrad i sięgnął po czapkę.

W tej samej chwili Łozowicz, skurczony, zbiedzony, zaledwie, że nie rozpłakany i co chwila pogładzający dłonią łysinę, w innej stronie pokoju brał za czapkę.

— Co będzie? — półgłosem mówił Eli, trzymający w ręku arkusz zapisanego papieru. — Niech pan tylko popatrzy na ten papier i posłucha tego, co on gada. Jeżeli pan zostanie w Łozowej, to za rok będzie zero; a jeżeli pan teraz Łozowę sprzeda, ot jaka cyfra panu do kieszeni wpadnie...

Biedny marzyciel dalekim był w tej chwili od zastanawiania się nad cyframi; przed wzrokiem jego stały śliczne gaiki, malownicze łączki i wzgórza, kwieciste klomby i stare drzewa Łozowej.

Stała mu też przed oczyma spłakana od serdecznego żalu twarz pani Adeli, a tuż koło niej widział brykę jakąś wielką, która siedmioro dzieci jego uwoziła z cichego rodzinnego kąta na drogi kręte i nieznane, w świat szeroki i zimny.

Stał z czapką w ręku i z głową na pierś zwieszoną długo. Westchnął potem z całej piersi i rzekł:

— Naradzę się z żoną i synem.

— To, to, to! — potwierdził Eli — niech pan naradzi się... szczególniej z synem; tylko ja panu powiedzieć muszę, że mnie pieniędzy moich na Nowy Rok koniecznie potrzeba.

W parę minut po tych rozmowach, Kamil, z twarzą roz-

pogodzoną i zadowolenia pełną, pierwszy opuszczał bawialnię Elego.

Eli szedł za nim.

W chwili, gdy obaj ludzie ci przechodzili przez napół ciemny środkowy pokój, Eli spostrzegł Abramka, schylonego nad bufetem i przemawiającego do Chai z widocznem przymileniem. Chaja wyraz twarzy miała stroskany i zasępiony, ale ręka jej powoli i jakby z wahaniem się odsuwała szufladę stołu.

Abramem skośne spojrzenie rzucał na tę szufladę, z której po chwili Chaja wyjęła kilka asygnat i, przeliczywszy, je oddała synowi.

Abramek szybko asygnaty do kieszeni tużurka schował i, usłyszawszy kroki nadchodzących, twarzą ku pokojowi się zwrócił.

Oczy jego spotkały się z utkwionym w niego poważnym i surowym wzrokiem ojca. Spokojne zwykle czoło Elego, na którem przebyte trudy i walki parę tylko pomiędzy brwiami wyryły pogłębień, zbrózdziło się teraz całe w gęste poprzeczne zmarszczki i nie rozpogodziło się już wtedy nawet, gdy Konrad i Łozowicz podawali mu ręce na pożegnanie i gdy Porycki, który przez czas jakiś sam na sam z Augustynem Szyłłą rozmawiał, widząc go wchodzącego do bawialni, zawołał:

— Pan Szyłło zgadza się nakoniec na zawarcie z nami umowy! My wypłacamy mu należność, którą ma na Ręczycu i Łozowiczu, a on uczyni w ten sposób, aby oblig Mieczysława Orchowskiego znajdował się w schowaniu nie u pana Konrada, ale u jego żony, i ażeby wszyscy niedostatecznie ulegalizowani wierzyciele pospadali z hypoteki Ręczyna.

Eli, zasępiony wciąż, roztargniony, z nową lub odnowioną, lecz ciężką widocznie troską w głowie, nie odpowiedział nic.

Augustyn Szyłło zato, który w czasie przemowy Porydkiego stał z rękoma opuszczonemi i wzrokiem wbitym w ziemię, nie podnosząc oczu, powoli z tłumiącym głos ciężarem na piersi, mówić zaczął:

— Bóg mi świadkiem, że zgodziłem się uczynić to wszystko ze srogiej tylko konieczności. Dzieci mam... potrzebują one ode mnie wszystkiego... w domu chłodno i głodno... Pracowałem dla panów tych gorliwie i uczciwie przez lat wiele... a oni rzucali mi setny zaledwie grosz z tego, co mi się od nich należało... Teraz... nie mogę już inaczej... cierpliwości przebiera się... kawał chleba dla siebie, lekarstwo dla mojej biednej żony, suknie dla

córek przyjąć muszę od tych, którzy mi je dają... za cenę... za cenę mego sumienia!...

Mówił to nie do innych, lecz do siebie.

W miarę mówienia, głos jego chrypł i cichł, a jakby ostatnie wyrazy zdławiły go nagle, podniósł rękę do gardła i, podnosząc wzrok na twarz Elego, wymówił z uśmiechem, dziwnie odbijającym od warg jego wybladłych, czoła rozoranego i posępnych oczu:

— Panie Eli, bądź łaskaw, poproś żony o kieliszek wódki dla mnie!

Eli stanął we drzwiach i po żydowsku wydał Chai stosowne zlecenie, Porycki zaś, który, uśmiechając się żartobliwie, zbliżył się do niego, rękę swą białą i kształtną położył na przygarbionem jego ramieniu i zawołał:

— Przesada, panie szanowny, przesada! zastarzałe i nieuzasadnione skrupuły! Ludzie ci nie umieli mienia swego używać, wolno więc nam korzystać z podziału, o ile tylko jest to w naszej możności, boć przecie potrafimy lepiej go użyć od nich!...

Ildefons Porycki, uprzedzając Konrada, który miał zejść do hotelu po żonę, udał się wprost ze »stawu« Elego do mieszkania pani Malwiny.

Matka Konrada, przez ubiegłe lata nie zmieniona ani trochę, pulchna zawsze, rumiana i ruchliwa, ujrzawszy wchodzącego gościa, zerwała się z kanapki, na której siedziała, i wybiegła na środek salonu, z oznakami wielkiej radości i ukontentowania.

— Ah, c o m t e! — zawołała — sam Bóg mi tu pana zsyła w tej chwili! Figuruj tylko sobie, kochany hrabio, że umieram z nudy! To N. zrobiło się od pewnego czasu formalną pustynią! Trzeci już wieczór z rzędu nie mam u siebie nikogo z gości, i, jeżeli tak dłużej potrwa, dostanę znowu tego okropnego ziewania, które niezawodnie do grobu mię kiedyś wtrąci!

— Szczęśliwy jestem, że przybywam w porę — odparł agent główny z galanteryą, całując podaną sobie pulchną i białą rączkę sześćdziesięcio-letniej wietrznicy — za chwilę jednak szanowna pani będzie miała u siebie gości najmilszych, bo pana Konrada i panią Lilę, którzy przyjdą tu, aby wieczór z panią przepędzić.

Pani Malwina wstrząsnęła smutnie głową, w modny tiulowy czepeczek ustrojoną, i westchnęła.

— Figuruj sobie, cher comte... wszak jesteś przyjacielem

Konrada... że Konrad staje się dla mnie coraz gorszym synem. Nie mogę uprosić go, aby mi dał nędzne jakie parę tysięcy rubli na wyjazd do Warszawy. Remarkuj sam, kochany hrabio, czy mogę tu, w tej mieścinie, przepędzić całe życie? Upadam na humorze i tylko patrzeć, jak wróci mi moje poziewanie, którego doświadczałam, mieszkając na wsi. Enfin, mam dwie córki — znasz je, hrabio — młodziutkie to jeszcze wprawdzie stworzenia, ależ trzeba jednak pokazać w świecie, nie prawdaż? inaczej staremi pannami zostaną i, figuruj sobie, cher comte, czy to będzie pięknie?

Porycki skłonił głową, na znak zgodzenia się.

— Jakkolwiek — rzekł — mam w istocie przyjemność i zaszczyt być przyjacielem pana Konrada, nie mogę nie przyznać, iż szanowna pani słuszne ma powody żalu do syna...

— N'est-ce pas? cher comte.

— Tembardziej — ciągnął gość — że gdyby tylko pan Konrad chciał usłuchać przyjaciół swych i sprzedać Ręczyn...

— Słyszałam, słyszałam o tej sprzedaży, cher comte; ale nie mów mi, proszę cię, o interesach żadnych, bo zaraz poziewania dostanę...

— Nie poważyłbym się trudzić szanownej pani rzeczą tak błahą w istocie, a uciążliwą, jak wszelkiego rodzaju interesa, gdyby nie szczera troskliwość, którą uczuwam o zdrowie jej i przyszłość ślicznych jej córek.

— N'est-ce pas, comte, że Flora i Róże mogłyby świetne partye zrobić, gdyby pokazać je gdziekolwiek na większym świecie?

— Niezawodnie! niezawodnie! nie ulega to wątpliwości najlżejszej! Przytem, gdyby sprzedaż Ręczyna dokonaną została, wypłacilibyśmy szanownej pani, argent comptant, zapis, który na rzecz jej uczynił nieboszczyk pan Ręczyc...

Oczy pani Malwiny poruszyły się żwawo i zamigotały radosną nadzieją.

— Ależ bo, cher comte, figuruj sobie... nie wiesz może o tem, że zapis ten — ja się na tem nie znam, ale mówił mi ce pauvre diable Szyłło, który przecie jest prawnikiem — że zapis ten nie jest... nie jest... jakże się to mówi? — abhoruję te wasze barbarzyńskie prawnicze ekspresye — nie jest... ule... ga... li... zowany! Ach! szczęście to doprawdy prawdziwe, żem się nie zakrztusiła.

— Czyż może być mowa pomiędzy synem a matką o le-

galności i nielegalności dokumentów? — wykrzyknął Ildefons Porycki. — Ja... ja sam osobiście daję pani słowo, że jeżeli tylko Ręczyn sprzedany zostanie, otrzymasz szanowna pani z mojej własnej ręki całą zapisową sumę... argent comptant.

Pani Malwina przesuwała się z jednego końca kanapki na drugi, splatała i rozplatała dłonie.

— Ah! cher comte! wracasz mi życie! Pojechałabym zaraz z Różą i Florą do Warszawy. Imaginuj tylko sobie, że mam tam mnóstwo znajomych, z dawniejszych jeszcze czasów... Najęłabym mieszkanie przy Krakowskiem-Przedmieściu... pięć albo sześć pokoi, nie więcej, bo trzeba przecież ekonomię robić... miałabym kółko des intimes, malutkie kółeczko... osób jakich trzydzieści albo czterdzieści, nie więcej, a raz na miesiąc dałabym wieczór wielki, aby Różę i Florę światu pokazać...

Rumiana twarz pani Malwiny rumieniła się coraz żywiej; szare oczki jej zachodziły mgłą przyjemnego rozmarzenia. Mówiłaby tak i na głos marzyła dłużej jeszcze, ale otworzyły się drzwi salonu i weszli Lila i Konrad.

— Mes chers enfants! — zawołała pani Malwina, biegnąc ku drzwiom. — Byłam dziś słabą i znudzoną, jak nigdy, ale konwersacya z naszym kochanym hrabią wprawiła mię w humor prawdziwie różowy.

— Cieszę się bardzo, że mamę w różowym zastaję humorze, bo mój humor jest dziś, jak Boga kocham, dyabelnie czarny! — rzekł Konrad, który, markotny bardzo i na cały jakby świat rozgniewany, z wielkiem jednak uszanowaniem rękę matki pocałował. — Żeby mama wiedziała, ile to nakłopotać się trzeba z tymi interesami...

— O moi państwo! jeżeli tylko o interesach ma być tu mowa, to ja uciekam co prędzej i idę do Rózi i Florki.

Słowa te wymówiła Lila i, rzuciwszy Poryckiemu, który z niej oka nie spuszczał, przelotne ale znaczące spojrzenie, lekko, z wdziękiem, nucąc zcicha, przeszła do przyległego saloniku.

— Ja także usuwam się i zostawiam państwo sam na sam — z ukłonem rzekł Ildefons — niech rozmowa, oparta na ufności i przywiązaniu rodzinnem, nie ma ze mnie natrętnego świadka.

Rzekłszy to, udał się za Lilą.

Młoda kobieta stała na środku saloniku, w postawie nieruchomej, z palcem przyłożonym do ust, figlarnie uśmiechniętych.

Wzrok jej, figlarny także w tej chwili, spoczywał na grupie, z dwóch osób złożonej, zajmującej głąb' gabineciku małego i bardzo słabo oświetlonego.

Byli to Kamil i Flora, obok siebie na aksamitnej kozetce siedzący i tak zajęci niezmiernie żywą, acz cichą rozmową, że nie wiedzieli wcale, co się w przyległym działo saloniku.

— Nie trzeba im przeszkadzać — żartobliwie i półgłosem rzekła Lila do nadchodzącego Ildefonsa. — Flora i brat mój, Kamil, kochają się z sobą od czasów niepamiętnych...

— Dlaczegoż nie połączyli się dotąd? — zapytał Porycki, wymowne swe spojrzenie uparcie na twarzy młodej kobiety zatrzymując.

— Nie wiem doprawdy... jakieś ciągłe nieporozumienia... Sądzę, że Kamil wcale żenić się nie chce. Biedna Flora cierpi na tem bardzo i ja jej z całego serca żałuję! Zostańmy tu... niech rozmawiają z sobą, może się porozumieją.

W tej więc chwili w dużym salonie, w mniejszym saloniku i w małym, pół-oświetlonym gabinecie, pośród napełniających mieszkanie to mnóstwa błyskotek, cacek, fraszek i fatałaszek, znajdowały się trzy odosobnione i żywo ze sobą rozmawiające pary.

Najcichszą zrazu i najżywszą rozmowę prowadzono w gabinecie.

Młodsza córka pani Malwiny, która przez lata ubiegłe zmieniła się bardzo, przemawiała do towarzysza swego to z uniesieniem, to ze słodyczą i żalem naprzemian. On odpowiadał jej długo, zwolna i z uśmiechem; ją uśmiech ten jego drażnił widocznie, ale łzy, iskrzące się w błękitnych jej źrenicach i drżenie ust czyniły ją ładniejszą, niż kiedykolwiek.

Kamil patrzał na nią przyjaźniej, przemawiał czulej, a ona łagodniała i wracała do ufności dawnej, do dawnej słodyczy wejrzenia, do dawnych swawolnych lub zalotnych uśmiechów.

W salonie Konrad siedział naprzeciwko matki swej, z łokciem opartym o stół i głową na dłoń pochyloną.

— Jeżeli mama radzi mi to uczynić — mówił — jeżeli znajduje, że będzie to ze szczęściem i mamy, i Lili, i mojem, to... cóż robić? niech i tak będzie! Prawdę mówiąc, i mnie już takie życie dojadło... Makower powiada, że nastręczy mi zaraz do kupienia majątek w Królestwie, mniejszy od Ręczyna, ale czysty, bez długów, z pięknemi łąkami i stadniną koni...

— Otóż widzisz, kochaneczku! kupisz sobie ten majątek i kłopotów pozbędziesz się. A ja do Warszawy na mieszkanie

z Różą i Florą pojadę. Wszak wypłacisz mi zapis ojca... n'est-ce pas? choć on nie jest ule... ulegali...

Konrad wstał żywo z krzesła.

— A to, jak Boga kocham, dziwi mnie bardzo, że mama pytać mnie nawet o to może. Czy ja kiedy chciałem mamę pokrzywdzić? czy zapomniałem kiedy o tem, że jestem synem, że mama to pierwsza osoba, a ja dopiero druga?...

— Wiem, wiem, kochaneczku! — zawołała pani Malwina, ze łzą rozczulenia w oczach. — Byłeś, Konradzie zawsze synem dobrym... pasyi brzydkich żadnych nie miałeś... tylko jedną do tych zwierząt... No, ale jak kupisz sobie ten majątek z łąkami... Pójdź, niech cię uścisnę!

Lila i Ildefons, przechadzając się po saloniku środkowym, toczyli ze sobą następującą rozmowę:

— Matka pani — mówił Porycki — czuje się dziś w humorze różowym, mąż w czarnym. Jakąż barwą oznaczysz pani własne swe usposobienie dzisiejsze?

— Barwą... barwą szarą — z uśmiechem pół-żartobliwym, pół-smutnym, odparła kobieta.

— Dlaczego szarą?

— Bo kolor szary zbliża się zarówno do czarnego i białego. Ja także znajduję się pomiędzy szczęściem, które błyska mi w oddali, a smutkiem i tęsknotą, które zapewne będą na zawsze moim udziałem...

— Pocóż tak posępne myśli?... Należy tylko zbliżyć się do tego, co jest szczęściem, a oddalić od siebie to, co sprawia smutek i powoduje tęsknotę.

— Jest to niepodobnem. Życie to ma tyle więzów...

— Trzeba je zerwać!

— Czyliż kobieta uczynić to może? Pamiętam, jak niegdyś droga moja Julia mówiła mi, że życie kobiety bywa zwykle jednym ciągiem cierpienia, tęsknoty, przymusu... Nie chciałam jej wierzyć, ale przekonałam się, że mówiła prawdę.

Na dźwięk imienia Julii brwi Poryckiego drgnęły, jak zwykle bywało, gdy czuł się podrażnionym lub niespokojnym.

Po chwili jednak twarz jego wróciła do uprzedniego wyrazu.

— Panna, czy pani Julia — rzekł stanowczym tonem — myliła się. Dzieci tylko bezwładnie przenoszą cierpienia i przymus; ludzie pęta swe rozrywają... Ale przebacz pani to, co powiem... pani jesteś w wielu względach dzieckiem jeszcze.

Lila z urazą głowę podniosła.

— Ja dzieckiem?

— Tak — potwierdził Porycki, a w głosie jego była surowość, której nie znało dotąd ucho kobiety, nawykłej do pieszczot, pochlebstw i hołdów. — Dziwisz się pani może i obrażasz, że, zamiast komplementów, mówię jej ostrą prawdę... Ale ja... jestem człowiekiem nowożytnych idei... przytem, za szczęście pani oddałbym ostatnią krwi mojej kroplę... muszę więc raz jeszcze powiedzieć pani, że z całą cudowną pięknością swoją, z całym swym czarem i urokiem niewysłowionym... jesteś pani z wielu względów słabem i niedoświadczonem dzieckiem; nie umiesz jeszcze być człowiekiem!...

Zawarta w tych słowach mieszanina surowości i pochlebstwa, gorącej namiętności i twardego upomnienia, dziwne wrażenie wywarła na Lili.

Stanowczość Ildefonsa i to, co mieniła ona wyższością rozumu jego, imponowały jej, czyniły ją wobec niego nieśmiałą i zawstydzoną; tłumione uniesienie, z jakiem mówił o uczuciach swych dla niej, porywało ją ku niemu, niby podmuch nieprzeparty gorącego wichru.

Podniosła twarz zrumienioną i, z trudnością powstrzymując drżenie głosu, szepnęła:

— A więc, panie hrabio, naucz mię być człowiekiem!

Pochwycił rękę jej w obie dłonie.

— Dobrze! — odparł szeptem, gwałtownym niemal. — Ale nie nazywaj mnie pani »hrabią«.

— Panie Ildefonsie!... — uśmiechnęła się kobieta.

— Odrzuć i tytuł pana! Wymawiaj tylko imię moje! Pocóż te wieczne rozdziały etykiety i fałszywych wstydów pomiędzy mężczyzną a kobietą? Nie jesteśmy-ż równymi robie ludźmi? Dlaczegóż mówisz po imieniu bratu swemu, a mnie nie możesz? Ja także jestem bratem twoim... w ludzkości. Lilo, wymów imię moje!

Kobieta stała, ramieniem wsparta o krawędź ściany, i obu dłońmi twarz zakryła.

— Cóż — szeptał Ildefons — nie wymówisz pani? nie ośmielisz się?... Czyliż nie miałem słuszności, mówiąc, że jesteś dzieckiem słabem? Kiedyż więc zaczniesz pani być człowiekiem?

Lila dłonie od twarzy odjęła i, podnosząc na niego wzrok, w którym były i łzy zawstydzenia, i ognie wzrastającej coraz namiętności, szepnęła zcicha:

— Ildefonsie!

Jak trucizna, w małych dozach udzielana organizmowi, który przeciw niej nie ubezpieczył się niczem, powoli, lecz nieuchronnie, przenika w krew jego i tkanki, tak nauki i rady Ildefonsa zwolna, coraz głębiej i zupełniej, wnikały w pozbawioną wszelkich orężów obrończych, fizyczną i moralną istotę Lili.

IV.

Kiedy Porycki udawał się do pani Malwiny, Eli opuścił także swoje mieszkanie, i długo szedł ulicami większemi, w kierunku, który wiódł do dzielnicy, specyalnie przez Izraelitów zamieszkiwanej, a nawet noszącej miano żydowskiej.

Była to dzielnica szczególna, taka, której podobne w niewielu już znajdują się miastach.

Był to ślad, pozostawiony przez upłynione wieki, a niwelującą stopą cywilizacyi jeszcze nie starty; było to żyjące przypomnienie dawno zmarłych ustaw i rozgraniczeń, wstrętów i krzywd, wynoszeń się i upodleń.

Miejscowość ta stanowiła niegdyś jedną z tych średniowiecznych gehenn, w których, srogimi zakazami zamknięci wyznawcy talmudu wiedli długo upośledzony, dręczony, podziemny niby żywot.

Rzecz dziwna! strzegące tego miejsca bramy murowane skruszyły się i runęły dawno, skruszyły się i zniknęły opasujące je żelazne łańcuchy, a ono, jakiem było podówczas, takiem pozostało dotąd.

Dzielnica żydowska w N., na dość obszernej przestrzeni rozłożona, z jednej strony spuszczała się po stoku góry ku rzece, z innej łączyła się z dalszemi częściami miasta mnóstwem zaułków wązkich, krętych i ciemnych.

Tu i owdzie, u wejścia do zaułków tych, szczątki bram wysokich a sklepistych szeptały do ucha miejscowych mieszkańców stare, mroczne legendy.

Ktokolwiek dość ciekawy był i odważny, aby przebyć w całej długości jeden z zaułków, jedną raczej z ponurych tych szczelin, których środkiem biegły wody cuchnących ścieków, ten u wyjścia z pomiędzy dwóch ścian, utworzonych z murów wysokich, sczerniałych i wilgoć sączących, popadał w dziwaczny, kręty labirynt uliczek i placyków, domków i chałup, podwórek i ogródków.

Najbieglejsze oko nie zdołałoby tu odkryć żadnej linii prostej i pewnej, żadnego rysnnku, zwiastującego plan jakikolwiek. Niezliczone, zda się, uliczki, brukowane i niebrukowane, gęste ścieżyny, biegły tu w kierunkach przerozmaitych, krzyżowały się ze sobą, dosięgały ciasnych, nieforemnych placyków, urywały się, znikały i kędyś za płotem jakimś lub podwórkiem odradzały się, aby w nowych skrętach zbiegać po stoku góry i zniknąć nad piaszczystym brzegiem rzeki, w cienistej głębi wąwozu, lub za spróchniałą ścianą domostwa.

Z obu stron przejść tych błędnych widać było poprzez płoty przegniłe i na napół rozwalone, podwórka podługowatego kształtu, chropawym brukiem opatrzone, śmieciem i kałużami okryte, z nadpróchniałemi stajenkami i śpichrzami w głębi, z jękliwie a wiecznie skrzypiącemi bramami, z wieczną też, napełniającą je mgłą wilgotnych, ciężkich, duszących wyziewów. Budynki, podwórka te okalające, drewniane były, szare aż do sczerniałości; dachy miały wklęsłe, wysokie a dziurawe, okienka mętne, z drobnych, zielonkawych szybek złożone. Tu i owdzie leżały pomiędzy niemi szmaty gruntu, pod uprawę warzywa w zagony zoranego, a wyglądające zdala jak nierówno zarysowana, czarna warcabnica; gdzieindziej domostwa, nieprzedzielone niczem, cisnęły się sobie, stykały się ze ścianami, zasłaniały sobie wzajem okna, a rozstępowały się i szerszą dokoła pozostawiały przestrzeń tam dopiero, kędy stały budowle murowane, wysokie, o wielkich, jasnych oknach i gontowych, malowanych dachach.

Budowlami temi, których w dzielnicy owej znajdowało się kilka, a które, wśród ogólnej szarej barwy, jaśniejąc białością, starannie utrzymywaną, wznosiły się ciężko, lecz wysoko — były bóżnice.

W dzielnicy tej zdumiony i rozciekawiony przechodzień spotykał na każdym kroku widoki i odgłosy, którychby nadaremnie szukał gdzieindziej. Tu w dni słoneczne, na podziurawionych schodkach lub progach spróchniałych, siadywały niewiasty z pomarszczonem od starości licem, z głową owiniętą olbrzymim zawojem ze spłowiałej, bo starej, jak one same, materyi, z wyżółkłą szyją, obwieszoną mnogimi rzędami kanciastych pereł i złocistych medali, z kwiecistym, długim fartuchem u pasa. Wkoło nich, nakształt gromady południowych cyganiąt, w podskokach i z wrzaskiem, rozdzierającym uszy, w błotnistych pluskał się kałużach rój dziatwy półnagiej, ogorzałej, świecącej zdala ognistym, rozczochranym włosem.

Tu, w godzinach zapadającego zmroku, z okien bóżnicy buchało rzęsiste światło, a z głębi jej wypływał i roztrącał się o ściany ciasnego placyku donośny, przeciągły, straszliwą skargą jakąś nabrzmiały głos wyśpiewującego psalmy kantora.

W odpowiedzi głosowi temu odzywały się niekiedy chóry potężne, z których tła basowego, ognistymi niby snopami, wytryskiwały ostre krzyki i jęki, to podnoszące się ku najwyższej skali głosu ludzkiego, to spadające i w jedno olbrzymie spływające westchnienie.

Tu ciasną uliczką sunął czasem po nierównym bruku wóz, w jednego konia zaprzężony, a na nim spoczywała długa drewniana skrzynia, zawierająca w sobie zwłoki świeżo zmarłego człowieka.

Za wozem i skrzynią postępowało kilkudziesięciu, niekiedy kilkuset mężów, w długich ubiorach, z ogromnemi, pierś całą przysłaniającemi brodami, z twarzami, których nigdzie już więcej, prócz w tem miejscu, widzieć nie można było.

Tak; dziesiątki, setki, tysiące może ludzi żyło tu takich, którzy prócz dzielnicy tej swojej rodzinnej, żadnego innego miejsca na świecie nie znali. Wśród nich niejeden żadnej innej mowy, prócz ojczystego szwargotu, nie poznał nigdy, i nie rozumiał żadnego słowa z języków, dokoła miejsca tego używanych.

Tu na rynkach i placykach siadywały izraelskie przekupki z rybą, warzywem, ciastem i piernikami; tu były izraelskie rzeźnie, traktyernie, zajazdy i kramiki; tu, Izraelitom wyłącznie służący, zamieszkiwali rzemieślnicy różni, od cieśli i kowalów, do krawców i modniarek, od wyrabiaczy najprostszych sprzętów, napełniających szare chałupy, do tych, którzy ciała mężów przyoblekali w odświętne świecące chałaty, a głowy niewiast zaopatrywali w peruki o rudych uplotach i w odświętne też czepce o żółtych kokardach i czerwonych różach.

Mieszkaniec dzielnicy tej mógł, nie wychodząc nigdy poza jego granice, zaopatrzyć się we wszystko, czegokolwiek potrzebował biedny, skąpy, brudny, wszelkiego piękna pozbawiony byt jego.

To też roiła się tu ludność różnych płci i wieków, w sposób zdumienie i przerażenie niemal sprawiający. Każdą z tych chałup nizkich i ciasnych zamieszkiwało rodzin kilka, osób kilkadziesiąt; każdą z tych drobnych szmat gruntu, w warcabnicę ułożonych, uprawiało rąk mnóstwo; jeden zagon żywił tu zie-

mniakami i cebulą ust mnogość wielką; każdy kąt zapełniony był gwarem głosów przerozmaitych.

Żaden spis urzędowy określić napewno nie zdołał nigdy ilości ciał i dusz, które grzęzły tu w śmieciach, w błocie, w bezdennych, zda się, napoły brudnych i odrażających, napoły tajemniczych i dziką poezyą jakąś tchnących ciemnościach.

Wszystko tu zresztą, obyczaj i mowa, wierzenia i dążenia, uczucia i zamiary — mrokiem było, tajemnicą, odosobnieniem, niechęcią głuchą, upartem a namiętnem pamiętaniem o przeszłości. Przyszłość — słodka i jasna przyszłość, z oświatą, zgodą, miłością, z uraz zapomnieniem, z braterską jednością, nie świeciła tu promykiem najmniejszym...

Lud sfinks, lud gość a wróg, lud męczennik a mściciel, objawiał się tu w całej jeszcze posępności nędz swych, brudów, tajemnic, zabobonów, pamiątek bolesnych i... wydzielanych z siebie cuchnących wyziewów.

W tej to części miasta, niedaleko białej i wysokiej bóżnicy, w domostwie nizkiem, lecz z pomiędzy wszystkich otaczających je najporządniejszy pozór mającem, mieszkał ojciec Elego, Judel, niegdyś krawiec z miasteczka Orchowa, ojciec piętnaściorga dzieci, sypiających na półkach do ścian przymocowanych, teraz starzec chory, zgrzybiały i spoczywający.

Ku temu domostwu, poprzez labirynt uliczek i placyków, wśród zupełnej prawie ciemności, którą zrzadka tylko rozświecały smugi światła, z okien bóżnic wypływające, śpieszne, coraz śpieszniejsze, kroki swe zwracał Eli.

Przed napół przymknięte drzwi dotarł do sionki ciemnej zupełnie, potknął się parę razy o gospodarskie rupiecie, które ją zapełniały, a omackiem trafiwszy do drzwi, znajdujących się po prawej stronie sionki, wszedł do izby dość obszernej, oświetlonej żółtawem światłem palącej się łojówki. Świeca paliła się na małym stole, dźwigającym kilka ksiąg wielkich, w pergaminowej odwiecznej oprawie.

Przy stole, w głębokim, bardzo wygodnym fotelu, z nogami wspartemi o drewniany stołek, leżał nieruchomo starzec z długimi siwymi włosy, w śnieżnych pasmach z pod czarnej jarmułki spływającymi na ramiona, z długą brodą siwą, o srebrnych i złotawych połyskach.

Był to Judel.

Ciężki, astmatyczny oddech wydobywał się z wklęsłej piersi starca chrapliwie i przeciągle; w leżącej postawie jego

malowała się bezwładność cielesna, ale w blado błękitnych, szeroko roztwartych oczach ten sam, co dawniej, tkwił wizerunek duszy słodkiej, cierpliwej i zadumanej, ten sam co dawniej uśmiech mistycznej radości na wybladłych spoczywał ustach; nad twarzą wznosiło się to samo czoło wysokie, w tysiące zmarszczek zbróżdżone troską, cierpieniami, pracą, tajemną może, długoletnią tęsknotą myśli, rwącej się z oków niewiadomości i znękania ku światłu i życiu.

Nikogo więcej, prócz starca tego, w izbie nie było; to też panowało tu milczenie zupełne, przerywane tylko czasem niewyraźnie dochodzącymi głosami osób, w innej stronie domu rozmawiających.

Otwierające się drzwi skrzypnęły, stary Judel zwrócił ku nim głowę, a widok wchodzącego syna rzucił na całą twarz jego blask cichej radości, połączonej z czułością niewymowną.

— Guten Abend, Tate! — rzekł Eli, zbliżając się i otrząsając z czapki osiadłe na niej krople deszczu.

Schylił się przed starcem, i chudą, przezroczystą rękę jego do ust swych przyłożywszy, wycisnął na niej głośny pocałunek.

— Was ist das? — rzekł, oglądając się po izbie z miną niezadowolenia pełną. — Dlaczego przy tobie nikogo niema? ty możesz potrzebować czego, tobie może źle zrobić się, a tu niema żywego ducha! Czy Sura z kramu jeszcze nie wróciła? Co robią wnuczki jej i córki Mendela? Czy ja im pieniędzy nie daję i sukien nie kupuję za to, żeby one przy tobie siedziały?

Starzec zrobił ręką giest łagodny, lecz zarazem nakazujący trochę.

— Nie gniewaj się na nich, Eli, — rzekł — ja ich sam z izby wyprawił, bo rabbi Baruch był u mnie, a jak rabbi Baruch do mnie przychodzi, to ja nie chcę, żeby tu był kto inny...

Eli skinął głową na znak zrozumienia, i usiadł na stołku, tuż przy fotelu ojca.

— Dobrze tobie tu, tate? — zapytał. — Może tu zimno? może te dziewczęta za mało w piecu palą? A herbatę czy tobie zawsze dają, jak potrzeba? a łokszyna i ryba czy codzień dla ciebie na obiad jest? Ty mi, tate, prawdę mów, bo jeżeli ci tu źle służą, albo tobie braknie czego, to ja już na to poradzę... Ja chcę, żeby ty wszystkie wygody miał, i żeby ty odpoczywał,

i żeby twoich oczu nic nie obrażało, i żeby twego serca żaden smutek nie dotknął... Ja, chwalić Boga, pracuję i zarabiam, i mam sposoby, żeby ciebie szczęśliwym i spokojnym uczynić...

— Niczego mi nie braknie, Eli — odparł stary Judel. — Mam izbę ciepłą, i herbatę, i łokszynę codzień, i to krzesło wygodne, co ty mi jego kupił, i na którem dobrze jest leżeć choremu ciału memu... Ale ja mam więcej jeszcze, niż to wszystko, bo do mnie rabbi Baruch przychodzi... a ja i rabbi Barucha od ciebie, Eli, mam, bo żebyś ty mnie tu nie przywiózł i nie posadził, tobym ja jego nie znał...

— Żebym ja ciebie tu nie przywiózł, tate? A jak ja miał ciebie tam zostawić samego, bez dopatrzenia i wygody, kiedy tu mieszka pięcioro dzieci twoich: Sura i Mendel, Icko i Ruchla i ja — Eli?

Stary Judel podniósł w górę rękę swą wychudłą i drżącą.

— Niech wielki, mądry, straszny Jehowa błogosławi ciebie i dzieci twoje, i wnuki twoje, za wszystko, co ty zrobił dla mnie, i dla braci i sióstr twoich, i dla wszystkich *naszych*...

Pod wpływem błogosławieństwa tego, wyrzeczonego szeptem gorącym, Eli wyprostował się; duma i głębokie zadowolenie na twarzy jego zajaśniały.

Z dłońmi, złożonemi na obu kolanach, z głową schyloną nieco, lecz z promieniejącemi oczyma, utkwionemi w twarz ojca, mówić zaczął zwolna i z wyraźnem rozradowaniem:

— On mnie już błogosławił, tate! Czem ja był, a czem zrobił się? Czem była cała familia nasza, a czem ona teraz jest? Czy ty, tate, myślisz, że ja nie pamiętam tego czasu, kiedy u nas taka wielka bieda była, kiedy ty pracował, jak wół w zaprzęgu po nocach i po dniach, a nas jeszcze wykarmić nie mógł? kiedy u ciebie roboty brakło i ty siedział nad stołem, głowę na rękach opierając, i śpiewał do Pana Boga skargę wielką, a my słuchali twojego śpiewania i jęczeli, i płakali, bo smutek chodził koło serc naszych, a w żołądkach naszych był głód?!... My wtedy, jedne przy drugich, na półkach spali przy ścianie, a nasza mame nie spała nigdy, tylko z choroby i boleści płakała i stękała, a ty, tate, nie spał także, tylko obracał się na swojem łóżku i wzdychał, i ciemnej nocy pytał się:

»Dlaczego ja taki nieszczęśliwy i dlaczego moje dzieci takie nieszczęśliwe, że dla nich na świecie ani miejsca, ani chleba niema?«

Gdy Eli tak mówił, stary Judel głową kiwał i powieki przymknął, a z pod ich żółtej, pomarszczonej osłony spłynęły na zapadłe policzki dwie grube łzy.

Podniósł ręce ruchem powolnym i, całą postać swą na obie strony przechylając, zawołał przeciągle:

— Oj! oj! jaki ja wtedy biedny był, i jakie wy wszystkie biedne byli, i mizerne, i głodne, i smutne! Oj! oj! jaki to ciężki czas zsyłał wtedy na mnie Pan Bóg, a choć on minął już, mnie od niego jeszcze i teraz na duszy ciężko.

— Niech tobie, tate, na duszy ciężko nie będzie! — wyrzekł Eli. — Czas smutku minął, a czas wesołości nastąpił. Ja z tych półek, na których my kiedyś spali, zlazł i w świat poszedł... i ot, co teraz ze mnie zrobiło się! Żyję sobie, jak król, i u ludzi w uważaniu jestem, i największe panowie przychodzą do mnie, i podają mi ręce, i kłaniają się, i proszą. Jeden mówi: »Eli! poratuj mnie!« a drugi: »Eli! bądź dla mnie dobry!« a trzeci mówi: »Eli! nie zapominaj o mnie!« — A ja ich wszystkich w garści mojej trzymam i robię z nimi, co tylko chcę!...

— A co ty, Eli, robisz dla s w o i c h? — zawołał starzec. — Powiedz, co ty robił i co ty robisz dla s w o i c h? Choć ja o tem wiem, ale niech ucieszą się uszy moje gadaniem twojem, niech raduje się oko moje tą światłością, co z twarzy twojej bije, kiedy ty rozpowiadasz o tem, co ty zrobił dla s w o i c h!

— Co ja zrobił dla s w o i c h? — powtórzył Eli, prostując się coraz dumniej i coraz radośniej twarz rozjaśniając. — Czy ty, tate, myślisz, że ja nie pamiętam, jak bywało brałeś nas na kolana swoje i całowałeś, a łzy lały się z twoich oczu, a usta twoje powtarzały: »Biedne my, Żydy! Jeżeli my jeden drugiego lubić nie będziemy, to któż nas będzie lubił? jeżeli my jeden drugiemu nie dopomożemy, to któż nam dopomoże?« I ty całował mnie wtedy tak słodko, jak matka, a palec do góry podnosił tak srogo, jak sędzia, i mówił: »Eleczkie! Eleczkie! jak ty wyrośniesz i będzie z ciebie człowiek, to kochaj ty s w o i c h tak, jak własną swoją duszę, i serce własne wyjm sobie z piersi i i m oddaj, jeżeli tego potrzeba będzie«. Ot, jak ty mnie nauczył, tate! A kiedy ja wyrósł i człowiekiem zrobił się, mnie ta nauka z głowy nie wyszła... ja z mojej piersi wyjmował wszystko, co w niej było najlepszego i najsłodszego, i z moich kieszeni wyjmował dużo brzęczących i błyszczących pieniądzów, i oddawał je n a s z y m... Ilu ja naszych

Żydków w świat wyprowadził i od biedy wyratował, ilu pogodził, nakarmił i do góry dźwignął! I moich braci, i moje siostry, ja zrobił szczęśliwymi. Ja owdowiałej Surze kram tu założył i na pierwszy rok w tym domu mieszkanie najął, żeby jej małe wnuczki głodu nie cierpiały. Ja Mendela na wielkiego faktora wykierował. Ja Lejbę i Małkę w orchowskim młynie posadził. Ja Ruchlę kupcową, a Chaima posesorem i dobrym gospodarzem zrobił. Ja Lejzoru dał pieniądzów, żeby on na Wołyń pojechał i tam bogato się ożenił. Ja Icka krawiectwa wyuczyć kazał, a Efroimu Ręczyn nastręczył i w posesyę dał. Ot, co ja zrobił dla nich, a oni wszyscy kontenci i szczęśliwi, i ja kontent był zawsze i szczęśliwy... Tylko mnie teraz jedno wielkie zmartwienie duszę przyciska, i ja dziś tu przyszedł, tate, żeby ciebie zapytać, co na to robić, żeby z tego zmartwienia nieszczęście nie wyrosło.

Judel, który przez cały czas mowy Elego siedział z przymkniętemi powiekami, a każdemu z okresów mowy tej odpowiadał kiwaniem głowy i rosnącym wciąż na ustach uśmiechem, teraz oczy otworzył i szybko twarz swą ku synowi zwrócił.

— Nieszczęście? — zawołał i ręce drżące podniósł — nieszczęście dla ciebie, Eli?

— Nu, nu, tate, niech ciebie taki wielki strach nie przejmuje! — miarkował przerażenie ojcowskie Eli. — Nieszczęścia jeszcze niema, ale tylko zmartwienie wielkie. Ja tu przyszedł prosić ciebie, żebyś ty o moim Abramku swoją doświadczoną głową pomyślał.

— O Abramku? — powtórzył stary — ja już o nim nieraz sam myślał.

Eli uważnemi bardzo i nagle rozpalonemi oczyma w twarz ojca patrzał.

— On nie taki jest, jak być powinien, he? — wymówił zwolna, słowom swym nadając dźwięk zapytania.

— Nie taki, Eli, nie taki! — potwierdził starzec głosem smutnym i z przymkniętemi znowu powiekami.

— On nikogo nie lubi i nic nie szanuje — mówił znowu Eli, oczu z twarzy ojcowskiej nie spuszczając — on z Żydów naśmiewa się, jakby sam Żydem nie był, a w głowie u niego tylko zabawa, jak u jakiego panicza, albo interesa, jak u jakiego faktora. On rodzonej matce każe, żeby jego nie nazywała Abramem, ale Gottliebem, a wszystkim mówi zawsze, że on Niemiec. A kiedy on mnie zobaczy, to do mnie żadnego takiego słowa

nie powie, jak syn do ojca, ale zaraz mówi: daj mi, tate, pieniędzy, żebym ja interesa na swoją rękę mógł prowadzić.

Im dłużej Eli mówił, tem szybciej wyrazy wychodziły z ust jego.

Po ostatnich słowach umilkł na chwilę, lecz potem, z nagłem wezbraniem głosu i coraz większą szybkością, prawić znów zaczął:

— A na co jemu interesa na swoją rękę prowadzić? Czy ja go dlatego do szkół posyłał i wszystkich języków, i muzyki, i tańczenia uczyć kazał, żeby on potem faktorem albo kupcem był? Ja jego uczył i na jego edukacyę wielkiemi garściami pieniądze sypał dlatego, żeby on mnie, jak wyrośnie, honor zrobił, żeby on urzędnikiem jakim wielkim był, żeby z niego oczy moje pociechę miały, a głowa moja przy nim odpoczęła sobie i podniosła się wysoko. Ja chciał, żeby on bardzo edukowanym był i wielkim panem, a Żydem nie przestał być. A on tymczasem wyląda, jak szubrawiec, do rubla rwie się, jak faktor, hulanki lubi, jak głupiec, a ze wszystkiego, co ja w duszę i w serce moje schował, wyśmiewa się, jak... łotr!

Zarumienił się Eli od wielkiego wzruszenia, z jakiem mówił, a po chwilowem milczeniu zapytał znowu:

— A dlaczego on taki?

Z postawy jego pochylonej, z oczu szeroko rozwartych, z niespokojnego, nerwowego ruchu rąk poznać było, że łamał się on z zagadką jakąś, niepodobną dla niego do rozwikłania, i że na dnie tej zagadki leżały i groziły mu: zawód straszny, boleść ogromna.

Judel nie odpowiadał długo.

Powieki jego wciąż były przymknięte; ale uśmiech słodyczy i błogości pełen zniknął z ust jego bez śladu.

Po chwili, głowa starca zakołysała się znowu powolnym, miarowym ruchem, a wargi poruszyły się i wydawać poczęły ciche, żałosne wykrzyki:

— On wyśmiewa się z Żydów... on nikogo nie lubi, ani ojca rodzonego, ani matki, co jego wynosiła i wykarmiła... u niego edukacya wielka i ubranie pańskie, a twarz u niego jak lustro gładka, ale on nie taki, jak ty, Eli, on nie taki, jak trzeba!... Och! och! on tobie kiedyś wielkiego nieszczęścia narobi, on tobie oczy łzami wygryzie i na twoją głowę wielką plamę położy!

Eli drżeć zaczął.

— Tate! tate! — krzyknął — nie mów ty do mnie tak! nie

przepowiadaj takich strasznych rzeczy o moim Abramku! Ja jego kocham! och, jak ja jego kocham! Ja wszystkie sześcioro dzieci moje kocham, ale jego najwięcej ze wszystkich! Jak on, bywało, przyjedzie do nas na wakacye w swoim szkolnym mundurku, a zacznie różne słowa po francusku gadać, to ja na niego patrzę, jak na brylant, jak na koronę, jak na obraz! Dlaczego on taki zrobił się? Albo ja jemu w czem przewinił? albo ja dla niego nie starał się zebrać wszystkich honorów, jakie tylko są na świecie? Dlaczego mi Pan Bóg w czem innem dopomagał, a w tem nie dopomógł, żeby mój Abramek był i edukowany *puryc*, i dobry Żyd, i wielki urzędnik?

Umilkł zziajany, drżący cały i, wydobywszy z kieszeni chustkę, otarł nią sobie czoło spocone.

Stary Judel nie z przymkniętemi już siedział powiekami, lecz owszem, oczy jego szeroko rozwarte, z zamyśleniem, objawiającem wytężenie umysłu wielkie, tkwiły w przeciwległej ścianie.

— Dlaczego on taki? — zaczął po chwili zcicha, przeciągle. — Albo ty co przeciw niemu przewinił? Eli! Eli! ja nie wiem, ja tobie tego moim własnym rozumem wytłómaczyć nie mogę. Ja tylko widzę... tam daleko... daleko widzę, że ty wielką jakąś omyłkę zrobił...

— Omyłkę? — porwał się Eli — jaką omyłkę, tate?

— Ja tę omyłkę daleko... daleko widzę i dlatego nic nie mogę tobie gadać, jak ona wygląda... wiem tylko, że tam jakaś omyłka była... Wart, Sohn! ja o tem wszystkiem z rabbi Baruchem pogadam i zapytam się jego, jaka to omyłka i jak ją można naprawić?

— Dlaczego rabbi Baruch o naszych familijnych interesach ma się dowiadywać? — z niezadowoleniem rzekł syn.

— Dlaczego? — powtórzył ojciec — dlatego, że rabbi Baruch mądry człowiek i dobry człowiek, dlatego, że on wszystko może czuć, co ludzie czują, a wszystko rozumieć, czego ludzie nie rozumieją. Ty, Eli, nie znasz dobrze rabbi Barucha, ty nigdy nie miał czasu z nim rozmawiać; ale ja o nim dużo słyszał i zawsze znać go pragnął i teraz... znam.

Siedział przez chwilę zadumany, w głębokiem znowu zachwyceniu pogrążony, a potem mówił dalej:

— Słuchaj, Eli! Jak ja był młody, to ja był biedny i nieuczony krawiec. Pracować mnie trzeba było dniami i nocami i siedzieć zgarbionemu nad kawałkami materyi, z igłą w ręku A kiedy ja tak siedział zgarbiony i szył, i na nic nie patrzył,

tylko na swoje ściegi, i niczego nie słuchał, tylko jak materya pod moją ręką szeleściała, to ja wtedy myślał... ja ciągle myślał... a o czem ja myślał? Ot były moje myśli, jak te liście, co je wiatr z drzewa strąca, a one lecą każdy osobno, nie wiedząc, dokąd zalecą... I były moje myśli, jak te ptaki ślepe, co chciałyby lecieć w różne strony i wszystko widzieć, wszystko poznać, a nie mogą, bo im w oczach ciemno i tłuką się o każde drzewo, o każdą chałupę... I była dusza moja jak ten więzień, co przez małą szybę widzi kawałek świata i drapie się po ścianie, żeby do szyby dostać się i przez nią na wolność wyleźć, ale nie może, bo ma łachmany na rękach i na nogach... Kiedy ja głowę moją w obie ręce kładł i śpiewał do Pana Boga, to ja skarżył się przed Nim nietylko na głód mój i na wasze płakanie, ale i na moje myśli, co mnie spokojności nie dawały. A jak ja nie miał roboty i musiał przez cały dzień patrzeć w okno i czekać, czy kto zarobku do mojej chaty nie przyniesie, to ja myślał: skąd biorą się obłoki, co tam w górze płyną? co z ziemi wypycha trawę zieloną? jak wyglądają kraje, od których przelatuje ten wiatr, co szumi, i jakie ludzie w krajach tych mieszkają i czy dobre? Ot jakie były moje myśli i jaka była moja dusza. A ta moja dusza, co była jak niewolnik, i jak ptak ślepy, i jak liść po świecie latający, spotkała się teraz z duszą rabbi Barucha. On dobry, on mądry, on dużo wie! Jak ja z nim zaczął rozmawiać, to mnie w oczach zrobiło się jasno i ja dowiedział się wielu rzeczy, o które dawniej moja dusza pytała się daremnie. Ale ona długo była w niewoli, i długo była ślepa, to wszystkiego odrazu ogarnąć i zobaczyć nie mogła. Ona widzi wiele zdaleka... zdaleka.. ale jej niełatwo zobaczyć zblizka. Ja o twoim Abramku myśleć będę, a o twoją omyłkę zapytam się rabbi Barucha...

Starzec nie domówił jeszcze słów ostatnich, gdy przez drzwi od sieni wsunęła się do izby głowa Sury, o rudej peruce i tiulowym czepcu.

— Ty tu, Eli? — zapytała Żydówka. — Kim geszwind, tam wszyscy czekają na ciebie, a Lejbie i Mendelowi w drogę już czas.

Eli, który słów ojca słuchał w zamyśleniu wielkiem, niczem jednak nie zdradzając, czy sens ich wyrozumiał dobrze, na głos Sury powstał i, jak przy powitaniu, głośny pocałunek złożywszy na ręku starca, udał się za siostrą, na drugą stronę domostwa.

Drugą tę stronę zamieszkiwali siostra i brat Elego, Sura i Mendel.

Sura miała w środku miasta sklep bławatny i w nim, wraz ze starszemi wnuczkami, dni przepędzała. Gdy sklep zamykał się, wracała na noc tu, gdzie gospodarowały i skąd nie oddalały się ani na chwilę inne dzieci jej i wnuki.

Mendel, wielki faktor, miewał tysiące interesów w mieście i po wsiach.

Nie bywało go tygodniami całymi w domu, w którym przebywała i szyciem trudniła się żona jego, otoczona kilkorgiem dorosłej, dorastającej i drobnej dziatwy.

Jedna izba i dwie izdebki, składające mieszkanie dwu tych rodzin, napełnione były łóżkami z piętrzącą się na nich puchową pościelą i trochą innych, niewykwintnych sprzętów.

Wieczoru tego w bocznej małej izbie palił się na kominie ogień, przy którym Mendlowa gotowała wieczerzę, a Sura, siedząca na stołku, robiła błękitną pończochę.

Dziewczęta, zebrane w kącie, szeptały i chichotały; dzieci jedne spały na ławach, inne poobsiadały ognisko, młodziutki zaś bezwąsy Żydek pobrzękiwał na skrzypcach, i cichem nuceniem zawodził jakąś pieśń szabasową.

W pierwszej izbie, przy świetle dwóch świec łojowych, zapalonych w mosiężnym świeczniku, u sufitu wiszącym, siedziało dokoła długiego, wązkiego stołu kilku brodatych mężczyzn, w długich chałatach, z jarmułkami na głowach.

Na stole stała butelka z miodem i talerz z czarnym chlebem, z pokrajaną cebulą i czosnkiem.

Wieczoru tego, wskutek wyraźnych zleceń Elego, Mendel był w domu. Szczupły, nizki i ognisto ryży, siedział on z brodą na dłoni opartą i głośnym szwargotem żywą wiódł rozmowę z Efroimem.

Obok Efroima, stroskany widocznie i niespokojny, giestykulował Lejba, młynarz z Orchowa; dalej jeszcze, milczący, krył się w cieniu Josiel, ów dawny dzierżawca Ręczyna, który, od lat kilku, rzuciwszy gospodarstwo rolne, trudnił się teraz dzierżawą gorzelni po szlacheckich dworach.

Gdy Eli wszedł do izby, wszyscy obecni z miejsc swych napół się popodnosili i ręce do powitalnego uścisku wyciągnęli.

— Wie gehts? Wie gehts? — zabrzmiało chóralne zapytanie.

Z czoła Elego zniknęła chmura, która osiadła była na niem, gdy rozmawiał z ojcem o Abramku.

— Dobrze idzie! dlaczego ma źle iść? — zwykłą swą w podobnych razach odpowiedź powtórzył Eli.

— Szczupaki wpadają do *stawu*? — zaśmiał się Mendel, błyskając ku bratu szaremi, przebiegłemi oczyma i ukazując w uśmiechu białe zęby.

— Dlaczego nie mają wpadać? — uśmiechnął się Eli i z rękoma, w kieszenie ubrania włożonemi, stanął przy stole.

Na atłasowej kamizelce jego błyszczał złoty łańcuch od zegarka, na białą i cienką koszulę opuszczały się z pod uczesanej bródki końce jedwabnego krawata.

O ile też ubranie Elego odznaczało się pomiędzy otaczającymi go wyższym stopniem smaku, zamożności i staranności, o tyle w całym układzie jego, spokojnym a poważnym, przebijała wyższość rozwagi, inteligencyi i pewności siebie.

Po pierwszych zamienionych słowach powitalnych przystąpiono do interesów.

— Co będzie? — zapytał Lejba. — Jak ty był, Eli, latem w Orchowie, to ty mnie powiedział, że może ja wezmę młyn od Orchowskiego i zapłacę jemu za trzy lata z góry, a może nie wezmę i nie zapłacę. On mnie drugi raz już mówił, żebym ja brał i płacił. Co ja mam robić?

— Nie brać i nie płacić — odpowiedział Eli.

— Ny, a co ze mną będzie? — wykrzyknął Lejba.

— Już ty o to nie lękaj się; ja z białowolskim ekonomem gadał. Ty jedź zaraz do Białowoli i proś, żeby tobie młyn puścili, a ja tak już zrobił, że oni tobie jego za połowę ceny puszczą.

— *Gil!* — z zadowoleniem zupełnem zawołał Lejba. — A kogo ty w orchowskim młynie posadzisz?

— Ja teraz nikogo tam nie posadzę i nikomu z naszych nie pozwolę, żeby tam siadł dopóty, dopóki Orchowski swego majątku nie sprzeda... a jak on jego sprzeda, to ja tak zrobię, że ty, Lejbele, znowu ten młyn będziesz miał i taniej, niż od Orchowskiego.

— Orchowski majątku swego nie sprzeda — ozwał się twierdzącym tonem Mendel faktor.

— Dlaczego? — zapytał Eli.

— Dlatego, że on długów już tak jak nie ma, a co jego do sprzedania przymusić może, kiedy nie długi?

— On jeden jeszcze wielki dług ma — wymówił Eli.

— Ny, jaki?

— Siostry.

— Albo to siostra będzie u niego dopominać się?

— Może i będzie.

— Ny, a jak ona u niego dopomni się, to co to wielkiego? On las swój sprzeda i jej zapłaci. On do tego czasu nie chciał sprzedawać, bo myślał, że jak zbierze *pieniądzów*, to sam wyrąbie i do Gdańska pośle; ale jak jego przycisną, to on sprzeda i siostrze zapłaci.

— A komu on las ten sprzeda? — zwolna wymówił Eli.

— Mało komu on może sprzedać? Bogatych kupców u nas, dziękować Bogu, jest dosyć.

— A kto kupcom las jego do kupienia nastręczy? A kto starać się będzie o to, żeby oni z sobą na cenę zeszli się?

— Jakto kto? ja nastręczę i ja postaram się. Tam *borysz* dla faktora wielki będzie.

— A ja tobie mówię, Mendele, że ty kupca jemu stręczyć nie będziesz i tym małym faktorom, co ty ich znasz i co oni łaski twojej potrzebują, zakażesz, żeby tego nie śmieli robić.

Wbrew wszelkiemu oczekiwaniu, Mendel, zamiast sprzeczać się i protestować, głową na znak porozumienia kiwał, a oczyma przebiegłemi błyskał, jak ktoś, przed kim otwiera się miła bardzo perspektywa.

Gdy Eli mówić przestał, Mendel obrócił się ku Josielowi i zawołał:

— Hast du gehört? on wielki jakiś interes w głowie swojej obraca i dlatego z nami tu wszystkimi dziś gadać chciał. My jego powinni słuchać, bo z tego wielkiego interesu wypadną *wielkich korzyściów* i dla niego i dla nas.

Josiel wysunął się z cienia.

— Eli! — zaczął swoim powolnym, łagodnym tonem — jak ty latem u nas w miasteczku był, to ty mnie prosił, żebym ja gorzelni u Orchowskiego w *Septembrze* nie brał. Ale teraz już *Oktober* i pora wielka ją wziąć. On do mnie dwa razy przysyłał, pytając się, czemu ja nie przyjeżdżam i gorzelni nie biorę, bo on sam nie ma jej za co pędzić...

— Na co tobie gorzelnia orchowska? — zapytał Eli — albo ja nie mówił Mendelowi, żeby tobie w tym roku dwie inne gorzelnie nastręczył?

— Ny, ja jemu też nastręczył i on i c h wziął! — zawołał faktor.

— Ale ja mam za co i trzecią jeszcze wziąć — rzekł Jo-

siel. — Ja u Orchowskiego siedm lat gorzelnię trzymał; on dobry bardzo człowiek i nigdy mnie nie skrzywdził, to mnie jego szkoda... Jak moja mała Surka przeszłej zimy zachorowała, to jego żona przynosiła jej sama lekarstwa, a jak mnie raz trzeba było akcyzę płacić i ja w wielkich kłopotach był, bo mnie dwustu *rublów* zabrakło, to on mi pożyczył. On mnie nigdy złego słowa nie powiedział, a jak spotkał kiedy na dziedzińcu, to zawsze ukłonił się i powitał: »dzień dobry, panie Josiel!« Oni oboje d o b r e ludzie, Eli, grzeczne, akuratne i staranne. Dlaczego ja nie mam z nimi po staremu w przyjaźni żyć i gorzelni u nich trzymać?

Mowy tej spokojnego i uczciwego Żyda Eli wysłuchał ze spuszczonemi oczyma i schmurzonem czołem.

Widocznem było, że obraz jakiś, widziany przez niego niegdyś a zapomniany, stanął przed jego pamięcią, że wątpliwość jakaś, czy skrupuł, ozwały się w nim znowu. Trwało to jednak krótko.

Usiadł na ławie i rozpoczął z Josielem rozmowę, która, cicho zrazu prowadzona, stawała się coraz głośniejszą i żwawszą, a skończyła się na tem, że Josiel, przyjęte na chwilę, oporne stanowisko swe opuścił i przyrzekł nie dzierżawić już gorzelni orchowskiej.

Urządziwszy w ten sposób interesa, mające styczność z przyszłymi losy Orchowa i jego mieszkańców, Eli toczył jeszcze z Efroimem długą a cichą rozmowę, w której powtarzały się często nazwiska Ręczyna i Poryckiego.

Gdy nakoniec, spojrzawszy na swój złoty zegarek i pożegnawszy krewnych a sprzymierzeńców swych, znalazł się przy drzwiach od sieni, Mendel zastąpił mu w progu.

— Eli! — szepnął — czy ty z tego orchowskiego interesu *wielkich korzyściów* mieć będziesz?

— Żebym ja z niego *wielkich korzyściów* nie miał mieć, to jabym jego nie dotknął się — odparł Eli.

— A kto kupi Orchów? — zagadnął Mendel.

— Kto jego kupi? jego kupi wielki magnat, co zawsze w stolicy siedzi, a do swego majątku tylko latem na trzy miesiące przyjeżdżać będzie. On za ten majątek zapłaci tyle, ile my zechcemy, a potem on będzie w stolicy siedział, a my będziemy u niego kupować i sprzedawać, i posesye puszczać...

— Jak zechcemy i komu zechcemy... — dokończył Mendel. — *Git*, Eli, *git!* to wielki interes!

— Tylko ty, Mendele, o tem nie gadaj: bo interes zawczasu rozgadany, to jak garść piasku na wiatr rzucona... ludzie rozniosą go na językach i zniknie jak piasek!

* * *

Gdy Eli w głębi żydowskiej dzielnicy z ojcem swym i krewnymi wieczór przepędzał, Ildefons Porycki, po kilku godzinach, u pani Malwiny spędzonych, wrócił do hotelowego mieszkania swego.

Zaledwie, usiadłszy przy stole, położył przed sobą przyrządy do pisania, otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł młody, zgrabny chłopak, z bladawą twarzą i grzecznym uśmiechem.

Porycki powstał i, patrząc na nieznajomego, oczekiwał go przy stole w pytającej postawie.

Nieznajomy zbliżył się. Ruchy jego były śmiałe i zręczne, jakkolwiek cechowało je silenie się na wytworność dość złego smaku.

— Przepraszam pana bardzo, — ozwał się przybyły — że przychodzę tak późno. Niech pan nie myśli, żebym ja nie wiedział, że ta pora nie jest stosowną do wizyt. Ja o tem wiem; ale ja słyszał, że pan przez cały dzień bardzo zajęty, i że teraz tylko można pana w domu zastać.

Słowa te wymówione zostały dość poprawną polszczyzną, w sposobie jednak wymawiania litery r i w pewnych właściwościach składni zdradzało się pochodzenie izraelskie młodego człowieka.

— Z kimże mam przyjemność? — zaczął Porycki.

Przybyły pochwycił:

— Jestem Gottlieb Makower. Przyszedłem do pana z interesem... to jest... z prośbą raczej...

Porycki wskazał krzesło nieoczekiwanemu gościowi swemu i patrzył na niego pytającym wzrokiem.

— Ja słyszał — zaczął gość, siadając i nie wypuszczając z ręki czapeczki swej ze srebrnym galonikiem — ja słyszał, że pan wielkimi interesami zajmuje się i wiele bardzo pięknych stosunków ma. Otóż przyszedłem prosić pana, czy nie mógłby pan przyjąć mię do pomocy...

Porycki słuchał uważnie i spoglądał na czapkę z galonikiem.

— Jak widzę, — rzekł po chwili — pan zajmować musisz urzędowe miejsce jakieś.

— Jestem telegrafistą — odparł syn Elego, pogardliwie usta składając. — To mój ojciec, widzi pan, chciał tego, żebym ja telegrafistą był... On myślał, że to dla mnie i dla niego wielki honor będzie; ale ja w tem honoru żadnego nie widzę. I co to, proszę pana, za miejsce, na którem człowiek niczego dorobić się nie może?

— Czegoż pan mianowicie żąda? — zapytał agent główny.

Abramek uśmiechnął się i namyślał przez chwilę.

Potem zaczął:

— *U nas Niemców*, proszę pana, to już taka natura, że nic nie powinno marnować się, ani zdolności ludzkie, ani pieniądze, tylko ze wszystkiego powinien być zrobiony użytek taki, żeby korzyść jakaś była. Mnie się zdaje, że ja mam zdolności do interesów... Pieniędzy to ja także trochę mam...

— Czy pan robiłeś już kiedy jakie obroty?

— Bardzo małe, ale robiłem. Moi rodzice bogaci, i pieniędzy dają mi zawsze dość... oni wiedzą, że młodemu człowiekowi, takiemu jak ja, pieniędzy zawsze trzeba... Ja też dla siebie niczego nie żałuję i dobrze sobie żyję; ale zawsze, jak mi się zostaje trochę pieniędzy, to je na procent pożyczam... takim sposobem one u mnie rosną...

— Widzę, że w istocie masz pan do interesów zdolności i chęci. I wielkie pan od kapitałów swych pobierałeś procenty?

Abramek spuścił na chwilę oczy.

Prędko jednak podniósł je na twarz swego interlokutora i rzekł śmiało:

— Ja nie będę przed panem kłamał, bo wiem, że pan jesteś człowiekiem rozumnym. Brałem takie procenty, jakie mogłem wziąć... Wszak im większe korzyści człowiek ma, tem lepiej. N'est-ce pas, monsieur?

Wymawiając francuskie wyrazy, wydął nieco usta, ale zarazem i mrugnął figlarnie.

Porycki wiódł rozmowę tę całą z obojętnością, która w podobnych razach wcale mu zwyczajną nie była.

— A jakież pan zebrać już zdołałeś kapitały? — zapytał.

— No, niewiele... blizko tysiąc rubli...

— Mówiąc to, Abramek zarumienił się, ze wstydu zapewne, że tak mało posiadał.

— I cóż pan chcesz, żebym ja z pańskimi pieniędzmi i zdolnościami zrobił? — zapytał Porycki.

— Jabym prosił, żeby pan pieniądze moje przyłączył do tej sumy, którą »Dom pośrednictwa« obraca. One tam pewne będą i większe korzyści przyniosą. A zdolności moje niech pan weźmie i niech one panu w każdej robocie pomagają... Ja mogę wszędzie pojechać i dowiedzieć się, i nastręczyć, i wyliczenie każde zrobić... a pan mi za to pomoże coraz wyżej iść.

— A cóż będzie z miejscem, przez pana zajmowanem?

— Ja to miejsce porzucę! To głupie miejsce, nudne, i nic nic nie daje. Biorę sześćset rubli pensyi na rok, ale co to znaczy? Jeżeli pan nie spełni mojej prośby, to i tak ja to miejsce porzucę i do Niemiec wyjadę. *U nas w Niemczech* o interesa i o karyerę łatwiej.

Porycki powstał z krzesła, co zmusiło i Abramka powstać także.

— Wszak, jeżeli nie mylę się, pan jesteś synem Elego Makowera?

Abramek zarumienił się znowu i szkarłatniej jeszcze, niż wprzódy.

Wstydził się snadź pochodzenia swego i miał nadzieję, że Porycki, tego wieczora przynajmniej, zostanie pod tym względem w miłej dla niego niewiadomości.

— Otóż — zaczął znowu agent główny — przykro mi to, ale ja żądania pańskiego spełnić nie mogę. Gdyby ojciec pański życzył sobie tego, żebyś pan do interesów naszych należał i na tej drodze karyery dla siebie szukał, niechybnie wspomniałby mi o tem cośkolwiek. Skoro zaś nic mi o tem nie mówił i, jak pan powiadasz, umieścił pana w biurze telegraficznem, to ja wbrew życzeniom jego postępować nie mogę.

— Przepraszam pana — przerwał Abramek, rozrumieniony cały i z błyszczącemi oczyma — mnie to bardzo dziwi, że pan tak mówi. Pan jesteś człowiekiem rozumnym. Nie może być, żeby pan wierzył w to, co starzy ludzie gadają. My dobrze wiemy, że dla młodzieńca dorosłego i edukowanego ojciec jest takim samym człowiekiem, jak każdy inny człowiek. Na co ja koniecznie mam słuchać tego, co mnie jakiś tam człowiek mówi.

W głębi duszy Porycki był takiego samego, jak Abramek, o stosunkach rodzinnych przekonania; ale, z jednej strony, nie obiecywał on sobie ważnych pożytków z usługi i zdolności Abramka, z innej zaś, za nic w świecie nie chciał poróżnić się

z Elim, wielce mu pomocnym i bardzo, w pewnych względach groźnym: to też bez namysłu najlżejszego odrzekł:

— Pozwól pan, abym nie wypowiadał mu przekonań swoich. Jeżeli ojciec pana objawi mi życzenia, zgodne z pańskiemi, gotów jestem uczynić, co tylko będzie w mojej możności; w przeciwnym jednak razie, nie mogę służyć panu w niczem.

— Czy to ostatnie pańskie słowo? — zapytał izraelski młodzieniec, drżący z upokorzenia i tłumionego gniewu.

— Ostatnie — kłaniając się lekko i tonem bardzo stanowczym wyrzekł agent główny.

Syn Elego oddał mu szybki ukłon i wyszedł.

Z gorącymi rumieńcami na policzkach, z oczyma żarzącemi się, jak głownie, zbiegł ze schodów, u których na dole oczekiwał na niego Klemens Szyłło.

— I cóż? — zapytał śpiesznie człowiek bez kondycyi.

Dwaj młodzi ludzie, ściśle, jak się zdawało, sprzyjaźnieni ze sobą, wyszli na chodnik ulicy. Abramek miął w dłoni rękawiczkę.

— Cóż? — powtórzył Klemens — może jutro pojedziemy razem do stolicy?

— Gdzie tam! ani słuchać o niczem nie chciał! Ojciec wszędzie w drodze mi staje! ten głupi, ciemny Żyd!

Cienie nocne pokryły uśmiech szyderski i złośliwy, który przesunął się po ustach Klemensa.

Po chwili, syn Augustyna Szyłły zlekka towarzysza po ramieniu uderzył i rzekł:

— Ot, wiesz co, Abram... Gottliebie! żebym ja był na twojem miejscu, tobym już ze starym dał sobie rady.

— Kto z nim da sobie rady? On twardy, jak kamień! On tylko o honorach dla mnie myśli, a sam to worami pieniądze zbiera.

— Otóż ja wydusiłbym z niego część tych pieniędzy.

— Nie daje — sarknął Abramek.

— Wziąłbym sam! — po chwili namysłu i bardzo cicho szepnął człowiek bez kondycyi.

— Zamyka!

Odpowiedzi nie było.

Kiedyś, kiedyś znaleźć się ona miała może we własnej głowie Abramka.

Tym jednak razem zawołał on z uniesieniem:

— Ot, wezmę to, co mam, i pojadę do Niemiec! Już mi to małe miasteczko, i ten telegraf, i ci ciemni Żydzi ze swemi ło-

kszynami i szabasami nadojedli! Mnie trzeba świata użyć i karyerę zrobić! Ja tu nie wytrzymam!

— Jak będziesz wyjeżdżał do Niemiec, czy weźmiesz mnie ze sobą? — żartobliwie rzekł Klemens.

— Ot, kiedy to jeszcze będzie! — głęboko westchnął syn Elego. — Tymczasem trzeba mi do biura na nocny dyżur iść! Tausend Teufel!... Słuchaj, Klemensie! przywieź mi ze stolicy pół tuzina rękawiczek nowych, tylko żeby kolory były piękne. A może ty dla mnie i jaki interes znajdziesz?

V.

Noc była grudniowa, lekko mroźna i pogodna.

Nad ręczyńskim dworem, po błękitach, przysłonionych srebrzystą mgłą, płynął księżyc w pełni i oświecał jeden z najpiękniejszych krajobrazów.

Rozłożyste, wspaniałe drzewa starych, wielkich ogrodów, oblepione szronem, iskrzyły się dyamentowo; poniżej splątana gąszcz krzewów i roślin młodych przybierała w cieniu kształty, dziwnej fantastyczności i rozmaitości pełne. Gładkie, skaliste, wysokie brzegi Niemna jaśniały nieskazitelną bielą alabastru; u stóp ich, głęboko w dole, martwo leżała szeroka wstęga lodu i słychać było cichy, lecz gwałtowny szum wód, które burzyły się i wrzały pod błyszczącą swą powłoką z kryształu. W majestatycznym spokoju i kamiennej niby nieruchomości, stała w pobliżu długa, ciemna ściana ciemnego boru; po białych wzgórzach szumiały zcicha samotne sosny.

Kędyś w oddali, wśród szerokich rozłogów pól, wśród wierzb rosochatych, rosnących nad krętymi szlakami dróg, w wąwozach, wyżłobionych wiekową pracą fal wodnych, w dolinach, kędy rozrzucone czerniały wioski i gaje, wiatr, sunący ciężko i nizko, huczał gamą głuchą, nieprzerwaną.

We dworze było miejsce jedno, z którego można było okiem ogarnąć cały ten krajobraz. Znajdowało się ono tuż za pałacem, u skraju wzgórza, po którego stokach zbiegały szerokie i długie perspektywy ogrodowych alei, u którego stóp rozwierały się ściany skaliste, lub dzikimi krzakami obrosłe, graniczącego z Niemnem wąwozu...

W miejscu tem było leciuchne drewniane ogrodzenie,

strzegące kroków ludzkich od poślizgnięcia się po stromej spadzistości.

Teraz, o ogrodzenie to wsparty, otulony przed zimnem futrzanym paltotem, stał Konrad Ręczyc. Była to ostatnia noc, którą syn pani Malwiny przepędzał w rodzinnem swem miejscu. Ręczyn przed kilku tygodniami sprzedany został grafowi K..., a nazajutrz przybyć tu miał ktoś ze stron dalekich i, w imieniu nowego dziedzica, majątek ten w posiadanie objąć.

Przez czas ubiegły Konrad był bardzo spokojny i zadowolony.

Zdawało mu się, że raz na zawsze pozbył się trosk i przykrości, które, w ostatnich szczególniej czasach, ze wszech stron go oblegały.

W kieszeni też posiadał dość znaczną sumę pieniędzy, na drugą zaś, znaczniejszą jeszcze, wydano mu w obecności pełnomocnika jego, Augustyna Szyłły, urzędowy dokument. Zresztą przyrzekano mu, że wkrótce stanie on się dziedzicem innego majątku, w sąsiedniej prowincyi położonego, pięknego, bez długów, z mnóstwem łąk, na których wypasać się może liczna stadnina koni.

Zastanowienie się i obrachowywanie szans przyszłości nie leżało ani w umyśle, ani w charakterze syna pani Malwiny. Porycki, Eli i Efroim dowodzili mu, że sprzedaż Ręczyna była interesem świetnym, pełnomocnik jego nie zaprzeczał temu; Konrad więc wierzył, cieszył się i pełnem nadziei okiem w przyszłość swą spoglądał.

Na tem niebie pogodnem była przecież chmurka drobna, lecz dosyć ciemna.

Konrad wiedział, iż kilku wierzycieli jego, których należności nie były dostatecznie ulegalizowane, nic nie otrzymało, że cała sprawa sprzedaży urządzona została przez Elego i Ildefonsa tak cicho i skrycie niemal, że wierzyciele owi nic wcale dotąd o niej nie wiedzieli.

Szacherka ta urządzona była gwoli oszczędności grafa K..., który, wbrew hojnemu i na wydatki nie zważającemu baronowi R..., o tyle większą zapłatę przyrzekał swym agentom, o ile mniejszą sumę wydadzą na nabycie Ręczyna. Suma ta mogła być umniejszona dwoma sposobami: usunięciem na bok niedostatecznie ulegalizowanych należności, i wydaniem z kolei Konradowi i jego matce dokumentów, z opuszczeniem ważnej jakiejś formalności, którąby je w oczach prawa nieważnymi czyniła. Oba sposoby te użyte zostały.

O drugim Konrad nic naturalnie nie wiedział; o pierwszym nic wiedzieć nie mógł, lecz dobry popęd jego, odradzający mu popełnienia tak krzyczącej niesprawiedliwości, zwyciężony został perswazyami Elego, sofizmatami Ildefonsa, namowami szczególniej i radami powiernika jego i ulubieńca Efroima, tą wreszcie uwagą, że, koniec końcem, gdy tylko zechce, będzie mógł długi owe, przy akcie sprzedaży ukryte i pominięte, spłacić częścią pozostałej mu gotówki.

— Naturalnie, że spłacę je! — myślał Konrad, chowając do pugilaresu pieniądze, wręczone mu w imieniu nabywcy przez Poryckiego.

W podzinę po otrzymaniu pieniędzy tych, rzekł nawet do Efroima:

— Jak myślisz, Efroimku? możeby posłać po pana Pawła Szyłłę i tych tam innych... Niech przyjdą i pieniądze swoje wezmą!

Efroim perswadował, że to nic pilnego i że na to zawsze czas będzie.

Porycki zaś twierdził, że ludzie ci niebawem dowiedzą się o sprzedaży i sami po należności swoje przyjadą. Czyniąc to przypuszczenie, patrzył znacząco na Efroima, który dawał mu także oczyma znaki porozumienia.

Widać było, że agent główny i dzierżawca Ręczyna wiedzieli dobrze, w jakim czasie pokrzywdzeni przybyć mają do krzywdziciela.

Konrad, zajęty planami otwierającej się przed nim nowej przyszłości, zabawiony przez Efroima niekończącemi się nigdy a ulubionemi mu gawędami, zapomniał o całej tej sprawie; chwilami jednak odzywało się we wnętrzu jego coś, jakby wyrzut sumienia.

Wtedy uspokajał się myślą, że nic straconego przecie niema, że w każdej chwili gotów jest długi spłacić i krzywdy naprawić.

. . . . . .

Teraz jednak, gdy syn pani Malwiny, wsparty o drewniane ogrodzenie, stał na najwyższem miejscu dawnej swej posiadłości, i okiem ogarniał wspaniały, roztaczający się dokoła krajobraz, z myśli i pamięci jego wyszły wszelkie finansowe sprawy, a z serca zniknął błogi spokój, dzświadczany przezeń dotychczas...

Dlaczego przyszedł tu?... nie wiedział o tem dobrze, jak

nie wiedział nigdy o niczem, co robił kiedykolwiek. Jakiemi były mianowicie uczucia, które go tu przywiodły i których doświadczał w tej chwili? jak nazywały się one i z jakiego płynęły źródła? nie zdawał on sobie z tego sprawy i zdawać nawet nie usiłował. Czuł tylko, że mu było smutno, że piersi jego nurtował wyrzut i targał go za serce w sposób dotkliwy.

Siła jakaś, nieokreślonej dla niego i niepojętej natury, ciągnęła go wieczora tego poza ściany pałacu, ku tym ogrodom, wzgórzom i polom, które mógł widzieć w całej ich rozciągłości z nad stromego brzegu wąwozu. Przyszedł, stanął, oparł się o ogrodzenie i patrzył...

Wspomnienia cofnęły go o lat wiele, aż do samego początku jego życia.

Widział siebie dzieckiem małem, igrającem pod cienistemi sklepieniami tych starożytnych alei ogrodu; potem chłopięciem dorastającem, cwałującem konno, na czele rówieśników, po tych drogach krętych, nad któremi teraz wstrząsały zlekka stare swe wierzchołki wierzby rosochate. Tam była grusza dzika, pod której cieniem, zmęczony długą myśliwską wycieczką, spoczywać lubił; a tam znowu czerniały wielkie bory i lasy, na których, odkąd żył, machinalnie, lecz codziennie wzrok swój zatrzymywał.

W umyśle jego drzemiącym i obezsilonym życiem bezmyślnem pracowała jednak w tej chwili siła jakaś tajemnicza, rozkazywała mu szukać wzrokiem po widnokręgu miejsc ulubionych, budziła wyobraźnię jego, która ku miejscom tym przywoływała wszystkie uroki wiosny i młodości, maiła je, złociła i stawiała mu je przed oczy w postaci utraconego raju.

Siła ta nie była niczem innem, tylko instynktownem, z naturą ludzką nierozdzielnem uczuciem przywiązania, spajającem człowieka z tymi zewnętrznymi widokami i żywiołami, wśród których wzrastała i kształciła się fizyczna i moralna istota jego.

Konrad nie był człowiekiem zepsutym; był raczej dorosłem dzieckiem, wiedzy, rozwagi i woli pozbawionem. To też, obok owego instynktowego uczucia, przez które wydawało mu się, jakoby pomiędzy nim a krajobrazem tym węzeł jakiś rwał się boleśnie i niemal dotykalnie, obok uczucia tego, i silniejsza od niego ozwała się w nim jeszcze dolegliwość inna.

Pomyślał, że za dni parę po tych alejach, wzgórzach i dolinach ślicznych stąpać będą kroki ludzi obcych, że pośród ścian dawnego domu jego zabrzmią głosy obce, że kroki te i głosy on sam tu sprowadził...

Coś niewyraźnego, nieokreślonego, coś, o czem słyszał nieraz, co sam w chwilach pewnych przelotnie uczuwał... podniosło się teraz we wnętrzu jego i zabolało go w piersi. Jakieś dźwięki dobrze znane, lecz o których nie pamiętał nigdy, brzmiały mu teraz w uchu; jakieś uczucia, z krwią może odziedziczone, w najtajniejszych dla niego samego głębiach serca drzemiące, obudziły się i przemówiły...

Uczuł nagle to, czego nigdy nie czuł — uczuł wstyd i żal...

Oparł na dłoni zrumienione czoło, westchnął i sam do siebie zawołał:

— A to, jak Boga kocham! ktoby się kiedy spodziewał, że ja to zrobię!

Wymawiając słowa te, podniósł rękę do oczu, bo zwilżyły się one kilku gorącemi łzami.

W tej samej chwili jednak podniósł szybko głowę i zdawał się przysłuchiwać czemuś z uwagą i nagłem zaniepokojeniem.

Za pałacem i dworskim dziedzińcem, w pobliżu gdzieś folwarcznych zabudowań, ozwał się wśród ciszy nocnej turkot kół, głucho dudniących na przymarzłej, cienką tylko warstwą śniegu okrytej ziemi.

Po tym odgłosie nastąpił inny podobny.

— Ktoby to mógł przyjeżdżać o tej porze? — rzekł do siebie Konrad.

Przykro zaniepokojony, opuścił ogrodzenie, o które wspierał się dotąd, i szybkim krokiem zmierzał ku pałacowi.

— Ktoby to mógł przyjeżdżać o tej porze? — w tej samej chwili zapytywał w głębi pałacu pieszczony głos Lili.

Siedziała ona przy kominku, na którym palił się ogień, otulona ciepłym szalem, od blasku i gorąca płomieni osłoniona napół ekranem.

Naprzeciw niej, z książką w ręku, którą głośno czytał, siedział Ildefons Porycki.

Dokoła dwojga ludzi tych panowała cisza głęboka i samotność zupełna.

Poza pokojem, w którym się znajdowali, oświetlonym przyćmioną lampą i blaskiem kominkowego ognia, salony i saloniki pogrążone były w ciemnościach i nieładzie, zalegającym zwykle wszelkie siedliska ludzkie w przeddzień ich opuszczenia. Ładne sprzęty, strojące je niegdyś, w części zniknęły, w części ustąpiły miejsca licznym skrzyniom i pakom, zawierającym

w sobie przygotowane do jutrzejszych przenosin przedmioty. U stóp głównego balkonu stał kocz opakowany, do drogi gotowy. Konie zaprządz do niego miano nazajutrz zrana.

Z cienia, w którym siedziała, patrzyła Lila od godziny już na twarz swego towarzysza, ale daleką była od spostrzeżenia wyrazu oczekiwania i niespokojności, który twarz tę niekiedy przyoblekał.

Porycki, jakkolwiek zajęty głośnem swem czytaniem, przerywał je sobie często, gorącym wymownym wzrokiem obejmował siedzącą naprzeciw niego piękną postać kobiecą, lecz wnet potem przelotne spojrzenie rzucał na okna pokoju i zdawał się wytężać słuch, w celu usłyszenia jakiegoś oczekiwanego odgłosu.

W ogólności agent »Domu pośrednictwa«, bledszy dziś, niż kiedykolwiek, z oczyma silniej, niż zwykle, połyskującemi z za szkieł szafirowych, miał pozór człowieka, ku któremu zbliża się chwila ważna dla niego niezmiernie, chwila ostatecznie rozstrzygać mająca o planach jego, pracowicie ułożonych, różnostronnych, a różnostronnie też i nieskończenie mu drogich.

Gdy turkot dwóch, jedna po drugiej nadjeżdżających bryczek ozwał się na dziedzińcu, Porycki podniósł się z siedzenia i, zanim Lila zapytanie swe wymówić zdołała, z niewyraźnemi jakiemiś słowami na ustach śpiesznie opuścił pokój.

Wyszedł na balkon i potoczył wzrokiem po dziedzińcu gładkim, obszernym, białym teraz od śniegu, jasnym od księżycowego światła.

Wśród światła tego sunęła szybko od strony folwarku ku pałacowi czarna wysoka postać.

Porycki zbiegł z balkonu, i pod ścianą pałacu spotkał nadchodzącego Efroima.

— Cóż? — szepnął bardzo cicho — przyjechali?

— Dwoje już przyjechało — odszepnął Żyd — ale zaraz będzie ich tu więcej.

— A gdzie jest Ręczyc?

— Ja już wiem, gdzie on jest. Ja jego dobrze pilnuję...

— Czy pewny jesteś, że on ucieknie?

— Ny, co to pewny? kiedy ja panu mówił...

— A oni tam przyjdą? — pytał jeszcze Ildefons, wskazując pałac.

— Dlaczego oni nie mają przyjść, kiedy tam jeszcze jest jasna pani? — zasyczał ironiczny szept Żyda.

Z temi słowy wysoka czarna postać zniknęła za załomem muru.

Porycki śpiesznie wrócił do pałacu.

Za murem Konrad oko w oko spotkał się z Efroimem.

— Ty tu, Efroimie?

— A tu! Jasnego pana szukam.

— Kto tam przyjechał?

— Ny! Jasny pan domyślił się? to o n i przyjechali. Ja przyszedł jasnego pana ostrzedz.

— Kto to o n i?

— Ny, o n i, t e kredytory! Najpierwej przyjechała żona Pawła Szyłły, potem ten szlachcic z Kuszelina, co to od niego jasna pani, matka jasnego pana, kiedyś trzy tysiąców rublów pożyczyła...

— Do dyabła! — stłumionym wykrzykiem przerwał były dziedzic Ręczyna.

— A z tym szlachcicem — ciągnął Efroim — przyjechał Mikołaj, dawniejszy kamerdyner jasnych państwa, co to jemu należy się...

— A czy nasłanie jakieś, że się tu oni, jak na zawołanie, wszyscy razem pozjeżdżali? Możnaby myśleć, jak Boga kocham, że ich tu umyślnie kto sprowadził!

Gdyby Efroim nie stał w cieniu, utworzonym przez złom muru, Konrad, jakkolwiek mało bawawczy i przenikliwy, byłby musiał spostrzedz szyderski wyraz, jaki przebiegł po ciemnej twarzy Żyda.

— Co tu robić? — z pochyloną głową zapytał syn pani Malwiny.

— A co robić?... Ich tam moja żona i mój syn zatrzymują na folwarku, jak mogą, ale oni zaraz do pałacu wpadną i krzyku narobią...

Konrad obie dłonie do czoła przycisnął.

— A to, jak Boga kocham, zwaryować można! Człowiek myślał, że, sprzedając ten kawałek ziemi, pozbył się już wszystkich kłopotów i nieprzyjemności, a tu znowu prośby, krzyki, narzekania, od których i serce boli, i wstyd! Ot, wiesz co, Efroimie, zawołaj ty ich do pałacu... ja im wszystko zapłacę i niech będzie już temu raz koniec.

Efroim nie poruszył się z miejsca.

— Za pozwoleniem jasnego pana. Mnie to bardzo dziwi, że jasny pan tak mówi. Czy jasny pan ma milion rublów w kieszeni? Jeżeli jasny pan ma milion, to niech jasny pan

odda im tych dziesięć tysięcy, co im winien; ale kto ma tylko dziesięć tysięcy, to powinien trzymać się ich rękami i nogami, bo jak ich nie będzie, to i chleba nie będzie.

Twarz Konrada, oblana księżycowem światłem, pobladła. Słowa Żyda przywiodły mu przed oczy wyobraźni widmo nędzy, o której możebności nigdy nie myślał, której dla siebie nie przewidywał nigdy.

— Co robić? — szepnął znowu. — Nie mogęż ich tak z kwitkiem puścić. Ludziska biedni... wierzyli nam...

— Wie pan co? — perswadował Efroim. — Jeżeli pan już tak koniecznie chce tego zrobić, to niech im pan zapłaci za rok z tych pieniędzów, co pan ich na obligi u grafa ma, i co panu graf za rok wypłacić obiecał.

Konrad podniósł obie ręce i giestem radosnej poufałości opuścił je na szerokie ramiona Żyda.

— Wiesz co, Efroimie? — ty jesteś, jak Boga kocham, rozumnym człowiekiem. Masz racyę! zapłacę im tymi pieniędzmi, które mi graf za rok odda. Tym sposobem będzie, jak to mówią, i wilk syty i owca cała, bo rzeczywiście... gdybym im teraz oddał gotówkę, to z czegożbym żył!

— Z czegoby jasny pan żył? — powtórzył Żyd. — Kamieniów przecie jaśnie pan gryźć nie będzie.

— I za cóżbym kupił ten majątek w Królestwie, co mi stręczył Eli?

— Jego darmo nie dadzą! — uśmiechnął się Efroim.

— No, to rozmówię się tylko z nimi i powiem im, żeby jeszcze rok czekali...

Z temi słowami chciał postąpić naprzód, ale Efroim drogę mu zastąpił.

— Niech jasny pan tego nie robi, ja jasnemu panu dobrze radzę! Te ludzie bardzo złe i rozgniewane za to, że przed nimi sprzedanie Ręczyna *schowali*. Oni gotowe jasnemu panu różnych niegrzeczności nagadać, albo i gwałtem odebrać pieniądze, co pan ma ich przy sobie.

— Czyż oni mogą uczynić coś podobnego?

— Ny, czemu nie mogą? Człowiek, jak w złość wpadnie, to wszystko zrobić może. A tam nie jeden człowiek, ale kilku...

W tej chwili z folwarcznego dziedzińca doszedł znowu uszu rozmawiających turkot bryczki, czy woza.

— O! jeszcze jeden jedzie! — zawołał zcicha Efroim — to pewno ten ekonom z Białowoli, co pan u niego w prze-

szłym roku tysiąc rublów pożyczył, jak jasna pani do Warszawy jechała.

Konrad znowu za głowę się pochwycił.

— A to skaranie Boskie! ja z nimi rady sobie nie dam... A gotówki oddać przecież nie mogę, bo...

— Ot, niech jasny pan prędko do stajni pójdzie i do tego węgierskiego wózka, co pan wie, parę *koniów* założyć każe... *oni* tam już przygotowane stoją...

— A, jak Boga kocham, Efroimku, masz racyę... czmychnę! Ale któż to kazał konie przygotować?

— Z przeproszeniem pańskiem, to ja sam zrobił. Ja zawsze lękał się, żeby oni tu w ostatniej godzinie nie zlecieli się do jasnego pana, jak te kruki... ja jasnemu panu dobrze życzę.

— Czmychnę! — po sekundzie namysłu i z większą, niż wprzódy, determinacyą wyrzekł Konrad.

— Niech jasny pan prędko idzie, bo oni gotowi nadejść. Ich tam moja żona gadaniem, a mój syn wódką i zakąsywaniem trzyma... ale...

Konrad uczynił kilka śpiesznych kroków, lecz zawahał się nagle.

— A moja żona? — wymówił tonem zapytania.

— Ny! a co jasnej pani tu stanie się? Ją jutro pan agent do N. odwiezie.

— A prawda! Ildefons tam jest. On taki poczciwy! wszystko dla nas zrobi!

— Pan agent wielki przyjaciel jasnego państwa.

— Powiedzże, Efroimku, mojej żonie, że ja tymczasem w N. w hotelu mieszkanie najmę. Niech tam przyjeżdża.

Ostatnie słowa ci dwaj ludzie zamieniali ze sobę, idąc już szybkimi i szerokimi krokami poza parkanem ogrodowym, wymijając starannie folwarczną oficynę, z której dochodziły ich głośne rozmowy kobiet i mężczyzn, a zdążając ku stojącym na uboczu murowanym stajniom.

Gdy tak się działo na zewnątrz, w głębi pałacu, w pokoju o drzwiach i oknach szczelnie pozamykanych, przy ciepłym kominkowym ogniu, siedzieli znowu we dwoje Lila i Ildefons.

Przed kilku minutami, gdy Ildefons śpiesznie wybiegł, aby dowiedzieć się o przyczynie niezwykłych w tej porze, na dziedzińcu odzywających się, głosów, Lila opuściła czoło na obie dłonie i zamyśliła się głęboko. Pierwszy to raz w życiu myślała

ona o rzeczach, nie mających bezpośredniego związku z własną jej osobą.

Stało się z nią coś dziwnego.

Książka, którą wieczora tego czytał Ildefons, nie była romansowej treści, a jednak zdołała obudzić w niej żywe zajęcie, gorączkową niemal ciekawość. Napisana w obcym języku, książka ta rozwijała wyobrażenia, poglądy, teorye, obce ziemi, na którą ze stron dalekich przywiózł ją Porycki, ale dla Lili tem ponętniejsze, że dotąd nieznane.

Gdy Porycki wrócił do pokoju, młoda kobieta podniosła głowę i utkwiła w twarzy jego wzrok niespokojny, pytający.

— Ildefonsie! — szepnęła z głęboką zadumą — nie powiedziałeś mi jeszcze nigdy, ani przeczytałeś, co stanie się potem, gdy wszystkie ustawy, zwyczaje, wyobrażenia ludzkie, dziś istniejące, obalonemi będą przez nowe idee i nowych ludzi? co wtedy nowi ludzie uczynią? co wtedy na ziemi panować będzie?

Była tak zajęta przedmiotem swych rozmyślań, iż zapomniała o niezwykłych w tej porze odgłosach na dziedzińcu i o przyczynie przedchwilowego oddalenia się jej towarzysza.

Po twarzy Poryckiego przesunął się wyraz głębokiego zadowolenia.

W pytaniu Lili, niespodzianie zadanem, ujrzał myśl jej, pracującą i zwracającą się we wskazanym jej przez niego kierunku.

Milcząc jednak i uśmiechając się, zbliżył się do krzesła, na którem siedziała młoda kobieta, i powoli, troskliwie owinął ją szczelnie ciepłym szalem, który, wśród zadumy, opuściła ze swoich ramion. Podziękowała mu uśmiechem, pełnym tłumionej jeszcze, ale nawskroś ją widocznie przenikającej czułości.

Oczy ich spotkały się i ręce połączyły w chwilowym uścisku...

Porycki wrócił na dawne swe miejsce, ale, zamiast usiąść, pozostał w stojącej postawie, z ramieniem wspartem lekko o rzeźbiony gzyms kominka.

Jaskrawe światło płomienia uwydatniało w pełni zarysów kształtną, piękną postać jego i na twarz mu rzucało migotliwe, różowe błyski.

Kibić Lili tonęła w cieniu; popiersie jej tylko, wychylone z za ekranu, błyskało pod światłem ognia złotemi ozdobami, strojącemi pierś jej i głowę, o jedwabistym połysku kruczych warkoczy i dwojga oczu wielkich, czarnych, rozpalonych ma-

rzeniem jakiemś niespokojnem, napoły rozkosznem, napoły dręczącem!

— Ildefonsie! — powtórzyła — nigdy jeszcze w życiu swojem nie myślałam o rzeczach tak ważnych i zawiłych... Ciekawa jestem... co będzie na świecie wtedy, gdy stanie się już to, o czem przed chwilą czytałeś, gdy nie będzie na ziemi ani bogatych, ani biednych, ani ojczyzny, ani rodziny, ani praw, ani obowiązków, ani opinii ludzkiej?... Co wtedy będzie?...

— Wtedy — odparł Porycki — wtedy będą na ziemi ludzie wolni, równi sobie i szczęśliwi. Bogactwa ziemi staną się wspólnem dobrem wszystkich jej mieszkańców. Wszyscy ludzie przystąpią do ogólnej biesiady, którą zastawi im hojna przyroda, i spożywać ją będą w jednej mierze. Zapewne, że do ogólnego śpichrza ludzkości każdy z jej członków przynieść będzie musiał owoc jakiś swych trudów; ale służyć mu za to będzie prawo czerpania z niej dłonią pełną, w stosunku nie do wymarzonych dziś różnic zdolności, wartości czy zasługi, lecz do potrzeb swych i chęci. Owszem, im więcej człowiek jaki upośledzony i pokrzywdzony będzie przez samą przyrodę, tem hojniejszymi okażą się dla niego jego współbracia. Zniknie krzycząca niesprawiedliwość, która dziś bogactwy i dostojeństwy obsypuje tak zwane geniusze i talenta, a skromnych pracowników strąca na szczebel najniższy.

Umilkł na chwilę i patrzył na swą towarzyszkę. Na licu jej, zarumienionem lekko, znać było coraz upartszą i usilniejszą pracę myśli.

— Tak, — wyrzekła po chwili zcicha — dlaczego w istocie ci, którym natura sama dała już wiele, i od ludzi także brać mają najwięcej? Jakiem prawem jedni na świecie opływają w dostatkach, wtedy, gdy inni cierpieć muszą nędzę?

— Nie na tem jednak koniec — ciągnął Porycki. — Jak z chlebem i złotem, tak stanie się i z innem jeszcze dobrem ludzkości, więzionem dziś i od łaknących go ust odrywanem przez rozliczne przesądy. W tym świecie nowym, który wzniesie się na gruzach starego, miłość także będzie wolną. Kierunek jej wskazywać i trwałości mierzyć nie będą żadne, jak dotychczas, prawa, ani względy. Jedynym kontraktem, wiążącym dwoje ludzi, którzy się ukochają, będzie słowo wzajemnego zgodzenia się, przez nich samych wyrzeczone; jedyne prawo, zakreślające termin trwania ich związku, spocznie we własnej ich woli. Człowiek posiada w naturze swej pewną władzę ważną, a zaniedbaną dziś i mnóstwem wymysłów ludzkich zgnębioną. Władzą

tą jest instynkt, siła pierwotna i ślepa, niemniej przecież wiodąca człowieka tam zawsze, gdzie istnieją najobfitsze dla niego źródła uciechy i użycia. Zbrojny we władzę tę, która zwolniona z pęt swych dotychczasowych, zaostrzy się i udoskonali, człowiek z łatwością odnajdywać będzie pokrewne sobie organizmy i zawierać z nimi przymierza miłości i szczęścia tak długie, jak długo trwać w nich będą miłość i szczęście...

Lila słuchała z pochylonem czołem i nieruchomo splecionemi dłońmi.

— Nie będzie więc już tego na świecie, co dziś nazywa się rodziną?

Słowa te wymówiła bardziej do siebie, niż do towarzysza swego; ale pochwyciło je na jej ustach baczne ucho Poryckiego.

— Owszem, — rzekł — rodzina istnieć będzie, ale w kształcie wielkim, szerokim, potężnym. Członkami jej będą wszystkie ludy świata tego i wszystkie jednostki, z których ludy te składają się. Granice, rozdzielające dziś różne kraje, zmazane będą bez śladu. Pojęcie o wyłącznej i ciasnej ojczyźnie zniknie z umysłów ludzi, a zastąpi je szeroka i uswobodniająca idea kosmopolityzmu. Ojczyzną człowieka nie będzie już ten kąt świata, w którym traf urodzić się i wzrość rozkazał, ale ten, który naturą swą najlepiej odpowie naturze życiowych dążeń i wymagań jego. Zarówno też przewodnikami i najbliższymi przyjaciółmi ludzi nie będą te jednostki, które traf narzucił im na ojców, siostry, braci, ale te, które uzna on godnemi czci i szacunku, wedle własnego wyboru swego. Rodzice i dzieci, siostry i bracia, zajmą względem siebie stanowiska ludzi zwyczajnych. Zamiast rodzicielskich domów, powstaną wielkie publiczne zakłady, które wychowywać będą młode latorośle ludzkie, od dnia urodzenia ich, aż do dojrzałości. Zbiorowe wychowanie to oswobodzi raz na zawsze ludzkość od marzycielskich a niesprawiedliwych wyłączności uczuć i przywiązań, oswobodzi ją i od czegoś innego jeszcze, a stokroć nad wszystkie inne ważniejszego i okrutniejszego — od ciężkich kajdan... obowiązku!

Umilkł znowu na chwilę.

Błyszczące oczy jego spotkały się z szeroko roztwartemi, uważnemi aż do wytężenia, pałającemi aż do roznamiętnienia, oczyma Lili.

— Tak — powtórzył z twardą i uroczystą niemal stanowczością w głosie. — Ze zniknięciem pojęć własności, ojczyzny i rodziny, z upadkiem powag umysłowych, narodowych i domo-

wych, zniknie zarazem i pojęcie obowiązku, to straszne pojęcie, które w piersi ludzkie wkłada tę żmiję gryzącą, co dziś nazywa się sumieniem, które pomiędzy człowiekiem a szczęściem jego buduje ściany z granitu i wystawia szeregi przeróżnych postrachów.

Tym razem szczery zupełnie i namiętny zapał rozpromieniał oczy i twarz mówiącego.

Widać było, że przed pamięcią jego stanęły w tej chwili dni dawno, dawno minione, w których sumienie mieszkało jeszcze w jego piersi i z porywami instynktu staczało walki bolesne i męczące.

Przypomniał on sobie teraz te walki i te męki, i pragnąłby mieć pod stopą swą zbiorowe sumienie ludzkości całej, aby w uczuciu zemsty zdeptać je i zniweczyć na wieki. I przypomniał sobie jeszcze owe chwile, w których widok czoła ludzkiego, czystego i czystością swą dumnego, widok czci, oddawanej i przyjmowanej, napełniał mu serce jadem zazdrości i usta poił żółcią upokorzeń.

Przypomniał sobie to wszystko i zapragnął ujrzeć dokoła siebie zgromadzonych wszystkich łotrów i bohaterów, zdrajców i wiernych, awanturników brudnych i czystych pracowników ludzkości, aby zmieszać ich razem i nad głowami ich raz na zawsze zagasić słońce obowiązku i cnoty, którego blaski oświecały na ich czołach znaki zaszczytne lub hańbiące.

Gorącym, ciemnym żarem paliły się oczy jego, a wargi, żółtawe zwykle, krwawą purpurą nabiegły, i czoło, kilku brózdami zarysowane, powlokło się groźnym a ponurym wyrazem, gdy powtórzył raz jeszcze:

— Tak, Lilo, nie będzie kiedyś na ziemi ani własności, ani ojczyzny, ani rodziny, ani obowiązku, ani samolubstwa, ani poświęcenia, ani cnoty, ani występku, ani bohaterstwa, ani podłości. Ludzkość rozbije się na jednostki, równe sobie we wszystkiem i wolne bez granic, a jednostki te zgromadzać się będą w jednej tylko wielkiej świątyni i czołem uderzać przed jednym tylko wspólnym ołtarzem — w świątyni i przed ołtarzem osobistego szczęścia.

Umilkł i patrzył na śliczną postać kobiecą, która pochylała się ku niemu z coraz głębszą a płomienniejszą zadumą na białej twarzy, a coraz śpieszniejszym oddechem w piersi, migocącej ozdobami ze złota i pereł.

We wnętrzu Lili dokonywał się akt psychiczny dziwny,

a jednak naturalny zupełnie, niezłomnie logiczny, nieuchronnie konieczny.

Umysłowe władze kobiety tej nie były z natury ograniczonemi, ani zupełnie bezsilnemi. Więziły je tylko i obezsilały niewiadomość głęboka, powszedniość otoczenia, błahość przyzwyczajeń.

Od kolebki okuta w twardy dla niej i uciążliwy pancerz suchych, pustych form i formułek, kołysana do snu próżniactwem rąk i głowy, olśniewana i truta błyskotkami zbytku i miodem pochlebstwa, myśl Lili, dość żywa i bujna z natury — spała.

Aż oto zjawił się człowiek, który, niby rycerz zaczarowaną księżniczkę bajeczną, obudził ją i wywiódł z napoły ciemnego, napoły tęczowymi blaski umalowanego jej pałacu. Wywiódł on ją z pomiędzy czterech ścian salonu i garderoby na świat szeroki, napełniony niezliczonem mnóstwem zjawisk, zawrotnie, chaotycznie ze sobą pokrzyżowanych. On pierwszy to uczynił.

Za słowem i za myślą jego szła myśl jej, jak dziecko pokorne i ciekawe, zawstydzone ubóstwem swem, a nowych cacek chciwe. Spotykanym po drodze zjawiskom przypatrywała się z radością istoty znudzonej, która uczuwa, że ją coś nakoniec zajmuje, zaciekawia, pociąga, z nadzieją istoty, ze świata i życia swego niezadowolonej, która spostrzega, że są na ziemi drogi inne jeszcze, niż te, któremi postępowała dotąd, i że na drogach tych znaleźć może to, czego pożądała, lecz posiąść nie śmiała, despotyczna a bezsilna, namiętna i lękliwa, jej wola.

Nikt nigdy nie niósł przed nią kierowniczej pochodni wiedzy, nikt nigdy nie wkładał w nią klejnotów uczuć wielkich, nikt jej nie zbroił w mężne oręże woli i wiary. Dusza jej, pozostawiona w niemowlęctwie, błądziła samopas w pustce bez granic, aż znalazła mistrza swego.

Dłonią zręczną, tem zręczniejszą, że tym razem szczerą, ustawiał on przed nią zjawiska świata w porządku takim, w jakim mieć je sam chciał, układając z nich obraz, którego barwy i linie najsilniej i najponętniej własną jego wabiły fantazyę.

Ona patrzyła i zachwycała się, — słuchała i wierzyła.

W przedstawionym jej obrazie drgały tętna, szumiały odgłosy, ognistemi głoskami płonęły pozwolenia, rady, rozkazy niemal, które tak doskonale odpowiadały tajemnym marzeniom jej i pożądaniom, tęsknotom i nadziejom.

Jakże miała nie uwierzyć? jakże miała nie nawrócić się na

tę tak swobodną i oswobodzającą, tak ponurą i zimną w głębi, lecz tak drażniącą i płomienną z pozoru — religię nicości?

Mogłaż ona pojąć naturę owego płomienia, który palił się na dnie otchłani?

Mogłaż dostrzedz, że to otchłań, skoro kuszący głos mistrza i własnych jej pożądań mówił jej, że to raj?

Posiadałaż ona w sobie wiedzę, wolę i miłość?

Byłyż w niej i strzegłyż ją te trzy anioły-stróże ludzkich myśli i czynów?

Nie byłaż ona, nakoniec, wprzód już, nim tknęło ją ponure a palące słowo jej mistrza, nie byłaż ona, nie wiedząc sama o tem — nihilistką?

Nihilizm jej bierny i bezsilny, zasadzający się na braku wszelkiej czci i miłości, wszelkiego czynu dobrego i uczucia wysokiego — zmienił teraz tylko swą formę, otrzymał podstawę, przyoblókł się w ciało słowa i teoryi. Brak wiary wszelkiej zastąpiony został wiarą — w nicość.

Biedna Lila.

Teraz za krzesłem, na którem siedziała, stał mistrz jej i kusiciel.

Ramieniem wsparty o poręcz, na której ona także ramię swe opierała, pochylał się nad nią i spojrzenie długie, uparte, rozgorzałe, zatapiał w podniesionych ku sobie jej oczach.

— Cóż, śliczna pani moja? — mówił zcicha i z uśmiechem — podoba ci się świat ten przyszły, po którym ludzie przechadzać się będą, jak po raju, wolni i szczęśliwi? My sami, ja i ty, Lilo — gdyby nam danem było żyć w świecie takim, czyliżbyśmy, tak jak dziś, kochając się wzajem, pozostawali dla siebie obcymi? czyliżby cudną twarz twoją odwracały ode mnie trwogi i skrupuły dziecinne? a ja, czyliżbym stojąc tu, obok ciebie, zmuszony był zarazem tęsknić za tobą i błagać cię daremnie, abyś, czyniąc mię szczęśliwym, zgodzić się chciała na własne swe szczęście? Nie! nie! W świecie, o którym mówiliśmy, tybyś nie była słabem, przesądnem, lękliwem dzieckiem, nie byłabyś naśladowczynią cudzych postępków, lecz byłabyś odważnym i rozumnym człowiekiem, byłabyś samą sobą!...

— Ildefonsie! — szeptała kobieta — ja dzieckiem być już przestałam, odkąd tyś mi oczy na prawdę otworzył.

Trzymał w obu dłoniach swych jej białą rękę, o ściągłych, delikatnych kształtach, i niżej jeszcze pochylił się nad śliczną jej głową.

— Więc poszłabyś ze mną w ten świat nasz upragniony, gdyby on istniał?

— Świat ten, Ildefonsie, dziwny jest jakiś! ale tak piękny!... piękny!... bez walk i tęsknoty... bez kajdan i rozłączeń!...

— A więc, jedyna! pójdziemy razem w ten świat czarowny... Chcesz? podaj mi rękę! ja cię tam zaprowadzę!

Słowa te wymówił szeptem gorącym, a usta jego dotykały prawie jej włosów.

Kobieta rozmarzona, upojona, westchnęła i oczy przysłoniła dłonią.

— Ach! gdzież jest teraz świat taki? Stworzą go chyba kiedyś ludzie tacy, jak ty!

Porycki wyprostował się i rzekł uroczystym nieledwie głosem:

— Dla ludzi rozumnych i odważnych świat ten i dziś istnieć już może. Stwarzają go oni dla siebie samych, własnemi siłami, wbrew wszystkiemu, co ich otacza. Ludzie tacy, jak ja i ty, Lilo, gardzą zdaniami i krzykami motłochu, torują sobie drogi nowe, uprzedzają dzieło wieków przyszłych. Pomyśl tylko, co to za zaszczyt i jakie szczęście wyosobnić się z pomiędzy tłumów, stanąć wysoko ponad nimi! Prawda, dla dosięgnięcia wysokości takiej odwagi trzeba: ale ty będziesz odważną, Lilo, nieprawdaż?

— Co mam czynić? — zapytała kobieta, w której twarzy i postawie malowała się w istocie gotowość do wszystkiego.

Porycki pochylił się znowu nad nią.

— Opuść dom ten... — szepnął — nie z nim, ale... ze mną!...

Zadrżała.

On dostrzegł drżenie to. Brwi jego zbiegły się i usta drgnęły.

— Lękasz się, biedne dziecię?

Wyprostowała znowu kibić swą.

W mowie jego powtarzały się słowa, które miłość własną jej i miłość jej dla niego chłostały biczem przygany i zachęty.

— Nie lękam się, Ildefonsie! nie lękam się niczego.

— O! dziękuję ci, dziękuję! Zresztą... posłuchaj. Nie narażę cię, bogini moja, na wrzaski i poniewierkę motłochu. Przez miłość dla ciebie ugnę głowę przed wymaganiami głupiego świata... Wolny jestem... rozwiodę cię z tym głupcem... pojmę cię za żonę, wedle wszelkich form ich zabobonnych i...

Tu umilkł nagle i zdawał się wsłuchiwać w odgłos jakiś z natężeniem.

Odgłosem tym był turkot bryczki, dudniący czas jakiś gdzieś za folwarcznym dziedzińcem i milknący w oddaleniu. Ale Lila nie słyszała nic. Ostatnie słowa Ildefonsa opromieniły twarz jej radością.

— Uczynisz to? Ildefonsie! — zawołała.

Zwrócił się znowu ku niej i miał odpowiedzieć; ale w sąsiednim, pustym dotąd salonie ozwały się liczne stąpania i głosy, drzwi rozwarły się z trzaskiem i do pokoju tłumnie, z głośnemi rozmowami, wtoczyło się kilku mężczyzn i jedna kobieta.

Kobieta miała na sobie czarną wełnianą suknię i białą muślinową chusteczkę na głowie. Twarz jej drobną i chudą, o cerze żółtawej, ożywiały małe, czarne, bardzo ruchliwe oczy. Szła przodem i widocznem było, że odgrywa rolę dowódczyni w tym dziwnym, napastniczym orszaku.

Za nią wtłoczyło się we drzwi i stanęło u progu kilku mężczyzn w szarych ubraniach, zwyczajnych zagrodowym szlachcicom i zamożnym chłopom.

Lila, zdumiona i przelękniona nagłem tem a krzykliwem wtargnięciem, przykro rażona przeciwieństwem, jakie gwar ten tworzył z poprzedzającą go cichą we dwoje rozmową, porwała się z krzesła i, zwracając wzrok ku towarzyszowi swemu, zawołała z uczuciem niewymownej przykrości:

— Panie Ildefonsie! co to wszystko znaczy?

— Co znaczy to tłumne wejście wasze tutaj, moi państwo? — zapytał agent główny, zwracając się z brwią ściągniętą ku przybyłej gromadzie.

Kobieta w muślinowej chusteczce na głowie wystąpiła na środek pokoju i pierwsza mówić zaczęła.

Z dźwięku jej głosu i z wyrazu twarzy poznać można było, że z trudnością miarkowała przejmujące ją gniewne rozdrażnienie.

— Pani mię nie poznaje? — mówić zaczęła, zwrócona ku Lili, a mówiła tak prędko, że słowa zdawały się niknąć i topnieć na ustach jej wprzód jeszcze, nim wymówić je zdołała — pani mię nie poznaje? a jednak widywałam panią, gdy byłaś jeszcze niczamężną i z panią Ręczycową przyjeżdżałaś do Łozowej. Jestem Antoniną Szyłłową, z domu Łojwiczówną. Mąż pani pożyczył u mego męża 19 lat temu pieniądze i dotąd jeszcze ich nie oddał. Sprzedał teraz majątek, a dobrzy ludzie ostrzegli mię, że państwo się stąd jutro wynosicie. Więc przyjechałam upo-

mnieć się o naszą własność. Całe życie rezydentką byłam i własności żadnej nie miałam, to teraz wiem, jaka ona miła i droga, i nie ustąpię stąd kroku, póki mi państwo co do grosza wszystkiego nie zapłacicie... Niech pani będzie łaskawa powie, gdzie jest mąż pani, albo każe go tu poprosić...

Mówiła tak bez odetchnienia, szybko i coraz donośniejszym głosem, i mówiłaby, Bóg wie jak długo jeszcze, gdyby nie odezwały się za nią inne głosy:

— Ja także przyjechałem tu po własność moją.

— I ja także!

— I ja!

— Służyłem u pana Ręczyca lat kilka, pensyi mi nie płacono, a gdy wydalałem się, karteczkę tylko prostą dano, zamiast pieniędzy... Cierpliwy byłem... nie dokuczałem zbytecznie, ale teraz...

— I ja niebardzo widać dokuczałem, kiedy ot już lat ośm, jak pani Ręczycowa wzięła ode mnie grosz ostatni i karteczkę dała, a teraz dowiaduję się, że karteczka nic nie warta, bo majątek nie jej był, ale syna...

— Ja ekonom z Białowoli. W zaprzeszłym roku pan Konrad wziął ode mnie tysiąc rubli, jak pani do Warszawy jechać miała...

I zbliżali się coraz bardziej wszyscy, ze zmiętemi i zżółkłemi od starości kartkami w rękach, ku kominkowi, przy którym Lila, blada i z osłupiałym wzrokiem, zawiesiła się na ramieniu Ildefonsa, jak gdyby u niego szukać chciała opieki i obrony.

Pani Antonina tuż prawie obok niej stała i, błyskając czarnemi oczkami, raz po raz powtarzała:

— Gdzież jest pan Ręczyc? czy chowa się przed nami? Tak, tak, zapewne! pałac wielki!... Ale przede mną nie schowa się, nie! Znajdę go, choćby pod ziemią!

Mężczyźni, powściągliwsi nieco, niemniej jednak niespokojni i gniewni, objawili też chórem żądanie widzenia się z byłym dziedzicem Ręczyna.

— Gdzież jest Konrad? — cicho, bezprzytomnie prawie, szepnęła Lila.

Porycki obejrzał się dokoła, postąpił parę kroków i głośno, z głębokiem jakby zdziwieniem, zapytał:

— Gdzie jest pan Ręczyc? Hej, służba! — zawołał, zwrócony ku drzwiom od dalszych pokojów — gdzie jest pan Ręczyc? poszukać pana Ręczyca!

Służby w pałacu opuszczonym, prócz dwóch czy trzech kobiet, nieodprawionych jeszcze, nie było wcale.

Ale na zawołanie Ildefonsa, jakby na słowo tajemniczego zaklęcia, wysunęła się z kąta wysoka, barczysta postać Efroima.

Efroim wyszedł na środek pokoju i, wyprostowany, szydersko uśmiechniony, wiodąc dłonią po brodzie, wymówił zwolna a głośno:

— Jasny pan Ręczyc nie chciał widzieć się ze swymi kredytorami i pół godziny temu do N. wyjechał. On kazał prosić wielmożnego pana agenta, żeby jasną panią jutro do N. odwiózł.

Słowa te rzuciły na twarz Lili szkarłatny rumieniec wstydu i oburzenia, a w gromadzie zawiedzionych wierzycieli wywołały jeden chóralny okrzyk zdziwienia, przestrachu i gniewu.

Nad wszystkimi jednak głosami podniósł się i zapanował cienki, przeszywający głosik pani Antoniny.

— Tak! — mówiła, a raczej krzyczała eks-rezydentka łozowskiego dworu — uciekł! uciekł od nas! powiózł ze sobą dobro nasze! majątek sprzedał, pieniądze wziął, a nas oszukał, okradł!

Załamała ręce i rzęsistemi zalała się łzami.

Nagle płakać przestała i suche już oczy a rozognioną twarz ku Lili zwróciła.

— Wstydźcie się państwo! — krzyknęła — wstydźcie się! padnijcie na kolana i Boga przeproście, bo grzech wielki na sumieniach swoich i wstyd wielki na czołach swych macie. Mąż pani stado koni na stajniach swych trzymał, matka jego w mieście jak królowa jaka żyła, pani chodzisz, złotem, perłami i atłasami obwieszona, a biedni ludzie, którzy wam wierzyli, którzy ostatni kęs chleba w ręce wasze oddali...

— Kęs chleba swój i dzieci swoich... — przerwał jej szlachcic w siermiędze i łapciach, który najmniej dotąd krzyczał, ale teraz grubą dłonią ocierał łzę z oczu, utkwionych w twarz Lili z wyrazem gorzkiego wyrzutu.

— Ho! ho! co to wszystko tym państwu znaczy? — zawołał jednocześnie ekonom z Białowoli. — Pani bardzo wesoło bawiłaś się w Warszawie za moje pieniądze; teraz mnie za to smutno, a do żony i do dzieci z pustemi rękoma powracać wstyd.

— Pojedziemy za nim! — krzyknął chłop, z wioski sąsiedniej przybyły.

— Gonże wiatru w polu!

— Do sądu skargę podamy.

— I nic nie wskóramy! Pieniądze nasze ulokowane były na majątku, którego już niema!

Na tle grubych tych, męskich, podniesionych głosów, wznosił się wciąż i dyszkantowo dzwonił głos żony Pawła Szyłły.

— Sumienie! — wołała rozjątrzona kobieta. — Oni nietylko sumienia nie mają, ale je w drugich jeszcze zabijają! Gdzie teraz będzie sumienie moje i Pawła, gdy z pustemi rękoma przed panem Fabianem, przed tym dobroczyńcą naszym, staniemy? Wstyd wam, państwo moi, wstyd i niebłogosławieństwo! Własnego dobra swojego szanować nie umiecie i innym jeszcze z pod serca krew wypijacie. Sami nieuczciwi jesteście, i innym uczciwie żyć przeszkadzacie.

Lila stała teraz, z twarzą ukrytą w obu dłoniach.

Bolesna ta scena, całą mocą zawartych w niej upokarzających żywiołów, uderzyła w kobietę tę, która dotąd, przy najlżejszej wzmiance o interesach, zwykła była dostawać migreny.

Ildefons, ze spuszczonemi oczyma i ściętemi usty, stał milczący i nie wdawał się w perswazye i pośrednictwa, jakby to z położenia jego czynić mu było wypadało.

Teraz dopiero, gdy burza wzrosła do stopnia najwyższego i niemal już groźnego dla kobiety, ku której zwracały się wszystkie te gniewne głosy, gwałtowne giesty i rozjątrzone spojrzenia, agent główny podniósł powieki, postąpił naprzód, zasłaniając sobą Lilę, i przemówił krótko, zwięźle, rozsądnie, zimno, a jednak uprzejmie, grzecznie i nakazująco. Kończąc, mrugnął na Efroima, który stał dotąd w cieniu, teraz zaś, na znak sobie dany, wmieszał się pomiędzy huczącą gromadę, z tonem mowy i giestami człowieka, wpływ swój czującego, — a sam, ująwszy ramię Lili, szepcąc zcicha, nad schyloną jej i dłońmi przysłonioną twarzą, słowa naprzemian surowe i czułe, uprowadził ją do przyległego salonu.

Tam, ze świecą w ręku, stała Brygisia, blada, wylękła i spłakana.

— Futro i kapelusz dla pani, panno Brygido! co prędziej! — rzekł do niej zcicha, ale głosem stanowczym, Porycki.

W kilka sekund potem wszyscy troje znaleźli się w pokoju Lili, pustym prawie, wpół ciemnym, bo jedną tylko świecą, którą Brygisia na stole postawiła, oświeconym.

Lila stała, jak posąg przestrachu, zdumienia, wstydu, z rumieńcami na twarzy, z załamanemi rękoma.

Porycki, który oddalił się był na chwilę dla wydania rozporządzeń jakichś, zbliżył się ku niej.

— Lilo! — rzekł surowo — gdzież odwaga twoja? gdzie moc charakteru? Długoż jeszcze stać tu będziesz nieruchomo, jak dziecię, pozbawione myśli i sił?

Podniosła na niego wzrok łzami oszklony.

— O, jakżem ci wdzięczna, Ildefonsie! Tyś mię obronił! tyś mię osłonił przed tymi okropnymi ludźmi! O, ten Konrad! jakiż on niedobry! Opuścił mię wtedy... wtedy...

Twarz Poryckiego rozjaśniła się.

— Daj pokój Konradowi — rzekł. — Jest to głupiec, który sam nie wie, co czyni.

— O, Ildefonsie! ty jesteś innym, innym wcale człowiekiem!

— Pochlebiam sobie, że jest tak rzeczywiście. Ale nie traćmy czasu! Jedźmy!

— Dokąd? — trwożnie i zcicha szepnęła kobieta.

— Do twego mieszkania w N. Przewidziałem wiele, Lilo, i urządziłem w N. dwa mieszkania, jedno dla siebie, drugie dla ciebie. Moje znajduje się na drugiem piętrze domu, twoje na pierwszem... Będziesz teraz potrzebowała opieki i obrony, więcej niż kiedykolwiek, biedne, ukochane dziecię! Trzeba, abym był blizko ciebie.

Lila zakryła znowu twarz rękoma i wybuchnęła płaczem.

Ildefons patrzył na nią zachmurzony.

— Płaczesz? — rzekł — drżysz? Nic dziwnego; nie urosłaś snadź jeszcze do tej wysokości, na jakiej pragnąłbym cię widzieć.

— O, drogi mój! — szepnęła wśród łez i łkania — cóż świat o mnie powie?... ludzie mną pogardzą!

— Tak! — wyrzekł Ildefons przeciągle — a więc chciej pani wsiąść do powozu z pokojową swą i odjechać do męża. Ja oddalę się, aby nie sprowadzić na panią tej klęski straszliwej, dla której uniknięcia gotowa jesteś zdeptać szczęście swoje i moje!

Mówiąc to, uczynił krok naprzód, aby się oddalić.

Ale Lila podniosła głowę, krzyknęła i, w mgnieniu oka, dłońmi wsparta na jego ramionach, przylgnęła do jego piersi.

— Nie, Ildefonsie! — mówiła szeptem gwałtownym, a oczy jej płonęły tym samym namiętnym ogniem, jak wtedy, gdy

dzieckiem prawie rozłączono ją z ukochaną panną Julią — nie! ty mnie nie opuścisz i ja cię nie opuszczę, za nic, za nic! Ciebie jednego kocham na ziemi; więcej nic i nikogo! Kocham cię na śmierć i życie!... Jadę... jadę z tobą, kiedy zechcesz, dokąd zechcesz!...

I bez łez już, wyprostowana, silna gorączką uczuć, owijała się futrem, podawanem jej przez Brygisię, świadka całej tej sceny.

Brygisia pełnem przywiązania i litości okiem patrzyła na nią.

Zapinając haftki aksamitem powleczonego futra, szepnęła pani swej słów kilka. Lila zwiesiła znowu ręce, jakby nowym niepokojem tknięta.

— Prawda! — rzekła — a Konradek?

— Jaki Konradek? — niecierpliwie zapytał Porycki.

Widać było, że sam ton mowy jego onieśmielił już Lilę.

Z trwożnem więc spojrzeniem i cicho bardzo odpowiedziała:

— Mój syn!

— Gdzież on jest?

— Tam, na górze z piastunką i boną — w zastępstwie pani swej rzekła Brygisia.

— A więc niech tam zostanie; bona odwiezie go jutro do ojca...

— Niech zostanie?... — zawołała Lila.

Okrzyk ten wydarł się z jej piersi, ale urwał się niedokończony nawet, bo oczy jej spotkały wzrok Ildefonsa, pełen surowego, ironicznego wyrzutu.

— Jeżeli nie dla opinii ludzkiej, to wyrzekniesz się mnie może dla tego dziecka! — szepnął schylony nad nią.

Słowa jego były ostre, ale głos, którym je wymówił, dźwięczał w głębi żalem głębokim, namiętnym.

O! był to mistrz! a ona... czy miała broń jaką?

Za całą odpowiedź złożyła rękę na jego ramieniu i wraz z nim postąpiła naprzód.

Przed progiem jednak stanęli oboje.

Ona zwróciła się ku dawnej swej służącej.

— Czy pojedziesz ze mną, Brygisiu? — zapytała nieśmiało, jakby czując, że chwila ta pomiędzy nią a innymi ludźmi tworzy przedział ogromny.

— Alboż pani nie widzi, że ubrana już jestem do drogi? — z prostotą odparła sługa.

Porycki zwrócił się z pytaniem ku Lili:

— Czy wzięłaś ze sobą swoje papiery?

Spojrzała na niego wielkiemi oczyma.

— Alboż dbam teraz o te szpargały? — wyrzekła zdumiona i uśmiechnęła się z za łez niezupełnie jeszcze oschłych.

Wyraz papiery przywiódł jej na pamięć owe leciuchne papierki z dat różnych, w szkatułce pamiątek zawarte.

Ale on nie o pamiątki zapytywał.

— Mówiłem ci nieraz, Lilo, — rzekł z powagą — że człowiek dojrzały i rozumny dbać powinien o wszystko, co użytecznem mu być może. Czy wzięłaś ze sobą oblig, wydany ci przez brata na posagową twą sumę?

Oczy Lili otworzyły się jeszcze szerzej.

— Ildefonsie! — szepnęła z wyrzutem — jak możesz w tej chwili myśleć o podobnych rzeczach?

— Kiedyś — odparł Porycki — nauczę cię, droga moja, abyś sama myślała o podobnych rzeczach, teraz myślę o nich za ciebie. Czy masz przy sobie ten oblig?

Lila, onieśmielona już i zawstydzona, pytający wzrok zwróciła na swą służącą.

— Ten papier ze stemplami, który pan Konrad oddał pani niedawno? — rzekła Brygisia. — Jest on tu w tej szkatułce, którą niosę właśnie.

Porycki wziął z rąk służącej szkatułkę i umieścił ją sam w powozie, który, zaprzężony końmi jego i powożony przez jego woźnicę, stał przed gankiem pałacu.

Gdy Lila nogę postawiła na stopniu powozu, obejmujące kibić jej ramię Ildefonsa uczuło, że drżenie przebiegło znowu po całem jej ciele.

Objaw ten gwałtownego wzruszenia ustał jednak w chwili, gdy, schylony nad nią, szepnął jej do ucha:

— Za trzy miesiące najdalej, drogie dziecię moje, będziesz miała rozwód i zostaniesz żoną moją, według praw świata tego, którego tak się lękasz.

* * *

Tu, czytelnicy, zawieszam na króciuchną chwilę bieg opowiadania i zatrzymuję się na punkcie, na którym i wy zapewne zatrzymaliście swą uwagę.

Niejeden z was może, czytając kartkę poprzedzającą, pełen niedowierzania i oburzenia, zawołał:

— Jakto! Matka opuściła dziecię swoje? pozostawiła je rękom i sercom cudzym? Ależ to niemożebne, naturze i prawdzie przeciwne! Lwice i niedźwiedzice nawet posiadają możny instynkt macierzyński, a kobieta... miałażby być go pozbawioną?

Owóż tu, czytelnicy moi, w wypadku tym, jak wielu innych, ukazuje się niebezpieczeństwo całe absolutnie czynionych paralel i porównań, które, będąc wprawdzie bardzo starożytnemi, bywają przecież nieraz zupełnie nieprawdziwemi.

Tak, lwice, niedźwiedzice posiadają w istocie instynkt macierzyństwa i dokazują przez niego często rzeczy nadzwyczajnych i rozrzewniających; ale zważyć należy, że mieszkanki te leśnych i dzikich ustroni nie ubierają się w atłasy, nie obwieszają ciał swych złotem i perłami, nie spotykają na drodze swej lwów ani niedźwiedzi takich, którzyby w piersi ich wdmuchiwali płomienie despotycznych, wszelkie inne pożerających namiętności.

Instynktu ich nie przytłumia żadna próżność, nie zatapia żadne marzenie, nie zabija żadna, w innym kierunku dążąca, namiętność.

I oto dlaczego lwice i niedźwiedzice kochają potomstwo swe silnie a wiernie.

Silnie a wiernie kochają też dzieci swe kobiety, wówczas, gdy są one — ludźmi, a instynkt ich macierzyński nie jest już instynktem, ale — uczuciem.

Czy Lila była człowiekiem i czy przyrodzony macierzyński jej instynkt mógł dosięgnąć stopnia uczucia, na które tyle, tyle składa się żywiołów i dźwigni moralnych, że wyliczać je byłoby tu za długo?... na to zapewne odpowiedzieliście sobie już sami.

Tymczasem obejrzyjcie się po świecie i poszukajcie na nim matek, którym próżnostki, zazdrostki, małe lub wielkie namiętności odjęły tę nawet właściwość, jaką szczycą się lwice i niedźwiedzice. Znajdziecie je, niestety, znajdziecie, i opowiadania mego za nieprawdopodobne już nie uznacie!...

A teraz idźmy dalej, idźmy raczej w inną stronę.

VI.

Wejdźmy do orchowskiego dworu, do tego poważnego, starego dworu, który, zamieszkiwany przez dwoje ludzi kochających się, mężnych i wytrwałych, powoli i z trudnością podnosi się z wieloletnich swych ruin.

Teraz nad wysokim, świeżo nowymi gontami połatanym dachem długiego, nizkiego domu szumią zcicha rozłożyste, ośnieżone wierzchołki starych lip i kasztanów.

Obszerny dworski podwórzec zapada w mrok zimowego wieczora; na mniejszym, folwarcznym dziedzińcu zwolna milknie gwar dziennych robót, zamykają się wrota gumien i obór, kryją się pod przysłoną ciemnych śpichrzów gospodarskie narzędzia, a przez okna szarej oficyny buchać zaczyna jaskrawy blask rozpalonego ogniska, dokoła którego zasiadła spracowana czeladź dworska.

W dawnym pokoju pana Kajetana pali się także na staroświeckim kominie ogień suty, a połyski jego rzucają, jak dawniej, w szybach szaf, napełnionych książkami, czerwone i złociste iskry.

Przy wielkim okrągłym stole siedzi z robotą w ręku stara matka Michaliny, a białe światło niewielkiej lampy łagodnie spływa na twarz jej zwiędłą, pomarszczoną, rozjaśnioną łagodnym, wesołym prawie uśmiechem.

Z uśmiechem tym na bladych wargach słucha ona gwarnego szczebiotu dwojga dzieci, które, klęcząc na krzesłach, opierają o stół drobne, pulchne swe ramiona, a wychylając pod różowe światło ogniska złotowłose głowy, zaglądać usiłują w ukochane lice starej babki figlarnemi oczyma.

Do komnaty tej, tchnącej ciszą i spokojem, a jednak rozweselonej brzmiącemi w niej wiosennymi głosami dziatwy, weszła po chwili kobieta w dużej ciepłej chustce, zarzuconej na głowę i ramiona, z wielkim pękiem kluczy w drobnej ręce.

Dzieci zeskoczyły z krzeseł i rzuciły się ku niej z radosnymi wykrzykami.

Kobieta zdjęła z głowy chustkę i zbliżyła się do stołu.

— Czyś się tylko nie przeziębiła, Michasiu? tak dziś mroźnie na dworze! — zapytała stara niewiasta, troskliwie spoglądając na zarumienioną od zimowego chłodu twarz córki.

— Alboż ja się kiedy przeziębiam, mateczko? alboż nie przywykłam w zupełnej żyć zgodzie z naturą naszą surową, ale

piękną? — wesoło uśmiechając się, odparła Michalina. — Zimno dziś, to prawda, ale zarazem jak pięknie na świecie! Słońce zachodziło za ogniste obłoki, od których na naszym dziedzińcu śnieg poróżowiał, a teraz niebo przezroczyste jest, jak błękitny kryształ i za kasztanową aleją księżyc wschodzi. Noc będzie mroźna, lecz pogodna i jasna.

Usiadła i, rozpromienionym wzrokiem patrząc dokoła siebie, zawołała:

— Jaki piękny ten nasz Orchów, mateczko! jak miły, cichy, wesoły i kochany ten nasz dom stary!

— Błogosławiony dom, w którym mieszkają miłość i zgoda! — szepnęła stara matka.

— W którym urodziły się i szczebiocą, jak ptaszki, te małe aniołki! — śmiejąc się, dokończyła Michalina i dwa pocałunki długie złożyła na białych czołach swych dzieci, które, szyję jej oplatając drobnemi ramiony i nic a nic na toczącą się rozmowę nie zważając, szczebiotały wciąż, śmiały się, pytały i same sobie odpowiadały.

Nagle przecież wesołość, okrywająca twarz Michaliny, zniknęła.

Z wyrazem troski podniosła oczy na matkę.

— Mieczysław nie wraca! — rzekła. — Wczoraj jeszcze wrócić miał z N., a dziś go jeszcze niema.

— Alboż nie wiesz, ile miał tam do załatwienia spraw różnych? Najtrudniej zapewne idzie mu...

Teraz smutek już wyraźny napełnił oczy Michaliny.

— Wiem! wiem! — przerwała zcicha, jakby o bolesnej tajemnicy jakiejś mówić miała — z Lilą! O Boże! gdyby Mieczysław ją tu przywiózł! gdyby wyrwał ją z tej przepaści... uratował...

Pomarszczone czoło starej kobiety okryło się niezwyczajną jej wcale surowością.

— Czy sądzisz — zapytała córki po chwilowem milczeniu — czy sądzisz, że wróciłaby ona do męża swego?

— Wątpię... — namyślając się, odparła Michalina — a nawet nie wiem, czy ja i Mieczysław moglibyśmy jej to doradzać... Znasz, mateczko, pana Konrada, znasz Lilę i wiesz także, czem jest małżeństwo, w którem, nie mówiąc już o miłości, wzajemnego szacunku, ani też odrobiny choćby przyjaźni niema...

— A więc cóżbyście tu z kobietą tą uczynili?

Tym razem Michalina nie namyślała się ani chwili, lecz odpowiedziała z zapałem:

— Staralibyśmy się, matko, ciepłem naszego domowego ogniska, ciszą naszego życia uciszyć trochę, uspokoić jej widocznie wzburzone i niespokojne serce; staralibyśmy się powoli i stopniowo wlać w umysł jej choć trochę zdrowych i dobrych wyobrażeń o życiu, wzmocnić węzeł uczucia pomiędzy nią a dzieckiem jej, które zaniedbywała zawsze, a opuściła teraz... Potem odkrylibyśmy dla niej drogę jaką prostą i widną, na której, choćby nawet nie znalazła zupełnego szczęścia, zachowaćby mogła cześć swoją i zapewnić sobie spokojną, bezpieczną przyszłość...

Stara kobieta smutnie wstrząsnęła głową.

Miała ona zapewne na pełne zapału słowa córki odpowiedzieć słowem wątpliwości głębokiej, gdy na dziedzińcu ozwał się szelest sanek, sunących szybko po śniegu i głos woźnicy, wołający na konie.

— Mieczysław! — z radością krzyknęła Michalina i rzuciła się ku drzwiom.

Z gwarnymi też okrzykami rzuciły się ku nim dzieci i stara matka powstała także, aby u progu powitać wracającego do domu ukochanego męża swej córki.

Mieczysław wszedł do pokoju w podróżnem ubraniu, pełen uszanowania pocałunek złożył na ręce matki i, przeciw zwyczajowi swemu, przelotną tylko pieszczotą powitał garnącą się do niego dziatwę.

Długo natomiast, dłużej niż zwykle w podobnych razach bywało, zatrzymał on w objęciu swem Michalinę, a ona też podnosząc w milczeniu twarz swą ku jego twarzy, długiem, bacznem spojrzeniem zatonęła w jego oczach.

W oczach tych wyczytała wrzącą w nim burzę bolesnych uczuć; na bladem, schmurzonem czole jego ujrzała dolegliwą, gryzącą troskę.

Po chwili stara niewiasta krzątała się w drugim końcu pokoju około przyrządzania herbaty; dzieci pobiegły w głąb domu, aby przyprowadzić do ojca śpiącą dotąd, najmłodszą, dwuletnią siostrzyczkę; małżonkowie zaś usiedli obok siebie, w pobliżu ciepłego kominka. Chwilowe ich milczenie kobieta pierwsza przerwała.

— Cóż, najdroższy mój, — szepnęła — czy widziałeś ją?

Dłoń Mieczysława objęła rękę jej, drżącym od wewnętrznego wzburzenia, uściskiem.

— Nie, — odparł krótko, jak człowiek, który z całej siły

powstrzymywać usiłuje wybuch głosu i uczuć — nie widziałem tej...

Tu wymówić miał wyraz jakiś straszny, piorunujący; ale powstrzymał mu go na ustach błagalny, o litość i przebaczenie wołający, wzrok Michaliny.

— Tej... nieszczęśliwej! — dokończył Mieczysław, a z całej siły panując nad uczuciami i słowami swemi, mówił dalej: — Drzwi jej mieszkania zamknięte są szczelnie przed wszystkimi, a najbardziej przede mną... Zdobyćbym je musiał chyba przemocą, co byłoby szaleństwem i nie doprowadziłoby zresztą do niczego... Człowiek ten trzyma ją w żelaznych szponach, strzeże jak niewolnicy, znanymi sobie sposobami oddziela ją od ludzi, od tej małej zresztą liczby osób, któreby teraz chciały jeszcze wejść z nią w jakąkolwiek styczność...

— A *jego* widziałeś? — z uczuciem odrazy i obawy zapytała Michalina.

— I on także krył się przede mną. Przez dni kilka nadaremnie szukałem widzenia się z nim i rozmowy. Gdy doścignąłem go nakoniec, gdy miałem go już przed sobą, ogarnął mię szał gniewu i bólu. W żywe oczy rzuciłem mu wszystkie słowa te, które cisnęły mi się do ust wtedy, gdym go tu, w domu moim, przyjmować musiał, a których, mając obraz zhańbionej siostry swojej przed oczyma, powstrzymać już nie mogłem. Powiedziałem mu, że jest odstępcą, oszustem, uwodzicielem...

— A! — z mimowolnym przestrachem w pobladłej twarzy zawołała Michalina — wszak to obraza śmiertelna! Drogi mój... ty może kryjesz co przede mną? On cię wyzwał...

Mieczysław uśmiechnął się z goryczą.

— Uspokój się, Michasiu, i przebacz mi. Na chwilę, po raz pierwszy od dnia, w którym cię pokochałem, zapomniałem o tobie, zapomniałem o dzieciach naszych i o przekonaniach moich, które rozkazują mi uważać jako smutną pozostałość barbarzyństwa te boje niedorzeczne, wystawiające nieraz pierś uczciwych ludzi na ciosy głupców lub łotrów. Pragnąłem przez chwilę wyzwać go, albo być przez niego wyzwanym. Ale słowa moje odbijały się o miedziane czoło jego bez odgłosu i pozornie bez wpływu... pozornie tylko, widziałem bowiem dobrze, iż wewnątrz człowiek ten wrzał cały od gniewu i nienawiści. Żadnem słowem jednak, żadnym giestem nie zdradził uczuć swych, które instynkt jego zachowawczy trzymał na wodzy. Odpowiadał mi tylko szyderskimi uśmiechami, albo sofizmatami, cynicznemi zdaniami, wygłaszanemi zuchwale a zimno...

— A jednak — podchwyciła Michalina — zdawało ci się, że nie był on tak zimnym i obojętnym, jak okazywać się usiłował?

— Jestem tego pewnym. W człowieku tym, obok zimnego wyrachowania, istnieją burzliwe namiętności.

— Mieczysławie! — szepnęła Michalina, bo niepokój, wolą jeszcze nie opanowany, głos jej przytłumiał — człowiek ten mścić się będzie na tobie... na nas...

— Nieinaczej — chmurnie odparł mąż. — Rachuba i nienawiść czynią go zarówno wrogiem moim. Zrazu godził on na dobro nasze, aby z niego otrzymać korzyści; teraz idzie mu już nietylko o zysk, ale i o zemstę. Pragnąć będzie upadku i poniżenia mego, tak, jak wszyscy źli i zbrudzeni pragną upadku i poniżenia uczciwych i czystych. Zgubne te dla nas chęci jego nie są płonnemi. Posiada on wspólników i pomocników, którzy, jakkolwiek nie podzielają wszystkich jego celów, wkładają mu jednak do rąk dzielne przeciw nam oręże.

— Jednym z pomocników tych — rzekła Michalina — jest Makower, nieprawdaż?

— Nieinaczej.

Tu Mieczysław silniej uścisnął dłoń żony i dodał zcicha:

— O, droga moja! mamże przypuszczać, że jednem z narzędzi, któremi ku zgubie naszej posłuży się niecna ta ręka, będzie i własna siostra moja?

Michalina podniosła głowę i szyję jego otoczyła ramieniem, jakby i jego czoło, chylące się pod brzemieniem smutku i wstydu, podnieść chciała.

— Nie przypuszczajmy rzeczy tak smutnych i strasznych— rzekła — wierzmy raczej w dobroć Lili, bo ta istnieć w niej może obok wszelkich wad i zboczeń, w moc przywiązań rodzinnych, które odzywają się w sercu kobiety wtedy nawet, gdy się ich najmniej spodziewać można. Powiedz mi teraz, — dodała, chcąc widocznie zmienić przedmiot rozmowy — czyś znalazł kupca na las nasz?

Mieczysław przecząco wstrząsnął głową.

— Widziałem niejednego — rzekł — a z żadnym interes ten do końca przyjść nie mógł. Od kilku miesięcy żaden z Izraelitów w N. albo w okolicy nic u mnie nie kupuje i nie wydzierżawia. Wprawdzie nie objawiają mi oni otwarcie niechęci swej, i owszem, chętnie na pozór przyjmują przedstawienia moje; ale potem stawiają trudności, przeszkody, najmniej przewidziane, a według nich nieprzezwyciężone, wahają się, namy-

ślają i... zrywają układy. Gdziekolwiek ukażę się, z kimkolwiek rozmawiam, widzę za sobą i dokoła siebie rój faktorów, którzy szepczą, biegają, radzą, odradzają, pełnią bowiem wiernie służbę zaleconą im przez kogoś, posiadającego nad nimi wpływ i władzę. Wszystkie sprawy rwą mi się w ręku, jak pajęczyna, wszystkie najściślejsze obrachowania moje pełzną na niczem. Jest to robota tajemna, podziemna, ale zręczną i możną ręką prowadzona. Jakie będą jej skutki? do czego nas ona doprowadzi? Kto wie? Ja walczę dotąd, ale punktu wyjścia, środków obrony nie widzę; potrzeby są ogromne, gwałtowne, a środków niema żadnych. Odbiera mi je silne postanowienie tych ludzi, którzy sięgają po dobro moje, po spokój i szczęście życia mego...

Długie milczenie zapanowało pomiędzy małżonkami.

Oddawna już stara matka postawiła przed nimi ciepły napój i posiłek, a widząc ich pogrążonych w poufnej rozmowie, oddaliła się z dziećmi do przyległej komnaty. Siedzieli z połączonemi dłońmi i ze spojrzeniami wbitemi w ziemię, nieruchomi i milczący.

Michalina pierwsza znowu podniosła głowę.

— Mieczysiu, — rzekła zcicha i z wahaniem się — możebyśmy na ten raz w gwałtownej tej potrzebie znaleźć mogli ratunek w pożyczce jakiej? Orchów jest już prawie oczyszczony z długów... z wyjątkiem tego jednego... przytem znają wszyscy prawość twą i uczciwość...

Mieczysław wstrząsnął przecząco głową.

— Myślałem już o tem, ale gdzież znaleźć źródło ratunku tego, o którym mówisz? W kredycie publicznym? niema go u nas wcale. W prywatnym? spoczywa on cały w ręku tych samych ludzi, którzy osnuć nas pragną i osnuwają siecią przerozmaitych pęt i utrudnień. Oni-to kupują, wydzierżawiają i... pożyczają. Na inne warstwy społeczne nic a nic liczyć nie można. Są one ubogie, a po mnogich doświadczeniach przebytych i zawodach przeniesionych, słusznie niedowierzające...

Umilkli znowu; ale milczenie, dokoła nich panujące, przerwał po kilku minutach odgłos dzwonków pocztowych na dziedzińcu i lekki stuk sań, wjeżdżających na brukowaną przestrzeń u stóp głównego ganku.

Wśród cichego, pracowitego życia, które wiedli mieszkańcy Orchowa, gość nie był tam zjawiskiem częstem. To też małżonkowie, na odgłos dzwonków, z niepokojem ludzi, którzy spodziewają się co chwila złych dla siebie wieści i wypadków, zwrócili twarze ku drzwiom.

Drzwi te otworzyły się i zjawił się w nich gość, najmniej może w tej chwili oczekiwany.

— Konrad! — zawołał Mieczysław, zrywając się z krzesła.

— Pan Konrad! — powstając także, powtórzyła Michalina.

Był to w istocie Konrad Ręczyc, który o parę kroków od progu zatrzymał się w postawie wahającej się, nieśmiałej, bardzo niezgrabnej, ale w niezgrabności tej mającej coś, o litość proszącego.

Twarz jego w ostatnich czasach schudła znacznie, czoło pomarszczyło się silnie, a w oczach przebijał się niepokój i żal głęboki.

Mieczysław postąpił ku szwagrowi z wyciągniętą na powitanie ręką.

Ruch ten i giest uczyniły snadź na przybyłym wrażenie silne, bo, nie wyrzekłszy ani słowa, zarzucił Mieczysławowi ramiona na szyję i rozpłakał się na głos.

W płaczu tym dorosłego mężczyzny, głośnym i spazmatycznym, było coś dziecięcego, coś, co nie współczucie wprawdzie i nie szacunek, ale litość nad boleścią jego, zarówno jak nad słabością, budziło.

— Panie Konradzie! uspokój się pan, na Boga! — mówiła, zbliżając się do rozszlochanego gościa, Michalina.

Gość obie jej ręce ucałował w milczeniu.

— Przyjechałem — ozwał się nakoniec, prostując się i łzy ocierając — przyjechałem prosić łaski waszej... dla mego dziecka!

Mówiąc to, wyciągnął rękę w stronę drzwi.

Teraz dopiero Mieczysław i Michalina spostrzegli, że do pokoju weszła także i zatrzymała się u progu kobieta, na piastunkę wyglądająca, a w objęciu swem trzymająca trzyletnie dziecię.

Michalina wydała okrzyk, w którym smutek mieszał się z radością, poskoczyła i wzięła dziecię z rąk niosącej je kobiety.

— Biedna! biedna, niewinna istoto! — szeptała, niosąc je ku ciepłemu kominkowi i usiłując rozwinąć chustki, które zakrywały mu twarzyczkę.

Konrad tymczasem, stojąc na środku pokoju, mówił dalej:

— Opuściła je matka rodzona... porzuciła i mnie, i dziecko. Cóż z niem uczynię?... Myślałem, że weźmie je moja matka, ale i ona teraz dachu nad sobą nie ma... Odwiozłem ją dziś właśnie

do Białowoli, a dziecko wam oddaję. Zlitujcie się nad niem, przytulcie je, dopóki ja sobie nie upatrzę czegoś... nie zamieszkam stale gdziekolwiek... Nie wiem teraz sam, gdzie się podziać i co z sobą zrobić! Oszukały mię te łotry... obdarły... i z kilku groszami zaledwie w świat puściły.

— Jakto? — ze zdumieniem pytał Mieczysław.

Ale Michalina nie słyszała nawet ostatnich słów Konrada; była już ona w ciepłym, czystym pokoju, w którym stały łóżeczka dwojga starszych jej dzieci i kolebka najmłodszego. Tam także nad kolebką siedziała teraz jej matka, a starsze dzieci bawiły się przy lampie książką z obrazkami.

Do pokoju tego żona Mieczysława weszła zwolna i w zamyśleniu, ze wzrokiem utkwionym w drobną, bladą twarzyczkę dziecka, które, spoczywając w jej objęciu, wlepiało w nią wielkie swe, czarne, zdziwione i przelęknione oczy.

— Mateczko! — rzekła Michalina, zbliżając się do matki — patrz, oto jedno jeszcze dziecię nasze...

Matka spojrzała na nią i na dziecię pytającym wzrokiem.

— Dziecię Lili! — szepnęła kobieta.

Stara kobieta zrozumiała wszystko.

Na twarzy jej, zoranej latami i cierpieniem, zajaśniał wyraz dobroci i litości bez granic.

— Dobrze, Michasiu! — rzekła — położymy je dziś na łóżeczku Paulinki, a jutro przysposobimy mu w tym samym pokoju inne... Teraz pójdę, przyniosę mu ciepłego mleka...

Nie odeszła jednak, lecz, miękko składając dłoń swą pomarszczoną na głowie dziecka, ciemnymi włoskami okrytej, wyrzekła zcicha:

— Biedactwo!

— Biedactwo! — szepnęła Michalina, składając długi pocałunek na tych czarnych wielkich oczach, które patrzyły na nią z niemą skargą bezsilnej, przelęknionej, opuszczonej istoty.

— Biedactwo! — powtórzyły dzieci nawet, które, ciekawością wiedzione, przybiegły zrazu, aby oglądać to coś, co w ramionach trzymała ich matka; ale teraz stanęły zamyślone, poważne, tknięte bezwiednem odczuciem nieznanego im samym sieroctwa.

Po chwili dziecię Lili leżało rozebrane w bieluchnej pościeli, ciepłą kołderką otulone, a Michalina brała z rąk matki szklankę z ciepłym napojem, aby powoli wlewać go w zziębłe, milczące, lecz samem milczeniem swem skarżące się usteczka.

Klęczała przy łóżku dopóty, dopóki znużone oczy dziecię-

cia nie okryły się powiekami. Z pod powiek tych wypłynęło kilka łez bujnych i cichych.

Michalina łzy te zcałowała z bladej, chudej twarzyczki i, patrząc na usypiające dziecię wzrokiem omglonym zadumą, szepnęła:

— Biedna! biedna istoto! Gdyby niegdyś matki twej nie rozłączono ze mną, nie byłabyś może opuszczoną, ale byłabyś tutaj...

* * *

Tu i owdzie na świecie bywają domy ciche i święte, domy pełne miłości, zgody, pracy i miłosierdzia, domy błogosławione, ku którym kroki swe zwracają wszyscy, pociechy i dobrej rady szukający, których dachy gotowe są zawsze przysłonić opuszczone sieroctwo, a drzwi otworzyć się przed samym nawet, byle żałującym, błędem, przed samą nawet, byle oczyszczenia pragnącą, hańbą...

Jednym z domów takich był dom Mieczysława i Michaliny. Przyjął on w ściany swe opuszczone dziecię Lili, tak, jakby przyjął matkę jego, gdyby do niego zapukała...

Fundamenty domu tego przegryzane były i podkopywane; dokoła niego w cieniach i posępnej ciemności krążyły groźby i niebezpieczeństwa... zagłada, wiedziona chciwemi lub mściwemi dłońmi, pełzła ku ścianom jego zblizka... coraz bliżej...

Tymczasem jednak stał on jeszcze poważny, wśród igrającej dokoła płochości, cichy, pomiędzy gwarami bezładu, wyniosły zda się wśród otaczających go nizkich, bardzo nizkich upadków i ruin.

Stał on ze swem jasnem i ciepłem ogniskiem rodzinnem, z gorącemi sercami i szlachetnemi myślami, które go zamieszkiwały, ze złożonymi w nim zadatkami lepszej, rozumniejszej, cnotliwszej przyszłości ogółu i jednostek...

Konrad tymczasem, popijając gorącą herbatę i kolejno to gniewem wybuchając, to łzy z oczu ocierając, rozwodził żale przed Mieczysławem.

— Tak, — mówił — oszukali mię najniegodziwiej, jak Boga kocham, oszukali! Dowiedziałem się o tem wypadkiem. Spotkałem w N. u znajomych prawnika, tego Dzierkowskiego, co to wiesz, Mieczysiu, mówią o nim, że taki uczciwy i taki rozumny.

— Wiem! wiem! — przerwał Mieczysław, niespokojny i ciekawy.

— Ot, mówiąc z nim o tem, że sprzedałem Ręczyn, pokazałem mu obligi, które mi ten... łotr Porycki w imieniu barona wydał... Dzierkowski patrzył i głową kiwał, aż nakoniec powiedział, że obligi te trzech groszy nie warte, bo...

— Czy to być może? — zawołał Mieczysław. — Chyba Dzierkowski mylił się...

— Och, mylił się! — z rozpaczą zawołał Konrad. — I ja tak myślałem z początku, ale potem niespokojność mię zdjęła. Cały dzień chodziłem do wszystkich prawników, jacy tylko są w N., i do sądu chodziłem... urzędników wypytywałem... Jedni mówili, że obligi nic nie warte, drudzy radzili natychmiast proces rozpocząć.

Mieczysław słuchał zrazu z osłupieniem. Wkrótce jednak uczynił ręką giest taki, jak gdyby pomyślał, że wszystkiego spodziewać się można było po ludziach, którzy nowe to urządzili oszustwo.

— A ciotka Malwina? — zapytał po chwili.

— Matka, biedna moja matka! — wyrzekł Konrad i utkwił w ziemię wzrok, bardziej jeszcze posępny i stroskany, niż dotąd.

Starczyło to za odpowiedź.

Pani Malwina została widocznie, tak jak i jej syn, w pole wyprowadzona i ze środków do życia ogołocona.

— Ale jakże się to stać mogło, Konradzie? — po chwili zamyślenia rzekł Mieczysław. — Przecież całemu przebiegowi sprawy tej obecny był Augustyn Szyłło... Nie sądzę, żeby mógł on być tak niedoświadczonym i nieumiejętnym...

W tej chwili do pokoju wchodziła Michalina; Mieczysław umilkł, a Konrad szepnął mu do ucha:

— Mówią ludzie, że Szyłło wziął od n i c h pieniądze... Nie wiem, czy to prawda, i wątpię nawet... Niech mu tam zresztą Bóg nie pamięta, jeśli i on skrzywdził mię także! Ot, jak Boga kocham, i ja względem człowieka tego czystego sumienia nie mam... Należało mu się od nas, dależało oddawna; prosił, dopominał się... zwlekałem... to może i wypłacił sam sobie... Cóż robić? przyrzeka mi teraz, że proces wygra...

Przy ostatnich słowach Konrad zerwał się z krzesła, jakby sobie o czemś przypomniał.

— Gdzie ja też mam głowę? — zawołał — siedzę tu u was,

a jutro trzeba mi prośbę do sądu podpisać, którą pan Augustyn już przygotował.

— Myślisz więc na seryo o procesie? — zapytał Mieczysław.

— Jakto! czy myślę o procesie? A to, jak Boga kocham, zabawne pytanie, Mieczysiu! Ja im wszystkim procesy powytaczam: i baronowi, i Makowerowi, i Poryckiemu. Choćbym miał te kilka groszy, które mi w kieszeni pozostały, utracić co do jednego, choćbym miał pieszo iść do stolicy, procesować się będę i... wygram... Zobaczycie, że jeszcze sprzedaż unieważnię i do Ręczyna wrócę...

Gdy Konrad mówił, a raczej wykrzykiwał te słowa, szerokimi krokami po pokoju chodząc i rękoma rozmachując, ciemne rumieńce pokryły twarz jego i wyraz szczególnej zaciętości błyszczał mu w oczach.

Daremne były przedstawienia Mieczysława, że lepiejby uczynił, żeby za pozostałe mu pieniądze dzierżawę wziął jaką, a pracą i oszczędnością nowej dobijał się fortuny; daremnie Michalina uprzejmemi słowy zapraszała go, aby w domu ich przenocował.

Konrad ściskał szwagra i całował ręce jego żony, dziękował, płakał, polecał im swe dziecię, uderzał się pięścią w piersi, przysięgając, że jest najnieszczęśliwszym na kuli ziemskiej człowiekiem; ale zarazem objawiał stanowczo przekonanie, że kiedyś będzie jeszcze inaczej, gdy procesy powygrywa, i albo do Ręczyna wróci, albo kapitał utracony odzyska.

Mówiąc tak, zaklinając się, giestykulując i łzy ocierając z oczu, opuścił Orchów.

We dwie godziny po odjeździe nieszczęśliwego syna pani Malwiny, Mieczysław siedział przy wielkim stole u komina, na którym dogorywał ogień, i z brwią zsuniętą przeglądał nagromadzone tam w czasie nieobecności jego papiery. Były to pozwy urzędowe o wypłacenie podatków i innych należności publicznych, regestry i zapiski, wykazujące potrzeby przeróżnych gospodarskich napraw, ulepszeń i wydatków.

Jakkolwiek Mieczysław każdy z papierów tych, przypominających mu groźne i kłopotliwe jego położenie, czytał z chmurnem i uważnem skupieniem, jednakże pierwsze słowo, które wymówił po skończonem czytaniu, nie tyczyło się wcale ich treści.

Usuwając od siebie przeczytany papier, powstał z krzesła i rzekł:

— Jutro jadę do Białowoli...

Michalina siedziała przy stole z robotą w ręku, ale wzrok jej z miłością i niepokojem tkwił w nachmurzonej twarzy męża.

— Do Białowoli? — powtórzyła — tak, rozumiem cię...

— Może — mówił Mieczysław, rękę po czole przesuwając — może drzwi, zamknięte przed bratem, otworzą się przed matką... Może też upomnienie i prośba matki przemówią tam, gdzie umilkły: wstyd niewieści, sumienie i rozum...

— Tak, — rzekła Michalina — ale czy matka twoja zechce?

— Czy zechce pojechać? — przerwał Mieczysław — widzieć się ze zbłąkanem swem dzieckiem... przemówić do niej głosem macierzyńskiego uczucia i macierzyńskiej powagi! Ha, nie wiem! ręczyć za to nie mogę! Zawsze jednak obowiązkiem jest moim nie opuszczać i tego jeszcze środka ratunku dla niej! Kto wie? spróbuję! pojadę!...

* * *

Dom białowolski, mały, lecz ładnie zbudowany i niegdyś tak świeżo bielejący wśród ciemnej zieleni, przybrał, od czasu zamieszkania w nim pani Leontyny, pozór na zewnątrz szary i opuszczony, wewnątrz dziwaczny i ponury.

Każdy z niewielkich pokojów domu tego wyglądał jak trumna.

Nizkie, opylone sufity zdawały się tam przygniatać i w ziemię wciskać pociemniałe od kurzu ściany. Pod ścianami stały sprzęty z ciemnego drzewa, obite grubem, niebielonem płótnem, żałobnie przybranem czarnemi taśmami. Takież firanki wisiały u okien i żółtawem, posępnem światłem napełniały pokoje, w których panowała atmosfera duszna i wilgotna, właściwa mieszkaniom wiecznie zamkniętym i zaniedbanym, prawie że pustym.

Fantastyczny przystrój ten domu wymyśliła i uskuteczniła pani Leontyna wtedy jeszcze, gdy po śmierci męża przenosiła się z Orchowa do Białowoli, na własność jej przez synów oddanej.

Pani Malwina Ręczycowa, jak domyślać się można, różniła się zupełnie z krewną swą i wychowanicą w zdaniu o urządzeniu domu jej i sposobu życia.

Radziła jej ona pozbyć się melancholii zapomocą rozrywek światowych.

Pani Leontyna rad tych słuchała z gorzkim uśmiechem na ustach i w odpowiedzi dom swój, według obmyślanego z góry planu, urządziwszy, hermetycznie go przed światem zewnętrznym zamknęła.

Odtąd pani Malwina lękała się białowolskiego dworu i nigdy do niego nie przyjeżdżała, stosunki z posępną krewną swą ograniczając do listownej korespondencyi, rzadko bardzo zamienianej.

Teraz przecież matka Konrada przybyła do Białowoli, jako do jedynego portu ucieczki, który pozostał jej na świecie. Przybyła tam w towarzystwie jednej tylko ze swych córek, bladej i smutnej Flory, ale wraz z nią zawitały do posępnych pokojów pokutniczego domu głośne wykrzyki, żwawe a nieustanne bieganiny, szelesty i fruwania barwnych, bombiastych sukien.

Pani Leontyna, po pierwszych zamienionych powitaniach, w których nie okazała ani radości, ani niezadowolenia, tylko przelęknienie jakieś i osłupienie, usunęła się do jednego z pokojów i krótkiemi, cicho wyrzeczonemi słowy zaprosiwszy ciotkę, aby według woli swej urządziła się i żyła w jej domu, pozostała już w schronieniu swem, które, wchodząc, na klucz zamknęła.

Pani Malwina usiadła na kanapie w bawialnym pokoju, opuściła ręce na kolana, przymknęła oczy, i tak już pozostała noc całą.

Daremnie Florka, która krzątała się około rozpakowania tłumoków i urządzania herbaty, prosiła matkę, aby rozebrała się i do łóżka położyła; przerażona wszystkiem, co ją otaczało, kobieta wstrząsała przecząco głową i, oczu nie otwierając, mówiła:

— Lękam się spać w tej trumnie, bo zdaje mi się, że zasnęłabym w niej na wieki... Nie odchodź, Florko! zdrzemnę się trochę... Ach! te firanki! te firanki! Zobacz, duszo moja, czy tam na ziemi niema czego...

Zrana, gdy z za żółtawo-żałobnych firanek błysnęło parę promieni zimowego słońca, otworzyła wprawdzie oczy, wypiła herbatę, przyrządzoną jej przez Florę, poprawiła na głowie loki i wstążki, ale miejsca zajmowanego nie opuściła i, niewyspana, wybladła, drżąca od zimna i przykrych wrażeń, kurczyła się pomiędzy żałobnemi poduszkami kanapy, wyrzekając na nieoględność syna, który stracił majątek, na dziwactwo pani Leontyny, która w tak okropny sposób dom swój urządziła, i na głupotę

swych córek, które za mąż nie wyszły, i teraz matce swej innego, przyjemniejszego schronienia ofiarować nie mogą.

W takim stanie znalazł ją Mieczysław, który w parę godzin po południu do Białowoli przyjechał.

Na widok jego, pani Malwina obie ręce wyciągnęła ku krewnemu, wołając:

— A niech ci, kochaneczku, Pan Bóg da zdrowie za to, żeś tu dziś przyjechał! Przynajmniej głos ludzki posłyszę i twarz czyjąś w tej trumnie zobaczę! Przyjechał tu wprawdzie, pół godziny temu, brat twój, Kamil, ale nie mogłam o niego dopytać się... poszedł z Florą rozmawiać... Ach! bieda na świecie, kochaneczku, bieda wielka! Ale i ty, kochaneczku, coś mi blado i mizernie wyglądasz! Zdaje się, doprawdy, że cały świat zmizerniał i melancholii dostał... Przyjdzie mi już chyba, jak tej biednej Leontynie, od królestwa niebieskiego rozrywek oczekiwać...

Mieczysław, na którego obliczu malowały się w istocie powaga i smutek, po wyrzeczeniu kilku obojętnych słów powitania, obejrzał się dokoła i zapytał:

— Gdzie jest moja matka? Przyjechałem tu po to, aby z nią o bardzo ważnej sprawie pomówić.

— Ach! te wasze ważne sprawy! — wykrzyknęła pani Malwina. — Nigdy do nich najmniejszej inklinacyi nie miałam, i ot, figuruj sobie, moja duszo, jakie to było trafne przeczucie... wszystkie moje biedy z tych ważnych spraw wynikły. Twoja matka, kochanku, jest bardzo osobliwą osobą. Siedzi zamknięta w tamtym pokoju.

Tu zniżyła głos i szeptem zapytała:

— Czy wchodziłeś kiedy, kuzynie, do tego pokoju?

Ale Mieczysława nie było już przy niej.

Stanął on u zamkniętych drzwi pokoju swej matki i zlekka zapukał.

— Kto tam? — ozwał się z wnętrza głos stłumiony i słaby.

Mieczysław odpowiedział.

— Czy nie mogłabym zobaczyć cię później? — zapytał znowu głos, z pokoju wychodzący.

— Pragnąłbym bardzo widzieć cię, mamo, dziś, zaraz...

Za drzwiami ozwał się szept, smutną lecz głęboką rezygnacyą nabrzmiały:

— Dziej się wola Twoja, Panie, tak na ziemi, jako i w niebie!

Poczem zwolna, bez szelestu, otworzyły się drzwi i stanęła w nich matka Lili.

Szczególna to była postać, tak szczególna, że gdyby pojawiła się w innem miejscu i o innej porze, wydaćby się mogła jakiemś legendowem zjawiskiem.

Wysoka zawsze, pani Leontyna wyglądała teraz na jeszcze wyższą; wrażenie to sprawiało nadmierne wychudnięcie jej ciała, obok wązkości i powłóczystości okrywającej ją czarnej szaty.

Włosy, w większej połowie posiwiałe i nie okryte niczem, w bezładnych, gęstych zwojach opadały na jej ramiona, na długą, wychudłą szyję, i przysłaniały zlekka czoło, powleczone skórą żółtawą, w mnóstwo brózd zmarszczoną. Pod czołem tem świeciły oczy wklęsłe, z wielkiemi, czarnemi źrenicami. Powieki jej były zaczerwienione, policzki zapadłe, z dwoma wypieczonymi na nich, gorączkowymi rumieńcami; usta blade i zaciśnięte, ręce białe, chude, przezroczyste, na czarną szatę bezwładnie zwieszone.

Było to uosobienie gorączki ducha i wyniszczenia ciała.

Suche, sztywne spojrzenie zatrzymała na głowie syna, chylącej się nad ręką jej, którą niósł do ust; suchy i zimny także był dźwięk jego głosu, gdy pytała go, po co przybył.

— Moja matko! — z łagodną powagą zaczął Mieczysław — smutny będzie przedmiot dzisiejszej mej z tobą rozmowy...

Usta pani Leontyny poruszyły się zwolna.

— Smutek nasz i wesele są w ręku Boga! — wymówiła powolnym, monotonnym głosem.

Mieczysław skinął głową.

— Tak, matko — rzekł. — Są jednak wypadki, w których obowiązek i serce rozkazują nam biedz z pomocą nieszczęśliwym i upadłym. Wiesz o tem, matko moja, jakiemu nieszczęściu uległa, jak nizko upadła Lila.

Na dźwięk imienia tego, twarz pani Leontyny drgnęła, rumieńce jej powiększyły się, oczy silniej błysnęły.

— Grzesznica! — wymówiła.

Nie powiedziała nic więcej nad ten jeden wyraz, ale wyszedł on z ust jej z ostrym sykiem, zdradzającym oburzenie zacięte i nieubłagane.

— Niestety! — wyrzekł syn — nazwa, którą dałaś biednej, zbłąkanej siostrze mojej, jest prawdziwą. Ja jednak przyłączam do niej w myśli inną jeszcze: nieszczęśliwa!

Ledwie dojrzany cień gorzkiego uśmiechu przesunął się po ustach pani Leontyny.

— Nieszczęśliwa? — powtórzyła i zwróciła na twarz syna źrenice swe, tkwiące dotąd w górze, a teraz ostrem, przeszywającem światłem napełnione. — Ona nieszczęśliwa! A ja... czy byłam szczęśliwą? czy nie miałam w życiu swojem zawodów, bólów, rozczarowań? Któż litował się nade mną w czarnych godzinach mego życia? kto przychodził mi w pomoc?... nikt. Nikt mnie nie kochał, świat i ludzie opuścili mnie! Teraz w głębi serca składam im dzięki za to, bo nauczyło mnie to pokory i wzgardy dla poziomej, smutnej, nędznej tej ziemi!...

Mieczysław słuchał z pochyloną głową.

Po chwili milczenia mówić znów zaczął:

— Smutki i walki, matko moja, znajdują się w życiu i pamięci każdego człowieka; ale burze, podobne tej, która pochłonęła cnotę i może szczęście całego życia, Lili...

— Burze? — przerwała matka — a w mojem życiu czyż nie było burz srogich i bolesnych?

— Jeżeli były one — odrzekł syn — to oparłaś się im matko moja, skuteczniej, niż ta biedna ofiara własnych namiętności i nikczemności ludzkiej...

— Ścieżki moje były w ręku Pana; wiódł On mnie niemi według świętej Swej woli.

To ciągłe zwracanie się ku sobie pani Leontyny przykrem snadź echem odbijało się w sercu jej syna, bo czoło jego stawało się coraz chmurniejszem, a oczy mimowoli spuszczały się ku ziemi.

Milczeli znowu chwilę.

Mieczysław pierwszy mówić zaczął głosem, który przytłumiało głębokie wzruszenie.

— Lila zsunęła się w przepaść straszną. Jeśli nikt i nic zatrzymać jej nie zdoła, runie ona na samo jej dno, niwecząc szczęście i spokój całego życia swego tak, jak zniweczyła już dobre swe imię. Próbowałem podać jej dłoń braterską i, pomimo wszystkiego, co zaszło, otworzyć przed nią schronienie w sercu i w domu swoim. Nie przyjęła ofiary mojej, nie chciała mnie nawet widzieć. Pomyślałem więc, że gdyby twój głos, matko, zawołał na nią, głos, któryby przypomniał jej najlepiej czyste lata dzieciństwa, powagę i świętość domowego ogniska, rzuciłaby się może w objęcia twoje, a tybyś ją dźwignęła z poniżenia, i oddała w moje ramiona, gotowe zawsze

wyciągnąć się ku niej z przebaczeniem i pomocą... Myślałem, matko...

Głos jego drżał lekko, ale powieki podniosły się i ukazały źrenice, napełnione światłem gorącego uczucia. Na twarzy jego była prośba serdeczna, w postawie powaga męskiego, głębokiego smutku.

Przerwał mu mowę giest pani Leontyny, żywszy, ostrzejszy, niż wszystkie poprzednie.

Podniosła rękę, jakby poruszeniem tem nakazać chciała synowi milczenie, a wzrokiem błądząc znowu po wysokościach, mówić zaczęła:

— Wiem! o, wiem, jak łatwem jest dla was przebaczenie, dla was, zepsutych dzieci świata i próżności jego! Przebaczacie wszystko, bo własne serca wasze tajemny zawarły sojusz z duchem zła i ciemności, bo zniknęła w was święta bojaźń Boża, bo sprzeciwianie się rozkazom Pana nic już dla was nie znaczy. Przebaczajcie! przebaczajcie bluźniercom, niedowiarkom, jawnogrzesznikom! nurzajcie się wraz z nimi w otchłani złości i nieprawości, aż można prawica Pana ześle na was Swoje gromy, aż pod siarczystym deszczem Jej pomsty spłonie i spopieleje obrzydły świat wasz, jak spłonęły niegdyś Sodoma i Gomora.

Słowa te wymawiała zrazu głosem cichym i słabym, który jednak wzmagał się coraz więcej, rósł w siłę i nabrał dźwięków ostrych, syczących.

Zarazem obie ręce jej podniosły się w górę giestem groźby i złorzeczenia, oczy ciskały błyskawice, a cała postać i twarz jej przyoblokły się ponurym zapałem fanatyzmu.

Mieczysław stał nieruchomy, jakby skamieniały od bólu i zdumienia.

Po chwili dopiero, nie patrząc na matkę, wymówił zcicha:

— Matko moja! pobożne uczucia twe szanowałem zawsze i nie sprzeciwiałem się im nigdy żadnem słowem, ni postępkiem. Ale racz sobie przypomnieć teraz, gdy idzie o uratowanie dziecięcia twego, słowa Chrystusa, który na jawnogrzesznicę kamieniem rzucić wzbronił i litować się nad nią rozkazał.

— »Nie będziesz wzywał imienia Boga twego nadaremno!« — przerwała pani Leontyna głosem podniesionym, i uczyniła poruszenie takie, jakby odejść chciała.

Ale Mieczysław podniósł rękę giestem prośby, a w źrenicach jego po raz pierwszy, odkąd z matką rozmawiał, przebiegła błyskawica gorzkiego wyrzutu.

— Matko! — zawołał — przypomnij sobie Lilę! postaw so-

bie przed oczyma postać i rysy twego dziecka! Przypomnienie to wzruszy cię może i rozkaże śpieszyć ku niej z ratunkiem...

— »Nie będziesz krzyżował ścieżek Pańskich, ani sprzeciwiał się woli Jego świętej!« — brzmiała znowu odpowiedź, cichym i uroczystym głosem wymówiona.

— Lila znajduje się w rękach człowieka złego, sumienia i skrupułów wszelkich pozbawionego. Przygotuje on jej zgubę zupełną, wtrąci ją w najsroższe nieszczęście.

— »Niezbadane są drogi, któremi Pan prowadzi ku sobie dusze zbłąkane!« Lila była zawsze dzieckiem niesfornem i samolubnem, dla wiary świętej obojętnem, do marnych blasków ziemskich rwącem się, jak motyl do ognia. Niech więc dotknie ją ogień gniewu Pańskiego i duszę jej oczyści, niech podźwignie ona na grzesznych ramionach swych krzyż kary Bożej, a uczyni on ją pokorną i ku zbawiennej pokucie zawiedzie! Ja nic dla niej uczynić nie mogę, tylko w pokutniczej szacie mej, z głową osypaną prochem, modlić się będę do Pana, aby kiedyś, przebaczywszy jej winy, połączyć ją raczył ze mną w niebieskiej swej światłości.

Mówiąc ostatnie słowa, skinęła głową synowi i zwróciła się ku drzwiom.

Ale tym razem ciemny rumieniec oblał bladą dotąd twarz Mieczysława.

Męska cierpliwość jego wyczerpała się. Zawrzały w nim gorzkie przypomnienia i oskarżenia.

— Matko! — wyrzekł, z całą mocą powstrzymując wybuch głosu swego i uczuć — przebacz mi to, co powiem... Lili należy się coś od ciebie... Dziecięce i młodzieńcze lata jej nie upłynęły tak, jak upłynąć były powinny... Nie zaznała ona uczuć poważnych i uszlachetniających, nie przyjęła w siebie myśli wielkich i obrończych... nie była należycie przygotowaną do trudów i prób życia; nie wszystko też zaraz na karb własnej jej winy składać należy...

Pani Leontyna stała przed synem w postawie pełnej głębokiego zdumienia, z twarzą, którą opływały rumieńce gniewu.

— Któż więc zawinił tu, prócz niej? — zapytała. — Ja może?... ja?

Śmiech cichy, lecz gorzki, szyderczy, wstrząsnął zapadłą jej piersią.

— Mnie więc obwiniasz, Mieczysławie, o grzechy i nieszczęścia płochej tej, występnej istoty? Nie dziwię się temu i Bóg widzi, że obraza za to w sercu mem nie istnieje. Oddawna

już świat i ludzie nauczyli mnie pokory. Gdybyś był sprawiedliwym, przypomniałbyś sobie, jak troskliwie, jak starannie pielęgnowałam w Lili pokorę, pobożność i pogardę dla ziemskich, światowych próżności. Ale synowie moi nie rozumieli mnie nigdy, serca ich i myśli pozostawały zawsze zdala ode mnie... Kamil nie kochał nikogo; ty, Mieczysławie, kochałeś bardzo ojca; wiem o tem... ale nie mnie! nie mnie! Któż mnie zresztą kochał na ziemi?... nikt. Co znaczyłam na świecie i komu potrzebną tam byłam?... nic i nikomu. A więc odeszłam od was w milczeniu i z pokorą, zamknęłam się w tej trumnie swojej, ciało swe przyodziałam szatą pustelniczą, i sam na sam z Panem żyć zaczęłam. A wy i tu pokoju mi nie dajecie, wy i tu w ciszę moją rzucić usiłujecie obrzydłe echa światowych wrzaw i namiętności. O! precz, precz ode mnie, obrzydłe mary świata tego, które przypominacie grzeszną i nędzną przeszłość moją! Precz ode mnie, wy pokuszenia duchów ciemności, które, pragnąc odwieść mnie od stóp Pana i samotnych z Nim rozmów, oblekacie na siebie postacie dzieci moich! Nie chcę was słuchać! »Przyjdź! przyjdź, Panie, królestwo Twoje i bądź wola Twoja na ziemi, jako...«

Dalszy ciąg mowy jej przycichał stopniowo i umilkł zupełnie za drzwiami, które bez szelestu zamknęły się za matką Lili i Mieczysława.

Nie można było mylić się.

Kobieta ta, z przeszłością burzliwą i z wielu względów występną, z samolubnem sercem, przerażonem sumieniem a ognistą wyobraźnią — była już napół obłąkaną. Z dźwięków głosu jej, słabych i ostrych z kolei, z wiecznego podnoszenia w górę jej źrenic, z gorączkowych rumieńców i febrycznych drgań, które wstrząsały jej ciałem, gdy mówiła o piekle i duchach ciemności, odgadnąć można było wszystkie zabobonne przestrachy, wszystkie czarujące i naprzemian straszliwe wizye, otaczające ją w komnacie jej samotnej; odgadnąć można było niezbadane żale jej za szczęściem ziemskiem, które ją opuściło, i ekstatyczne tęsknoty, porywające ją ku zaziemskim krainom.

Choroba ducha, źle i krzywo ukształconego, boleści serca, pozbawionego jedynych trwałych rozkoszy ziemskich i uczuć szlachetnych z myśli światłej płynących, wywołały w niej chorobę ciała, której pierwsze objawy ujrzały teraz przerażone oczy Mieczysława.

Z bladem też i chmurnem czołem, ze wzrokiem w ziemię utkwionym, wszedł on do pokoju, w którym wśród żałobnych

poduszek kanapy świeciła i szeleściła barwista, jedwabna suknia pani Malwiny.

Przy stole stał tam Kamil, a Flora, blada od znużenia i tuląca się w fałdy grubego szalu, siedziała w cieniu żałobnej firanki i kryła za nią twarz, po której łzy ciche spływały.

Bracia powitali się dość obojętnem uściśnieniem rąk.

— Dawno nie widziałem cię, Kamilu — rzekł Mieczysław, ale znać było, że słowa te wymówił machinalnie prawie, bo myśl jego nie ochłonęła jeszcze po strasznym widoku, który przed chwilą uderzył ją i w bolesne wprawił osłupienie.

— Tak — odparł Kamil swobodnym, obojętnym tonem. — Ty się tam porasz ze swem gospodarstwem w Orchowie, jak najemnik jaki, i czasu nie masz na odwiedziny. Ja także w ostatnich tygodniach zajęty byłem bardzo... Sprzedałem Rydlówkę.

Ostatnie słowa obudziły Mieczysława z zadumy. Szybko podniósł powieki i spojrzał na brata.

— Słyszałem o tem, — rzekł — alem sądził zawsze i teraz jeszcze sądzę, iż namyślisz się i ostatecznego kroku nie uczynisz.

— Owszem, — odparł Kamil, śmiejąc się — krok ten uczyniłem już. Sprzedałem Rydlówkę.

— Sprzedałeś ją już, Kamilu, stanowczo?

W głosie, którym Mieczysław zadawał to pytanie, lekkie było drżenie.

Kamil spojrzał na niego oczyma, w których zimna tkwiła ironia.

— Najbardziej stanowczo — odparł. — I dlaczegoż nie miałem tego uczynić? Alboż Rydlówka nie była moją własnością?

— Nie będę tłómaczył ci tego, co sam równie dobrze, jak ja, rozumiesz — rzekł Mieczysław. — Wiem tylko, iż żadna przykra konieczność, żadna nawet najlżejsza potrzeba nie zmuszała cię do tego.

— Przeciwnie, — odparł Kamil — zmusiły mnie potrzeby mego umysłu i wymagania mego smaku. Żyjąc na wsi, wyrzekać się musiałem wielu przyjemności, które teraz, posiadając w ręku odpowiedni kapitał, będę mógł zapewnić sobie z łatwością. Nie jestem stworzony do życia na wsi. Lubię miasto, naturalnie wielkie miasto, swobodę, towarzyskie i artystyczne rozrywki, których dostarczyć ono może. Za tydzień opuszczę Rydlówkę. Na wiosnę wyjadę za granicę, zwiedzę Włochy, Szwajcaryę

i nadreńskie strony, potem zaś zamieszkam stale w Warszawie, gdzie znajdę miłe towarzystwo, koncerty, operę...

— Więc dla towarzystwa miłych dam miejskich i słuchania opery sprzedałeś Rydlówkę? — przerwał mu Mieczysław.

— Uczyniłem to dlatego także, — ciągnął Kamil — aby umysłu swego nie zamykać w zbyt ciasnych ramach parafialnego bytu. Człowiek powinien być zawsze panem położenia swego, módz zmieniać je według woli, nie wrastać, jak grzyb, w miejsce jedno, ale szukać sobie po świecie dróg różnych, takich, na których najwygodniej i najszerzej mogłyby rozwijać się właściwe mu usposobienia, zdolności i gusty. Sprzedając Rydlówkę, — dodał Kamil z uśmiechem głębokiego zadowolenia — wcieliłem tylko w czyn tę filozofię życia, którą wyznaję. Z jakiegoż wreszcie innego powodu mógłbym to uczynić? Do wojny z wiatrakami nie porywałem się nigdy... długów nie miałem.

W ostatnich wyrazach była już wyraźna, do Mieczysława skierowana, ironia. Ale Mieczysław przed pociskiem tym nie spuścił oczu.

— Ale miałeś obowiązki — rzekł krótko i z powagą.

Kamil wzruszył ramionami i zaśmiał się głośno.

— Jakie? — zawołał — gdzie? nic nie wiem o nich. Nie słyszałem i nie czytałem nigdy o tem, aby w jakichbądź krajach lub czasach istniało prawo, wzbraniające komukolwiek rozrządzać własnością swą według woli i chęci. Ziemia jest kapitałem tak dobrym, jak każdy inny, a ruch ciągły, ciągle przechodzenie z rąk do rąk kapitałów, stanowi prawo bytu i warunek rozwoju gospodarstwa społecznego. Monopol wszelki szkodliwy jest dla publicznego bogactwa i przemysłu, a uparte utrzymywanie się właścicieli ziemskich przy odziedziczonej glebie wytwarza monopol, którego najdobitniejszy przykład przedstawia nam Anglia...

Wywiad ten, nabrzmiały szumnemi nazwami i frazesami, prowadzony byłby przez Kamila dłużej jeszcze, ale Mieczysław już go nie słuchał. Poszedł do Flory i rozmawiał z nią półgłosem.

— Gdzie jest Róża? — zapytał.

— Pozostała w N.

— Spełniła więc zamiar swój?

— O! spełniła... szczęśliwa!

— Żona moja dawno już od niej listu nie miała.

— Róża jest teraz tak pilna, tak zawsze zajęta!

— Mówicie o Róży? — zawołała z kanapy pani Malwina. — Figuruj sobie, kuzynku, że tej dziewczynie pomieszało się w gło-

wie: została guwernantką... Róża Ręczycówna guwernantką! Daje lekcye na jakiejś pensyi, a potem gryzmoli po całych wieczorach i rankach. Dziwna, doprawdy, destynacya moja, żebym na nieszczęście dziewczyny tej patrzeć musiała.

Mieczysław, słuchając tych słów, uśmiechał się dziwnie.

Promień miłego, radosnego niemal uczucia rozświecił chmurną twarz jego.

— Moja ciociu! — rzekł — to, co ciocia nazywa nieszczęściem Róży, jest dla niej przeciwnie szczęściem wielkiem.

— Piękne szczęście, kochanku! to dziewczyna zgubiona... Gdybym wiedziała, kto nakładł jej do głowy wszystkich tych głupstw, tobym mu pięknie podziękowała.

— Mam nadzieję, — rzekł Mieczysław — że kiedyś, gdy Róża imieniem swem zrobi chlubę matce, stanie się jej podporą, podziękowanie cioci odbierze naprawdę moja żona, która, widując się z Różą niekiedy, a pisując do niej często, kierowała naukowemi jej pracami, zachęcała ją do wytrwania, odkryła w niej zdolności pisarskie, a teraz otrzymała dla niej zajęcie nauczycielskie na pensyi, z której przełożoną łączą ją dawne i dobre stosunki. Dziś żona moja poleciła mi, abym prosił ciocię o chwilową cierpliwość i pobłażliwość dla Róży... Gniew cioci boli Różę, ale jej z drogi, którą sobie wybrała, nie sprowadzi...

— A niech sobie idzie, kochanku, drogą tą, niech sobie idzie! — odparła pani Malwina, a policzki jej zarumieniły się silnie i głos zadrżał. — Ja jej nie przeszkadzam, ale i znać jej nie chcę.

Zwróciła się do Kamila i mówiła dalej:

— Figuruj sobie: w czarnej sukni chodzi, jak zakonnica... po pensyach za lekcyami lata... androny głupie gryzmoli i ze szwaczką jakąś w dwóch pokoikach pod dachem zamieszkała... Remarkuj sobie sam, kochanku, czy mogę ją za swoją córkę uważać?

— Panna Róża miała zawsze pociąg do książek — z odcieniem ironii zauważył Kamil, i zlekka a zimno dotknął ręki brata, który, przez nikogo niezatrzymywany, żegnał obecnych.

Zaledwie drzwi przedpokoju zamknęły się za odjeżdżającym, Kamil wziął także czapkę i z pożegnalnym ukłonem zbliżył się do ciotki.

Ale pani Malwina ręki mu nie podała i, patrząc na niego żartobliwie niby, lecz w istocie z niepokojem ukrywanym, zawołała:

— Jakto, kuzynie! odjeżdżasz już?

— Muszę — odparł Kamil.— Tydzieńtylko mam czasu do przygotowania wszystkiego, aby wyjazd mój z Rydlówki obszedł się bez strat i niewygód.

— I nic nie masz mi do powiedzenia, kochanku? — zagadnęła pani Malwina, żwawo przebierając drżącemi rękoma fałdy swego szalu i patrząc w twarz krewnego wzrokiem, w którym wzrastał niepokój.

Kamil skłonił się grzecznie i odpowiedział z uśmiechem:

— Pozostaje mi tylko życzyć szanownej cioci dobrego zdrowia i polecić się jej pamięci.

— A Florze, kochanku? a Florze, czy żadnych nie złożysz życzeń?

Zadając pytanie to, pani Malwina usiłowała zaśmiać się po swojemu, to jest figlarnie i trzpiotowato; ale usta jej zadrżały, a zarumienione od bezsenności powieki kilka razy nerwowo mrugnęły.

Kamil skłonił się powtórnie i, zwrócony napół ku ciotce, napół ku jej córce, wyrzekł:

— Kuzynce Florze życzę wszelkich powodzeń i jak najświetniejszego wyjścia za mąż.

Na te słowa, Flora wysunęła się szybkim ruchem z za ocieniającej ją dotąd żałobnej firanki i, z chustką przyłożoną do twarzy, nie patrząc na nikogo, wybiegła do przyległego pokoju. Pani Malwina wyprostowała się, jak struna, rozpostarła obie ręce giestem zdumienia i zawołała:

— Ależ figuruj sobie, moja duszo, że ona już teraz wyjść za mąż nie może... w żaden sposób nie może! Cały świat wie o tem, że kochaliście się przez lat tyle. Teraz, młode to jeszcze wprawdzie... bardzo młode... ale nie to już, co było... Gryzło się biedne dziecko i płakało często, więc postarzało też przed czasem.

Przy ostatnich wyrazach głos pani Malwiny, tak dźwięczny i swobodny zawsze, ścichł i osłabł; w piersi płochej tej kobiety i matki zabolało coś i jęknęło.

Kamil stał z czapką w ręku, ze spuszczonemi oczyma, lecz z jednostajnym wciąż uśmiechem na ustach.

Po chwili ozwał się zwolna i zimno:

— Uważałem to sam, że kuzynka Flora zmieniła się bardzo od pewnego czasu i zmizerniała. Sądzę, że najlepszem dla niej lekarstwem byłyby rozrywki.

W słowach tych tkwiła gryząca i nielitościwa parodya

rad, których pani Malwlna na wszystkie choroby ciała i duszy udzielała, napół z przekonania, napół z nałogu.

Teraz jednak uczuła ona, o ile rada ta w wypadkach pewnych materyalną bywa, uczuła, ile w niej mieścić się może gorzkiego szyderstwa.

Podniosła na twarz kuzyna oczy z takim wyrazem, jakby własnym nie dowierzała uszom i, prostując się jeszcze bardziej, wyrzekła:

— Żartujesz, kuzynie. Ale pomówny na seryo.

Ostatni wyraz szczególnie brzmiał w ustach tej, wiecznie śmiejącej się i o nic nie dbającej, sześćdziesięcioletniej wietrznicy.

— Pomówmy na seryo — powtórzyło. — Może zresztą nie wypada mi o tem mówić i nie mówiłabym z pewnością, gdybym zostawała w dawnej swej pozycyi... Ale jestem teraz w pozycyi zupełnie innej, niż dawniej... Cóż uczynię? gdzie się podzieję? Myślałam, że jedno z dzieci moich przynajmniej będzie miało dom swój i podzieli się nim ze mną... Remarkuj sam, kuzynie, czy mogę całe życie mieszkać w tej trumnie? wszak to okropieństwo, nie prawdaż? A z Florą co będzie? ona za mąż nie pójdzie za nikogo, prócz za ciebie, kuzynie. To romantyczka! kilka partyi wcale dobrych odrzuciła... Prosiłam, namawiałam, gniewałam się, ale nic nie pomogło. Tyle lat, figuruj sobie tylko, kochanku, tyle lat! co za stałość! Będziesz z niej miał żonę... perfekcyę!

Kamil stał wciąż przed mówiącą tak kobietą w jednostajnej postawie. Ręką tylko o stół się oparł i oczy ku ziemi spuścił. Przez chwilę zdawać się mogło, że w oczach tych mignęło zakłopotanie, czy inne jakieś uczucie, ale była to tylko przelotna chwila.

Kamil podniósł głowę i powoli, zimno, z rozwagą mówić zaczął:

— Przykro mi bardzo, iż zawieść muszę położone we mnie nadzieje cioci; ale ja żenić się nie myślę i nie mogę...

— Nie możesz, kochanku! dlaczego nie możesz? — wykrzyknęła pani Malwina, kurczowym ruchem pulchne dłonie swe splatając.

— Ożenienie się bowiem — ciągnął dalej Kamil — sprzeciwiałoby się wszystkim gustom moim i planom, jakie sobie ułożyłem na przyszłość. Jestem dość majętnym na to, aby zabezpieczyć własne życie od przykrych niewygód, braków i katastrof, ale nie dość, aby brać na siebie ciężar utrzymania rodziny. Rodzinne życie zresztą nie odpowiada wyobrażeniu, jakie

mam o egzystencyi człowieka, pragnącego w każdej okoliczności być panem swego losu. Zdaje mi się, że na zawsze pozostanę bezżennym.

Gdy Kamil to mówił, z twarzy pani Malwiny zniknęły bez śladu rumieńce, a zastąpiła je bladość żółtawa.

Zaczerwienione powieki jej mrugały szybko i nerwowo. W głowie nie było wyrazów, a w piersi głosu, którymiby odpowiedzieć mogła. Wargi jej poruszyły się tylko kilka razy i wydały z siebie szept, w którym dosłyszeć można było słowa:

— Tyle lat! imaginuj sobie tylko, tyle lat!

Kamil złożył jej ukłon głęboki i wyszedł.

Wtedy we drzwiach przeciwległych, do sąsiedniego pokoju wiodących, stanęła Flora, blada bardzo, z nabrzękłemi od płaczu oczyma, z piersią drżącą od łkań tłumionych.

— Nadaremnie, mamo... — zaczęła — mówiłaś z nim o tem... Ja wiedziałam... on mi to sam powiedział..

Umilkła znowu i stała we drzwiach, nie płacząc już, bez poruszenia żadnego, jak posąg wstydu i rozpaczy. Pani Malwina wpatrywała się w nią osłupiałemi oczyma, i nagle, nie wymawiając słowa, wyciągnęła ku niej obie ręce. Flora poskoczyła, i, osuwając się na ziemi u nóg matki, ukryła twarz na jej kolanach.

Oczy pani Malwiny mrugały i z szybkością nadzwyczajną obiegały pokój, aż napełniły je łzy.

W kobiecie tej, po raz pierwszy może w życiu, ozwały się uczucia poważne i bolesne, po raz pierwszy pierś jej wezbrała płaczem głośnym i gwałtownym. Otoczyła zgiętą u kolan jej szyję córki trzęsącemi się rękoma i, głosem przez łkania przerywanym, zawołała:

— Figuruj sobie, duszo moja... że wszystkie... wszystkie dzieci moje są... zgubione!

* * *

Wieczór był blizki, gdy Mieczysław wrócił do domu.

Michalina, jak zwykle bywało, wyszła na ganek, aby go spotkać.

Mieczysław śpiesznie zbliżył się do żony i, biorąc ją za rękę, z niepokojem zapytał:

— Co ci jest, Michasiu? czy stało się w domu co złego?

Pytanie to spowodowane było niezwykłym wyrazem twarzy młodej kobiety, która, w udawanie niewprawna, zdradzała się z silnem, a przykrem wzruszeniem.

— Nic się nie stało — z wahaniem się w głosie odpowiedziała Michalina — później ci zresztą powiem... — dodała, rumieniąc się mimowoli, jak ktoś, komu ciężko jest popełniać kłamstwo, w celu choćby najlepszym. — Idź teraz do pokoju naszego... czeka tam na ciebie Makower, który tu przed godziną przyjechał.

Rzekłszy to, odwróciła się szybko od męża i zniknęła w głębi domu.

Odchodząc, dotknęła dłonią stanika sukni, za którym ukryty zaszeleścał papier jakiś; potem, znalazłszy się samą, splotła ręce, podniosła je nieco w górę i szepnęła do siebie:

— Jakże ja mu to powiem? jak zdołam cios ten mu zadać? O! gdybyż w sercu mojem otworzyły się na ten raz źródła pociechy, któremi mogłabym mu chwilę tę uczynić mniej gorzką! Gdybym w mowie swej znalazła dość wyrazów miłości i męstwa, któreby go osłoniły i ukrzepiły!

Zwolna i z pochyloną w zamyśleniu głową udała się do pokoju, w którym, otoczona dziećmi, siedziała jej matka. Usiadła przy niej blizko i długo mówiła jej o czemś zniżonym głosem. Stara niewiasta słuchała słów jej ze splecionemi, jak do modlitwy, rękoma, z oczyma błagalnie wzniesionemi w górę.

Długo dwie kobiety rozmawiały w ten sposób, a po twarzach ich, zbliżonych ku sobie, bladych i smutnych, spływały łzy, szybko ocierane.

Mieczysław tymczasem, wszedłszy do pokoju, będącego zwykłem miejscem rodzinnych posiedzeń, znalazł tam, siedzącego w pobliżu drzwi, Elego Makowera. Na widok wchodzącego gospodarza domu, Izraelita powstał i grzeczny złożył mu ukłon.

Mieczysław powitał go także grzecznie, acz zimno, i wskazał mu miejsce w głębi pokoju, przy stole, przed kominem stojącym.

Wiedział on aż nadto dobrze, jakie cele i starania przywiodły do niego tego gościa. Były to cele i starania też same, które przed kilku miesiącami sprowadziły mu odwiedziny głównego agenta »Domu pośrednictwa«.

A jednak, mimo wspólności, pomiędzy dwoma tymi ludźmi zachodzącej, Mieczysław mniej chmurnie i zimno przyjął Makowera, niż przyjmował Poryckiego. Owszem, w obejściu się jego

z Izraelitą był, obok chłodu i powagi, pewien odcień życzliwości. Ale też nawzajem, ktokolwiek znał dobrze Makowera, z łatwością mógł poznać, że nie był on w tej chwili zupełnie takim, jakim bywał zwykle.

W postawie jego i ruchach zdradzało się wcale mu niezwyczajne wahanie jakieś, prawie nieśmiałość; w oczach pojawiał się niekiedy błysk cieplejszego, sympatycznego uczucia. Widać było odrazu, że w usposobieniu obu tych ludzi nie było niezbłaganej konieczności wzajemnego gardzenia sobą, nienawidzenia się i szkodzenia sobie, że traf tylko i plątanina, wynikła z kolei, któremi kroczyły plemienne i jednostkowe ich dzieje, postawiły ich w nieprzyjaznym względem siebie stosunku.

Eli, siedząc na krześle, z obu dłońmi na kolanach złożonemi, z grubym swym, złotym łańcuchem od zegarka, który połyskiwał na tle atłasowej kamizelki, pierwszy zaczął rozmowę:

— Mnie się zdaje — rzekł — że nie potrzebuję mówić panu, w jakim interesie tu przyjechałem. Pan to sam odgadł.

— W istocie, — odparł Mieczysław — łatwo mi domyślić się celu pańskiego przybycia do mnie. Wybacz też, panie Makower, jeśli ci powiem, że trudziłeś się daremnie. Ja postanowienia swego nie zmieniłem: Orchowa sprzedać nie myślę.

Odpowiedź ta zdziwiła nieco Elego.

Po tylu trudnościach i niebezpieczeństwach, któremi otoczył był człowieka tego, spodziewał się usłyszeć inną, mniej przynajmniej spokojną i stanowczą.

— Proszę pana, — rzekł po chwilce namysłu — niech się pan na mnie nie obraża za to, że mówić będę tak, jakbym tego powiedzenia pańskiego wcale nie słyszał. Proszę też, żeby pan nie myślał, że ja z panem gadać będę tak, jak z innymi ludźmi gadam. Ja wiem, że pan odrazu pozna, co prawda, a co nieprawda, że panu nie trzeba niczyjego rozumu, aby własne korzyści obrachować. Tylko że u pana są różne myśli w głowie, które przeszkadzają mu czasem dobrze liczyć. Jeżeli pan pozwoli, to ja te myśli pańskie na stronę usunę, tak, jakby ich nie było, i same tylko cyfry przed pańskiemi oczyma postawię.

Mieczysław uśmiechnął się mimowoli.

— Dlaczego, panie Makower, — zapytał — chcesz sobie tyle trudów zadawać, skoro wiesz z góry, że nie doprowadzą cię one do celu?

— Może nie doprowadzą, a może i doprowadzą — wyrzekł Żyd. — U nas jest przysłowie: »Kupić, nie kupić, potargować można«. I ja jeszcze jedną rzecz panu powiem...

Tu zawahał się.

W oczach jego, które tkwiły w twarzy Mieczysława, błysnął w tej chwili cieplejszy, sympatyczny promyk.

— No! — wymówił — dlaczego ja nie mam powiedzieć panu o tem? albo to co złego? Mnie pana żal!

— Dziękuję ci, panie Makower, za życzliwe dla mnie uczucia, — z powagą rzekł Mieczysław — ale wybacz też, jeśli powiem, że dowodów ich nie widzę. Przeciwnie, postępujesz pan ze mną, jak nieprzyjaciel, który przeciwnika swego otacza podstępnemi sieciami.

Słowa te wywarły na Elego widoczne wrażenie.

— Nie rozumiem, o czem pan mówi — rzekł z pewnem zmieszaniem w głosie.

— Powiedziałeś pan sam przed chwilą, że jestem zdolny rozróżnić prawdę i nieprawdę. Nie mylisz się pan, w obecnym przynajmniej wypadku. Wiem dobrze, iż większa część trudności i niepowodzeń, które spotkały mnie w ostatnich czasach, pańskiem jest dziełem. Posiadasz pan liczne i woli swej posłuszne narzędzia działania; ale pozwól powiedzieć sobie, że używasz ich na złe, i że człowiek, obdarzony takiemi, jak pan, zdolnościami umysłu, mógłby wcale inną, zaszczytniejszą spełniać rolę.

Słowa te powiedziane były z otwartością, właściwą charakterowi człowieka, który je wymawiał. Elego, widocznie, przykro one dotknęły.

Przez chwilę miał postawę i wyraz twarzy człowieka, czującego się w sprzeczności z samym sobą. Parę sekund oczy jego, pojętne i błyszczące, tonęły w spokojnych i lekko tylko przyćmionych smutkiem oczach Mieczysława.

Uczynił potem żywe poruszenie, i rzekł stanowczym głosem:

— Przepraszam pana; pan się myli. Ja nieprzyjacielem pańskim nie jestem.

Umilkł, spuścił oczy, i zdawało się, że w myśli zapytywał o coś sam siebie, że we wnętrzu swem godzić usiłował coś, co pogodzić się w żaden sposób nie dawało.

Podniósł nakoniec głowę i rzekł znowu:

— Pan mówił, że ja wiele złego panu zrobiłem. Nu, ja robił, to prawda. A dlaczego ja robił? bo mnie to miało przynieść wielkie korzyści, a człowiek sam sobie zawsze najlepiej życzy. Ale ja i panu źle nie życzę; a żeby pana o tem przekonać, wyjmę z kieszeni ten papier i ten ołówek, i cyframi panu po-

każę, jaki pan może być bogaty i szczęśliwy, jeżeli pan zrobi tak, jak ja panu radzę.

Mówiąc to, wydobył z kieszeni gruby pugilares, wydarł z niego kartkę czystego papieru i, pochylony nad stołem, zaczął kreślić na niej cyfry ołówkiem.

Przedstawiał Mieczysławowi wartość Orchowa, którą znał wybornie, i nieliczne, obciążające go należności; obrachowywał kapitał, jaki, po sprzedaniu majątku, pozostać miał w ręku sprzedawcy, i jakie kapitał ten przynosić mógł procenty. W rachunku swym nie rozminął się ani na źdźbło z rzeczywistym stanem rzeczy, nie omylił się ani o grosz jeden, nie uczynił ani jednego, fałszem lub próżnem łudzeniem trącącego, przypuszczenia. Dotrzymywał danego słowa.

Mówił z Mieczysławem wcale inaczej, niż zwykł był mówić z innymi dziedzicami dóbr ziemskich; mówił mu czystą, wierną prawdę.

Z prawdy tej okazywało się widocznie, że Mieczysław, jeśliby zgodził się oddać dziedzictwo swe w obce ręce, nietylko uwolniłby się od wszelkich kłopotów, trudów i niebezpieczeństw, które dotąd napełniały byt jego, ale posiadłby w kapitale fortunę czystą, niezależną a znaczną.

Pogrążony w dokonywanych rachunkach, Eli pozbył się uprzedniego zmieszania swego i tego ludzkiego, cieplejszego promienia, który przed kwadransem rozświecał mu oko. Był on znowu kupcem, spekulantem, napół chłodnym i stanowczym, napół namiętnym i pożądliwym.

Znać było, że niczego więcej nie pragnął w tej chwili, jak skłonienia dziedzica Orchowa do pozbycia się dziedzictwa swego; o niczem nie myślał, tylko o zyskach własnych, które z interesu tego, jeśliby doprowadzony był do skutku, wyniknąć mogły.

Skreśliwszy na papierze ostatnią cyfrę i wymówiwszy ostatni rezultat swych obrachowań, Eli podniósł głowę, i z błyskiem tryumfu w oczach, rzekł:

— No, co pan na to powie?

Mieczysław uśmiechnął się.

— Czy sądzisz, panie Eli, — odpowiedział — że wszystko, coś mi tu napisał i powiedział, jest dla mnie nowością? Czyniłem już sam nieraz obrachowania podobne...

— Nu, a jak pan ich robił, to co pan sobie myślał?

— Że nie sprzedam Orchowa.

Po odpowiedzi tej, Żyd spuścił oczy i patrzył w ziemię. Po chwili podniósł powieki i zwolna, poważnie zapytał:

— Pan może rozgniewa się na mnie... ale ja pana pytam: dlaczego pan taki uparty? dlaczego pan szczęścia nie chwyta, kiedy ono w ręce panu samo lezie? dlaczego pan, mając taki bystry rozum i takie jasne oczy, idzie do zguby swojej, jak człowiek ślepy?

Mieczysław powstał i, zbliżając się do Izraelity, życzliwym acz poważnym giestem położył dłoń na jego ramieniu.

— Źle myślałeś o mnie, panie Makower, — rzekł — jeżeli mniemać mogłeś, że pytanie twoje mnie rozgniewa. I owszem, rad mu jestem. Gdyby zadał mi je wspólnik twój, pan Ildefons Porycki, nie chciałbym mu na nie odpowiedzieć, ale tobie... odpowiem. Wiedziałem dobrze i oddawna, że, gdybym sprzedał Orchów, stałbym się człowiekiem niezależnym i zamożnym, wolnym od trosk wszelkich, spokojny o byt dostatni dla siebie i swej rodziny. Ani na chwilę przecież perspektywa ta nie zachwiała postanowieniem mojem. Powód zaś tej stałości mojej jest bardzo prosty. Leży on w przekonaniach moich i najgłębszych uczuciach, które mi mówią, że chociaż niezależność materyalna cenną jest i pożądaną, chociaż spokój i bezpieczeństwo bytu przyjemnemi być mogą, wyższą jednak od wszystkich dóbr tych jest zasada, z którą rozminąwszy się, człowiek pozostać nie może ani uczciwym, ani szczęśliwym.

— Przepraszam pana, — przerwał Eli — a co to takiego ta zasada?

— Zasadą tą — odparł Mieczysław — jest trwanie przy tem, co całą siłą serca i umysłu swego człowiek uznaje za dobre i potrzebne..

— Nu, — zawołał Żyd — a czy to potrzebne panu, żeby pan kłopotał się i jak parobek pracował na tym kawałku ziemi, kiedy pan może być gdzieindziej bogatym i swobodnym, jak ptak?

— Potrzebne to jest nie dla mnie, ale dla kogoś czy dla czegoś, o co idzie mi tyleż, a może i więcej, niż o siebie.

W oczach Elego malowało się wytężenie myśli.

Po raz pierwszy w życiu prowadził on rozmowę o rzeczach, oddalających się od spraw materyalnych i zjawisk powszednich.

Widać jednak było, że umysłem swym bystrym i otwartym przenikał znaczenie słów, które pochwytywał ciekawem uchem.

— A kto to panu każe pilnować się tej zasady, które pana i pańskie dzieci do torby przyprowadzić może? — zapytał raz jeszcze.

— Obowiązek — krótko odpowiedział Mieczysław.

— A skąd ten obowiązek wychodzi? — zapalając się coraz bardziej, wykrzyknął jeszcze Eli.

— Obowiązek ten wychodzi z serca, które kocha, i z sumienia, które rozróżniać umie dobro od zła.

Tym razem Eli powstał i stanął naprzeciw Mieczysława.

— Ja pana zrozumiałem — rzekł. — Ja zawsze wiedział trochę, jakie są pańskie myśli, a teraz wiem już dobrze. Ja przepraszam pana, że powiem: myśli pana piękne, honorowe, tylko niepraktyczne. Żeby to tak dawniej jeszcze... no; ale teraz, proszę pana, taki czas, że ludzie z wiatrem wojować przestali, bo przekonali się, że wiatr to wielka siła... tych, co jemu sprzeciwiają się, powali na ziemię, a sam jak dmie, tak dmie. A jak ludzie o tem przekonali się, to i zrozumieli, że przeciw wiatrowi iść nie trzeba, tylko być z nim w zgodzie i schodzić przed nim z drogi. Czy ja nie prawdę mówię, proszę pana, że teraz nadszedł taki czas?

Mieczysław poważnie i przecząco wstrząsnął głową.

— Nie, panie Eli, — rzekł — czas taki nie nadszedł i nie nadejdzie nigdy. Walka ze złem, jakkolwiek byłoby ono silnem, nie przestanie być obowiązkiem i potrzebą ludzi poczciwych, odważnych i rozumnych; każda tylko pora inne im do walki tej podaje narzędzia i bronie. Dawniej ludzie walczyli mieczami, głośno, groźnie, burzliwie; dziś walczyć mogą i powinni tylko pracą, pracą serc swych, głów i rąk, cicho, skromnie, poprostu. Dziś uznaliśmy i wiemy o tem, że każdy, kto własne życie obroni od wszelkiej plamy i skazy, kto rozumnie i cnotliwie wychowa swe dzieci, myśl zacną pomiędzy ludzi rzuci, przykład z siebie da dobry, kawał nieurodzajnej ziemi użyźni, jakikolwiek ruch, jakiekolwiek życie i bogactwo wywoła tam, kędy była przedtem jałowość, ruina i nędza, — ten jest dobrym rycerzem sprawy ludzkości, ten wedle siły spełnia swój obowiązek.

— Dlatego-to — po chwili milczenia dodał Mieczysław — dlatego-to i ja także nie chcę zejść ze stanowiska, na którem czuję się potrzebnym i użytecznym, nie chcę opuścić zadania, które umiłowałem sercem i za słuszne uznałem rozumem. Sposobiłem się do zawodu rolnika od młodości, i umiejętność zawodu tego posiadam. Na żadnem innem miejscu w żadnem in-

nem zajęciu nie mógłbym tak, jak w tem, spożytkować sił swoich i zdolności. Sroga więc tylko, nieubłagana konieczność wytrącićby mnie mogła z kolei mojej: dobrowolnie nie ustąpię.

Mieczysław przestał mówić, a Eli stał wciąż przed nim i patrzał mu w twarz dziwnym wzrokiem. We wzroku tym, jaśniej, cieplej, niż kiedykolwiek, świeciły promyki życzliwych, sympatycznych uczuć; ale oprócz tego był w nim podziw niby, niby głuche a nieokreślone cierpienie jakieś. Otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale zawahał się i nie powiedział nic; spuścił oczy i myślał.

Długo myślał.

Na czole jego pogłębiały się rysujące je brózdy. Wyprostował się nakoniec, postąpił krok na przód i, nie patrząc na Mieczysława, rzekł:

— Dziękuję panu, że pan ze mną rozmawiał, jak z równym sobie człowiekiem. Ja nigdy o takich rzeczach nie rozmawiałem z nikim. Ja prosty Żyd, nieuczony, i tylko własnym rozumem, co mi go Pan Bóg dał, wybiłem się z nędzy i wielkiej ciemności. Ale ja pana zrozumiałem, i proszę, żeby pan nie myślał, że ja nieprzyjacielem pańskim jestem...

Przy ostatnich wyrazach podniósł znowu wzrok na Mieczysława i zdawało się, że chciał wyciągnąć do niego rękę. Nie uczynił jednak tego.

Coś, jakby nieśmiałość, odmalowało się w jego postawie, coś jakby uczucie mimowolnego może, lecz głębokiego szacunku skłoniło mu głowę nizko.

Wziął z krzesła czapkę i, nie rzekłszy już ani słowa, wyszedł z pokoju.

Mieczysław nie długo pozostał samotnym.

Stara, poważna komnata napełniła się wkrótce wesołymi głosami dzieci, krokami kobiet, krzątających się około urządzania wieczornego posiłku. A jednak wieczór ten nie upływał dla mieszkańców Orchowa tak zupełnie, jak upływały im inne wieczory. Na głowach i sercach ich spoczął widocznie ciężar tłoczący.

Poufne i swobodne zawsze rozmowy rwały się co chwila i milkły.

Mieczysław otwierał po kilka razy księgi swe gospodarskie i rachunkowe, ale, rzuciwszy zaledwie okiem na ich karty, zamykał je, zdjęty jakby nieprzezwyciężonem uczuciem zniechęcenia.

Dzieci nawet, mniej pieszczone, niż zazwyczaj, posmutniały i przycichły.

Jedna tylko Michalina żwawo krzątała się wokoło rodzinnego stołu, nawiązywała rwącą się rozmowę i podsycała ogień na kominie, jakby głosem swym i blaskami domowego ogniska zagłuszyć chciała posępny szept wiszącego nad ukochanemi jej głowami nieszczęścia jakiegoś, odegnać, choćby na chwilę, zbliżające się ku nim ciemności.

Najczęściej zaś brała Michalina w objęcia swe małego syna Lili, a usta jej lgnęły do białego czoła dziecięcia z taką mocą, jakby lękała się, aby w domu jej lub sercu nie stała mu się krzywda jakaś, aby gorzki wyraz narzekania i niechęci nie spłynął na niewinną jego głowę.

Gdy nakoniec, przy schyłku wieczora stara babka, otoczona dziatwą, zniknęła w głębi domu, udając się na spoczynek, Michalina stanęła naprzeciw męża, z którym pozostała sam na sam, w nieruchomej postawie, ze spuszczonemi oczyma. Potem dotknęła stanika sukni, za którym ozwał się szelest ukrytego tam papieru, a usiadłszy tuż przy Mieczysławie, zwolna zarzuciła mu ramię swe na szyję.

— Drogi mój! — zaczęła — mam z tobą do pomówienia.

Mieczysław, który, z czołem opartem na dłoni, siedział zamyślony i machinalnie, jak się zdawało, patrzał na długi szereg cyfr, wypisany w otwartej, rachunkowej księdze, podniósł głowę i spojrzał na żonę.

Ona bliżej jeszcze przysunęła się do niego, i zcicha mówiła:

— Pamiętasz, drogi mój, że pora ta wieczorna, w której zostajemy zwykle sam na sam, była zawsze dla nas porą najpoufniejszych zwierzeń, najmilszych, samotnych rozmów. W godzinach tych obrachowywaliśmy z sobą zawsze wyniki prac naszych wspólnych, mówiliśmy o powodzeniu wspólnego dzieła naszego, roiliśmy najpiękniejsze nadzieje, dzieliliśmy się najswobodniej uczuciami i myślami swojemi. Postaw sobie teraz przed oczy wszystkie te dobre, ciche, kochane wspomnienia nasze, ogarnij myślą całą miłość moją dla ciebie...

Teraz drugiem ramieniem szyję jego otoczyła i, piersią lgnąc do jego piersi, wymówiła ciszej jeszcze:

— Dziś, najdroższy mój, ja w tej ukochanej godzinie naszej oznajmić ci muszę wieść smutną, gorzką...

Mieczysław pobladł lekko; w myśli jego błysnął domysł, dla niego straszny. Ale wierna, wielka miłość ukochanej kobiety

ogarniała go objęciem miękkiem i zarazem silnem; przy piersi swej czuł przyśpieszone uderzenia jej serca, oczy jej tonęły głęboko w jego źrenicach i zdawały się na promieniach swych nieść w umysł jego spokój i moc.

Mimowolnem poruszeniem pochylił głowę swą ku jej głowie i, na gorącem, nieskalanem czole składając pocałunek długi, szepnął:

— Mów, Michasiu. Nie mogę być zupełnie nieszczęśliwym, mając ciebie.

Wtedy wyjęła ona z za stanika sukni gruby, żółty papier, we czworo złożony i urzędowymi napisami i pieczęciami poznaczony.

Mieczysław wziął papier ten z jej ręki, a gdy położył go pod światłem lampy i czytać zaczął, ona zbliżyła twarz swą do jego twarzy i kibicią przylgnęła tak do jego piersi, aby ani jedno mgnienie zapomnieć nie mógł o jej obecności i uczuć się samotnym.

Twarz czytającego mężczyzny bladła i rumieniła się naprzemian, oczy jego błyskały to gniewem i oburzeniem, to bólem i rozżaleniem gorzkiem.

Skończył czytać i, niosąc dłoń do czoła, wymówił cichym, lecz przenikającym szeptem:

— Siostra to więc moja... siostra!...

W wielkiem wzruszeniu swem nic więcej powiedzieć nie mógł i, twarz ukrywszy w dłoniach, pozostał nieruchomym. Ale Michalina pochylała wciąż głowę swą nad jego głową.

— Spójrz na mnie, najdroższy mój! — szeptała z prośbą, z naleganiem — spójrz na mnie!

Podniósł głowę i wzrokiem spotkał się z jej oczyma, i widział, jak zachodziły one zwolna łzą, nadaremnie wstrzymywaną, podczas gdy po ustach jej, drgających od tłumionego płaczu, przewijał się uśmiech bezgranicznej miłości, uśmiech, który wśród boleści i trwogi tej chwili błyszczał pociechą i nadzieją, jak kwiat, wyrastający wśród wichrów i słot.

Patrzyli na siebie długo, milcząc, aż zwolna, zwolna, z uśmiechu jej, z uścisku jej ciepłych, miękkich dłoni, z jej łzy nawet, spłynęły w pierś jego wzburzoną pociecha i nadzieja. Powstał i, kładąc dłoń na złowrogim papierze, rzekł z mocą:

— Nie, nie ustąpię i teraz jeszcze Pojadę wszędzie, zawołam do wszystkich, użyję całych sił swych, aby cios ten ostatni i stanowczy już, odeprzeć. Wszak formalności prawne zająć im będą musiały dwa lub trzy miesiące. Przez czas ten znajdę

może gdziekolwiek kredyt, pożyczkę, ustąpią mi może z drogi intrygi i podstępy człowieka tego, w którym zdaje mi się, że ujrzałem dziś uczucia jakieś ludzkie i dobre... Kto wie?...

Przy ostatnich wyrazach zwrócił się znowu do żony.

— Dziękuję ci, Michasiu, — rzekł cichym głosem — dziękuję ci!...

Chciał mówić więcej, ale głos jego zadrżał i zmienił się w szept cichy:

— O, mój ty dobry, czysty aniele! mój ty aniele pociechy, miłości i męstwa!

Długo, długo w noc, czerwony blask dogasającego ogniska oświetlał ich postacie, złączone w uścisku, ich twarze zbliżone ku sobie, a poufną, rozważną rozmowę przerywające pocałunkami miłości.

* * *

Urzędowy papier, leżący pod światłem dogorywającej lampy, był pozwem sądowym, wzywającym Mieczysława o natychmiastową wypłatę 20,000 rubli.

Lila prawo swe do tej sumy ze wszelkiemi formalnościami przelała na Ildefonsa Poryckiego, który poszukiwał jej teraz na Orchowie drogą prawną, jako osobistej własności swojej.

VII.

Ildefons Porycki przechadzał się po niewielkim, lecz ładnie umeblowanym pokoju.

Pokój ten znajdował się na drugiem piętrze kamieniczki, która, stojąc wśród dziedzińców i ogrodów, przedstawiała schronienie samotne i ustronne, od gwaru ulic i wzroku miejskiej ludności oddalone.

Twarz głównego agenta zdradzała żywy niepokój. Przed kilku dniami wysłał on był do Orchowa, za pośrednictwem władz miejscowych, pozew urzędowy o wypłacenie sumy posagowej Lili. Nie uspokajało go to jednak zupełnie. Młody dziedzic Orchowa, który dotąd niczem skusić ani zgnębić się nie dał, mógł i tym razem także zapobiedz grożącej mu katastrofie, zapomocą jakichkolwiek obrotów gospodarsko-finansowych. Po-

rycki czuł, że na samo przypuszczenie to krew mu nadbiegała do czoła.

Zawzięcie bo też nienawidził on człowieka tego, który życiem swem i zasadami, postępkami i słowami ranił śmiertelnie jego miłość własną. Dla pomyślnego przeprowadzenia planów, osnutych w celu ostatecznego zgnębienia nienawistnego sobie człowieka, Porycki potrzebował, koniecznie potrzebował pomocy i współdziałania Elego.

Owóż właśnie kilka dni już minęło, odkąd Eli, po wspólnej z nim naradzie, udał się do Orchowa, dla powzięcia na miejscu dokładnych informacyi o położeniu i obecnych usposobieniach Mieczysława.

Porycki wiedział dobrze, iż wycieczka ta Elego trwała bardzo krótko, że wrócił z niej oddawna, że obecnie znajdował się w mieście i, zwykłym sobie spokojnym trybem, wiódł różne sprawy i sprawki, których liczne nici spoczywały w jego rękach. Przez czas ten mógł on już dziesięć razy być u wspólnika swego, a nie był ani razu.

Co znaczyła zwłoka ta? dlaczego czynny i sprytny Izraelita, tak pilnie zazwyczaj chodzący około załatwianych przez się interesów, zaniedbał się tym razem w tak uderzający sposób?

Byłaż to z jego strony niechęć jakaś, lub niewytłómaczone ostygnięcie dla rozpoczętej tak pomyślnie, a tyle korzyści obiecującej sprawy?

Czy może spotkał się on z przeszkodami jakiemiś, które obalać i zwyciężać usiłował na własną rękę, bez porady i pomocy wspólnika swego?

Pytania te i wątpliwości niepokoiły mocno głównego agenta, i teraz właśnie, przechadzając się po niewielkiej swej bawialni, myślał on nad tem, czy należy mu udać się do mieszkania Elego, czy też oczekiwać zjawienia się Izraelity. Niecierpliwa i burzliwa strona charakteru jego zaczynała właśnie brać górę nad rozważną i przebiegłą; chwytał już za czapkę i miał wyjść na miasto, gdy otworzyły się drzwi przedpokoju i do bawialni wszedł Eli Makower.

Postawa Żyda była, jak zawsze, obojętna, spokojna. Powitany przez głównego agenta z pośpiechem i uprzejmością niezwykłą, rozpoczął on rozmowę o przeróżnych wspólnych im sprawach.

Mówił zwolna i poważnie, ale w sposób tak stanowczy, że przez dobry kwadrans Porycki, ani toku rozmowy zmieniać, ani pytań żadnych zadawać nie mógł. O wycieczce swej do Orchowa

i powziętych tam wiadomościach Eli najlżejszem słowem nie wspominał.

Trzymał się on zdala od przedmiotu tego tak upornie, jakby o nim zupełnie zapomniał, jakby dlań nie istniał. Porycki zrozumiał taktykę Izraelity, ale powodów jej odgadnąć nie mógł. Uczuł, że Eli nie chce z nim mówić o sprawie, która na teraz zajmowała go prawie wyłącznie, namiętnie, i... zadrżał w głębi. Hamował się długo; gdy jednak Makower powstał i zabierał się do wyjścia, zawrzał gniewem na człowieka tego, który nie rozumiał lub rozumieć nie chciał dręczących go uczuć, i żywiej może, niżby sam pragnął tego, zapytał:

— A cóż pan zrobiłeś w Orchowie? Jakże tam dzieje się z naszym rycerzem niezłomnym? Czy podobało mu się bardzo to pisemko, któreśmy mu przed kilku dniami wysłali? Czy zawsze trwa w mniemaniu, że siebie i dzieci swoje karmić będzie cnotą, a odziewać ideałami?...

Byłby dłużej jeszcze mówił w ten sposób, bo gwałtowne i złośliwe uczucia, z któremi oddawna nosił się w milczeniu, podniosły się mu w piersi falą wrzącą, bryzgając przez usta zjadliwymi wyrazami. Ale Eli przerwał mu mowę.

— Wie pan co? — rzekł zwyczajnym sobie obojętnym sposobem — ja z tego interesu kwituję i mieszać się do niego nie chcę.

— A toż dlaczego? — wykrzyknął agent główny, rumieniąc się i przenikając Izraelitę ostrym wzrokiem.

— Niech już pan pozwoli, żebym ja panu nie mówił, dlaczego ja co chcę robić, a dlaczego nie chcę.

Mówiąc to, wziął za czapkę i miał się znowu ku odejściu. Ale Porycki zatrzymał go giestem i wejrzeniem, w którem, z za gniewnego wzburzenia, przebijała się już chytra rozwaga.

— Panie Eli, — rzekł urywanym głosem, bo tłumił gwałtowne uczucia swe i pragnął okazać się zimnym — nie czyń pan tego, nie porzucaj tej sprawy. Pan wiesz, jakie jest położenie moje w »Domu pośrednictwa«. Jestem osobistym przyjacielem barona von R.; jedno słowo napiszę do niego, jako do prezesa stowarzyszenia naszego, a przestajesz pan być agentem »Domu pośrednictwa«.

Groźba ta, która w istocie ważną była dla Elego, nie sprawiła jednak na nim wrażenia żadnego. Uśmiechnął się lekko i odpowiedział:

— Gdybyś pan zrobił to, co pan powiedział, ja straciłbym wiele, to prawda. Ale pan tego nie zrobi.

— Dlaczego nie zrobię? — zawołał Porycki. — Jak tylko zechcę, zrobię...

— A ja mówię, że pan nie zrobi tego, bo i ja także mógłbym panu cokolwiek zrobić, coby dla pana bardzo nieprzyjemnem było... Jabym tylko poszedł do jednego urzędnika, którego znam, — on zdaje się prokuratorem jest,—i powiedziałbym mu...

— Dość już tego, dość — zawołał półgłosem agent główny i ze wzrokiem, wbitym ziemię, z pobladłą trochę twarzą znowu zaczął przechadzać się po pokoju.

Żyd patrzył w niego wzrokiem obojętnym, napół szyderskim.

— No, — rzekł po chwili — dobranoc panu. A niech pan pamięta o tym majątku, o którym ja panu mówił. To nowy szczupak, którego ja odkrył i zaraz do swego stawu prowadzę... Dobranoc!

Porycki postąpił śpiesznie ku zbliżającemu się do drzwi wspólnikowi.

— Panie Makower, — rzekł — tu żartów niema żadnych. Baron żąda koniecznie, aby Orchów nabytym dla niego został... Ja nie mogę narażać się baronowi, a i panu nie radzę, abyś to uczynił. Nie wiem, jakie powody skłaniają cię do opuszczenia interesu tego, wiem tylko to, że, jeżeli przerwiesz działalność swoją w tej mierze, Orchowski las swój sprzeda, albo pożyczkę jaką zaciągnie i dług siostry, który jest teraz moim, spłaci...

— To i cóż, że spłaci? — zagadnął obojętnie Żyd — niech sobie spłaca.

— A jak go spłaci, — ciągnął agent główny — to żadna siła nie skłoni go wtedy do sprzedania majątku.

— A choć on nie sprzeda swego majątku, to co tak ważnego stanie się? Albo jego majątek jeden na świecie?

— Stanie się to, że pan, panie Eli, utracisz na tem sześć tysięcy rubli.

Żyd po raz pierwszy w ciągu rozmowy z wyrazem zajęcia, a nawet i zdziwienia, na wspólnika swego spojrzał.

— Jakto sześć tysięcy? Ja miałem wziąć za ten interes tylko dwa tysiące.

— Tak, ale inne dwa należeć miały do mnie. Otóż panie Eli, jeżeli nikt od Orchowskiego lasu nie nabędzie, nikt mu nie pożyczy żadnej sumy, nikt słowem żadnego finansowego obrotu dokonać mu nie pomoże, ja ci część zysku swego odstąpię, a oprócz tego obowiązuję się wydobyć od barona, mniejsza już jakim sposobem, jeszcze dwa tysiące rubli, które do pana nale-

żeć będą. Wiesz pan dobrze, że ani oszukać cię, ani nie dotrzymać ci słowa nie mogę. Ewikcyę najlepszą masz na bezpieczeństwie własnej osoby mojej, która do pewnego stopnia jest w twojej mocy.

Mowy tej Izraelita słuchał zrazu z obojętnością, która jednak była widocznie albo całkiem udaną, albo z trudnością wymuszoną.

Stopniowo podnosiły się oczy jego na twarz głównego agenta i coraz żywiej błyszczeć zaczynały. Brózdy na czole jego pogłębiały się, jak bywało zwykle, gdy namyślał się nad czemś głęboko, lub uczuwał się silnie wzruszonym. Pochylił nakoniec głowę i pozostał przez parę minut nieruchomy, a tylko palce jego szybkim i niespokojnym ruchem uderzały o poręcz fotelu, przy którym stał.

Porycki spoglądał na niego wzrokiem, w którym błyszczały tryumf i radość. Uśmiech napoły szyderski, napoły zadowolenie głębokie objawiający, przesuwał się po wązkich jego wargach.

— Dobranoc panu — rzekł nakoniec Eli, głowę podnosząc i czapkę znowu ujmując. — Pomyślę nad tem, co mi pan powiedział... zobaczę, jak to będzie i jutro panu powiem. Dobranoc.

Ze słowami temi odszedł.

Przebywszy parę dziedzińców, dzielących ustronną kamieniczkę od ulicy, Eli kilka kroków zaledwie uszedł chodnikiem i spotkał się oko w oko ze śpiesznie biegnącym bratem swym, Mendlem.

Wielki faktor biegł tak szybko, że aż rękoma rozmachiwał i głośno sapał. Spostrzegłszy brata, stanął i za ramię go pochwycił.

— Ja ciebie, Eli, od dwóch godzin po całem mieście szukam — rzekł, sapiąc — a teraz do pana agenta biegłem, bo domyśliłem się, że ty do niego poszedł.

— No! a co tam takiego pilnego? czego ty ode mnie chcesz? — z odcieniem złego humoru w głosie zapytał brat starszy.

Mendel zwrócił się w stronę, w którą szedł Eli, zwalniając kroku, rzekł ciszej z pewną tajemniczością:

— Orchowski przyjechał do N.

Wymówiwszy to, spojrzał na brata pytającym wzrokiem, ale odpowiedzi żadnej nie otrzymał.

Eli szedł zwolna, z rękoma w tył założonemi, i patrzył w ziemię.

Mendel mówił dalej:

— Jak tylko on przyjechał, to zaraz do Rozenbluma poszedł. Rozenblum dwa lata już o jego lesie mówi, że chciałby go kupić. Jak oni teraz zaczną ze sobą na cztery oczy gadać, to może co z tego wyniknie. Mnie się zdaje, że ja powinienem zaraz do Rozenbluma iść i powiedzieć mu, żeby się bardzo nie śpieszył, bo jak baron Orchów kupi, to mu ten las taniej sprzeda.

Przestał mówić i znowu pytająco na brata swego, mistrza i dobroczyńcę, patrzył.

Eli szedł wciąż jednostajnym, powolnym, równym krokiem, spoglądał w ziemię i milczał.

Mendel znowu mówić zaczął:

— Jak on wrócił od Rozenbluma, to miał bardzo smutną twarz, bo Rozenblum to wielki i rozumny kupiec, bez faktorów nic nie robi i pewności jemu żadnej widać nie dał. On obiad zjadł i poszedł do Szwarca. A czego on mógł do Szwarca chodzić? czy to nie wiadomo, kto to Szwarc i czem zajmuje się? On bogacz i panom na wielkie procenty pieniądze pożycza. A wiesz ty, Eli, że jak Orchowski da naszemu *Szwarcu* wielkie procenty, to on jemu pożyczy. Mnie się zdaje, że trzeba, żebyś ty sam do Szwarca poszedł i pogadał z nim, jak ty umiesz, a jeżeliby on upierał się, to żebyś i do rabina jego poprowadził, i *cherym* jemu dał.

Umilkł i błyszczącemi swemi oczyma bystro i niespokojnie w twarz brata popatrzył. Ale i tym razem także odpowiedzi żadnej nie było.

Mendel rzucił się niecierpliwie, aż mu płaszcz z ramion się osunął.

— Ny! — zawołał — co tobie stało się, Eli? Czego ty milczysz? Czy tobie kto gębę przypieczętował?

W tej chwili na wieży miejskiej zegar donośnie i powoli wygłosił dość późną dzienną godzinę.

Mendel schwycił się za głowę.

— Gewałt! — zawołał. — Zaraz noc będzie. Rozenblum, odkąd zrobił się bogaczem, nikogo wieczorem widzieć nie chce i o żadnych interesach nie gada, tylko ze swoją *bałabostą* i z gośćmi w pokojach siedzi... I u Szwarca bramę zamykają, jak tylko ściemni się. Ny, Eli, czy *mnie iść* do Rozenbluma i do Szwarca, bo jak ja dziś do nich nie pójdę, to Orchowski jutro rano pójdzie i nasz wielki interes przepadnie.

Stanęli na rogu ulicy, u załomu muru.

Z przeciwnej strony otwierającego się w tem miejscu placu, na drugiem piętrze pokaźnej kamienicy, błyskały zapalonem w tej chwili właśnie światłem okna kupca Rozenbluma, bogatego, drzewem handlującego Izraelity. Mendel rzucał na okna te niespokojne spojrzenia. Eli milczał jeszcze i patrzył w ziemię.

— Nu, Eli, ja idę! — nie mogąc, zda się, ustać na miejscu, zawołał wielki faktor.

Wtedy po raz pierwszy w ciągu rozmowy Eli oderwał wzrok od ziemi i zamyślonemi oczyma powiódł dokoła. Otworzył usta, aby na usilne pytania brata odpowiedzieć, ale i tym razem jeszcze nie rzekł nic.

Placem przechodził mężczyzna wysoki i kształtny.

W zmroku, który zapadał, twarzy jego nie było można rozpoznać, ale wzrostem, postawą i ruchami przypominał on Mieczysława. Eli wiódł spojrzeniem za przechodniem owym, dopóki nie zniknął za tą właśnie kamienicą, w której mieszkał Rozenblum, a potem zwrócił się do brata i wymówił zwolna:

— Może ty, Mendlu, jutro do Rozenbluma pójdziesz?

Faktor, który także zauważył przechodnia, wybuchnął:

— Co tobie stało się, Eli? ty dziś zupełnie inny człowiek, jak zawsze! Sieh! — dodał, wyciągając rękę ku wysokiej ścianie, za którą zniknął przechodzień — mnie się zdaje, że to Orchowski poszedł. A gdzie on poszedł? on poszedł z Rozenblumem targu dobijać! A ty mówisz, żebym ja tam jutro szedł? Pfu! jutro już tam będzie po wszystkiem!

Eli spoglądał na oświetlone okna kamienicy i szeptał coś bardzo zcicha, jakby rachował sumy jakieś, bo w szepcie jego zabrzmiały głośniej nieco wymawiane wyrazy:

— Sechs tausend und vierzig, sechs und vierzig.

— Sechs tausend! — wymówił nakoniec głośno zupełnie, podniósł głowę, pogłaskał małą bródkę, a oczy zamigotały mu żywo i ostro.

— Idź do Rozenbluma — rzekł szybko, niezwykle szorstko, i odwróciwszy się od brata, w inną podążył stronę.

Ale Mendel dopędził go.

— A co ze Szwarcem będzie?

— Du dummes Geschöpf! co tobie do tego? — krzyknął niemal Eli. — Ja tobie mówię, żebyś ty do Rozenbluma szedł, to ty idź. Ze Szwarcem już ja sobie dam radę bez ciebie.

Nigdy jeszcze w życiu Mendel nie słyszał brata swego, tak szorstko i gniewnie mówiącego.

Bywał on zwykle dla rodzeństwa i dla wszystkich zresztą

swych współwyznawców łagodnym, wyrozumiałym, przyjacielskim.

— Aj, aj, jaki un delikatny! — mawiali o nim Izraelici.

Nagle delikatności tej zabrakło Elemu względem rodzonego brata, którego wykierował sam na wielkiego faktora naukami swemi i dobrodziejstwy, a to właśnie w chwili, w której brat ten oddawał mu ważną, żądaną przez niego usługę. Ale Mendel nie zastanawiał się bynajmniej nad psychologicznemi przyczynami, które zmianę tę w obejściu się jego brata sprowadziły. Puścił się wielkim pędem przez plac mroczny i zniknął w bramie kamienicy, przez bogatego kupca Rozenbluma zamieszkiwanej.

* * *

Gdy powyższe rozmowy toczyły się na ulicy pomiędzy izraelskimi braćmi, Ildefons Porycki, po odejściu Elego, lekkim krokiem i z uspokojoną zupełnie twarzą zbiegłszy ze schodów, wchodził do mieszkania, o jedno piętro niżej położonego. Tam, w pokoju z wdziękiem i wygodą przybranym, stała u okna, szarym już mrokiem przyćmionego, szczupła, wysoka postać kobieca, otulona grubemi fałdami szalu, z pod którego wypływała powłóczysta szeleszcząca suknia.

Głowa jej strojna w olbrzymie zwoje kruczych włosów i w przeplatające je sznury korali, chyliła się ku szybie, a oczy, zapadłe nieco, znużone spojrzenia przesuwały po dość obszernym, lecz brzydkim, pustym dziedzińcu.

Usłyszawszy stuk otwierających się drzwi, Lila głowę odwróciła i, widząc wchodzącego Ildefonsa, z lekkim okrzykiem odskoczyła od okna. W okrzyku tym była bezsprzecznie radość, ale było też w nim nieco zmieszania, obawy prawie.

Porycki wziął obie ręce kobiety i długo trzymał je przy swych ustach.

— Pani moja, — zaczął — znowu przez okno na świat wyglądała?...

W słowach tych brzmiała lekka, ironiczna nieco wymówka.

— Mój Boże, — mówiła kobieta, głowę jakby pod ciężarem wymówki tej schylając — usłyszałam kroki czyjeś na dziedzińcu i spojrzałam w okno... tak mimowoli prawie...

— Nudzisz się, Lilo, tęskno ci za ludźmi... — ciągnął Pory-

cki, siadając obok niej na kanapie i rękę jej, której mu nie odbierała, zatrzymując w swej dłoni.

W głosie jego brzmiał smutek. Kobieta uczuła się nim dotkniętą, bo szybko ku niemu twarz zwróciła i zawołała z pośpiechem:

— O nie, nie! Ildefonsie, nie nudzę się wcale! nie tęskno mi za ludźmi, pomiędzy którymi nie znalazłam nikogo, nikogo podobnego do ciebie! Owszem, jestem bardzo szczęśliwa, tak szczęśliwa, jak nie byłam nigdy!

Głos jej brzmiał przy ostatnich wyrazach tonem jakimś fałszywym, nie takim jednak, który zdradza kłamstwo.

Kobieta ta usiłowała widocznie wmówić w samą siebie, że jest szczęśliwą, i wyraz ten powtarzała zawzięcie z ogniem niezwyczajnym, jak gdyby pragnęła dźwiękiem jego zagłuszyć niepewności jakieś, bóle, trwogi, które pomimo woli i wiedzy swej uczuwała.

Ale ucho Poryckiego zbyt wprawne było i czujne, aby tego fałszywego tonu w głosie Lili nie miało dosłyszeć.

— Dlaczegoż więc — zaczął — tak często, jak więzień jaki, wyglądasz przez okno? dlaczego tak uważnem uchem ścigasz każdy szelest niezwyczajny w domu lub za domem? Masz więc w głowie swej myśli jakieś, które nie należą do mnie, w sercu pragnienia, których ja zaspokoić nie mogę! Ale ja nie chcę tego, Lilo, ja nie chcę abyś choć na jedno mgnienie oka odwracała myśl swą lub wzrok ode mnie ku komu lub czemu innemu. Pragnę posiadać cię całą, z ciałem twem i duszą, z myślami i uczuciami, posiadać cię zupełnie, wyłącznie!

Mówił to z porywczością w głosie, z namiętną zazdrością w oku i na twarzy.

O! jakże tem pragnieniem wyłącznego posiadania kobiety, której piękność i sama uległość może, której bezgraniczne dziecięco-naiwne oddanie się mu wzbudziło w nim naprawdę uczucie gwałtowne i burzliwe, jakże pragnieniem tem zaprzeczał on zasadom, które wyznawał i w nią wpajał, zasadom bezwarunkowej pomiędzy ludźmi wspólności dóbr wszelkich i swobodnej miłości!

Ale ona nie dostrzegła nawet przeciwieństwa pomiędzy słowami jego i uczuciami. Ją namiętna ta mowa zachwycała, upajała.

Wstrząsnęła przecząco śliczną swą strojną głową i szepnęła mu cicho, słodko:

— Nie, nie, Ildefonsie! ja za niczem nie tęsknię, niczego

nie żałuję i nie mam żadnych uczuć, ni myśli, któreby nie należały do ciebie! Jednej tylko rzeczy, jednej jedynej pragnę bardzo, ze wszystkich sił swoich... ty wiesz, Ildefonsie, czego!

Ostatnie słowa wymówiła z wybuchem i wpatrzyła się w kochanka z błaganiem, z trwogą.

On uśmiechnął się.

— Wiem, — rzekł — pragniesz co prędzej zostać uznaną przez świat żoną moją... Lękasz się, lękasz się zawsze, Lilo, świata i jego głupich krzyków.

Dla niej nie było nic straszniejszego nad jego przyganę, nad jego szyderstwo.

To też zawołała śpiesznie:

— Nie, nie! Ildefonsie, nie lękam się niczego! Jestem śmiałą, odważną, taką... jaką powinna być kobieta w tym świecie naszym, o którym mówimy z sobą tak często... A jednak...

Zawahała się i, po chwili dopiero, dodała niepewnym głosem:

— A jednak... chciałabym, abyś mi powiedział, czy uczyniłeś już kroki jakie...

— Względem czego? — zapytał Porycki, nie rozumiejąc niby, w gruncie zaś dla zyskania chwili czasu do namysłu nad odpowiedzią.

— Względem rozwodu mego — szepnęła kobieta.

On otoczył kibić jej ramieniem.

— Cierpliwości — rzekł — najdroższa moja, cierpliwości i męstwa! Z czasem wszystko będzie zrobione. Niech tylko brat twój wypłaci nam należne pieniądze, a będziemy mieli stosowne środki...

— O! Mieczyś odda, zaraz odda najpewniej tę bagatelną sumę! Dlaczegożby oddać nie miał? Jemu to wszystko jedno, prędzej czy później...

Mówiła to z rozjaśnioną twarzą i zupełnie swobodnym tonem. Ani jej przez myśl nie przeszło, że drobna jej ręka napisała przed kilku dniami wyrok na brata — wyrok... może zguby jego.

Pieniądz?... alboż rozumiała wagę jego i znaczenie? Brat?... alboż znała w istocie brata swego? alboż rozumieć mogła myśli jego i dążenia? alboż człowiek, który stał się jej mistrzem, nie uczył jej gardzić ideą rodziny?

Teraz pochyliła ona na dłoń głowę i rozmarzona szepnęła:

— O Ildefonsie! gdyby to prędzej nastąpić już mogło! gdyby prędzej.

Porycki wstał i, uśmiechając się, wyjął z kieszeni spore podługowate pudełko.

— Przyniosłem to dziś pani mojej z wycieczki na miasto... Dość ładna to rzecz, a ty lubisz ładne rzeczy.

Gdy Lila otwierała pudełko, Brygisia wniosła na tacy dwie zapalone świece.

Z pudełka błysnęła, na tle aksamitnem złożona, para kolców, ładnych w istocie, misternej roboty i modnego kształtu.

— Och! jakie ładne! — zawołała kobieta, zapominając o zmieszaniu, z jakiem zrazu dar przyjmowała, i aż do najbliższego śladu otrząsając się z przedchwilowego rozmarzenia.

Stanęła przed lustrem i włożyła w uszy długie, perłami zdobne, kolce.

Zamigotały one z dwóch stron jej twarzy bladej, schudłej znacznie, noszącej na sobie widoczne piętno wzrastającej coraz chorobliwości.

Porycki z uśmiechem zadowolenia patrzył na zajętą nowym strojem kobietę i rozkochanym wzrokiem obejmował kibić jej delikatną, wątłą, ale dziwnie kształtną i ponętną. Nagle jednak czoło jego rozjaśnione schmurzyło się i w oczach błysnęło posępne światło.

Spojrzenie jego padło na list, pocztowym stemplem opatrzony, który, razem ze świecami przez służącą przyniesiony, leżał na tacy.

Po adresie bystre oko jego poznać musiało, od kogo list ten przybywa. Gwałtownem poruszeniem wziął z tacy zapieczętowane pismo, zgniótł je w dłoni i tak szybko opuścił pokój, że Lila, odwróciwszy się od zwierciadła, wydała okrzyk zdziwienia, spostrzegając, że jest samą.

Znalazłszy się w mieszkaniu swem na drugiem piętrze, Porycki zbliżył się do zapalonej lampy, którą wniósł za nim służący, i rozdarłszy kopertę, przebiegł oczyma zawarte w niej pismo, poczem zaraz zdarł je na drobne części, które, dla większego zda się bezpieczeństwa, rzucił jeszcze na dopalające się węgle.

Uczyniwszy to, usiadł natychmiast za stołem i prędko bardzo pismem zamaszystem, gwałtowne uczucia zdradzającem, nakreślił na ćwiartce papieru następujące słowa:

»Moja droga!

»Gniew twój i niecierpliwość gniewają mnie i nie-»cierpliwią nawzajem. Nie wiem, doprawdy, czego chcesz »ode mnie?

»Czy jestem milionerem, abym ci mógł posyłać wciąż »sumy bajecznej wielkości, albo z założonemi rękoma sie-»dzieć przy tobie i bawić się patrzeniem w oczy twe, któ-»re powinny były dotychczas nauczyć się rozważniejszego »i chłodniejszego spoglądania na świat i na wzajemne sto-»sunki nasze.

»Zamiar, który mnie w ostatnim liście swym obja-»wiasz, uważam za szaleństwo i obawiałbym się go w isto-»cie, gdybym nie był pewny, że do wykonania go nie masz »dość ani środków pieniężnych, ani odwagi. Pisałem ci już »nieraz o tem, że robię tu świetne interesa i jestem na »drodze do zebrania znacznej fortuny. Wiadomość ta po-»winna wystarczać ci do czasu, w którym sam uznam za »potrzebne i możebne wezwać cię do siebie.

»Proszę być cierpliwą, rozsądną i nie przeszkadzać »mi, wiesz bowiem dobrze, iż byt twój, nietylko twój, ale »i innych jeszcze osób, o które tak bardzo się troszczysz, »znajduje się w moich ręku.

»Strzeż się więc, Julio, i nie gniewaj się zbytecznie, »bo, gdy zechcę, będę mógł sprawić ci daleko więcej »złego, niż te drobne przykrości, które mi w listach »swych tak gorzko wyrzucasz.

»Życzę ci dobrej pamięci, któraby ci nieustannie »przypominała słowa moje i przestrogi, a pewny jestem, »że dla własnego interesu swego będziesz im posłuszną«.

Podpisał list ten, zaadresował i, włożywszy go do kieszeni futrzanego paltota, który przywdział pośpiesznie, opuścił mieszkanie.

Schody ustronnej kamieniczki słabo oświetlone były palącym się u ich szczytu płomykiem gazowym.

Zaledwie Porycki, zstępując na dół, minął pierwsze piętro, gdy wśród bladego oświetlenia tego, ujrzał wstępującą zwolna naprzeciw siebie postać męską.

Rozmijając się z Poryckim, mężczyzna w wytartym płaszczu uchylił czapki, przez co ukazał wielką łysinę, mocno siwiejącymi włosami otoczoną.

Był to Fabian Łozowicz.

Porycki oddał mu ukłon i, zstąpiwszy na kilka stopni niżej, rzucił za nim podejrzliwe, niechętne spojrzenie.

— Skąd on się wziął tutaj? — szepnął — i poco do Lili idzie? Czyżby go sama przyzwała? W każdym razie — dodał, wychodząc na dziedziniec — nie jest to człowiek niebezpieczny dla mnie. Głupiec i mazgaj.

Lila tymczasem siedziała przy stole, z czołem na dłonie opartem.

Pod światłem lampy błyszczały w otwartem pudełku ładne kolczyki, które tak bardzo ucieszyły ją przed chwilą: ale teraz nie patrzała już ona na nie. Twarz jej blada okryta była znowu wyrazem tęsknego zamyślenia, w zapadłych oczach palił się ogień niepokoju i tajemnej jakiejś żałości, prześliczne, jakkolwiek blado-różowe zaledwie usta drgały tłumionem pozieWaniem.

Nagle, wśród milczenia, zalegającego niewielkie, lecz wykwintne mieszkanie, otworzyły się drzwi.

Lila odwróciła głowę, spojrzała, poskoczyła z krzesła, i z wykrzykiem zdumienia i radości wyciągnęła rękę ku Łozowiczowi, który, nieśmiało i smutnie jakoś, zatrzymał się w bliskości progu.

— Czy pani nie gniewasz się na mnie za to, że tu przyszedłem? — zapytał gość, całując podaną sobie rękę.

— Ja! ja miałabym za to gniewać się na pana? — zawołała Lila. — Ależ ja nigdy nie spodziewałam się, abyś pan pamiętał jeszcze o mnie!...

Szkarłatny rumieniec oblał schudłe jej policzki, gdy to mówiła.

Tłoczące uczucie jakieś pochyliło nizko jej głowę.

— O, panie Fabianie! — szepnęła, ściskając z całej siły dłoń starego znajomego swego — pan więc nie stronisz ode mnie, jak czynią to teraz wszyscy inni ludzie? pan mną...

— Nie kończ pani, proszę na wszystko, nie kończ strasznych słów tych — żywo i ze łzą, która nabiegała mu do oka, przerwał Łozowicz. — Cóż robić? — mówił dalej — różnie się plecie na tym bożym świecie, a co się stało, odstać się jeszcze może. Ja jestem zawsze z jednostajną dla pani przyjaźnią. Mój Boże! znałem panią wtedy jeszcze, gdy byłaś małą, podrastającą dzieweczką... więcej do anioła, niż do ziemskiej istoty podobną... Myślałem nie raz, ale sto razy, żeby przyjść do pani, ale nie śmiałem: obawiałem się wyrządzić pani przykrość odwiedzinami

swemi. Dziś jednak spotkałem na mieście służącą pani, tą poczciwą Brygisię, a gdy ona powiedziała, że bywasz pani często samą i smutną, gdy zaręczyła mi, że nie będziesz ze mnie bardzo nierada... przyszedłem!

— Dziękuję! o, dziękuję! — szepnęła Lila, i patrzała na starego przyjaciela dziecięcych i młodzieńczych lat swych tak uparcie i z takim wyrazem, jakby wraz z nim stanęły przed jej oczyma wszystkie owe ubiegłe lata, z całym szeregiem napełniających je postaci ludzkich, miejsc i wydarzeń, z tem wszystkiem, słowem, z czem zerwała, czego wyparła się, a co jednak owiewało ją teraz, niby fala rodzinnego powietrza, niby echo oddalonej jakiejś, smętnej melodyi. Ale Łozowicz patrzał na nią łzawemi oczyma.

Wziął znowu jej rękę i rzekł:

— Przebacz pani pytanie moje. Czy przynajmniej... jesteś pani szczęśliwą?

Lila uczyniła wysilenie, aby otrząść się z pochłaniającej ją zadumy.

— O, tak! — odparła, siląc się widocznie na moc i swobodę głosu — jestem szczęśliwą! tak szczęśliwą, jak nigdy jeszcze nie byłam!

Gdy domawiała ostatnich wyrazów, nagłe drżenie przebiegło po jej obliczu.

Szybkim, instynktowym ruchem zakryła twarz batystową chustką, a płacz gwałtowny, spazmatyczny, wstrząsnął całem jej ciałem.

— O, mój Boże! — splatając żałośnie ręce, zawołał Łozowicz — pani płaczesz? Mamże stąd wnosić, że człowiek, dla którego poświęciłaś wszystko, nie zdołał...

Lila nie dała mu skończyć. Płacz jej ustał nagle, a choć łez kilka płynęło jeszcze po jej policzkach, siedziała wyprostowana, na bladych ustach miała uśmiech, a w wilgotnych oczach iskrę gorącą.

— O, nie! nie! — wyrzekła z mocą, tym razem nieudaną wcale — pan nie wiesz, jaki to człowiek, i jak on mnie kocha! To mój ideał, panie Fabianie! Jest on dla mnie tak dobry, że wypowiedziećbym nie potrafiła. To też kocham go, kocham nad życie, nad wszystko w świecie, z całych sił moich, i nic, nic na ziemi, żadna potęga, żadna wzgarda głupiego świata (tu głos jej zadrżał znowu lekko) rozłączyć nas nie zdoła!

Łozowicz smutnie patrzał na mówiącą tak kobietę.

— Szczęśliwy! — szepnął.

I, westchnąwszy zcicha, dodał nieśmiało:

— Ale dlaczegoż... dlaczegoż pani płakałaś?

— Tak jakoś... zdenerwowana trochę jestem — całkiem swobodnie już odparła Lila i, przybierając na sofie postawę, w której przebijała się dawna pieszczotliwość jej i zalotność, dodała:

— Powiedz mi pan, proszę, cokolwiek o świecie, o ludziach... Tak dawno już ich nie widziałam... Nie tęsknię wcale za nimi, dobrze mi bez nich... pogardzam nawet tym bezmyślnym, przesądnym tłumem, z którym zerwałam; ale pan, który żyjesz wśród świata, powiedz mi co o nim!

* * *

Zaprawdę, Fabian Łozowicz nie mógł zbyt wesołych o świecie wieści udzielić tej, która go o nie zapytywała, położenie bowiem, w jakiem znajdował się obecnie, nic wcale wesołego w sobie nie zawierało i do wesołych na świat poglądów bynajmniej nie usposabiało. Miesiące minęły, odkąd opuścił on Łozowę, miejsce, w którem urodził się sam, w którem snem wiecznym usypiali dziadowie, o oczy swe do życia otworzyły dzieci jego.

Działo się to w jeden z tych dni jesiennych, suchych i pogodnych, w których słońce przesyłać się zdaje drętwiejącej ziemi smętny, lecz promienny uśmiech pożegnania, srebrne pajęczyny polotne rozwieszają sieci nad polnymi krzakami, a drzewa, drżąc pod chłodnym powiewem, strącają pod stopy przechodnia purpurę i złoto.

W łozowskim domu panowały od wczesnego poranku ruch, gwar i krzątaniny wielkie.

Pani Adela w podróżnym tołubku, przepasanym skórzanym paskiem, chodziła po domu i dworze całym, z pokoju do pokoju, od budynku jednego do drugiego przechodząc, niby układając coś do drogi, przyrządzając, porządkując, w gruncie jednak nic a nic nie czyniąc. Rysy twarzy jej zwiędłe i, przez ostatnie szczególniej lata, nad wiek zestarzałe, sztywne były i cerą żółtawej bladości pokryte; wązkie usta zaciśnięte, oczy suche z nieruchomą źrenicą.

Z pozostałych we dworze rezydentów, dwaj ślad w ślad za dawną panią dworu tego chodzili, usiłując rozpoczynać z nią

rozmowy różne, ale słowa jednego wyrwać nie mogąc z ust zaciśniętych.

Pani Eustachia, w opustoszałym salonie, ciche wyrzekania na pozbawiające ją chleba i dachu marnotrawstwo i niedołęstwo Łozowiczów szeptała do ucha Wiktoryna Szczepalskiego, który, z pudełkiem flet zawierającem, w objęciu, tulił się do kąta, wzdychając i drzemiąc z kolei.

Dzieci młodsze, mało albo nic wcale nie rozumiejąc katastrofy, która rodzinny dom ich dotknęła, bawiły się wesoło, perspektywą blizkiej podróży i zmiany miejsca ucieszone.

Najstarszy syn państwa Fabianostwa, Apolek, ów w dzieciństwie mianowany następcą Paganiniego, a od lat już kilku ciągły kandydat do wyższej szkoły muzycznej, przechadzał się po ogrodzie z miną zadowoloną, pogwizdywał i zapuszczał wzrok w przestrzeń, jakby pragnął co prędzej ujrzeć przed sobą miasto, tłumy i przyszłe swe wśród nich powodzenie. Ludka, która urosła na piękną, wysoką pannę, sama jedna z pośród rodzeństwa oczy miała zapłakane i pilnie, wraz z niegdyś Łojwiczówną, a teraz już Szyłłową, krzątała się około układania i pakowania licznych, olbrzymich tłómoków.

Pana Fabiana nikt poranku tego w domu nie widział.

Przez całą noc układał on ze starannością wielką i bardzo powoli instrumenty swe muzyczne, rękopisy i przyrządy do malowania; o świcie zaś nieledwie dwór opuścił, a wrócił, gdy było już dobrze po południu.

Wrócił... zmieniony do niepoznania prawie. Zwykła, czerstwa rumianość twarzy jego zmieniła się w siność, dobroduszne i marzące oczy podkrążone były ciemnemi kołami, a powieki nabrzękłe i wciąż mrugające, jak bywa zwykle po wielkiem zmordowaniu wzroku długiem wpatrywaniem się w przedmioty jakie... przez łzy.

Ręce jego widocznie drżały, gdy usiadł w pustym zupełnie gabinecie swoim, na jedynym stołku, jaki tam jeszcze pozostał, i powolnem spojrzeniem wodził po ścianach, na których wisiały niegdyś ulubione jego malowidła, i po wężykowatej ścieżce, która, żwirem usypana, wiła się od oszklonych, w tej chwili otwartych drzwi gabinetu w głębie ogrodu.

Na ścianach, po zdjętych obrazach, sterczały wielkie, czarne gwoździe; po obu stronach ścieżki pochylały się, ręką pana Fabiana zasiane niegdyś lub zasadzone, a teraz chłodem zwarzone łodygi nad krętą ścieżką, po której tyle razy, przez

tyle lat kroczyły stopy jego, i zdawał się zapominać o całym świecie.

Ale wkrótce otworzyły się zcicha i ostrożnie drzwi gabinetu, a przez nie weszli: Józef Solski, były sztukmistrz nadworny pana Fabiana, i Hryhory Oroszczenko, były nadworny teorbanista.

Z naładowanych kieszeni pierwszego wyglądały misterne jakieś, tajemniczego znaczenia narzędzia i talia kart; drugi postawił przy progu pudło, mające kształt wielkiego futerału, a cenny teorban w sobie zawierające.

Obaj zbliżyli się do dawnego dobroczyńcy swego i stanęli po obu jego stronach.

Oroszczenko oseł edca swego za ucho zawinął i pierwszy mówić zaczął.

Sens jego mowy był taki: że ten, od którego przez lat tyle doznawał dobrodziejstwa, i nadal także do pewnych względem niego obowiązków poczuwać się winien; że on, Oroszczenko, który państwu Fabianostwu zawsze tak gorąco sprzyjał, i teraz ma prawo do jakiejś z ich strony pomocy.

W ten sam mniej więcej sposób przemówił i Solski. Obaj zarówno twierdzili, że, jakkolwiek pana Fabiana spotkało nieszczęście wielkie, zawsze jednak los jego godnym był zazdrości, w porównaniu z ich losem.

Nie skończyli jeszcze mówić, gdy pan Fabian wyjął z kieszeni pugilares, w którym znajdowało się kilka tysięcy rubli, z sumy za Łozowę otrzymanej, i po chwili kilka asygnat znacznej wartości przeszło z rąk jego do chciwie wyciągających się po nie rąk sztukmistrza i teorbanisty. Potem dwaj ci ludzie, z wielkim lamentem nad koniecznością rozstania się ze swym dobrodziejem, wzdychając i głowami żałośnie wstrząsając, wyszli z pokoju.

Pan Fabian przecież nie pozostał samotnym.

Tuż za Solskim i Oroszczenką wsunął się do gabinetu Wiktoryn Szczepalski; ale zamiast zbliżyć się ku byłemu pryncypałowi swojemu, jak to uczynili dwaj pierwsi, i kołatać do jego kieszeni, stanął on w kącie pokoju, przyparł się plecami do ściany i, cisnąc pudełko z fletem do piersi, wpatrzył się w Łozowicza, jak w tęczę. Nic nie mówił, o nic nie prosił, lecz w postawie jego tyle było zgnębienia i zniedołężnienia, a w oczach malował się żal tak rozdzierający, że, spostrzegłszy go, pan Fabian porwał się ze stołka, i do najstarszego z da-

wnych rezydentów pobiegłszy prawie, wetknął mu pomiędzy pudełko z fletem a trzymającą ją dłoń storublową asygnatę.

Za całą odpowiedź Wiktoryn zaszlochał, rękę pana Fabiana pochwycił i, nie zważając na to, że darowana mu asygnata na ziemię upadła, z płaczem do ust tę rękę przycisnął.

Jednocześnie prawie ukazała się na progu gabinetu pani Eustachia Kunasiewiczowa.

Przymrużając oczy i poprawiając fałdy jedwabnej, gęsto pocerowanej sukni, eks-rezydentka zwolna i majestatycznie sunęła ku panu Fabianowi.

— Panie dobrodzieju! — zaczęła — jestem kuzyną pana, byłam niegdyś kobietą dostatnią. Czyż na starość przyjdzie mi zostać żebraczką? Spodziewam się, że pan dobrodziej, dla własnego honoru swego, nie zechcesz dopuścić, aby kuzyna jego do ludzi o jałmużnę rękę wyciągała...

Pan Fabian sięgnął znowu do kieszeni po pugilares.

Od kilku już minut w pokoju sąsiednim krzątała się około zdejmowania i układania firanek żwawa i czynna Antonina Szyłłowa, i sceny w gabinecie zaszłe przez otwarte drzwi widziała. Znać było, że niecierpliwiły ją one i gniewały niepospolicie; gdy jednak ujrzała wchodzącą tam panią Eustachię, dawną swą antagonistkę, i przemówienie jej do pana Fabiana usłyszała, rzuciła firanki, i pędem strzały pobiegła na odszukanie pani Adeli.

— Święty Boże! święty mocny! — wołała ze zwykłym swym pośpiechem. — Pani nic nie wiesz, co się tam w gabinecie pana Fabiana dzieje! Obdzierają go, jak sami chcą, a on, poczciwota, wzdycha tylko i wszystkim pieniądze rozdaje, jakby to, Boże odpuść, plewy jakie były! Niech pani tam prędko idzie i od męża pieniądze odbierze, bo jak Boga mego kocham, jeśli pani tego nie zrobi, to wyjedziecie państwo stąd bez grosza przy duszy.

Mówiąc tak, targała za rękaw od tołubka panią Adelę, która, nad skrzynią drewnianą pochylona, opryskliwie odrzekła:

— A, moja pani Szyłłowa! dajże mi pokój z tymi pieniędzmi! Pieniądze powinny być u mego męża, nie u mnie, bo to męska rzecz chować je i rozrządzać nimi. Mam ja i bez tego dosyć zgryzoty!

Mówiąc to, z wielką starannością owijała w siano i bibułę różne garnuszki, miseczki i tym podobne gliniane gospodarskie rupiecie,

Pod oknami domu tymczasem zbierał się tłum osobliwie wyglądający, krzykliwy, obdarty, brudny.

Był to tłum okolicznych żebraków, którzy, dowiedziawszy się o dniu wyjazdu pana Fabiana z Łozowej, zwlekli się tu ze stron różnych.

Gwar ten żebraczy przywołał do okna panią Adelę, a pana Fabiana sprowadził na ganek domu. Pani Adela, z dumą a zarazem z boleścią w oku, zwróciła się do osób w pokoju obecnych:

— Niech mi kto pokaże takiego, kogoby ludzie biedni żegnali tak, jak nas żegnają!...

Pan Fabian, stojąc na ganku, każdemu z żebraków po dwa złote dawał; oni cisnęli się do rąk jego i kolan, całowali je, a odwróciwszy się, liczyli na dłoniach dar otrzymany.

Gdy nakoniec suto obdarzeni eks-rezydenci rozeszli się po dworze, szukając sobie furmanek do odjazdu, gdy gromada żebraków rozsypała się po okolicznych wsiach i karczmach, a dzieci państwa Fabianostwa zostały posilone i do drogi ubrane; przed ganek zajechała ogroma, długa bryka, ze skórzaną budą, czterema włościańskimi końmi zaprzężona. Za bryką stał jeszcze parokonny, wielki wóz drabiniasty, piętrzący się tłumokami i skrzyniami.

Zjawienie się pod ścianą domu bryki i woza było hasłem do wyjazdu.

W jednym z bawialnych pokojów Antonina Szyłłowa, płacząc szczerze i rzewnie, ubierała młodsze dzieci w kapturki i ciepłe okrycia; na ganku Ludka, co moment oczy z łez ocierając, wkładała do bryki, z pomocą szesnastoletniege brata swego, Józia, różne pudełka i zawiniątka; oboje zaś państwo Fabianostwo, zupełnie już do drogi przyodziani, zeszli się u drzwi jadalnej sali, do sieni wiodących.

Przez kilka dni poprzednich małżonkowie nie wyrzekli do siebie ani słowa, i jakby ze wspólną, tajemną umową, unikali się wzajem starannie. Dnia tego nie widzieli się nawet wcale. Teraz oboje, jednem, zda się, drgnieniem myśli i uczuć wiedzeni, stanęli u progu i wzrok zapuścili w głąb' domu. Źrenice pana Fabiana miały w tej chwili osobliwszy wyraz osłupienia; w suchych oczach pani Adeli palił się ogień posępny, rozpaczny niemal.

Nagle, zwróciła się ku mężowi twarzą w twarz i zawołała:

— Patrz! patrz i dziw się, jaki koniec tych twoich sztuk pięknych, twojej poezyi, twego niedbania o nic, twoich...

Zdawało się, że grad wyrzutów posypie się z ust jej, które oddawna zaciśnięte, trzęsły się teraz, jak w febrze.

Pan Fabian pochylił już nawet głowę przed gromami tymi z milczącą rezygnacyą i dłoń, drżącą trochę, niósł ku łysinie. Lecz nagle, najniespodziewaniej w świecie, pani Adela mówić przestała. Głos jej urwał się i umilkł wtedy właśnie, gdy dźwięki jego coraz ostrzejszymi stawać się zaczynały. Umilkła i patrzała na zgnębionego męża oczyma, które stawały się coraz mniej suchemi i coraz mniej ponuremi. Bóg tylko wie, jakie przypomnienia z lat dawnych, młodych, przebiegły w tej chwili stanowczej przez głowę pani Adeli.

Z człowiekiem tym przeżyła lat tyle! dłoń swą podawała mu do ślubnego ołtarza wtedy, gdy oboje młodzi byli i radośni, gdy trosk i gróźb życia jeszcze nie znali. Z nim razem wchodziła ona do domu tego, który z nim znowu opuścić teraz musiała!

On był ojcem jej dzieci!...

Stała minut parę niema, sztywna, w oblicze męża wpatrzona, aż roztworzyła ramiona i, otaczając niemi szyję jego i przyciskając się do jego piersi, zapłakała głębokim, lecz cichym płaczem.

Pan Fabian ogarnął ją także ramionami.

— Tyś zawsze miała złote serce, Adelko! — szepnął. — Co robić? ha! cóż robić?

— Cóż robić? — powtórzyła pani Adela, prostując się i łzy ocierając. — Czyniliśmy ludziom dobrze; Pan Bóg to może dzieciom naszym odda.

W ten sposób pocieszając się i krzepiąc, małżonkowie wyszli na ganek domu, a za nimi wysypała się gromadka ich dzieci...

W kilka minut potem wielka bryka, napełniona siedzącemi w niej osobami, a za nią wóz, wysoko pakunkami spiętrzony, ciągnęły przez dziedziniec, za bramę dworu, na drogę odwiecznemi lipami osadzoną, wiodącą ku licznym, pokrzyżowanym gościńcom szerokiego świata...

Na ganku domu pozostał tylko, pogwizdując i laseczką machając, dwudziestoletni Apolek.

Oczekiwał on na pocztowe konie, którymi, za pieniądze, otrzymane od ojca, udać się miał w drogę wygodnie i z szykiem.

Jeden z gościńców szerokiego świata wiódł do miasta N. Tam też udała się liczna ta gromada niedobitków. Udała się najbliższego gubernialnego miasta i osiadła na bruku, w dwóch pokojach niewielkich, z ciemną sionką, z kuchenką i oknami, na wązką, zaśmieconą ulicę wychodzącemi. Zasoby pieniężne rodziny tej, niewielkie już po opłaceniu długów a uszczuplone jeszcze znacznie udzielonymi przed odjazdem datkami, nie wystarczały na wyżywienie ust tylu, do obfitego wiejskiego pokarmu przywykłych, na przystojne przyodzianie dzieci młodszych, na wyprawienie Apolka do wyższej szkoły muzycznej i sprawienie mundurków szkolnych dwom młodszym chłopcom. To też w parę tygodni już po przybyciu do N., pan Fabian, zapomocą dawnych swych stosunków, wystarał się dla siebie o kilka lekcyi muzyki i rysunku; Ludka biegała po mieście, ucząc po domach drobne dzieci początków muzyki i francuskiego języka; pani Adela zaś gospodarowała w dwóch miejskich pokoikach tak zupełnie, a może i energiczniej jeszcze, niż niegdyś w Łozowej, skąpiąc i zarazem trwoniąc. W miejskim bowiem domu państwa Fabianostwa tryb życia niewiele, pod pewnym względem, różnił się od tego, który wiedli oni w Łozowej.

Nie było dnia, w którymby u stołu ich nie zasiadły dwie lub trzy osoby, do rodziny nie należące, nie było wieczora, w którymby malutka ich bawialnia nie napełniała się ludźmi, z ulicy przybyłymi.

Najczęstszymi jednak gośćmi małego mieszkanka przy wązkiej uliczce były osoby, składające rodzinę Szyłłów. Rodzinę tę pani Adela znała oddawna, teraz zaś zawarła z nią przyjaźń ścisłą. Drobiazgowo - gospodarskie jej usposobienia pogodziły się prędko z mieszczańskim żywotem, i instynktowo szukały dokoła siebie istot, zajętych jednostajnemi z nią troskami. Lubiła ona teraz długie gawędy o lepszych dawnych czasach, o lenistwie i nieuczciwości sług miejskich, o pewnym losie swych dzieci.

Do gawęd zaś podobnych niewyczerpaną nigdy sposobność znajdowała w towarzystwie żony Augustyna Szyłły i kilku innych kobiet, z któremi zaznajomiła się także.

Szyłłom wiodło się teraz gorzej, niż kiedykolwiek.

Był dzień, w którym ojciec rodziny tej przyniósł do domu znaczną sumę pieniędzy, przedstawiającą dług Ręczyca, a z rąk Poryckiego, wzamian za uczestniczenie w niegodnej szacherce otrzymaną.

Rozdał pieniądze te: żonie na opłacenie dłużków drobnych, ale licznych, córkom na nowe suknie i buciki, synom na różne ich potrzeby — i późnym wieczorem, gdy pani Augustynowa już spała, on siedział jeszcze z czołem na dłoni wspartem i patrzał z kolei to na młode dziewczęta, które w przyległym pokoju, przy małej lampce, szepcąc i chichocząc zcicha, strojne sobie szyły sukienki, to na syna młodszego, Ignasia, który, zgięty nad stołem, z chudą, suchotniczą niemal twarzą przepisywał urzędowe papiery.

Nazajutrz po dniu tym, wracając z miasta około południa, Augustyn Szyłło przedstawił się oczom rodziny swej w usposobieniu szczególniej wesołem i mównem. Ucieszyło to zrazu żonę jego i córki; po godzinie jednak tuliły się one po kątach, szepcąc tajemniczo i popłakując, przekonały się bowiem, że mąż ich i ojciec dobrze był podpiły, a gdy go już wpływ trunku całkiem opanował, wymawiał słowa jakieś urywane, dziwnego lecz strasznego znaczenia, słowa o krzywdach doznanych, przeszłości swej uczciwej i sumieniu — sprzedanem.

Odtąd wypadki podobne powtarzały się często, coraz częściej.

Rodzina, której ojciec zarabiać przestał prawie, żyła w biedzie i ciągłej trwodze. Trzy panny dorosłe, z których najstarsza trzydziestki już dosięgała, nudziły się, smuciły i więdły w domu, za domem udzielając mizernych lekcyi, za równie mizerną zapłatę. Ignaś dobijał się wciąż w swem biurze 20-rublowej miesięcznej pensyi, pisał w domu i w kancelaryi, żółkł, chudł i kaszlał; Klemens żył na swoją rękę, o nic innego nie dbając, Bóg wie z czego i za co. Matka starzała się w oczach, chorzała coraz bardziej, a jedyną rozrywkę i pociechę znajdowała w gawędzeniu z tuzinem kumoszek, które odwiedzały ją i do siebie z kolei zapraszały. Poczet ten kobiet, stękających i gawędzących, powiększyła teraz pani Adela. Córki jej zaprzyjaźniły się z córkami Szyłły; Apolek, który wiecznie wyjeżdżał do wyższej szkoły muzycznej, a wiecznie siedział w N., brał się do najmłodszej córki Szyłły, Lucynki; wzajemnie zaś, na widok wysokiej i ładnej Ludki, rozjaśniły się zmęczone oczy i rumieniła się twarz wychudła Ignasia, cierpliwego, biednego biuralisty.

Było to życie mieszczańskie, ciasne, pełne trosk gryzących a uciech drobniutkich i poziomych, życie z teraźniejszością mroczną i chropowatą, jak te ulice, wśród których upływało z przeszłością ciemną, nieznaną i nieprzewidywaną...

VIII.

Dwa miesiące z górą minęły, odkąd Fabian Łozowicz, parę razy na tydzień, a czasem i częściej, odwiedzał młodą kobietę, kryjącą się, czy ukrytą przed światem w ustronnej kamieniczce.

I teraz także, przy schyłku jednego z pierwszych dni wiosennych, były dziedzic Łozowej siedział w ładnej bawialni, tuż obok kanapy, na której, wsparta o miękkie poduszki, pół-siedziała, pół-leżała Lila.

W postawie jej malowało się głębokie znużenie, jakiś niby upadek sił fizycznych i moralnych; objawy te jednak mogłyby były uchodzić za zwyczajną jej pieszczotliwość, gdyby nie widok twarzy pochmurnej, ukazującej tę bladość, to wychudnięcie i zesztywnienie niejako rysów, które u organizacyi nerwowych a ognistych następuje zwykle po długiem pasowaniu się z tajonemi cierpieniami, po gwałtownych wstrząśnieniach woli słabej, a w różne kierunki targanej.

Pomimo jednak postawy swej napół znużonej, napół znudzonej, Lila prowadziła rozmowę ze starym swym przyjacielem w sposób niezmiernie ożywiony, a czarne oczy jej, gorejące wśród bladej twarzy, wpatrywały się w twarz jego z wyrazem nerwowego rozdrażnienia i niecierpliwej ciekawości.

— I cóż dalej? — pytała, podnosząc głowę z nad poduszki. — Dlaczego zamilkłeś pan tak nagle, panie Fabianie? Spotkałeś go pan więc kilka dni temu. Cóż on panu mówił? czy wspominał o mnie? czy bardzo nienawidzi mnie teraz? A żona jego musi mną pogardzać, nieprawdaż?

— Czyż jest na świecie człowiek, któryby mógł nienawidzić pani? — z uniesieniem szczerem zupełnie odparł stary romantyk. — Co się zaś tyczy pana Mieczysława, nie wspomniał on przede mną o pani ani jednem słowem, raz dlatego zapewne, że to dla brata... rzecz drażliwa, a potem dlatego, że tam u nich...

Zająknął się Łozowicz i po chwili spróbował zwrócić rozmowę na inny przedmiot.

Ale Lila pochyliła ku niemu głowę i z niecierpliwością w głosie zawołała:

— Cóż tam u nich? co? Ciekawam bardzo, dlaczego pan mi wszystkiego o Mieczysiu nie mówisz? Czy pan sądzisz, że on

mnie tak bardzo obchodzi? Jest to wprawdzie brat mój, ale cóż to znaczy. Wiem przecież dobrze, że te wszystkie pokrewieństwa i stosunki rodzinne, to przesąd, nic więcej, a wypytuję się pana o niego, ot, tak sobie, przez ciekawość. Cóż tam dzieje się u nich takiego, o czem pan dwa razy już zaczynałeś mówić i dokończyć nie chciałeś?

Łozowicz gładził dłonią łysinę, jak zwykle czynił, gdy czuł się zmieszanym.

Po chwili jednak, nie mogąc oprzeć się pytaniom młodej kobiety, cichym zaczął głosem:

— U nich tam, widzi pani, wielkie kłopoty teraz i zmartwienia. Podobno Orchów sądowo opisywać mają i na publiczną sprzedaż wystawiać.

Lila pół leżącą postać swą zmieniła na siedzącą i zawołała:

— Cóż znowu? Publiczna sprzedaż Orchowa? skąd? jakim sposobem? Mieczyś przecież uchodził zawsze za doskonałego gospodarza i wiem, że od dwóch już lat żadnych długów nie miał.

— Żadnych, prócz tego, który się pani należał — szepnął Łozowicz.

— Cóż stąd? — ze zdumieniem głębokiem zapytała kobieta — co znaczy ten dług bagatelny?... Zresztą, jeśli Mieczyś wypłacić go teraz nie może, któż go do tego zmusza?

— Egzekucya sądowa — zcicha zauważył Łozowicz.

— Ach, mój Boże! — niecierpliwie dorzuciła Lila — jaki pan jesteś dziwny, panie Fabianie!

— Pan Porycki przedstawił do sądu oblig pani, który teraz do niego już prawnie należy.

Kobieta podniosła brwi i szeroko oczy roztworzyła.

— Ildefons? — zawołała — Ildefons?

W mgnieniu oka jednak wyraz głębokiego zdumienia zniknął z jej twarzy.

— A prawda! — rzekła, składając znowu głowę na poduszce — mówił mi o tem, że pieniądze te potrzebne są koniecznie dla przeprowadzenia sprawy mojego rozwodu.

Przez parę minut milczała z przymkniętemi oczyma.

Potem podniosła znowu głowę i, patrząc na Łozowicza, zapytała szybko:

— I pan nie wiesz, co z tego wszystkiego ostatecznie dla nich wyniknąć może?

— Z czego? dla kogo? — lękliwie zapytał pan Fabian, bo tocząca się rozmowa była dla niego drażliwą i przykrą.

Kobieta uczyniła niecierpliwe, gwałtowne poruszenie.

— Mój Boże! jakże pan mnie dziś niecierpliwisz! Czyliż o antypatyach mówimy, albo o królu Popielu? No... co z egzekucyi tej wyniknie... dla Mieczysia?

— Sprzedadzą Orchów — gładząc łysinę, szepnął Łozowicz.

— Pocóż go ma sprzedawać kto inny? czyż Mieczyś sam sprzedać go nie może, nam te pieniądze oddać, a sam z kapitałem gdziekolwiek wyjechać?

— Zapewne... zapewne... że takby mogło być — bąkał Łozowicz — ale, widzi pani, pan Mieczysław jest uparty... ma on to przekonanie, że Orchowa dobrowolnie sprzedać nie powinien.

Blade usta Lili złożyły się znowu do ironicznego uśmiechu.

— Biedny Mieczyś! — rzekła — on wierzy jeszcze w obowiązek, a nie wie, że to przesąd, i nawet najgorszy, najszkodliwszy ze wszystkich przesądów.

Milczała chwilę, z twarzą znowu ukrytą w poduszce, poczem, podnosząc głowę, dodała:

— No, ale ostatecznie, czy powiesz mi pan kiedy, co z tego będzie?

Łozowicz, przyparty był do muru i odpowiadać musiał.

— Z tej sprzedaży — rzekł — będzie wielka bieda... Wiadomo wszystkim, że z licytacyi majątki sprzedają się za bezcen, więc bardzo być może, iż panu Mieczysławowi nie pozostanie nic, albo prawie nic.

Po tych słowach panowało między dwojgiem tych ludzi dość długie milczenie.

Lila szklanemi oczyma wpatrywała się w przeciwległą ścianę.

Po chwili, nie zmieniając kierunku wzroku, bardzo cicho wymówiła:

— Czy pan słyszałeś o tem, że Mieczyś i jego żona wzięli do siebie małego Konradka?

— Słyszałem, pani.

— Brygisia jeździła niedawno do Orchowa, do swoich krewnych, i widziała tam j e g o... Mówiła mi, że hoduje się dobrze i jest ładny.

Łozowicz nie odpowiedział nic, i miał właśnie rozpocząć rozmowę o innym jakimś, pierwszym lepszym przedmiocie, gdy

Lila poruszyła się gwałtownie i, zatapiając znowu twarz w poduszkę, zawołała głosem, w którego stłumionych dźwiękach czuć było gorączkę pragnienia i niecierpliwości:

— O, mój Boże! mój Boże! żeby to już prędzej, prędzej nastąpić mogło!

— Co takiego? — zapytał Fabian, przelękniony niemal gwałtownością ruchu i głosu kobiety.

Ona nie odpowiadała przez chwilę, pogrążona w marzeniu.

Wyprostowała się potem powoli i, ze skronią na dłoni opartą, ze spuszczonemi oczyma, zcicha mówić poczęła:

— Ja sama nie wiem, doprawdy, co się ze mną dzieje. Nigdy nie wyobrażałam sobie, aby w kimkolwiek istnieć mogły takie sprzeczności, jakie istnieją we mnie. Wiem dobrze, jestem najmocniej przekonana, że wszystkie formalności, które zwykle towarzyszą pobraniu się dwojga ludzi, są pustą formą tylko, przesądem, pozostałością dawnych, ciemnych czasów; wiem, że zwracanie uwagi na krzyki bezmyślnego tłumu, które ludzie nazywają opinią publiczną, jest niedorzecznością i także przesądem. A jednak... nie wiem, doprawdy, dlaczego, ale taki mi teraz strach przed ludźmi... tak mi trudno na nich patrzeć!... Czy wie pan, panie Fabianie, że lękam się wyjść na ulicę, bo zdaje mi się, że wszyscy tam na mnie patrzeć będą z niechęcią i pogardą... Och! a ja pogardy ludzkiej znieść nie mogę!... nie mogę!...

Przysłoniła oczy dłonią i milczała chwilę.

Nagle jednak podniosła głowę i zawołała z wybuchem:

— Któżby się tego mógł spodziewać? któżby się mógł spodziewać, że kiedyś ze mną będzie tak, jak jest teraz? Gdy byłam dorastającą dziewczynką, myślałam... marzyłam, iż cały świat na kolana przede mną upadnie i hołdy mi złoży, a teraz cały świat mną gardzi!

Uśmiechnęła się gorzko i dodała:

— Dziwne pan miałeś przeczucie, panie Fabianie, gdy dawniej, dawniej jeszcze... nazywałeś mię czarną lilią.

Łozowicz zmieszany był temi zwierzeniami młodej kobiety, a bardziej jeszcze wzruszony.

— Mój Boże! — szepnął — niech pani tak nie rozpacza!...

Lila wyprostowała się.

— Ja rozpaczam? — zawołała z gniewem prawie. — Skąd panu wyrażenie takie do myśli przyjść mogło? Ja jestem szczęśliwą, najszczęśliwszą w świecie kobietą, tylko czasem zanadto

jeszcze słabą, lękliwą i trochę... przesądną... Nie dorosłam do wysokości prawdziwego odważnego człowieka, a Ildefons mówi, że to jest skutek przyzwyczajenia... Wiem jednak, że wszystko będzie dobrze... Gdy tylko sprawa moja rozwodowa będzie ukończoną, pobierzemy się z Ildefonsem, według przesądnych wymagań świata... Wtedy wejdę znowu pomiędzy ludzi i śmiać się będę z ich niedorzecznych, przestarzałych przesądów... Pojadę wtedy zaraz do Mieczysia, Konradka wezmę do siebie i będę go ślicznie ubierała. Ildefons nie lubi życia na wsi, i ja go nie lubię. Zamieszkamy więc w stolicy, ale na zabawach bardzo rzadko bywać będę, bo najlepiej mi z Ildefonsem sam na sam... To też nigdy, nigdy rozstawać się z sobą nie będziemy, jabym... bez niego ani jednego dnia przeżyć nie mogła!

W ten sposób kilka chwil jeszcze marzyła głośno.

Łozowicz, słuchając, nizko pochylił głowę, a na twarzy jego malował się głęboki smutek. Wiedział on dobrze, iż sprawa rozwodowa, tak mocno młodą kobietę zajmująca, ani rozpoczętą jeszcze nie była.

Spojrzał na zegarek, a widząc, że pora mu wielka podążyć do jednego z domów, w których udzielał lekcyi muzyki, wstał z krzesła.

— Jakto, idziesz już pan? — zawołała Lila.

— Muszę — odpowiedział Łozowicz i, stając przed młodą kobietą, patrzył na nią wzrokiem przyjaznym, serdecznym, lecz poważniejszym, niż zwykle.

— Muszę iść — powtórzył. — Od tych lekcyi, które daję, zależy teraz po większej części byt mój i rodziny mojej...

Wziął rękę jej i trzymał ją w swej dłoni.

— Mówiłaś pani dziś ze mną otwarciej, niż zwykle — zaczął łagodnie i prawie nieśmiało — dziękuję pani za to... Przykro mi, bardzo przykro, że na teraz w niczem dopomódz jej nie mogę. Jeżelibyś pani jednak znalazła się kiedy w położeniu... w położeniu trudnem... niech pani przypomni sobie o mnie, jako o szczerym, starym swym przyjacielu. Wszak pani przyjaźni przynajmniej nie nazywasz jeszcze »przesądem?«

Ostatnie wyrazy wymawiając, uśmiechnął się smutno jakoś. Możnaby nawet było rzec, iż w uśmiechu tym zabłąkał się cień ironii, gdyby ironia, choćby najlżejsza, nie była niepodobną do tych ust łagodnych, dobrodusznych, które przez całe życie mówić umiały tylko o kwiatach, gwiazdach, poezyi i... litości.

* * *

W czasie, gdy powyższa rozmowa toczyła się w salonie Lili, Ildefons Porycki szerokimi krokami, z pochyloną głową, dążył do biura telegraficznego, niezbyt daleko od ustronnej kamieniczki położonego.

I znowu niepokój, gwałtowniejszy jeszcze, niż przed kilku miesiącami, malował się na twarzy głównego agenta.

Wbiegł prawie do wielkiej sali, telegraficznymi przyrządami napełnionej, i oddał urzędnikowi depeszę, na kartce papieru nakreśloną, a zawierającą następujące słowa:

»Ostatni list twój uważam za wynik chwilowego »uniesienia. Proszę i rozkazuję, abyś pozostała tam, gdzie »jesteś. Jeżeli uczynisz to, o czem pisałaś, zaszkodzisz naj»więcej samej sobie. Ja wyjeżdżam stąd jutro. Dokąd... »uwiadomię cię o tem we właściwym czasie«.

Następowały imię i nazwisko kobiece, jako też nazwa zapadłej jakiejś miejscowości wołyńskiej.

Opuściwszy biuro telegraficzne, w kilka minut potem wszedł do saloniku Lili.

Młoda kobieta, siedząc przy stole, na którym paliła się już lampa, układała w hebanowej szkatułce różne biżuterye, wstążki, i drobnostki. Jak zwykle bywało, tak i teraz twarz jej na widok wchodzącego zajaśniała uśmiechem.

Lekki rumieniec nawet przesunął się po bladem czole i schudłych policzkach.

— Od rana prawie nie widziałam cię dziś, Ildefonsie! — zawołała, podając mu rękę.

Ani w głosie jej, ani na twarzy nie było śladu dawnej jej pieszczotliwej i wabnej zalotności. Gdy czyniła lekką tę wymówkę, czarne oczy jej okryły twarz stojącego przed nią mężczyzny spojrzeniem pełnem gorącego uczucia.

Kochała... kochała tym razem prawdziwie... i do miłości tej przywiązała całą swą istotę, jak rozbitek przywiązuje się do ostatniej pozostałej mu deski ocalenia! Nie był to już tym razem kaprys ognistej wyobraźni, wyskok zalotności, chwilowe uniesienie zmysłów... była to tkliwość głęboka, wiara niezachwiana, namiętność, ogarniająca wszystkie władze ducha. Ale i on także, stojąc przed nią i rękę jej w swej dłoni trzymając, patrzał na nią dziwnie, niezwykle.

W spojrzeniu tem było coś palącego i aż do głębi młodą

kobietę przenikającego, była w niem wyraźna gwałtowna trwoga jakaś.

Usiadł i przyciągnął ją zlekka ku sobie.

— Lilo, — zaczął cichszym niż zwykle głosem — mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Z oczu kobiety strzelił promień radości.

— Rozwód mój... zapewne kończy się... może jest już skończony... — zawołała.

Ciężka chmura przesunęła się na słowa te po czole głównego agenta.

— Nie, — odparł porywczo, opryskliwie niemal — nie o tem chciałem mówić teraz; chciałem ci powiedzieć, że musimy stąd wyjechać.

Kobieta patrzyła na niego zdziwiona, ale i ucieszona czegoś zarazem.

— Dokąd? czy na długo? — zapytała.

— Nie wiem jeszcze ani dokąd, ani na jak długo — odpowiedział Porycki — prawdopodobnie na parę tygodni tylko, na miesiąc najdłużej. Mam tu interesa, których nie mogę opuścić zupełnie, dla których wrócić będę musiał. Tymczasem jednak wyjadę na czas jakiś, bo kto wie, do jakich ostateczności dojść, na co ważyć się może ta egzaltowana, bezrozumna kobieta.

— O jakiej kobiecie mówisz, Ildefonsie? — ze zdumieniem, ale zarazem z płomienną błyskawicą w oku wykrzyknęła Lila.

On obudził się jakby z zadumy głębokiej, wśród której wymówił to, czego za nic w świecie wymówićby nie chciał.

Na krzyk kobiety odpowiedział przymuszonym uśmiechem.

— Mówiłem — rzekł — o osobie, z którą miałem niegdyś interesa pewne, a której przybycie byłoby teraz dla mnie bardzo niemiłem.

— Czy ci to szkody i przykrości jakie przynieśćby mogło? — z niezwykłą sobie troskliwością o innych zapytała Lila.

— Wielkie szkody, a większe jeszcze przykrości — odpowiedział mężczyzna.

— A więc jedźmy! jedźmy! dziś! zaraz! — mówiła kobieta. — Ja nie chcę, żeby ci kto przykrości wyrządzał... I bez tego cierpiałeś już wiele. Jedźmy! jedźmy!

Nagle pochyliła się ku niemu.

Ciemna błyskawica przebiegła znowu po rozpromienionych jej źrenicach.

— Kto to taki ta kobieta? — zapytała ciszej.

— Mówiłem ci już... — zaczął Porycki.

Ale ona nie dała mu skończyć.

— Może ty ją kochałeś kiedy? — szeptała — może ona ciebie kocha? Dlaczego jej unikasz? powiedz mi wszystko...

Obie dłonie splecione złożyła na jego ramieniu i, śliczną głowę swą w tył nieco odrzuciwszy, mówiła dalej:

— Musisz mi to przebaczyć, Ildefonsie, że jestem o ciebie, o miłość twoją zazdrosna... Wiem, bo mówiłeś mi nieraz o tem, że miłość powinna być wolną, jak ptak, i że nikt nie ma prawa zabierać jej sobie na wyłączną własność... Ale ja, drogi mój, nie dorosłam jeszcze do wysokości tej, na której ty sam stoisz... nie mogę żadnym sposobem przypuścić, aby to, com ja ukochała, należeć mogło nie do mnie jednej, ale jeszcze i do kogoś innego. Wszak upewniałeś mię nieraz, że nigdy żadnej w świecie kobiety nie kochałeś, tak jak mnie kochasz.

— Nigdy — potwierdził mężczyzna, a z wyrazu oczu jego, które zwolna i z rozkoszą przesuwały się po ożywionych w tej chwili, cudnie pięknych rysach kobiety, poznać można było, że mówił prawdę.

— I nikogo nigdy kochać nie będziesz, prócz mnie? — pytała dalej.

— Nikogo! — potwierdził mężczyzna.

— O, jak to dobrze! dobrze! — mówiła dalej Lila, białe, delikatne dłonie swe silniej zaciskając na jego ramieniu — bo i cóżby się ze mną stało, gdybyś ty mnie opuścił, gdybym wierzyć przestała w uczucie twe dla mnie, w przyszłość naszą wspólną, nierozdzielną, wierzyć bez granic we wszystkie słowa twoje? Gdybym utraciła ciebie, wszystkobym utraciła, bo i cóżby mi na ziemi zostało? Wyrzekłam się wszystkiego... wzgardziłam wszystkiem: opinią świata, rodziną moją, dzieckiem. Ale nie żałuję tego, nie, nie żałuję, gdy jestem przy tobie, gdy na ciebie patrzę, gdy wiem, że tak ze sobą, kochający się, szczęśliwi, pozostaniemy już na zawsze!

Uśmiech nieopisany przesuwał się po blado-różowych jej ustach i zarazem łza srebrzyła czarne jej źrenice, gdy, szepcąc wyrazy bezgranicznej w istocie tkliwości i ufności, pochyliła nieco głowę i czoło swe na na rękach splecionych złożyła.

On palącym się wzrokiem ogarniał przez chwilę głowę tę przedziwnie kształtną, strojną, tak niegdyś płochą, lecz teraz tak ufną, ognistą i zarazem korną.

Na twarzy jego malowała się męka jakaś wewnętrzna. Znać było, że człowiek ten dotknięty także został płomiennym

mieczem pięknego, acz posępnego ducha, który po świecie całym, wśród złych i dobrych zarówno, sieje iskry i żużle wielkich namiętności...

— Lilo! śliczna moja pani! Lilio ty moja biała!

Szept ten płynął nad splotami czarnych jej warkoczy, jak powiew cichy a gorący.

— Biała? — odrzekła kobieta, podnosząc na niego oczy upojone i uśmiechając się, jak się uśmiecha dziecię, we śnie marzące. — Nie, nazywano mię niegdyś »Czarną lilią«... i jestem teraz w oczach świata czarną. Ale ty zdejmiesz ze mnie tę barwę ponurą, nie prawdaż? przed całym światem powiesz, że mię kochasz i że nigdy nikogo, prócz mnie, kochać nie będziesz. Wtedy, mój jedyny, śmiało i dumnie patrzeć będę na ludzi i powiem wszystkim: »jestem jego żoną«. O! jaką ja będę wtedy wesołą, szczęśliwą!

Ciemne, głębokie rumieńce przesuwały się po twarzy głównego agenta, a wzrok jego, z tajemnem jakiemś wytężeniem myśli, tkwił w przestrzeni, gdy ona podniosła znowu głowę szybkim ruchem i, patrząc mu w twarz, zapytała wpół żartobliwym, wpół gwałtownym tonem:

— Kto to taki ta kobieta?

Ildefons uczynił nagłe poruszenie, jakby chciał powstać; ale białe, delikatne dłonie Lili zacisnęły się wkoło jego ramienia.

— O! — zawołała z wyrazem przestrachu i błagania w oczach — nie gniewaj się tylko na mnie, proszę cię, nie gniewaj się na mnie. Nie będę już ciekawą i o panią tę nie zapytam nigdy, tylko... nie odchodź.

Miłość tej kapryśnej, gwałtownej kobiety dziwnie pokorną była i niewolniczą. Ale tak bywa zwykle: nikt łacniej nie podpada panowaniu innych, jak ten, który nad sobą samym panować nie umie.

Na dziedzińcu zaturkotały koła miejskiej dorożki. Był to w mieście dość dużem i ludnem odgłos tak pospolity, że w zwyczajnych okolicznościach nie zwróciłby z pewnością niczyjej uwagi. Ale Porycki zdawał się być mocno przez odgłos ten uderzonym.

Podniósł żywo głowę i wsłuchiwał się w niego.

Przez parę minut panowała znowu cisza zupełna. Nagle dał się słyszeć na schodach szmer kroków i niewyraźnych rozmów, wśród których wyróżniał się cienki, na jękliwą nutę nastrojony głosik dziecięcy.

Kroki i głosy minęły drzwi przedpokoju Lili i wstępowały wyżej, na drugie piętro, posiadające jedno tylko mieszkanie, przez Poryckiego zajmowane.

Lila, która, zaciekawiona, jak zawsze, każdym niezwyczajnym trochę szelestem w domu, z wytężonem uchem na drzwi patrzyła, zwróciła się nagle ku towarzyszowi swemu. Ale obojętne i tylko ciekawością obudzone pytanie, które miała na ustach, znikło z jej myśli, gdy ujrzała teraz twarz jego, dziwnie zmienioną i wzburzoną.

— Co to jest? Ildefonsie! co ci się stało? — zawołała i w nagłym przystępie niewytłómaczonej obawy pochwyciła go za rękę.

Ale on usunął ją od siebie ruchem gwałtownym niemal i, porwawszy się z siedzenia, z wyprężonemi na czole żyłami, z zaciśniętemi usty, biegł ku drzwiom. Zdawać się mogło, że śpieszył, aby zapobiedz grożącemu niebezpieczeństwu jakiemuś. Zaledwie jednak zdołał przebyć bawialnię, gdy otworzyły się drzwi przedpokoju i wszedł przez nie jego służący.

— Proszę pana, — rzekł — pani jakaś przyjechała i chce widzieć się z panem.

— Kto? jaka pani? skąd? — wykrzyknął Porycki, po którym znać było, że, w nadzwyczajnem wzburzeniu swem nie wiedział sam dobrze, co mówi i czyni.

— Dorożkarz mówił, że ze stacyi kolei ją tu przywiózł — odparł zalękniony sługa — skarżył się, że ciężko mu było dla konia, bo jest tam jeszcze troje dzieci...

— Milcz! — przerwał Porycki zdławionym głosem i, przelotne spojrzenie rzuciwszy na Lilę, która z osłupieniem rozmowy powyższej słuchała, szedł znowu ku drzwiom.

Ale było już zapóźno.

Za plecami odepchniętego i przelęknionego sługi otworzyły się drzwi, a do mieszkania wbiegła raczej, niż weszła kobieta wysoka, szczupła, prowadząc za rękę małą, czteroletnią może dziewczynkę; dwoje innych dzieci, starszych, chłopak i dziewczynka weszło za nią.

— Więc ty tu mieszkasz, Ildefonsie, nie tam na drugiem piętrze? — ozwał się z za czarnej woalki, która twarz przybyłej przysłaniała, głos dosyć ostry. — Wiem, że strasznie zły jesteś na mnie za to, że przyjechałam, ale nie mogłam już dłużej żyć w tym przeklętym kącie, w którym mię z dziećmi zostawiłeś bez chleba prawie, na łasce Opatrzności. Nie patrz na mnie tem swojem okropnem spojrzeniem, które znam aż nadto dobrze

i którego przestałam się lękać; bo i cóż ja nieszczęśliwa, oszukana i opuszczona kobieta mam do stracenia na tym świecie? Oto spójrz lepiej na dzieci te: nie wyglądają jak królewicze, nie prawdaż? No, dzieci, przywitajcie się przecie z tym panem!

Dzieci, zamiast usłuchać rozkazu, przygarnęły się do przybyłej kobiety i chórem, acz zcicha, zaszlochały.

Porycki pochwycił ją za rękę.

— Idź stąd — wymówił zdławionym głosem — to nie jest moje mieszkanie.

— Nie twoje? — odparła kobieta — a więc dobrze, pójdę tam na górę... Ale czemuż kazałeś mi tak długo czekać na siebie?

Ogarnęła ramionami gromadkę dziatwy i zwróciła się ku drzwiom.

Za nią, przygryzając wargi aż do krwi, parę kroków postąpił Porycki.

Ale za odchodzącymi ozwał się nagle z przeciwnego końca saloniku wykrzyk głośny i przeciągły:

— Ildefonsie! co to wszystko znaczy?

Na głos ten, niespodziewanie usłyszany, odchodząca z dziećmi kobieta zwróciła się twarzą ku pokojowi. Dotąd zajęta cała widokiem człowieka, do którego przybyła, nie spostrzegła ona Lili, siedzącej w cieniu.

Teraz oczy jej uderzone zostały tą czarująco piękną postacią kobiecą, która wysunęła się na pełne światło i stała, dłonią o stół oparta.

Smukła, delikatna kibić Lili drżała lekko wśród powłóczystych, bogatych fałd jedwabnej jej sukni, a wielkie oczy, rozszerzone od zdumienia, spoglądały na Poryckiego i na przybyłą kobietę z wyrazem naglącego, trwożnego, lecz zarazem i groźnego niemal pytania.

Nagle przybyła, jakby uderzona myślą jakąś czy przypomnieniem, postąpiła w głąb pokoju i z twarzy swej odrzuciła przysłaniającą ją woalkę. Parę zaledwie kroków dzieliło teraz dwie te kobiety.

Patrzyły na siebie przez sekund kilkanaście tak uparcie, jakby z pamięcią swą walczyły, dopominając się od niej objaśnienia przypomnień, niezupełnie jeszcze wyraźnych, aż wreszcie z ust ich wybiegły dwa jednocześnie wydane okrzyki:

— Julia!

— Lila!

Przez chwilę zdawać się mogło, że rzucą się sobie w objęcia; ale Lila pierwsza cofnęła się o kroków parę i zawołała:

— Dlaczego ty tu jesteś? Julio! Pocoś tu przyjechała? Pamiętasz ten list, który do mnie pisałaś niegdyś... niegdyś?... Czy wyszłaś za mąż?... czy mężowi twemu Ildefons na imię?... Mój Boże! ja sama nie wiem, doprawdy, co mówię! Julio! moja droga Julio! ja cię dawniej tak kochałam!... powiedz mi, czy to twój brat?

Mówiąc to, drżała coraz bardziej, splatała ręce i wyciągała je ku dawnej swej przyjaciółce, jakby, tknięta straszliwem światłem, które do myśli jej przedzierać się zaczynało, błagać ją chciała, aby słowem dla niej okropnem nie zmiażdżyła serca jej, zajętego śmiertelną trwogą. Lecz po tem właśnie wzruszeniu, po bezładzie słów i napół błagalnym, napół błędnym wyrazie jej oczu przybyła kobieta domyśliła się snadź wiele, bo gorzki uśmiech zadrżał znowu na jej ustach, a wskazując ręką Porzyckiego, rzekła stłumionym, boleścią i szyderstwem dźwięczącym głosem:

— To nie jest mój brat, Lilo, to mój — mąż!

Głuchy jęk ozwał się w piersi Lili.

Oczy jej osłupiałe, szklane, wróciły na twarz Ildefonsa. Ale twarz ta blada miała na sobie wyraz wściekłego gniewu, połączonego z głucho uczuwaną, niemą rozpaczą.

— Ildefonsie! — szepnęła kobieta — powiedz mi, że to nieprawda.

— Nieprawda? — wykrzyknęła Julia — ty mi jeszcze niewierzysz, Lilo! Oto dowód... nasza metryka ślubna, którą, znając dobrze człowieka tego, przywiozłam ze sobą... Zobacz, przeczytaj!

Mówiąc to, wydobyła szybko z za stanika sukni wielki arkusz papieru z urzędowym stemplem, i rozpostarła go pod światłem lampy.

Lila machinalne tylko i przelotne spojrzenie rzuciła na papier, poczem wzrok jej szklany, martwy, zwrócił się znowu na twarz mężczyzny.

— Powiedz mi, że to nieprawda — powtórzyła jednostajnym, stłumionym szeptem.

Teraz stał on już przy niej.

Ślad owej dawnej, na wszystko ważącej się przytomności umysłu zaświecił w jego oczach.

— A więc tak, Lilo, to prawda! W chwili szału uczy-

niłem ten krok niedorzeczny, którego potem żałowałem... Ale... Lilo...

Chciał wziąć ją za rękę, lecz ona gwałtownym ruchem odsunęła się od niego.

Rumieńce szkarłatne twarz jej oblały. Była w tej chwili uosobieniem śmiertelnego bólu i śmiertelnej również urazy.

— O! — zawołała — mówiłeś mi pan, że jej nie znasz, że jesteś wolny.. że... że... O Boże! cóż więc ze mną się stało? Kim pan jesteś?...

Mówiła to, jak w obłąkaniu, jak ktoś, co nagle ujrzy przed stopami swemi grunt kwiecisty, zmieniony w otchłań, oblicze ukochane, przeobrażone w paszczą potworu.

— Kim on jest? — zaczęła Julia, spoglądając z kolei na dwoje ludzi tych, których historyę i związki zupełnie już teraz odgadła — ja ci to powiem, Lilo! Ukazał ci się zapewne z tytułem i nazwiskiem hrabiego Poryckiego. Kłamstwo, nazywa się on wcale inaczej, prosto, gminnie, a jedynym tytułem, który prawnie posiadać może, jest: nikczemnik! Prawił ci wiele o swoich nieszczęściach, które zwyciężył niby rozumem i odwagą. Kłamstwo! Nieszczęścia były zrazu... ale zamiast odwagą i rozumem, obronił się on przeciw nim obłudną chytrością, przebiegłym i bezsumiennym sprytem. Upewniał cię, że jest wolnym od wszelkich związków rodzinnych i pojmie cię za żonę wobec Boga i ludzi. Kłamstwo! Oto ja jestem żoną jego, a te nieszczęśliwe istoty są jego dziećmi! Mówi ci, że ożenił się ze mną w chwili szału. Kłamstwo! Ja to byłam szaloną, bo ujrzałam w nim swój ideał, uwierzyłam w rycerskość jego i szlachetność. Pojął mię za żonę dla ówczesnych wyrachowań swoich, mniejsza o to jakich, dość, że osoba moja, może piękność, były mu wtedy potrzebne. Wkrótce jednak w życiu jego zmieniły się okoliczności i potrzeby... więc rzucił mię!... Przez cztery lata nic nie słyszałam o nim; potem dowiedziałam się, że jest tu. Pisałam, prosiłam, aby przypomniał sobie, jeżeli już nie o mnie, to o dzieciach swoich... ale serce jego kamienne nie miało dla nas litości. Postanowiłam więc upomnieć się o prawa swoje i—przyjechałam!

Gwałtownym ruchem zdjęła z głowy kapelusz, z ramion zrzuciła podróżne okrycie i zawołała:

— Patrz, co on ze mnie uczynił! Gdzie młodość moja i piękność? gdzie dawne stroje moje? gdzie dawna Julia Grejs?

W istocie, z pięknej owej Julii pozostał cień zaledwie.

Miała ona najwyżej lat trzydzieści, a wyglądała na czterdzieści kilka.

Policzki jej były wychudłe i zżółkłe, czoło pomarszczone, włosy do połowy prawie zbielałe. Jedne tylko oczy, jakkolwiek spłowiałe także i zapadłe, blaskiem swym i wyrazistością przypominały przeszłość minioną.

— A teraz — mówiła dalej Julia, drżącą rękę wyciągając ku dzieciom — popatrz na nie, a zobaczysz, jak wyglądają opuszczone, sieroctwo, nędza...

Dzieci, mało lub nic nie rozumiejąc odgrywającej się przed niemi sceny, skupiły się w pobliżu pieca.

Z nędznych okryć i podartych chustek, któremi były odziane, drobne twarzyczki ich wyglądały blade, chude, zziębłe.

Lila słuchała i patrzyła, nie czyniąc poruszenia najlżejszego. Jak błyskawice po chmurnem niebie, tak po tle źrenic jej nieruchomych i przepaścistych mknęły i krzyżowały się myśli szybkie a płomienne.

O czem myślała, stojąc tak z twarzą w twarz z zasadami jego, które przejęła za swoje?

W kobiecie tej opuszczonej, przedwcześnie zestarzałej, ujrzała ona może odwrotną stronę tego różowego obrazu, w którym Ildefons przedstawiał jej zwykle niezbite prawa i niewyczerpane rozkosze — wolnej jak ptak miłości! Patrząc na wynędzniałe te, blade, widokiem ojca własnego przerażone twarzyczki dziecięce, myślała może, iż widzi skutki drugiej zasady jego, która opiewała nieważność i nicestwo związków rodzinnych.

Nad tym stosem kłamstw i oszukaństw, o tyle trywialnych, o ile zbrodniczych, który wzniósł się teraz przed jej oczyma, unosiły się i jaskrawym blaskiem przed nią świeciły wszystkie złorzeczenia i urągania, które sam ciskał i ją ciskać uczył na ideę obowiązku!

Umysł Lili pracował znowu widocznie, tak jak owego fatalnego dla niej wieczoru, w którym on pierwszy pobudził go do ruchu i myślenia; ale mozolne to, rozpaczne przyglądanie się stojącym przed nią zagadkom ludzkiego życia, mącone było i rwane co chwila straszną burzą uczuć. Stała wciąż, jak przykuta do miejsca.

Julia patrzała na nią pół-nienawistnemi, pół-litującemi się oczyma, i ciężkie milczenie trwało przez minut parę w pokoju. Milczenie to przerwane zostało, zniżonym aż do szeptu prawie, głosem męskim.

Ildefons Porycki stał przy młodej kobiecie i mówił do niej z dźwiękiem usilnego przekonywania w głosie i z wyrazem namiętnej, rozkazującej niemal prośby:

— Uspokój się, Lilo! Nie mówiłem ci o sobie całej prawdy, ale, postępując tak, miałem na celu stopniowe przygotowywanie sił twoich i twego umysłu do zrozumienia i zwalczenia wszystkiego, cokolwiek spotkaćby cię mogło. Związek mój z Julią jest błędem mojej młodości, ciężarem przykrym i niczem więcej. Ciężar ten dźwigać już muszę na sobie, cóż robić? Zabezpieczę byt jej samej i jej dzieci, ale miłość moja będzie zawsze do ciebie tylko należała!... Lilo! czyż jesteś jeszcze dzieckiem? czy umysł twój nie dorósł do wysokości położenia takiego? czy zabraknie ci odwagi? czy zlękniesz się głupiej wrzawy motłochu? czy, jak słabe dziecię, dobrowolnie wyrzeczesz się szczęścia swego i zdepcesz zarazem moje?

Wpatrzona w niego szeroko roztwartemi oczyma, drżąca znowu cała, milczała długo.

Na śmiertelnie bladej twarzy jej malowała się trwoga bezgraniczna, połączona z instynktową, nieprzezwyciężoną ohydą. I wtedy dopiero uczyniła gwałtowne poruszenie i w tył się cofnęła, gdy, złudzony milczeniem jej i drżeniem, sięgnął on po jej rękę.

— Nie! — szepnęła — nie! nie!

I nic więcej mówić nie mogła; tylko z dłonią, jakby ku odepchnięciu wyciągniętą naprzód, cofała się wciąż, oddalając od niego.

On gniewnie zwrócił się ku Julii.

— Idź stąd! — wymówił przez zaciśnięte zęby, ręką na drzwi wskazując — idź tam na górę... zostaw mnie z n i ą!

— Nie! — wykrzyknęła Lila, przeszywającym teraz głosem — nie! nie!

Porwała szal, zawieszony na poręczy krzesła i, zarzuciwszy go na głowę i ramiona, wybiegła.

Za nią wybiegł i Porycki.

Po kilku minutach wrócił do saloniku, rzucił szybkie wejrzenie na to miejsce pokoju, w którem siadywał z nią najczęściej, i obiema dłońmi ścisnął sobie głowę.

— Przekleństwo! — zawołał sam do siebie. — Nie chciała za nic wrócić... pobiegła... nie wiem dokąd... Zdaje mi się, że utraciła zmysły... Kocham ją, jak szaleniec!... A sprawa z jej bratem!... Co teraz uczynię?...

Julia powoli zwróciła twarz swą ku niemu.

— Co uczynisz? — rzekła szydersko. — To, coś czynił przez całe życie. Jutro, pojutrze wyjedziesz w strony, gdzie cię jeszcze nie znają, przemienisz teraźniejszą skórę swą na inną, będziesz znowu dobijał się fortuny, uwodził kobiety i okłamywał wszystkich.

* * *

Fabian Łozowicz wracał z lekcyi muzyki i, otulając się przed chłodem w swój wynoszony płaszcz z peleryną, szedł chodnikiem, gdy na przeciwnej stronie ulicy spostrzegł wśród gęstego mroku, tu i owdzie zaledwo rozpraszanego chwiejnem światłem latarni, szybko mknącą postać kobiecą.

Wzrostem i kształtami kibici postać ta przypomniała mu Lilę. Stanął i popatrzał na nią uważnie, lękając się omyłki i nie śmiejąc się zbliżyć.

Kobieta, na którą patrzył, szła wciąż przeciwległym chodnikiem, coraz prędzej i prędzej. Nagle żółtawy blask latarni przemknął po jej twarzy.

Łozowicz poznał Lilę.

W mgnieniu oka był już przy niej.

— Na Boga! — zawołał — co pani jest? dokąd pani idziesz o tej porze, sama jedna?

Kobieta, usłyszawszy tuż przy sobie głos ludzki, z lekkim krzykiem w tył się rzuciła.

Łozowicz ujął rękę jej drżącą i jak lód zimną. Wtedy dopiero poznała go.

Głuche, łez pozbawione łkanie, wstrząsnęło jej piersią.

— Dokąd pani idziesz? — nagląco pytał Fabian.

Siliła się długo, aby ze zmąconego umysłu swego wydrzeć odpowiedź jaką, aż ledwie dosłyszalnie szepnęła:

— Nie wiem!

— Boże! cóż się stało? pani jesteś tak bladą, jakby nieprzytomną! drżysz cała! Czy chcesz pani, abym cię odprowadził do twego mieszkania?

Uczyniła znowu poruszenie takie, jakby uciekać chciała i, rękę swą z dłoni jego wyrywając, krzyknęła głośno:

— Nie! nie! nie!

W głowie Łozowicza błysnęło światło. Domyślił się, że zajść tam musiało coś strasznego.

Nie wiedział sam, co ma czynić.

Wzruszony był bardzo, ale więcej jeszcze zmieszany.

Nagle w oku Lili błysnęło z napełniającej je grozy uczucie inne. Było to uczucie gwałtownego, przeszywającego bólu.

Wyciągnęła ku staremu przyjacielowi swemu obie ręce i stłumionym głosem zawołała:

— Ratuj mnie pan! jam sama na świecie!... sama!... sama!... We mnie i przede mną pusto!... ciemno!...

Położył rękę jej na swem ramieniu, i chwiejącą się prowadził chodnikiem ulicy.

Lila milczała...

Spoglądał na nią niekiedy: patrzała w ziemię.

* * *

W dwóch pokoikach, oknami na wązką uliczkę wychodzących, pełno było osób i gwaru.

W malutkiej bawialni, dokoła palącej się na stole lampy siedziało kilka kobiet podżyłych, lub całkiem starych, pomiędzy któremi wyróżniała się wysoka, chuda postać pani Adeli, trzymającej się prosto i bardzo szybko a pilnie robiącej pończochę. Obok niej blada, szczupła, przygarbiona nieco, siedziała żona Augustyna Szyłły, z wiekuistą swą koronką w ręku. Dalej szeroko rozkładała fałdy swej starej, jak świat, jedwabnej sukni, pani Eustachia, wiążąca bawełnianą siatkę. Dalej jeszcze znajdowały się tam trzy czy cztery kobiety inne, obracające również szydełkiem lub iglicą.

Wszystkie osoby te zajmowały miejsca na kanapie i fotelach, które niegdyś w ładnym łozowickim salonie figurowały, a teraz, pokrowcami z białego płótna starannie owinięte, szczególną sprzeczność ze szczupłością izdebki, z jej przybrudnym sufitem i ogólnem ubóstwem, przedstawiały.

Kobiety gawędziły.

W głębi bawialni, w półcieniu, na nizkich stołkach, lub na grubych, chropawych deskach podłogi, siedziało czworo młodszych dzieci Łozowiczów, wraz z dwojgiem innych, które w odwiedziny ze sobą przywiodła jedna z goszczących tu kobiet. Dzieci gwarzyły głośno i wesoło.

Ale i w drugim pokoju, jedną świecą oświetlonym, gwarnie też i wesoło było. Tu, dokoła ściany stały łóżka mniejsze i większe, kufry, skrzynie i szafy.

Na kufrach i skrzyniach siedziały młode panny — więc

trzy córki Szyłłów i Ludka. Obok nich, o komódki i poręcze łóżek wsparci, stali młodzi kawalerowie — więc Ignaś Szyłło, Apolek Łozowicz, młodszy brat jego, na dorosłego już kawalera pozujący i dwaj inni młodzieńcy, synowie przyjaciółek i codziennych towarzyszek pani Adeli.

Zebranie to, aczkolwiek liczne, nie było przecież żadną niezwykłą okolicznością spowodowane, lecz przeciwnie, odpowiadało w zupełności codziennemu, panującemu w pokoikach tych trybowi życia.

W ciemnej sionce szumiał na glinianej podłodze olbrzymi samowar; w kuchence stały na stole, przed wieczorem jeszcze przez panią Adelę pokrajane, a na kilku talerzach spiętrzone, chleb, bułki i masło.

W oczekiwaniu na zwykły wieczorny posiłek, towarzystwo bawiło się, z pozoru przynajmniej sądząc, bardzo przyjemnie.

Dzieci igrać poczęły w kota i myszkę, przyczem przewracały stołki i hałasowały straszliwie.

Panienki żywe a żartobliwe utarczki prowadziły z kawalerami.

Pomiędzy starszemi paniami jednak, wkoło kanapy, rozmowa słabnąć zaczynała.

Jednocześnie prawie uczuły wszystkie, że w ustach im zaschło. Wyglądać zaczęły herbaty, i raz po raz zerkały na pęk kluczy, które wisiały u pasa pani Adeli, a których przedłużająca się nieruchomość niepokoić je zaczynała. Wiedziały jednak, że gospodyni domu czeka z przyrządzeniem herbaty na powrót męża.

— Gdzie jest pan Fabian dobrodziej? — zapytała, owijając iglicę bawełną, pani Eustachia.

— Spóźnia się coś dzisiaj — zauważyła inna z kobiet.

— Nieboraczysko za lekcyami latać musi — westchnęła pani Adela. — Powinienby był jednak od kwadransa już wrócić...

— Otóż i idzie! — wymówiła pani Eustachia.

W istocie, drzwi, prowadzące z sieni na dziedziniec, skrzypnęły głośno, a w niespełna minutę, do małej bawialni wszedł pan Fabian.

W całej jego postawie było coś niezwykłego, co uderzyło odrazu wszystkie kobiety. Wyglądał przelękniony i rozrzewniony zarazem.

— Duszko! — szepnął, przelotnym zaledwie ukłonem po-

witawszy całe zebranie kobiece — proszę cię, wyjdź na chwilę ze świecą do sieni!

— Po co? — zapytała pani Adela.

Lecz uderzona i przelękniona nieco wyrazem twarzy męża, wstała z kanapy i wyszła na środek pokoju.

Tu jednak stanęła.

— Cóż tam stać się mogło w sieni? — zapytała ze zwykłą sobie opryskliwością. — Dzieci są przecie tutaj wszystkie.

I, dzwoniąc kluczami, ku drzwiom postąpiła.

Łozowicz lękał się snadź, aby żona jego w stanie irytacyi do sionki nie wyszła. Tarł dłonią łysinę z całej siły i drogę jej do drzwi zastąpił.

— Duszko! — mówił zcicha — tam jest... tam jest... gość!

— Gość! jaki gość? — zawołała pani Adela. — Może Antosia Szyłłowa przyjechała ze wsi? Dlaczegoż tu nie wchodzi? toż przecie teraz dobrodziejka nasza.

Kobiety, dokoła stołu siedzące, z wyciągniętemi naprzód szyjami, rozmowy tej małżonków słuchały. Jakkolwiek toczyła się ona półgłosem, najmniejsze słówko jej straconem nie było dla wprawnych w słuchanie i podsłuchiwanie ich uszu.

To też, gdy pan Fabian, naglony zapytaniami żony, szepnął jej na ucho prawie nazwisko gościa, który się w sieni znajdował, z ust żeńskiej gromadki wydarł się jeden krzyk zdumienia, oburzenia i zgrozy.

Pani Adela stanęła także, jak do miejsca przykuta, i piorunujący wzrok utkwiła w twarzy męża.

— Co? — zawołała — ty ją tu przyprowadziłeś? ją! ją!... I ja przyjmowaćbym miała... tu, w domu moim... wobec moich córek, tę...

— Adziu! duszko! ona jest tak nieszczęśliwa!

— Nieszczęśliwa! — syknęły kobiety przy stole — a któż nieszczęściu temu winien? Niech sama pije piwo, którego sobie nawarzyła.

— Ale do porządnych domów niech nie przychodzi.

— Bo to zgorszenie! obraza Boska!...

— Magdalena! — zawołały chórem.

— Jawnogrzesznica! — dokończyły.

Podniecona sykaniami i wykrzykami przyjaciółek, pani Adela rzuciła się ku drzwiom.

— Ja jej tu zaraz powiem wszystko, co myślę o niej — mówiła z irytacyą wielką — wyprawię twego gościa z pod dachu, pod którym mieszkają moje córki!

Pan Fabian, do najwyższego już stopnia zmieszany i przelękniony, usiłował powstrzymywać żonę, ale daremnie.

Ze świecą w ręku, wyprostowana, napół uroczysta, a napół gniewna, pani Adela drzwi otworzyła i próg ciasnej sionki przestąpiła.

Jakież jednak było jej zdumienie, gdy zamiast strojnej, śmiałej kobiety, którą ujrzeć spodziewała się, zobaczyła postać jakąś, siedzącą bez ruchu na jedynym stołku, jaki się w sieni znajdował, z plecami i głową opartemi o zimną, wilgotną ścianę, z rękoma zwieszonemi bezwładnie i z zamkniętemi oczyma.

— Co to jest? — zawołała — kto to taki?

Pan Fabian poskoczył ku nieruchomej postaci i zawołał:

— Zemdlała!

Lila była w istocie zemdloną.

Szal opadł z jej ramion i zwisł na glinianą podłogę; rzędy wielkich korali nieruchomo spoczywały na jej piersi, w której nie było oddechu. Na bladej twarzy, jakkolwiek nieruchomej, pozostały ślady przeniesionej męki i fizycznego wyniszczenia. Zbielałe usta zemdlonej kobiety silnie były zaciśnięte; długie jej, czarne rzęsy oblewały zapadłe policzki cieniem posępnym, a nad całą twarzą tą i postacią, która była w tej chwili uosobieniem strasznego upadku i głębokiej niedoli, szydersko świeciły i migotały w roztarganych kruczych warkoczach, gęsto strojące je, ozdoby ze złota i kryształu.

Pani Adela ze świecą w ręku stała przez chwilę nad nieruchomą tą postacią kobiecą, w niemem zdumieniu. Widać było, że im dłużej patrzała na obraz ten, tchnący nieszczęściem i opuszczeniem, tem więcej irytacya jej ustępowała przed miększem jakiemś uczuciem.

— Cóż się to stało? — zapytała męża, głos swój zniżając do szeptu prawie — czy on ją porzucił?

— Nie — odparł Fabian — ona go opuściła.

— Przecież opamiętała się! — syknęła za panią Adelą jedna z jej przyjaciółek.

— Gdzieżeś ją spotkał? dlaczego przyszła tu do nas właśnie?

— Spotkałem ją na ulicy samą jedną, zrozpaczoną, upadającą prawie i pomyślałem, że ty, Adelko, z twojem złotem sercem, nie będziesz mogła...

— Mój Boże! — przerwała pani Adela, kiwając smutnie głową — do czego to przyszła ta piękna, świetna, bogata panna Lila Orchowska!

Odwróciła się szybko ku drzwiom pokoju i zawołała na córkę i syna:

— Ludko! Józiu! pomóżcie ojcu zanieść tą panią na moje łóżko! Ty, Apolku, biegnij prędko po doktora, a pani Eustachia niech będzie tak łaskawą i pójdzie co prędzej do apteki po wodę kolońską i ocet toaletowy!

Eks-rezydentka wspaniale podniosła się z krzesła, a zgarniając obiema dłońmi pocerowane swe jedwabie, jakby obawiała się zetknięcia ich z szeleszczącą po grubej podłodze, wytworną suknią niesionej w zemdleniu kobiety, wyrzekła z dumą i głęboką obrazą:

— Ja! ja mam fatygować się dla tej kobiety? O, nie! tak nizko Eustachia Kunasewiczowa nie upadnie nigdy.

— My z Zuzią pójdziemy wszędzie, gdzie potrzeba — cichym swym głosem ozwała się przygarbiona i schorowana żona Augustyna. Szyłły i, zarzuciwszy na siebie znoszony płaszczyk, wybiegła wraz z najstarszą córką na ulicę.

W godzinę potem nie było już w mieszkaniu Łozowiczów ani jednej starej kobiety i ani jednego kawalera.

Dzieci spały smaczno na kanapach i skrzyniach, pan Fabian biegał za lekarstwami, a pani Adela z Ludką, nie rozbierając się, siedziały noc całą przy łóżku młodej kobiety, która, obudzona na chwilę z omdlenia, wpadła potem w stan gorączkowej nieprzytomności.

Nazajutrz około południa, lekarz stał znowu przy łóżku Lili i z uczuciem przykrości oglądał się co chwila na wszystkie strony.

W mieszkaniu Łozowiczów panował nieustannie taki hałas, że zbadanie nawet pulsu chorej było mu prawie niepodobne.

Powietrze w ciasnych i ludźmi przepełnionych izdebkach duszne też było i wilgocią przesiąkłe.

Na twarzy przytem pani Adeli i w całem jej obejściu się z chorą i lekarzem malowała się znowu żywa irytacya, a przybywające wciąż obce kobiety rzucały na łoże chorej bardzo wyraźne spojrzenia niechęci i wzgardy.

Lekarz zwrócił się ku gospodarzowi domu z zapytaniem, czy nie możnaby przenieść chorej w miejsce jakieś obszerniejsze, suchsze, a przedewszystkiem ciche i samotne.

— Całe mieszkanie nasze składa się z dwóch tych pokoików — pochylając smutnie głowę, odparł Łozowiez.

— Osoba ta ma może krewnych jakich, przyjaciół, w których domu...

Całą odpowiedzią na słowa te było aż nadto wyraźne milczenie obojga państwa Fabianostwa.

— A więc — po chwili namysłu rzekł lekarz — radziłbym przewieźć ją do szpitala sióstr...

Nie dokończył znowu, tak głębokie zdumienie, tak żywa odraza malowała się na twarzach słuchaczy.

— Szpital! — jęknął pan Fabian — dla niej!

— Lila Orchowska w szpitalu! — splatając ręce, wykrzyknęła pani Adela.

— Do szpitala Sióstr Miłosierdzia — dokończył lekarz z chłodem cechującym jego powołanie. — Tam osoba ta będzie miała pokój osobny, powietrze czyste i świeże, starania ciągłe naszych Sióstr nieocenionych, a przedewszystkiem ciszę i spokój, które niezbędnie... niezbędnie są jej potrzebne. Należy jednak przenosiny te uskutecznić dziś, natychmiast, inaczej za życie chorej ręczyć nie mogę.

W chwilę potem pani Adela naradzała się z mężem w kątku bawialni.

— Cóż robić? — mówiła — trzeba to uczynić!

— Trzeba! — powtórzył pan Fabian, z wyrazem gorącego, bezsilnego żalu.

— I bez tego, przecież, nie moglibyśmy trzymać jej u siebie długo, leczyć i pielęgnować. Nie mamy po temu środków.

— Nie mamy!

Westchnął Łozowicz.

— Ale jakże tu zrobić? deszcz pada... trzebaby karety chyba, aby ją przewieźć...

— Tak, karety...

— Skądże ją wziąć?

— Nająć, duszko!

— O, ja wiem! tybyś dla całego świata karety najmował, aby go niemi wozić! A czy masz choć złotówkę przy duszy?

— Mam, duszko, kilka rubli, które wczoraj za lekcye mi dano...

Pani Adela patrzyła w ziemię i przygryzała usta.

Blizki wybuch irytacyi dawał się już spostrzegać na jej twarzy.

— Kilka rubli! — zaczęła — wielki majątek, doprawdy! A nam to się one niby nie przydadzą, te twoje kilka rubli! Ludce nowych bucików trzeba, Apolek rękawiczek nie ma, drzewo na

opał także kupować przyjdzie... Ale czy ty myślisz kiedy o potrzebach żony i dzieci? czy ty o nie dbasz?... No, — dokończyła — idź, najmij karetę, żeby tu za dwie godziny najdalej była!

— Ty, Adelko, zawsze złote miałaś serce! — szepnął pan Fabian, biorąc czapkę.

* * *

Dnia tego stoczyła się pomiędzy państwem Fabianostwem walna narada, czy należy oznajmić Mieczysławowi Orchowskiemu o położeniu, w jakiem znalazła się jego siostra, i kto list z uwiadomieniem o tem ma napisać.

Zważając na okoliczności różne, list ten był w istocie do napisania trudny.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, Mieczysław musiał być srodze na siostrę rozgniewany i rozżalony, a przyjaciółki pani Adeli jednogłośnie prawie zdecydowały, że wyprzeć się jej powinien i wyprze niezawodnie.

Wieczorem jednak pani Adela zasiadła do pisania listu, który nazajutrz wysłany został do Orchowa przez umyślnego posłańca.

Odpowiedź na pismo to, skreślona przez Michalinę, zawierała następujące słowa:

»Mąż mój, z powodu naglących interesów, wyjechał »z domu i nie spodziewam się powrotu jego prędzej, jak »za tydzień. Co do mnie, skoro tylko urządzę się z gospo»darstwem i z dziećmi, pośpieszę do N. Tymczasem z ca»łego serca dziękuję szanownym państwu za współczucie »i pomoc okazaną biednej siostrze naszej, dla której ja »i mąż mój uczynimy wszystko, co tylko w mocy naszej »będzie«.

IX.

Pociąg kolei żelaznej, przybywający z północy, zbliżał się ku ścianom dworca.

Po jednej z sal, tej okazałej i obszernej budowy przechadzał się, z papierosikiem w ustach i rękoma zapuszczonemi

w kieszenie zgrabnego paltota, Gottlieb, v u l g o Abramek Makower. Miał on na głowie czapeczkę swą ze srebrnym galonikiem, a rozglądając się dokoła w sposób niedbały i znudzony, kształtnej postaci swej nadawał ruchy dandysa najgorszego smaku i tonu.

Sala napełniać się właśnie zaczynała przybyłymi pociągiem podróżnymi i wnoszonymi ze dworu pakunkami, gdy młody syn Elego usłyszał za sobą pozdrowienie, znajomym głosem wymówione.

Obejrzał się i ujrzał Klemensa Szyłłę, który, z worem podróżnym w ręku i skórzaną torebką na plecach, witał się z nim poufale i przyjacielsko.

— Gut Abend! Gottliebku!

— Gut Abend! gut Abend! — zaśmiał się Abramek. — No, jak tam powodziło się w podróży panu Klemensowi? Czy stolica bardzo piękna? A wielkie tam interesa robiłeś dla pana agenta? Aj! aj! ile ja razy myślałem sobie, że chciałbym na twojem być miejscu!

— Zapewne! zapewne! — odparł Klemens — świat szeroki, wielki, piękny! a co na nim złota!... jeździć tylko i garściami po świecie je zbierać.

— Tak, — markotnie zauważył Abramek — tylko żeby módz jeździć, trzeba nie mieć kajdanów na rękach i na nogach, tak, jak ja je mam...

— Masz je, bo sam tak chcesz; a gdybyś nie chciał, tobyś ich nie miał.

Abramek próbował zaprzeczać, ale Klemens zawołał:

— Głodny jestem! Pójdź do bufetu; zjemy cokolwiek i napijemy się piwa.

— No, — zasiadając przy bocznym stoliku, żartobliwie rzekł Abramek — a masz ty czem zapłacić, bo dawniej to u ciebie o zapłaceniu nigdy i słychać nie było.

Klemens otworzył na pół pugilares, a w nim ukazała się spora paczka asygnat.

Oczy Abramka błysnęły.

— Ot, szczęśliwy człowiek! A skąd ty to wziął?

— Z różnych interesów — odparł syn Augustyna Szyłły. — U pana agenta służba dobra, stosunki człowiekowi robi i okazye różne nastręcza.

Przed rozmawiającymi postawiono dwie porcye mięsiwa jakiegoś i dwa wielkie kufle piwa.

Abramek mięsa nie jadł, ze względu na obecność w sali

dwóch czy trzech starozakonnych, którzy na niego i tak już ukośne, niechętne rzucali spojrzenia; ale piwo popijał i zarzucał towarzysza pytaniami o stolicę, bogactwa jej i świetności, o interesa, które załatwiają się w tem ogromnem zbiorowisku bogactw i ludzi.

Klemens nie pozostał dłużnym w odpowiedziach. Był on w humorze wyśmienitym. Jadł z apetytem i opowiadał z zapałem.

W czasie pobytu swego w stolicy odwiedzał giełdę, przypatrując się pilnie a ciekawie odbywającym się tam finansowym obrotom; bywał obecnym na najrozmaitszych targach lub licytacyach i sam w nich, w miarę możności, uczestniczył; otarł się o mnóstwo ludzi, szukających zysków i zdobyczy na różnych drogach, i dowiadywał się od nich o dróg tych zwrotach i krętaninach.

Wszystko to zachwycało go i wprawiało w zapał.

Zachwytem tym i zapałem dzielił się teraz z Abramkiem, a chciwa ciekawość, z jaką słuchał go izraelski młodzieniec, bawiła go widocznie i do dalszych opowiadań zachęcała. Prawił też o ludziach, którzy, grosza nie mając, puścili się w świat szeroki i po pewnym przeciągu czasu, z pomocą sprytu tylko własnego i szybkich obrotów kół fortuny, stanęli na stanowiskach wydatnych a dogodnych.

— Wszystko to jednak niczem jest — zawołał nagle, nóż i widelec z brzękiem na talerz rzucając — wszystko to niczem jest w porównaniu z tem, czego dokonał jeden z *waszych*, Żydek, prosty Żydek, Lejbuś jakiś, czy Icek. To mi chwat! to mi zuch człowiek!

Na słowa: »jeden z waszych«, zmarszczył się nieco Abramek, ale ciekawość wzięła górę nad niezadowoleniem.

— Nu! a cóż on takiego zrobił, ten Lejbuś, czy Icek? — zapytał.

— To długa historya! — odparł Klemens, ocierając usta serwetą — ale ci ją w kilku słowach opowiem. Ów Icek, to syn jakiegoś faktora, ot, takiego naprzykład, jak twój stryj, Mendel...

Abramek zmarszczył się znowu, co widząc, Klemens zaśmiał się na całe gardło, poczem mówił dalej:

— Nie wiem już, jakim sposobem ale dobił się on kilku tysięcy rubli. Co tu z nimi robić? Kupować, sprzedawać, szachrować w małem miasteczku, w ubogim kraju? Icek poszedł do

głowy po rozum, siadł do wagonu i pojechał do Hamburga, a tam wsiadł znowu na okręt i popłynął...

Tu Klemens, dla sprawienia większego efektu, zawiesił głos na chwilę.

— Gdzie on popłynął? — błyskając czarnemi oczyma, śpiesznie zapytał Abramek.

— Popłynął... do Ameryki!

— Do Ameryki?

— Tak, do Ameryki. A tam siadł znowu do wagonu i pojechał...

Tym razem opowiadający przerwał sam sobie wybuchem śmiechu, spowodowanego wyrazem nadzwyczajnej, niecierpliwej ciekawości, który przybrała twarz jego słuchacza.

— Gdzie on pojechał? gdzie on pojechał? — naglił Abramek.

— Pojechał daleko... daleko, na zachód do Kalifornii.

— Do Kalifornii? tam, gdzie złoto kopią?

— Gdzie złoto kopią.

— A co on tam w Kalifornii robił?

— On tam kupił kawał ziemi i zaczął ją kopać. Kopał miesiąc, dwa, trzy, kopał pół roku i nic nie znajdował; ale siódmego miesiąca zato znalazł... żyłę złota...

— Żyłę złota? — wykrzyknął Abramek.

Milczeli chwilę.

Klemens zapalał papierosa, Abramek zaś, którego oczy zdwojonym świeciły blaskiem, przechylał głowę na obie strony, na znak niemego zdumienia i zachwytu.

— A gdzie on teraz jest, ten Icek? — zapytał ciekawie.

— Icek mieszka teraz w stolicy, jest sobie wielkim spekulantem, gra na giełdzie, setkami kupuje akcye wszystkich wielkich stowarzyszeń, obraca słowem milionami. Pan z niego teraz, co się zowie. Mieszka w pałacu, jeździ koczami i karetami, a największe figury, sami nawet podobno ministrowie, bywają u niego i kłaniają się mu nizko.

— I pan Klemens widział jego i poznał?

— Gdzie tam mnie, chudemu pachołkowi, po takie znajomości sięgać! Widziałem go wprawdzie kilka razy, jak przed gankiem giełdy wysiadał z karety i wchodził na schody, ale nie rozmawiałem z nim ani razu. Same tylko wielkie figury rozmawiać z nim mogą...

— A skądże pan Klemens wie o tem wszystkiem, kiedy nigdy z nim nie rozmawiał?

— Opowiadali mi o tem ludzie. Niema w stolicy ani jednego człowieka, któryby nie wiedział o baronie von Lebensdorf i jego historyi...

— O baronie?... czy on teraz jest baronem?

— A jakże? albo-żeś myślał, że taki rozumny człowiek chodzi jeszcze w chałacie i święci szabasy? Został on chrześcijaninem i zrobiono go baronem.

— Aj! aj! — po chwili milczącej zadumy zawołał Abramek — oto człowiek!

— Mądry człowiek, Gottliebku, mądry człowiek! Ale początek mądrości jego był, wiesz gdzie? w tych kilku tysiącach rubli, które on miał na podróż do Kalifornii i na kupienie tam sobie kawałka ziemi z żyłą złota. Daj mi pieniędzy, dużo pieniędzy, a i ja takim samym mądrym być potrafię...

— Aha! żebym ja miał pieniądze!

Klemens zaśmiał się.

— Niech tam już ja biedę klepię, bo skąd pieniędzy wziąć mogę? mój ojciec goły, jak święty turecki, i wielkie to już szczęście, jeżeli kiedy wycisnąć z niego potrafię kilkanaście rubli na obuwie i odzienie... Ale... Eli Makower! ho! ho! któż nie wie, że u niego pieniędzy, jak piasku!...

Abramek na uwagę tę nie odpowiedział nic. Jak zwykle przy wspomnieniu o ojcu i jego bogactwie, wyraz głuchej niechęci twarz mu okrył.

— No, czas mi do miasta, do pryncypała mego — rzekł Klemens, powstając. — Dobrej nocy, Gottliebku, i niech ci się śnią: mądry Icek... przepraszam, baron von Lebensdorf i Kalifornia!

Pomimo pożegnalnych słów tych, Abramek szedł obok towarzysza swego, w głębokiem pogrążony zamyśleniu.

— Czy idziesz do biura telegraficznego? — zapytał go Klemens.

Abramek splunął z niechęcią i wzgardą.

— Już ja z tem biurem pożegnał się na zawsze — rzekł. — Prosiłem o dymisyę i wczoraj mi ją dali.

— A wolny więc Kozak z ciebie?

— Et, co z takiej wolności? Mnie już te Żydy tutejsze kością w gardle stoją! Patrzą na mnie, jak na raroga za to, że ubieram się i żyję inaczej, niż oni. Rabiny przychodzili tymi dniami do ojca, pytając się, czemu mnie nie żeni, kiedy ja już wąsy mam, a ojciec chce mnie z córką Efroima żenić, z głupią

dziewką, która czytać nawet może nie umie... Ot, żebym mógł tobym na koniec świata od tego wszystkiego uciekł.

— To uciekaj. Któż ci broni uciekać?

Szli znowu kilka minut w milczeniu, aż znaleźli się blizko ustronnej kamieniczki, do której, w celu widzenia się z pryncypałem swym, dążył Klemens.

— Panie Klemens! — ozwał się Abramek.

— Co?

— Czy pan Klemens przyjdzie jutro, około dwunastej, do naszego mieszkania?... Jabym chciał z panem Klemensem o niektórych rzeczach porozmawiać...

— A taty tam nie będzie?

— On wyjechał do jakiegoś obywatela, którego majątek chce sprzedawać, i wróci za dwa dni dopiero.

— Czemużby nie? Jeżeli pryncypał mój potrzebować mnie w tej porze nie będzie, to przyjdę.

Po tych słowach rozstali się.

* * *

Nazajutrz, około południa, wchodzili znowu obaj razem do izby, w której za bufetem, zastawionym butelkami i talerzami, siedziała Chaja.

Twarz Chai rozpromieniła się, jak zwykle, na widok wchodzącego syna. On powitał ją przelotnem, niedbałem skinieniem głowy i, przeszedłszy pustą w tej chwili izbę bilardową, wszedł wraz z towarzyszem swym do bawialni, upstrzonej lusterkami i firankami, do słynnego, a tylu ludziom złowrogiego, *stawu* swego ojca.

— Pan agent nie dał dziś panu Klemensowi żadnego polecenia? — zapytał Abramek.

Klemens nie miał już wczorajszej rozjaśnionej twarzy i wczorajszego różowego humoru. Owszem, gniewnym wydawał się i silnie zmartwionym.

— Niech dyabli wezmą pana agenta i wszystkie interesa jego — zawołał. — Przyjął mnie wczoraj, jak psa jakiego, i powiedział, żebym nie przychodził do niego, bo żadnych poleceń mi już nie da i za kilka dni zupełnie stąd wyjedzie. Zły, jak szatan! Żonka jego przyjechała podobno, ni stąd, ni zowąd, z kupą dzieciaków i wszystkie szyki mu popsuła.

Wiadomości te mało widocznie obchodziły Abramka. Sie-

dział z twarzą opartą na dłoni i milczał. Klemens zato miotał się i biegał po pokoju.

— Ot i znowu — zawołał — człowiek został bez zajęcia i zarobku żadnego! Nie wiedzieć co robić i gdzie się obrócić Niech dyabli wezmą takie życie bez celu i przyjemności żadnych, i taki kraj, w którym niczego dobić się nie można!

Mówiąc to, człowiek bez kondycyi stanął u okna i zaczął niecierpliwie bębnić palcami po szybie.

— Panie Klemensie! — ozwał się Abramek.

— Co?

— Ja tu przyniosłem z sobą mapę geograficzną, ale to dobra mapa, bo na niej i koleje żelazne oznaczone, i nawet drogi morskie, któremi pływają okręty.

Klemens milczał i nie odwracał się.

— I książeczkę ja także przyniósł taką, w której wypisane stoi, ile wszędzie za podróż płacić trzeba.

Klemens milczał jeszcze.

— Mapy i książeczki pożyczył mi jeden urzędnik od telegrafu, mój dawny kolega... ale tylko na kilka godzin... trzeba więc, abyśmy z panem Klemensem zaraz się do roboty wzięli.

Teraz dopiero syn Augustyna Szyłły zwrócił się twarzą ku pokojowi.

Jakaż zmiana! twarz ta nie była już chmurną, gniewną, lecz przeciwnie, rozświecał ją promień miłej, tajemniczej nadziei. Człowiek bez kondycyi, w tej chwili właśnie, wpadł snadź na świetny jakiś, wielce obiecujący pomysł. Pomysł ów musiał mieć blizki związek z osobą Abramka, bo Klemens, odwróciwszy się od okna, wpatrzył się w niego pilniej, bardziej badawczo, niż zwykle. Zdawałoby się, że chciał on z twarzy izraelskiego młodzieńca wyczytać najskrytsze uczucia jego i myśli. I wyczytał...

Nie bez pewnego zdziwienia nawet ujrzał szczególną zmianę, która od wczorajszego wieczoru zaszła w powierzchowności syna Elego.

Cera jego bledszą dziś jeszcze była, niż zwykle, zaczerwienienie i lekka nabrzmiałość powiek zdradzały noc bezsennie przebytą, wyraz czarnych oczu stał się napół posępnym, napół potężną jakąś namiętnością rozgorzałym. Wczorajsze widać opowiadanie o mądrym Icku i Kalifornii, bez szczególnego, z góry powziętego zamiaru dokonane, głęboko zapadło w umysł młodzieńca i rozpaliło jego wyobraźnię, do najwyższego stopnia podniecając trawiącą go żądzę zysków i użycia, wielkich bo-

gactw i wielkich honorów. Teraz był to już dla Klemensa materyał wybornie przysposobiony.

Wraz ze zmianą interesów i usposobień głównego agenta, do którego wozu fortuny był się uczepił, tracił on perspektywę wyrobienia sobie położenia jakiego. Nie mógłże więc teraz uczepić się znowu skraju szaty kogoś innego?

Abramek rozłożył przed sobą grubą, drobno zadrukowaną księgę i niewielką, lecz bardzo szczegółową mapę.

Klemens przeszedł się parę razy jeszcze po pokoju, aż stanął przy szafie ogniotrwałej i uderzył dłonią o żelazną jej ścianę.

— O! — rzekł z uśmiechem — gdybym ja tylko posiadał to, co się znajduje tutaj!

— Nie tak to tam wiele tego jest, jak pan Klemens myśli — ozwał się Abramek. — Jego pieniądze w obrotach ciągłych. Tylko, że w przeszłym tygodniu kilka tysięcy rubli zarobił, a kilka odnieśli mu Żydki, co u niego pożyczali. On tymczasem te pieniądze tu położył, ale jak wroci, to zaraz je znowu w świat puści...

— A ileż tam tego być może? — zapytał Klemens.

— Et! — piętnaście tysięcy storublowemi asygnatami i coś tam jeszcze drobniejszemi.

— Widziałeś te pieniądze?

— Czemu nie miałem ich widzieć? On je przy mnie do szafy chował.

Rzekłszy to, Abramek pochylił się nad mapą, a Klemens chodził po pokoju. I stanął znowu przy żelaznej szafie i dłonią jej dotknął.

— Ho, ho! — rzekł — żebym ja wiedział, jakim sposobem tę szafę trzeba otwierać!

Nowy ten wykrzyk nie otrzymał zrazu odpowiedzi żadnej.

Po chwili dopiero Abramek, oczu od mapy nie odrywając, rzekł półgłosem:

— Ja wiem, jak ją otwierać trzeba!

— Mądre to zamki w tych kasach bezpieczeństwa! — od niechcenia niby, żartobliwym nawet trochę tonem mówił Klemens — a mądry *tate* klucz pewno ze sobą wozi! he?

— Jeden — porywczo rzucił Abramek.

— Jakto jeden? alboż są dwa klucze?

— Zawsze bywają dwa.

Klemens zwrócił się nagle ku Abramkowi i śledził oczyma kierunek jego wzroku.

Rozgorzałe, ponure prawie w tej chwili oczy syna Elego spoczywały na jednej z szuflad małej, przy ścianie stojącej komódki.

— Aha, w tej komódce! — wymówił młody Szyłło.

Abramek szybkim ruchem palec do ust przyłożył i syknął:

— Ccccyt!

Teraz już Klemens usiadł, oba łokcie oparł o stół i głowę nad mapą i księgą pochylił. Pochylił się też nad niemi i Abramek; zamiast jednak patrzeć na rozłożone przed sobą druki i rysunki, patrzyli oni na siebie.

Patrzyli i szeptali długo.

Włosy ich stykały się nieledwie ze sobą. Abramek kiedy niekiedy spoglądał na mapę i wiódł po niej palcami daleko... daleko ku zachodowi.

Ręka jego trzęsła się, jak w febrze, a na śniade czoło występowały grube, perliste krople potu.

* * *

Tego samego dnia, o dość późnej wieczornej godzinie, chodnikiem jednej z ulic postępowali szybko dwaj młodzi ludzie.

Obaj pochylone mieli głowy i oczy wlepione w ziemię, a zamieniali z sobą słowa urywane i ciche, jakby lękali się, aby ktokolwiek tajemnej ich rozmowy nie podsłuchał. U okien domów, nizko nad ziemią umieszczonych, pozamykano oddawna już okiennice; w sklepach i sklepikach pogasły światła; ruch dzienny miasta miał się już ku końcowi i w coraz głębszą ciszę zapadał.

Tu i owdzie tylko świeciła wśród ciemności dopalająca się latarnia, zapóźniony przechodzień przemknął pod ścianą domostw, albo środkiem ulicy przesunęła się szybko dorożka miejska. Dorożki ukazywały się nawet często, coraz częściej, a wszystkie w jedną stronę dążyły, w stronę drogi bitej, do dworca kolei wiodącej.

Pociąg kolei, idący na zachód, opuścić miał dworzec miejscowy w niespełna godzinę.

— Czy pewny jesteś, że nie wróci on pierwej, jak jutro wieczorem? — zapytał jeden z młodych ludzi towarzysza swego.

— No, już ty o to spokojny bądź! Jak on wróci, to już tu po mnie i śladu nie będzie!

— Jakto: po tobie? powinieneś powiedzieć: po nas.

— No, po nas! po nas! — odparł smukły, zgrabny młodzieniec. — Wszak pojedziemy razem.

— Spodziewam się! czy ja ci darmo pomagam i tak narażam się? Spokojny zresztą jestem, że słowa mi dotrzymasz, bo wiem, że nie dałbyś sobie rady beze mnie. Mam ja teraz znajomości, stosunki, które koniecznie chodzić powinny w parze z twymi pieniędzmi...

— Cyt! — syknął wysmukły młodzieniec i zatrzymał się u bramy jednopiętrowego, drewnianego domu.

Dom ten miał od ulicy drzwi do połowy oszklone, z napisem u góry, ogłaszającym znajdowanie się w tem miejscu bilardu, win, wódek i przekąsek. Przez szyby jego nie przebijało się teraz najmniejsze światełko; okiennice szczelnie były pozamykane.

Dwaj młodzi ludzie zatrzymali się przed bramą, na dziedziniec domu wiodącą.

Dziedziniec to był pusty, gospodarskiemi budowlami dokoła ostawiony, a nadniszczonym płotem łączący się z obszernymi, pustymi w tej porze, ogrodami warzywnymi, które znowu przytykały do bitej drogi, kończącej się u stóp wspaniałej budowy dworca.

— No, — rzekł jeden z młodych ludzi — czekaj ty tu na mnie... Chodź sobie po ulicy, niby nic, a gdyby tu kto wypadkiem nadszedł, to zastukaj w to trzecie okno. Ja tam będę.

— Rozumiem! To okno od stawu taty.

Z temi słowami rozstali się.

Jeden z nich wbiegł w dziedziniec, drugi przechadzał się zwolna na małej przestrzeni w jedną i w drugą stronę, pilnie nasłuchując wszelkiego odgłosu i często zaglądając w głąb dziedzińca, w którym zniknął jego towarzysz.

Wewnątrz domu, w izdebce oddzielonej od bawialni dwiema większemi izbami, w których spały dorastające i małe dzieci Elego, Chaja zaczynała układać się do spoczynku, gdy zastukano do drzwi.

— Kto tam? — zawołała Chaja.

Z zewnątrz ozwało się lekkie tylko, niecierpliwe mruknięcie; ale Chaja poznała w niem głos syna i śpiesznie drzwi otworzyła.

— Ny! co ty tak późno do domu przychodzisz, jak włóczęga jaki, jak łobuz? — spróbowała gniewać się kobieta.

Ale Abramek, najmniejszej, zda się, uwagi nie zwracając ani na gniew matki, ani na całą jej osobę, minął ją w milcze-

niu, z oczyma spuszczonemi, wziął ze stołu palącą się w mosiężnym lichtarzu łojówkę i poszedł w głąb mieszkania. Chai wydało się, że twarz syna, która zaledwie mignęła przed jej oczyma, miała w sobie coś niezwykłego. Że jednak wyobraźnia jej nie była wcale rozbudzoną i do rojeń jakichkolwiek lub niepokojów skłonną, a członki, zmęczone całodzienną krzątaniną, gwałtownie dopominały się spoczynku, zamknęła więc tylko drzwi od podwórza i, dosłownie zakopawszy się w piernatach, głęboko usnęła.

Rozbudziło ją światło, nagle do pokoju wniesione. Otworzyła senne oczy i ujrzała Abramka, stawiającego na stole świecę i ku drzwiom zmierzającego. Miał on na sobie ten sam paltot, w którym wszedł, i czapkę, ale bez galonika już na głowie.

— A dokąd ty idziesz? — ozwała się sennym głosem matka.

Syn nie odpowiedział.

— Czy ty i dziś nie będziesz w domu nocował?

— A jak nie będę, to co? — odmruknął młodzieniec i, nie rzuciwszy na matkę ani jednego spojrzenia, wyszedł.

Chaja, zgramoliwszy się z łóżka, zdmuchnęła świecę i drzwi zamknęła.

Gdy wśród ciemności obracała klucz w zamku, przyszło jej znowu na myśl, że Abramek, wychodząc, był blady, strasznie blady.

Stękając i wzdychając, omackiem doszła do łóżka i utonęła powtórnie w piernatach.

Abramek, wyszedłszy na mały ganek, jednym skokiem przesadził parę schodów, dzielących go od bruku dziedzińca, lecz zamiast udać się na prawo ku bramie, wiodącej na ulicę, gdzie oczekiwał go towarzysz jego i wspólnik, poskoczył na lewo, w stronę rozwalonego napół płotu.

Po chwili znajdował się już w obszernych, pustych zupełnie, warzywnych ogrodach. Przebył je szybko; wilgotna, miękka ziemia tłumiła szelest jego kroków.

Pięć minut nie upłynęło, a był już na szerokiej, bitej drodze, którą szybkim krokiem zmierzał ku czerniejącej wśród mroku masie wyniosłych murów dworca.

Klemens tymczasem przechadzał się po ulicy, uderzając niedbale laseczką o deski drewnianego chodnika i pogwizdując, jakby chciał przez to nadać sobie pozór człowieka niedbale i ze swobodną myślą oczekującego na coś lub na kogoś. Udawanie

to zresztą nie było wcale potrzebne. Na mieście panowała pustka, a tu i owdzie otwarte jeszcze i mdłemi światełkami błyszczące podrzędne szynkowe zakłady czyniły obecność na ulicy zapóźnionego przechodnia bardzo naturalną.

Czas upływał.

Klemens, spokojny całkiem zrazu, zewnętrznie przynajmniej, począł niecierpliwić się i nawet niepokoić. Ostatnia, paląca się dotąd uliczna latarnia zagasła. Młody człowiek potarł o ścianę domu zapałkę i przy świetle jej spojrzał na swój srebrny zegarek.

— Kwadrans tylko do pociągu! — szepnął. — Możemy się spóźnić!

Upłynęło pięć minut jeszcze, a nikt nie ukazywał się w bramie.

— Musi mu tam ciężko iść z zamkiem — rzekł do siebie Klemens — bodaj że z dzisiejszej roboty nic jeszcze nie będzie.

W niecierpliwości swej nie mógł dłużej biernie zachowywać się na ulicy.

Wszedł w dziedziniec i, przechodząc od okna do okna, nasłuchiwał za zamkniętemi okiennicami.

Nagle, głęboką ciszę nocną rozdarło przeciągłe, przeraźliwe gwizdnięcie. Był to sygnał zbliżającego się ku dworcowi pociągu.

— Ha! — zawołał Klemens półgłosem prawie — spóźniliśmy się już!... A zresztą... kto wie... możebyśmy jeszcze dobiegli!

Nie mógł powstrzymać się dłużej, zastukał w okiennice, zrazu ostrożnie, potem silniej. Żadnej odpowiedzi. Najgłębsza cisza zalegała wnętrze domu.

Gwizdnięcie powtórzyło się... Pociąg stawał u ścian dworca.

Klemens drgnął cały.

Twarz jego w mroku bielała, jak chusta. Z całej siły zatrząsł okiennicą.

Tym razem, rozespany i przelękniony głos zapytał z wnętrza po żydowsku:

— Kto tam? czego?

— Po Abramka przychodzę! niech wyjdzie tu do mnie na chwilę... natychmiast... interes pilny!

— Ny! a skąd tu Abramek? — odpowiedział głos łamaną już polszczyzną — jego tu niema!

— Niema? — wykrzyknął Klemens. — Jakto! był tu przecież przed chwilą!

— To i co, że był? On był i poszedł sobie. A co asanu do tego! Idź asan spać i nie budź ludzi po nocach!

Ostatnich słów Klemens już nie słyszał. Pędem strzały wypadł z dziedzińca na ulicę. Stanął jednak, jak wryty, myślą jakąś uderzony.

— Był i poszedł! — rzekł do siebie — a więc uciekł ode mnie! Poczekaj, ptaszku! może ja cię jeszcze dogonię!

Mówiąc tak, biegł prawie ku bitej drodze. Nie uszedł przecież trzystu kroków, gdy nocną ciszę przerwał głuchy, monotonny turkot i ostre gwizdnięcie rozdarło znowu powietrze. Wśród cieniów, jak meteor przemknęła wielka, purpurowa pochodnia... rój iskier trysnął w górę... Potem... umilkło wszystko, zagasło.

W oddali dróżnik zdmuchnął białe światełko ostatniej latarki.

Pociąg kolei ruszył w świat...

Klemens stał wśród bitej drogi, jak skamieniały.

Po chwili jednak zaśmiał się zcicha i zawołał do siebie:

— Pojechał! Oszukał mięl... Ha, nie byłby Żydem. Natura wilka do lasu pociągnęła!

Mówiąc to, włożył ręce w kieszenie paltota i, jak gdyby nic wcale ważnego z nim nie zaszło, skierował się z powrotem ku miastu.

Gdy wchodził w uliczkę, przy której znajdowało się mieszkanie jego ojca, pomyślał:

— Cała bieda w tem, że oto jestem znowu bez żadnej kondycyi!

* * *

Szary świt dnia spuszczał się powoli na miasto, w najgłębszym jeszcze śnie i niczem nieprzerwanej ciszy pogrążone, gdy przed tę samą bramę, przed którą kilka godzin temu przechadzał się Klemens Szyłło, zajechał niewielki wózek, parą włościańskich koni zaprzężony. Z wózka, otulony sutem futrem, z oczyma zaczerwienionemi bezsennością i nocnym chłodem, wysiadł Eli Makower.

Prędko bardzo rozmówił się z najemnym swym woźnicą, wypłacił mu należność, a wziąwszy w rękę niewielki wór płó-

cienny, stanowiący cały jego podróżny pakunek, zastukał do drzwi domu.

Chaja, którą turkot kół pod oknami ze snu obudził, otworzyła natychmiast, a przy szarem świetle świtu, zalegającem już dziedziniec, poznając męża, zawołała z uradowaniem:

— Sieh, Eli! A co ty tak prędko wrócił? Ja ciebie dziś wieczorem dopiero spodziewała się!

— A poco ja tam miał tak długo siedzieć? — odparł Eli, witając żonę uściśnieniem ręki i głośnem cmoknięciem w zwiędły jej policzek. — Ja jak skończył interes, to i powrócił.

Z powodu zamkniętych okiennic ciemność zupełna panowała w mieszkaniu.

Eli omackiem poszukał świecy, stojącej, jak zwykle, na stole u okna, i zapalił ją.

Chaja leżała już znowu, zakopana w piernatach. Głowa jej jednak wysuwała się z pod pierzyny, a oczy, napół senne jeszcze, z troskliwością patrzyły na męża.

— Może ty zziąbł, Eli? może ty herbaty napijesz się?

— Ja herbatę pił niedaleko stąd, w karczmie u Jankla. Teraz ja tylko schowam to, co z drogi przywiozłem, i spać pójdę.

— A co ty z drogi przywiózł? — zapytała Chaja.

Eli wyjął z kieszeni wielki swój pugilares, którego boki dobrze były wydęte i, uśmiechając się, pokazał go żonie. Chaja z lubością spoglądała na męża i na pugilares. Usta jej roztwierały się błogim uśmiechem.

— Interes dobrze poszedł? — rzekła.

— A czemu miał źle pójść? — zwykłą swą na podobne pytania odpowiedź powtórzył Eli.

Wziął świecę ze stołu i poszedł w głąb domu.

W dwóch izbach, dzielących izdebkę Chai od bawialni, zrolegały się sapania i chrapania.

Pod jedną ze ścian stały dwa łóżka: jedno większe, drugie małe, dziecinne. Na większem łóżku, wśród wysoko usłanych poduszek, spoczywała śliczna głowa piętnastoletniego mniej więcej chłopca, ze ściągłą, ładnie wykrojoną twarzą, z gęstymi, kędzierzawymi włosami i długą frendzlą ciemnych rzęs, które od zamkniętych powiek spadały na bladawe, delikatne policzki. Przy łóżku tem, na stołek niedbale rzucony, leżał szkolny mundurek. Uśpiony piętnastoletni chłopak był jednym z młodszych synów Elego. Szkolny mundurek świadczył, że i on także, jak niegdyś Abramek, uczęszczał do szkół.

Małe, dziecinne łóżeczko było miejscem spoczynku siedmioletniej najwyżej dziewczynki, która teraz, z drobnemi rączkami zarzuconemi na rozczochrane, ognistego koloru włosy, z purpurowemi usteczkami, napół otwartemi, w grubej, lecz czystej i ponsową tasiemką związanej u szyi koszulce, spała głęboko. Siedmioletnia dziewczynka ta była wnuczką Elego, którą on i Chaja, po niedawno zaszłej śmierci jej matki, wzięli na swą wyłączną opiekę, pieścili i kochali nad wyraz.

I teraz także dłoń Elego musnęła lekko po ognistych włosach wnuczki; potem wzrok jego tkwił długo w ślicznej, wytwornie zarysowanej twarzy syna. Stał nad dwojgiem uśpionych dzieci minut parę, a błogość niewypowiedziana rozlewała się mu po twarzy.

Potem podniósł nieco świecę do góry i potoczył wzrokiem dokoła siebie. Uśmiech pełen dumy i uszczęśliwienia zawisł mu na ustach.

Widać było, że przypomniał sobie o czemś, że pomiędzy dwoma obrazami jakimiś w myśli swej porównanie czynił. Stanęło mu zapewne przed pamięcią własne dzieciństwo jego.

— Ot, skąd ja wyszedł i dokąd zaszedł! — szepnął do siebie Eli. — I co mi tam mój stary ze swoim rabinem o pomyłkach jakichś gadają, co ja ich niby względem dzieci moich popełniam! Czego im braknie? Czy one kiedy głodne? czy im ładnych sukien nie kupuję i pięknej edukacyi nie daję? czy im posagów zabraknie, jak wyrosną?

Ostatnia myśl zdwoiła na twarzy Elego wyraz dumy, uradowania i zupełnej pewności siebie. Pod wpływem jej, mimowoli dotknął dłonią kieszeni surduta, wydętej spoczywającym w niej pugilaresem, i długiem, pieszczotliwem spojrzeniem ogarnął żelazną, misternemi rzeźbami okrytą szafę, stojącą w kącie bawialni, której próg właśnie przestąpił.

Postawił świecę na stole i, w jednej ręce trzymając grubo wypchany pugilares, drugą wydobył z kieszeni kamizelki klucz osobliwego kształtu.

Zwolna i uśmiechając się wciąż do własnych swych myśli, odemknął ciężkie, żelazne drzwi szafy.

Nagle roztworzyły się szeroko oczy jego, cała krew uderzyła mu do twarzy, pugilares wypadł z ręki, która opadła w dół, jakby sparaliżowana.

W szafie, tam, gdzie przed wyjazdem Elego piętrzyły się grube zwoje asygnat, do nowych obrotów przygotowanych — nie było nic!

Przez chwilę Eli stał, jak martwy; źrenice jego, krwią nabiegłe, krążyły pod powiekami, nadając twarzy całej wyraz konwulsyjnego przestrachu i bezprzytomnej rozpaczy. Nagle krzyk stłumiony wydarł się z jego piersi. Ujrzał kartkę papieru, która, wyraźnem pismem żydowskiem nakreślona, leżała na miejscu, gdzie znajdowały się wprzód pieniądze. Ruch, którym Eli papier ten pochwycił, gwałtowny był, dziki niemal. W piersi jego drżały stłumione, bełkocące jęki i krzyki, gdy przyskoczył do stołu i przy świetle świecy znalezioną kartkę rozpostarł. Od pierwszego bowiem rzutu oka poznał na niej pismo Abramka. Teraz litery, ręką syna jego ołówkiem nakreślone, skakały mu przed oczyma, jak furye, wiły się, jak żmije. Jaskrawe, krwawe światło jakieś biło z nich ku niemu i oślepiało go.

— Gewałt! gewałt! — krzyknął Eli okropnym głosem i obu dłońmi chwytając się z kolei za głowę i piersi, przysiadł na ziemi.

Chaja usłyszała krzyk i szamotanie się męża. Zeskoczyła z łóżka i w kilka sekund była już na progu bawialni. W tej samej chwili Eli podnosił się z ziemi. Zgarbiony, jakby złamany, trzymał w trzęsących się rękach pismo syna, które czytać próbował.

Długo, długo oślepione napływem krwi oczy jego żadnego słowa wyróżnić z pomiędzy innych nie mogły. Pocierał dłonią czoło, oczy, twarz całą, aż nakoniec z tej łuny ognistej, która oblewała przed nim stół, ścianę i wszystko, na co spojrzał, wynurzać się poczęły przed wzrokiem jego czarne, ponure, olbrzymiej, jak mu się zdawało, wielkości litery, ręką syna jego nakreślone.

Litery te składały słowa następujące:

»Tate! kiedy ty wrócisz do N., mnie już tu nie będzie »Ty, tate, dał mi edukacyę dlatego, żebym ja wielkim pury»cem był i żebym, zamiast kopiejek, jak ty, dukaty i półim»peryały zbierał. A jak ja mogę wielkim purycem zostać bez »pieniędzy? a jak ja mogę pieniądze mieć w tym takim bie»dnym kraju, gdzie człowiek długo musi bić się, jak ryba na »lodzie, nim sobie jakiego nędznego rubla złapie?

»Mnie, tate, obrzydło już to wasze miasto. Jadę do Ka»lifornii, tam, gdzie złoto kopią. Paszportu ja nie mam, ale »ty, tate, nie lękaj się. Już ja sobie na granicy dam radę. »A pieniądze twoje biorę dlatego, żeby mieć o czem zaje»chać, a zajechawszy, kawał ziemi z żyłą złota kupić. Jak ja

»tą żyłę znajdę, to powrócę, pałac sobie w stolicy kupię »i tobie, tate, twoje pieniądze odeślę z procentem; bo ja nie »kradnę twoich pieniądzów, tylko pożyczam.

»A teraz bądź zdrów, tate! Ja wiem, że tobie beze »mnie smutno będzie, bo ty mnie bardzo lubił. Ale niech »twoje serce pocieszy się temi myślami, że ja powrócę bar»dzo bogatym purycem i honorów wielkich dostanę, a ty, »tate, sam przecież tego chciał i na to mnie edukacyę »dawał«.

Eli głosem przerywanym i zdławionym list ten czytał; Chaja stała za jego plecami, drżała, jak w febrze, i splecione ręce co chwila do góry podnosiła.

Giestem tym zdawała się ona wzywać z wysoka ratunku i pomocy; ale usta jej zbielałe i trzęsące się żadnego nie wydawały dźwięku.

Z rąk Elego wypadł złowrogi papier, a dłonie jego splotły się kurczowo i tak, jak ręce Chai, podniosły się w górę.

— Gewałt! gewałt! — krzyknął znowu i stał tak chwilę, z ciałem w tył wyciągniętem, z twarzą ku sufitowi podniesioną, białą jak płótno, ponuro oświeconą przytomnym już zupełnie, ale rozpacznym wyrazem oczu.

Nagle opuścił ręce i rzucił się ku drzwiom, wychodzącym na ulicę.

— Policyi! — wołał zdławionym głosem. — Niech poślą za tym łajdakiem! niech telegrafują! niech jego na granicy złapią i w kajdany okują, a pieniądze moje niech od niego odbiorą! Ja do policmajstra, do samego gubernatora pójdę!

I biegł ku drzwiom, ale dyszał, jak człowiek, który się dusi, a straszna męka wewnętrzna wyprężała mu żyły na czole i ciałem jego bezładnie miotała.

Tuż przy progu zachwiał się; u stóp swoich uczuł ciało jakieś, szamocące się na podłodze. Była to Chaja, która pomiędzy nim a drzwiami rzuciła się na ziemię i, ramionami oplótłszy mu nogi, piersią do kolan jego przylgnęła.

— Gej a weg! Chaja! gej a weg! — krzyknął Eli, pasując się.

Ale ona, ramion swych nie roztwierając, podniosła ku niemu twarz swą, po której płynęły dwa ogromne strumienie łez.

— Eli! — wołała kobieta — Eli! Eli! ty chyba po moim trupie do tych drzwi dojdziesz! Zabij mnie, zamorduj, zadepc

podeszwą buta swego, ale ja ciebie nie puszczę, ja tobie nie dam zgubić Abramka! Aj waj! aj waj! mój Abramek! mój syn, mój najmilszy bachores! On taki piękny i taki rozumny, a ty jego głowę na zgubienie chcesz dać i na jego ręce kajdany nałożyć!

— Chaja! — krzyknął Eli, chwytając się za głowę — Chaja! nie gadaj ty mnie o nim! Puść mnie!

Ale ona silniej jeszcze uczepiła się nóg jego i, twarzą dotykając niemal ziemi, wołała:

— Eli! Eli! czy ja już u ciebie niczego nie warta? czy ja z tobą trzydzieści lat nie przeżyła? czy ja z tobą razem nie pracowała i o ciebie, jak o oko moje, nie dbała? Eli! co tobie będzie po pieniądzach, kiedy ty syna naszego, naszego pięknego, mądrego Abramka w kajdanach zobaczysz? Czy ty już więcej pieniądzów nie masz? czy ty nie był kiedyś biedny, aj, jaki biedny! a dlatego ty żył i z wesołem sercem po świecie chodził? Ale jak ty dziecko swoje zgubisz, to już wesołego serca nigdy mieć nie będziesz i żonę swoją ty do mogiłki wywieziesz i oczy swoje z wielkich żalów i zgryzot wypłaczesz!

Oderwała twarz od ziemi i, podnosząc ją znowu ku mężowi, wołała dalej:

— Eli! Eli! czy ty nie pamiętasz tego czasu, kiedy ty do domu mego ojca przyszedł i powiedział: »Szmulu! ja chcę żenić się z twoją córką, Chają«. Ty był wtedy małym faktorem i u ciebie dziury w chałacie na łokciach świeciły; ale jak ja spojrzała na ciebie i dowiedziała się, że ty mnie chcesz za żonę swoją wziąć, to mnie tak jasno zrobiło się w oczach, jak ślepemu, kiedy zobaczy słońce. I my pobrali się, i byli bardzo biedne, i ani jednego rubla nie mieli, coby do nas należał. A czy nam źle było wtedy? Czy my wesołości w sercach nie mieli? czy my sobie kiedy złe słowo powiedzieli? Ty był dobry dla mnie, Eli, i ja dla ciebie byłam dobra. A kiedy Abramek nasz narodził się...

Tu Eli drgnął znowu i uczynił gwałtowne poruszenie.

Kobieta zaś z mocą zdwojoną mówiła dalej:

— On był pierwszy nasz syn, Eli, on był nasz pierworodny! Wprzód rodziły się nam same córki, a my Pana Boga prosili, żeby nam dał syna. I Pan Bóg dał nam syna, a ja go w czyste pieluszki owinęła i do kołyski włożyła, i ciebie zawołała, i powiedziała: »Popatrz, Eli, jaki on ładny!« Niech to wszystko teraz przed twemi oczyma stanie, jak przed mojemi stoi. Niech spadnie ze mnie starość moja, jak ta znoszona suknia, i niech

ja tobie pokażę się taka młoda i taka piękna, jak ja była wtedy, kiedy ty mnie z domu ojca mego za żonę brał, i wtedy, kiedy ty stał ze mną koło kołyski naszego pierworodnego. Zobacz moją głowę, ile ona kłopotów na sobie nosiła, i zobacz moje ręce, ile one pracowały, i zobacz moje piersi, ile one dzieci twoich przytulały do siebie i mlekiem swojem karmiły! Eli! Eli! my z tobą byli zawsze jedno ciało i jeden duch, i jedno oko, a ty teraz chcesz, żeby my rozdarli je na dwoje i żeby ja płakała na ciebie i przed Panem Bogiem skarżyła się?... Eli!...

Dłużej mówić nie mogła. Głos jej ochrypł, ramiona zmęczyły się i bezwładnie ku ziemi zwisły. Nie wstawała przecież z ziemi, a łzy wielkie, palące, oblewały, jak obfita rosa, obuwie Elego.

On stał nieruchomy i suchym, posępnym wzrokiem patrzył na nią.

Z pomiędzy grubych fałd żółtej płóciennej chusty wyglądała ku niemu pomarszczona, bolejąca, strumieniem łez oblana twarz towarzyszki całego niemal życia.

I stał się cud, którego pragnęła i wzywała Chaja. Starość opadła z niej, jak znoszona suknia, i ukazała się ona oczom swego męża taką hożą, ciemnowłosą, żwawą izraelską dziewoją, jaką wziął ją z domu jej ojca.

I szybko, niby napowietrzne latające widziadła, przesuwały się przed oczyma jego wszystkie chwile przeszłości, które ona teraz na ratunek syna swego wywoływała z grobów zapomnienia.

I zobaczył ją wiecznie czynną, pilną i niezmordowaną, jak stawała u domowego ogniska jego i własnemi rękoma gotowała dla niego strawę.

I zobaczył ją, jak troskliwa, niepokoju pełna, siadywała po nocach całych nad kolebkami dzieci jego.

I zobaczył ją dumną, słodko zadowoloną, jak w odświętnej sukni i czepcu kwiecistym chodziła w szabasy u boku jego do bóżnicy.

I zobaczył ją pokorną, łagodną i cichą, ile razy spadło na niego niepowodzenie jakieś.

Przypomniał sobie wszystkie te chwile minione, których szereg ciągnął się przez lat trzydzieści z górą, i zdjęła go nad tą kobietą litość wielka. Zmiękło serce jego, zachwiały się nogi; opadł na najbliżej stojące krzesło, obie dłonie złożył na kolanach i tak już w sztywnej postawie, z oczyma szklano utkwionemi w przestrzeń — pozostał.

Chaja podniosła się z ziemi i, chwiejąc się a ręką wspierając o sprzęty i ścianę, poszła do przyległej izby. Tam nakazawszy milczenie obudzonym dzieciom, ku bawialni wróciła i na progu jej usiadła.

Płakała i wzdychała ciągle, ale tak cicho, jakby obawiała się kogoś ze snu obudzić, a oczu nie spuszczała z męża, gotowa przy najlżejszem poruszeniu jego poskoczyć i rzucić się znowu na ziemię, pomiędzy nim a drzwiami.

Ale obawa jej daremną była. Eli nie uczynił poruszenia najlżejszego.

Upływały kwadranse i godziny; na świecie dzień był biały, południe zbliżało się, a on siedział wciąż i siedział na jednem miejscu, w jednej postawie, jak spiorunowany, jak skamieniały.

Świeca zagasła, w bawialni zaległ mrok głęboki, bo Chaja nie pozwoliła u okien mieszkania otwierać okiennic. W jednej przecież z okiennic była szeroka szpara. Wdzierał się przez nią wązki smug białego światła i spływał na roztargane włosy Elego, i na twarz jego białą, jak chusta, nieruchomą, jakby wyrzeźbioną z kamienia.

Pierwszem poruszeniem było przymknięcie powiek. Opadły one na szklane źrenice, poddając się niby ogromnemu znużeniu, czy bolesnemu jakiemuś olśnieniu. Zarazem postać zmartwiała poczęła kołysać się zwolna w jedną i drugą stronę, a z ust zsiniałych wychodziły urywane, niezrozumiałe słowa...

Chaja wstała z ziemi, bez najlżejszego szelestu przymknęła drzwi bawialni i, obu dłońmi trzymając się za głowę, weszła do swej izdebki.

W tej samej chwili zapukano do drzwi.

Dziewka służąca chciała otworzyć, ale Chaja, zdjęta, zda się, trwogą, czy nadzieją jakąś, odepchnęła ją i otworzyła sama. Na ganku stał wysoki, młody mężczyzna.

— Wszak tu mieszka Eli Makower? — zaczął.

— Tu, tu — niecierpliwie odparła Żydówka — ale jego teraz w domu niema.

Jakkolwiek dzień był chmurny, Chaja, patrząc na stojącego w ganku młodego pana, dłonią sobie oczy, jak przed blaskiem słońca, przysłaniała...

Wydało się jej, że go zna, ale kim-by był, nie wiedziała. Mgła gęsta zasłaniała jej oczy: nie poznałaby była w tej chwili dziecka rodzonego.

— A kto pan taki? — spytała machinalnie prawie, z przyzwyczajenia.

Mężczyzna odrzekł:

— Jestem Mieczysław Orchowski. Życzyłbym sobie bardzo widzieć się z Elim. Czy pani nie wie, gdzie znaleźć go mogę?

— Niech pan poszuka... on gdzieś na mieście... — nie wiedząc sama co mówi, odparła Żydówka i drzwi zamknęła.

X.

W głębi dzielnicy żydowskiej, w izbie obszernej i czysto wymiecionej, stary Judel leżał, jak zwykle, w swym długim, wielkim fotelu, nieruchomy prawie, bo mu sparaliżowane nogi poruszać się nie dozwalały, z piersią podnoszącą się chrapliwym, astmatycznym oddechem. Pomimo jednak cierpień fizycznych, zwiększających się codziennie i coraz prędzej zdających się popychać życie starca ku ostatecznemu kresowi, na twarzy jego rozlewała się słodycz duszy zrezygnowanej, cicho i z wdzięcznością używającej miękkiego spokoju, który, dzięki synowskiej miłości Elego, napełniał późny wieczór jego żywota.

Zadumę starca przerwało ostrożne i powolne otwieranie się drzwi od sieni.

Na progu stanął mężczyzna młody.

— Przepraszam — zaczął — powiedziano mi, że w tym domu mieszka ojciec Elego Makowera i że jego samego tu znaleźć mogę.

Starzec pochylił się nieco naprzód, z drżącej przezroczystej dłoni uczynił sobie nad oczyma zasłonę i patrzył na przybyłego.

— Niech wielmożny pan wejdzie — rzekł z uprzejmym uśmiechem na bladych ustach — pewno interes jaki do syna mego... Jego tu teraz niema, ale on może nadejść... Niech wielmożny pan będzie łaskaw wejść i powiedzieć mi, jaki to interes... może ja o nim co wiem...

Mężczyzna próg przestąpił i zbliżył się ku starcowi.

— Pan więc jesteś ojcem Elego Makowera? — zapytał.

— Tak, Eli Makower to mój syn.

Wyrazy te stary Judel wymówił z dumą i uszczęśliwieniem, które światło niewypowiedzianej błogości rozlało po

całej jego twarzy. Zarazem wytężonym wzrokiem patrzył na przybyłego.

— Przepraszam wielmożnego pana — zaczął — oczy moje słabe są i pamięć moja ucieka czasem ode mnie... Nie mogę poznać kto pan taki, ale mnie się zdaje, że ja pana znam... Nie wiem co takiego... pan jest młodym człowiekiem, a mnie się zdaje, że ja pana dawno kiedyś znał, jak jeszcze sam młody byłem... i mnie się zdaje, że pan kiedyś dawno, dawno temu wielkie dobrodziejstwo dla mnie uczynił... Ale kto pan taki, tego ja sobie przypomnieć nie mogę.

— Wątpię, abyś kiedykolwiek widział mnie samego, szanowny starcze! — odparł przybyły mężczyzna — ale przypuszczam, że powierzchowność moja musiała ci przypomnieć ojca mego, do którego jestem bardzo podobny.

— Ojca! — wymówił zwolna stary Judel, pasując się widocznie z pamięcią swą. — Przepraszam wielmożnego pana, a kto był pański ojciec?

— Jestem synem Kajetana...

— Wiem, już wiem! — prostując się, zawołał starzec — wielmożny pan jest synem pana Kajetana Orchowskiego... Ach! ach! jaki pan do swego ojca podobny! jak mnie miło pana widzieć! Ja stary, biedny Żyd, a pan jest wielmożnym panem... ale niech mi pan swoją rękę poda... niech ja przed śmiercią popatrzę jeszcze długo... długo... na syna naszego dziedzica i niech ja w rękach moich rękę jego poczuję!...

I, trzymając rękę Mieczysława w obu swych chudych, drżących od starości i choroby dłoniach, i okrywając twarz jego wzrokiem, pełnym głębokiej radości, mówił dalej:

— Piękny to był pan i dobry, ten pański ojciec! On był nasz dziedzic; my na jego ziemi mieszkali i czynsze jemu płacili, i on mógł nam robić wiele złego albo dobrego. Ale złego on nam nic nigdy nie zrobił i nikogo nie skrzywdził. On był uczony i o wielkich rzeczach myślał, ale jemu nie udawało się... W jego duszy i w jego życiu było coś takiego, co jemu zawsze ręce wiązało, że kiedy miał zbudować wielki pałac, to zbudował małą chatę... kiedy spróbował usypać wysoką górę, to zrobił się z niej nizki pagórek... On nie był szczęśliwy... ale był dobry i sprawiedliwy: każdemu w biedzie dopomógł i do każdego łagodnem słowem przemówił... Ja jego znał, dobrze znał i on mnie nieraz z wielkiego nieszczęścia wyratował. A choć on wielki pan był, a stary Judel prosty biedny krawiec, choć on chrześcijanin był, a ja Żydem jestem, ale jak ja tam wysoko, na innym

świecie jego spotkam, to ja do Pana Boga wielkim głosem zawołam, żeby nas obudwóch jednego przy drugim posadził, bo nas jedna ziemia karmiła i my na jedno niebo patrzyli, to niech my już razem i na wielkie oblicze Boga patrzymy!

— Szlachetne masz serce i wdzięczną pamięć, panie Judel — powstrzymując rozrzewnienie swe, rzekł Mieczysław. — Dlaczegoż syn twój uczuć twych nie podziela? dlaczegoż ziemią tą, o której zgrzybiały ojciec jego z czułością wspomina, handluje jak towarem, głębokie doły i przepaści kopiąc pod stopami tych, którzy na niej mieszkają?

Judel patrzył w twarz mówiącego oczyma pełnemi smutnego zadziwienia.

— Mój Eli! — wymówił nakoniec. — Wielmożny pan o moim Elim, o tym dyamencie moich oczu, o tej koronie głowy mojej mówi? Czy moje stare uszy niedobrze usłyszały? czy mnie wydało się tylko, że pan o moim Elim z żalem w sercu mówił? Ach! ach! żeby pan znał jego tak, jak ja go znam! Żeby pan wiedział, jakie jego serce i jaki rozum! On z mojej biednej, nędznej chaty nic nie wyniósł, prócz podartego łapserdaka, a teraz do czego on doszedł własnym tylko rozumem swoim! On bogacz i wszyscy jego szanują, a on, jak tu przychodzi, to nizko przed starym ojcem głowę swoją nachyla i naokoło bystremi oczyma patrzy, czy jemu czego nie brakuje. Wielmożny pan nie zna jego chyba, jeżeli może z urazą i żalem w sercu o nim mówić.

Mieczysław stał przed mówiącym ze skrzyżowanemi rękoma i smutnie pochyloną głową.

— Znam dobrze syna twego, panie Judel — rzekł po chwili milczenia. — Jesteś pan rozumnym i doświadczonym człowiekiem, pojmiesz więc znaczenie słów moich, gdy ci powiem, że syn twój, Eli, jest typem plemienia waszego, skupiającym w sobie wszystko, co ma ono w naturze swej dobrego i złego. Posiada on w istocie umysł bystry, zdolny i pojętny; w sercu jego nie braknie szlachetnych popędów i uczuć. Jest on najlepszym synem i bratem, ojcem i mężem, kocha gorąco spółwyznawców swoich, a sprawy ich za własne swoje uważa... Za spokój ojca, za szczęście dziecka dałby się ukamienować; dla każdego ze swoich wyjąłby z piersi serce własne... a jednak dobrześ usłyszał, szanowny starcze, że przy wspomnieniu o nim w głosie moim zadrżały gorzka uraza i żal głęboki... Syn twój, który tak dzielnie i troskliwie ratuje *swoich*, nas do zguby popycha... wywyższenie się jego z naszych upadków powstało...

bogactwo jego, to nasze słabości, z których korzystać umiał, i nasza niedola, którą się wspomagał!...

W miarę jak Mieczysław mówił, ręce Judela podnosiły się w górę, a ściemniałe, pomarszczone powieki nad osłupiałemi źrenicami jego drżeć zaczynały.

— Czy wielmożny pan wszystko to naprawdę o moim Elim powiedział? Co on takiego zrobił, żeby syn naszego dziedzica, naszego dobroczyńcy, tak o nim mówił. Niech wielmożny pan da mnie jeszcze rękę swoją i stanie tu przy mnie blizko, aby stare oczy moje dobrze widziały, że to syn pana Kajetana Orchowskiego do mnie mówi! I niech pan mi powie wszystko... wszystko o moim Elim. Ja jego ojciec... ja powinien wszystko wiedzieć...

Mieczysław milczał długo, wahający się, niepewny, do głębi wzruszony.

Po chwili jednak zniżonym głosem, w którym powaga łączyła się z łagodnością, mówić zaczął:

— Bóg mi świadkiem, panie Judel, że do syna twego nienawiści żadnej w sercu nie chowam, i że złem słowem, wyrzeczonem o nim, nie chciałbym ranić twego serca. Gdybym był wiedział, że przyjdzie mi podobną rozmowę toczyć z sędziwym ojcem Elego, nie przyszedłbym tu wcale. Teraz jednak milczeć nie mogę. Tak, panie Judel, przez starania i zabiegi syna twego, dziesiątki już współobywateli moich oddały dziedzictwa swe w ręce obcych i wyszły w świat z pod rodzinnego dachu na tułaczkę, która częstokroć słabych i nieumiejętnych wiedzie ku nędzy materyalnej i moralnemu zepsuciu. Też same starania i zabiegi sprawiły, że i ja także, najdalej za dwa lub trzy tygodnie, utracę Orchów, a wraz z nim...

Tu twarz młodego mężczyzny, dotąd smutna tylko i poważna, powlokła się rumieńcem silnego wzruszenia. Palący żal rozpłomienił ciemne jego oczy.

— Co ja tracę wraz z Orchowem! — zawołał. — O! panie Judel, wy tego może i pojąć nie potraficie. Nie o majątek mi już idzie, nie o byt tylko mój i rodziny mojej. Młody jestem, mam zdrowie, siły i trochę nauki w głowie, nie dopuściłbym głodu i nędzy do siebie, ani do tych, których kocham. Alem ja ten kawał ziemi umiłował sercem całem! Tam rodzili się i umierali praojcowie moi, tam urodziłem się sam i wzrosłem. Każde drzewo i każda ścieżka, każda niemal cegła starego dworu tego przemawia do mnie wspomnieniem jakiemś, lub przypomina mi jakiś obowiązek, jakieś przyrzeczenie święte,

dane sobie i innym! Podnieść z ruiny to piękne miejsce, użyźnić je, zbogacić, było zadaniem, które postawiłem przed sobą samym w pierwszym zaraz dniu, gdy dojrzałem i pojąłem, że człowiek każdy winien pełnić w swem życiu zadanie jakieś. Włożyłem już w nie pracę lat kilku, a tracąc je, tracę więcej, niż owoce tej pracy, bo cel życia mego, wiarę we własne siły, najbliższą i najlepszą możność zapewnienia spokoju i szczęścia sobie i swoim blizkim.

Judel słuchał mówiącego z pochyloną głową. Podniósł ją potem i zwolna wymówił:

— Dlaczego pan powiedział, że ja nie zrozumiem tego, co pan mówi i co pan czuje? Ja zrozumiał. Czy pan widział kiedy w miasteczku Orchowie tę chatę, w której stary Judel krawiec czterdzieści lat mieszkał? Mała, biedna, brudna chata! Okienka jej były jak oczy ślepe i zapłakane, ściany skrzypiały i kołysały się, gdy wiatr powiał, a na dachu jej rósł żółty, zgniły mech. On tam od rana do nocy i od wieczora do rana siedział nad robotą ciężką... a jak roboty nie miał, to głodem marł i dzieci jego głodem marły. Nie było czego żałować, prawda? Tak i ja z początku myś ał; ale kiedy mnie mój Eli zabierał z sobą, żebym tu w spokojności i wygodach siedział, i kiedy wóz zajechał przed moje okienka, a mnie przyszło z mojej chaty, w której ja czterdzieści lat żył, wychodzić, to ja płakał, jak dziecko, i ściany mojej starej izby rękoma obejmował, i na ziemię upadł, a miejsca te całował, na których moje dzieci w kołyskach spały i moja biedna żona chorowała i umarła!...

Milczał chwilę, a potem cichszym głosem zapytał:

— Czy wielmożny pan o tem swojem nieszczęściu i wielkim żalu z moim Elim gadał?

— Z synem twoim, panie Judel, rozmawiałem niedawno o wszystkiem, co się mnie tyczy. Trudno mi jednak było dotąd zdobyć się na słowo prośby... Teraz chcę widzieć się z nim...

Zatrzymał się na chwilę.

— Chcę widzieć się z nim — dokończył z iskrą boleści w oku — żeby go prosić...

— Niech pan tego nie robi — zawołał Judel — niech pan jego nie prosi. Ja zrozumiał teraz wszystko. Ja teraz dowiedział się, jaki on ma grzech na sumieniu i jaka pycha w jego sercu mieszka. Jak pan jego będzie prosił, to przez to proszenie powiększy się grzech jego i wzrośnie pycha. Ja jestem jego ojciec; ja jemu powiem... W mojej głowie zbierają się teraz myśli wielkiemi gromadami, i w mojej piersi podnosi się teraz

wielki płomień... ja wszystkie te myśli jemu odkryję i ten ogień, co we mnie pali się, w jego serce wrzucę!

Słowa te starzec wymówił z uniesieniem wielkiem, obie dłonie przyciskając kolejno do czoła i do piersi, jakby mu w istocie coś palącego i rozrywającego tłoczyło się pod czaszkę i ku sercu.

Potem dodał spokojniej:

— Niech wielmożny pan idzie z Bogiem i na starego Judela spuści się. Bracia pańscy nie będą już wychodzili z pod dachów swoich przez mego Elego i pan z pod swego dachu dzieci swoich nie wyprowadzi.

Umilkł, ale patrzył wciąż na Mieczysława, a usta jego otwierały się, jakby mu jeszcze coś do powiedzenia zostawało. Po chwili wyrzekł cichym, łagodnym, proszącym głosem:

— I niech wielmożny pan do mego Elego nienawiści żadnej nie ma! niech pan jemu przebaczy! Ja panu coś ważnego powiem. On prosty Żyd. On do wszystkiego doszedł własnym rozumem, co go jemu Pan Bóg dał. Jego nikt nie uczył takich rzeczy, co to tylko delikatnem uczuciem pojąć je można, i jego serce obróciło się całe do tych ludzi, między którymi on żył, i do pracy, która jego braci i dzieci z biedy dźwigała. Niech wielmożny pan daruje jemu jego omyłki i niech ja przed śmiercią zobaczę, że syn naszego dziedzica w takiej zgodzie z moim synem żyje, w jakiej ja zawsze z ojcem pańskim żył.

Gdy starzec domawiał słów ostatnich, szybko otworzyły się drzwi od sieni a do izby wpadła postać kobieca, dość dziwnie wyglądająca. Była to Żydówka, w krótkiej watowanej spódnicy i przydeptanych trzewikach. Z wielkiej, grubej chusty, która okrywała ramiona jej i głowę, owiniętą szmatem żółtego płótna, wychylała się twarz przelękniona i zbolała, z czerwonemi i nabrzękłemi od płaczu oczyma, z czołem pomiętem w tysiące zmarszczek.

Prosto ode drzwi rzuciła się ona ku starcowi, a przypadając do kolan jego i obejmując je ramionami, zawołała:

— Gewałt! gewałt!... tate!... nieszczęście!... wielki nieszczęście!...

Judel zatrzął się cały z wielkiego przestrachu.

— Gewałt! — krzyknął także. — Eli! Eli! mój syn, czy on umarł?

— Eli żyje, tate, i on tu do ciebie idzie! Powiedz ty jemu, żeby on naszego Abramka nie gubił, żeby on za nim policyi nie

posyłał, żeby jego na granicy nie łapali!... Aj! aj! mój Abramek! mój syn! mój najmilszy bachores!

Gdy Żydówka tak lamentowała, u nóg starca leżąc i na naglące pytania jego zaczęła mu o czemś żydowskim szwargotem i urywanym głosem opowiadać, Mieczysław, domyślając się, iż szło tu o sprawy rodzinne, wyszedł z izby.

Opuściwszy dom Judela, młody Orchowski uszedł kilkaset kroków zaledwie, gdy na jednej z krętych uliczek ujrzał, idącego naprzeciw siebie, Elego.

Uliczka była tak wązka, że dwaj przechodnie otarli się niemal o siebie, a jednak Eli nie spostrzegł Mieczysława. Szedł on powolnym krokiem, z rękoma w tył założonemi, z pochyloną nizko głową i z wzrokiem, utkwionym w ziemię. W bladej, nieruchomej twarzy jego nie można było dojrzeć żadnych gwałtownych uczuć, ale malowała się na niej ciężka jakaś, bezdenna, zda się, zaduma.

Minął Mieczysława, nie spostrzegając go; ale przed drzwiami ojcowskiego domu twarz w twarz spotkał się z wybiegającą już na ulicę Chają.

Na widok jego, kobieta z przelęknieniem przytuliła się do ściany domu.

On stanął, popatrzył na nią i na dom, w którym mieszkał jego ojciec.

— Co ty tam robiła, Chaja? — zapytał smutnie, lecz łagodnie. — Ty memu staremu wszystko powiedziała! Oj, głupia, głupia kobieto! Ty myślała tylko o swoim synu, a nie pomyślałaś o tem, że możesz mego starego swojem gadaniem zabić!

Rzekłszy to, odwrócił się od żony i przyśpieszonym krokiem wszedł do domu ojca.

Judel leżał teraz w fotelu, z głową o tylną poręcz opartą, zmieniony strasznie.

Na blade zapadłe policzki jego wystąpiły, po rozmowie z Chają, okrągłe plamy krwawych rumieńców. Oczy miał przymknięte, ręce bezwładnie złożone na poręczach fotelu; w ciężkim, chrapliwym oddechu, który podnosił wysoko zapadłą pierś jego, odzywały się głuche, przeciągłe jęki.

Eli, obrzuciwszy spojrzeniem zgorączkowaną widocznie, zesłabłą i przerażoną postać ojca, zatrzymał się przy progu i z pochyloną głową zdawał się przez chwilę namyślać nad czemś.

Potem przystąpił do fotelu i, dotykając lekko dłonią ramienia starca, wymówił zcicha:

— Tate! tate!

Judel otworzył zwolna oczy i spróbował wyciągnąć ku synowi ramiona.

Ale siły mu zabrakło. Ręce jego opadły znowu na poręcz fotelu.

— Eli! — jęknął — mój Eli! Co teraz stanie się z tobą? co stanie się z tobą?

Eli usiadł na stołku, tuż obok ojca, w zwyczajnej swej postawie, z dłońmi złożonemi na kolanach.

— Tate! — rzekł — ty o mnie nie lękaj się, mnie nie stanie się nic złego. Serce boli i przeboli! Pieniędzy mnie jeszcze zostało dużo! Ja za tym łajdakiem oczu sobie nie wypłaczę i z głodu, dziękować Bogu, nie umrę.

Mówił to z wyraźnym zamiarem uspokojenia i pocieszenia starca; ale na dnie piersi jego drgały suche, tajone łkania.

— Ja, tate, chciał z tego nieszczęścia sekret przed tobą zrobić. Ale kiedy tobie ta głupia kobieta o wszystkiem powiedziała, to ty, tate, nie martw się, a tylko jedną rzecz mi powiedz...

Przy ostatnich słowach, głos Elego zniżył się prawie do szeptu, a drgały w nim tony przerażenia pełne.

Judel otworzył oczy, zwrócił je na syna i, podnosząc dłoń giestem poważnym, nakazującym niemal, rzekł uroczyście:

— Mów, Eli!

Eli mówił dalej:

— Ty, tate, gadał mi kiedyś, że ja względem Abramka wielką omyłkę zrobił. Jaka to była omyłka? w czem ja zawinił? Cały świat gada, że trzeba teraz dzieciom wysoką edukacyę dawać, i ja jemu edukacyę dał. Czy ja źle zrobił? czy on byłby lepszy, żeby ja jego w ciemności trzymał? Oto pierwsze moje pytanie. A drugie takie: On napisał list do mnie, a w tym liście stoi, że on to tylko zrobił, czego ja sam chciał, i taki jest, jakim ja chciał, żeby on był. Gewałt! Gewałt! skąd on takie rzeczy wziął? Czy ja chciał, żeby on Żydów zapierał się? Czy ja chciał, żeby on rodzonego ojca i rodzonej matki nie lubił? Czy ja chciał, żeby on kradł i jak złodziej bez paszportu w świat uciekał? Jednak dlaczego on napisał, że ja tego sam chciał? skąd do jego głowy ta myśl przyszła? Ot, jakie drugie moje pytanie. A dwa te pytania palą się w mojej głowie, jak dwa płomienie, i kąsają moje serce, jak dwa węże. Tate! tate! wyjm ty ze mnie

te płomienie i te węże... powiedz ty mnie to, czego mój własny rozum powiedzieć mnie nie umie!

Judel milczał długo.

Gorączkowe rumieńce zniknęły z jego policzków, które powlokły się znowu przezroczystą bladością.

Siedział z przymkniętemi powiekami i głową odwróconą na tylną poręcz fotelu, aż nakoniec otworzył oczy, wyprostował się i wyrzekł z powagą:

— Eli, ja tobie na pytanie twoje odpowiem. Ja przez te wszystkie lata, którem tu przeżył, tylko myślał i z mądrym rabinem Boruchem rozmawiał i słuchał, jak on mnie czytał piękne, rozumne książki. Moje ciało odpoczywało, ale moja dusza pracowała i dał jej Pan Bóg tę łaskę, że ona zobaczyła wiele, i zrozumiała wiele i teraz na pytanie twoje, Eli, odpowiedzieć mogę. Słuchaj mnie, synu, i te słowa, które ci ja powiem, rozumem swoim rozważaj. Pytasz się mnie, czy ty źle zrobił, żeś swemu Abramkowi edukacyę dał. Otóż ja tobie powiem: Ty, Eli, dobrze pomyślał, ale zrobił źle, bo ta edukacya, co ty ją jemu dał, była zła!

— Ta edukacya była zła! — wykrzyknął Eli. — A jaka ona mogła być? On chodził do tych szkół, do których chodzili wszyscy panicze...

— A czy ty nie widział takich paniczów, których edukacya była także zła? kiedy rozumny człowiek co robi, to on siebie samego zawsze pyta: dlaczego ja to robię? A dlaczego ty Abramkowi edukacyę dawał? Ty myślał, żeby z niego był puryc i wielki urzędnik; ale ty nie myślał o tem, żeby z niego był człowiek. Twój Abramek ma edukacyę, ale rozumu nie ma, i twarz ma on dosyć gładką, i figurę delikatną, ale serce u niego chropowate i twarde. W jego głowie nie ma żadnej wiary, a w sercu żadnego kochania, i pod nogami swemi on gruntu żadnego nie ma. Jak on edukacyę dostał, to on żydowski grunt stracił, a innego ty jemu nie pokazał i nikt jemu nie pokazał; dlatego on chodził po świecie, jak człowiek, który nie ma o co oprzeć się, aż — upadł!

— Aj! upadł! upadł! — jęknął Eli.

Stary Judel przymknął znowu powieki, a kołysząc się zlekka i powoli na obie strony, mówił dalej:

— Nie jeden nasz Abramek teraz taki! Ja siedzę tu w mojej izbie, ale ja widzę wiele i słyszę, bo tu różne ludzie przychodzą, i rabin Boruch przychodzi, i opowiada mnie o wszystkich rzeczach, co się teraz na świecie dzieją. Mnie serce od wiel-

kich boleściów ściska się, kiedy ja o naszych młodych Żydkach myślę, kiedy ja na nich patrzę i o nich słucham. Przyszedł teraz taki czas, że wielka edukacya stała się, jak ta szeroka rzeka, do której każdemu wolno przyjść i napić się z niej. Nasze młode Żydki przychodzą do tej rzeki i piją. Ale w tej rzece jest taka woda, która na wierzchu pływa, i taka, która aż na dnie znajduje się. Kto napije się tej wody, co pływa na wierzchu, robi się gładki i może zostać wielkim urzędnikiem lub doktorem. Ale kto napije się tej wody, co pod spodem cicho sobie szumi, ten dobry i rozumny, i słodki względem ludzi, i sprawiedliwy, i do dobrego ochotny. Nasze młode Żydki piją tę wodę, która po wierzchu pływa, a jak oni jej napiją się, to jak najprędzej żydowski chałat z siebie zrzucają i trefne mięso zaczynają jeść, i z biednych Żydów zaczynają śmiać się, i zapierają się tego, że ich braćmi są. Oni po francusku i po niemiecku gadają, i czasem koczami jeżdżą, i u wielkich panów w pałacach bywają. Oni przestali swoich braci lubić i swoją wiarę w sercu chować. A kogo oni na to miejsce polubili? jaką oni wiarę w swoje serce wzięli? Oni są, jak chorągiewki na dachach. W którą stronę wiatr powieje, w tę oni kręcą się. Oni nie lubią gadać o tem, że są Żydami, ale gadają, że są Niemcy. A jak kto płacze i jęczy, i w wielkim żalu i ucisku jest, to oni od niego odwracają się tyłem, a jeśli przybliżą się, to dlatego, żeby jego nogą kopnąć i żeby on w większych jeszcze przepaściach utonął. Ot, jakie oni teraz są, te nasze młode edukowane Żydki.

Umilkł starzec, zmordowany długiem mówieniem, a choć słowa zcicha i z powagą z ust mu płynęły, krwiste plamy rumieńców okryły znowu głębokie wklęsłości jego policzków, a oczy płonęły ogniem silnego wzruszenia.

Eli z łokciami opartemi o kolana i czołem na obu dłoniach złożonem, słuchał mowy ojca, nie czyniąc poruszenia najlżejszego. Czasem tylko wargi jego drgnęły boleśnie, albo wzrok oderwał się od ziemi i utkwił na chwilę w przestrzeni, z wyrazem głębokiego zdumienia lub namysłu.

Gdy stary Judel umilkł i dyszał ciężko a chrapliwie, Eli, nie podnosząc głowy i nie zmieniając postawy, wyrzekł krótko:

— Mów, tate, mów! Ty mi jeszcze wszystkiego nie powiedział... mów!

Stary Judel westchnął głęboko.

Wzrok jego ogarniał pochyloną głowę syna z dziwnem pomieszaniem uczuć: obawy i surowości, tkliwości i powagi.

Otworzył parę razy usta, aby coś wymówić, ale zawahał się; wargi jego drgnęły i nie wymówiły nic.

Po chwili dopiero podniósł nieco ręce widocznem drżeniem poruszane, i zawołał:

— Eli! Eli! ja tobie powiem jeszcze jedno słowo! ważne słowo! Nasze młode Żydki złe są dlatego jeszcze, że oni w domach ojców na złe rzeczy patrzą! Twój Abramek, Eli, na złe rzeczy patrzał i zrobił to samo, co ty robisz, tylko innym sposobem.

Tym razem Eli wyprostował się i osłupiałemi oczyma na ojca spojrzał.

— Tate! — zawołał — dlaczego ty mnie tak krzywdzisz? Co ja złego zrobił? Czy ja ciebie nie szanował? czy ja moich braci nie lubił? czy ja szabasów nie święcił i w bóżnicy nie modlił się? czy ja komu co ukradł?

Starzec wyciągnął rękę giestem nakazującym milczenie i łagodnie, lecz stanowczo, wyrzekł:

— Still, Sohn! ja tobie zaraz moje straszne słowo wytłómaczę.

Milczał chwilę z przymkniętemi znowu oczyma, a potem otworzył je i mówił:

— U mnie dziś był pan Orchowski, syn naszego dawniejszego dziedzica, i on mnie wszystko powiedział, co ty robisz i jakie to interesa są, którymi ty zajmujesz się, i skąd twoje bogactwo.

Na twarzy Elego odmalowało się widoczne i silne zmieszanie.

— Orchowski? — wyrzekł — on tu był? A skąd on tu wziął się? a poco on tu przychodził?

— On ciebie szukał. Chciał z tobą rozmawiać. On chciał prosić ciebie, Eli, żebyś ty jego nie gubił.

Eli pochylił głowę i patrzył znowu w ziemię.

Starzec mówił dalej:

— I ja od niego dowiedział się, że ty już wiele jego braci zgubił dla korzyściów, i że ty jego chcesz zgubić... Eli! Eli! dlaczego ty tak robił?

— Tate! — szepnął Eli — to goimy... to nie nasze bracia!

Stary Judel drgnął cały i wyprostował się, jak struna. Oczy jego zaświeciły dziwnym blaskiem, a usta długo drżały, zanim wyrzekły z mocą i uniesieniem:

— Eli! co ty powiedział? To nie twoje serce tak gadało, ale tylko twoja głowa, która nie miała nigdy czasu o takich rze-

czach myśleć. Niektóre z naszych rabinów i wszystkie nasze chasydy gadają, że niby-to w talmudzie napisano jest, że Żydom wolno oszukiwać goimów i gubić ich, i nękać. Ja w talmudzie nie bardzo uczony, i tego nigdy nie czytał, i nie wiem, czy to prawda; ale ja to wiem, że jeżeli te słowa są tam napisane, to one złe są i niegodne, i żebym ja mógł, tobym ja tę kartę, na której te słowa stoją, wygryzł z księgi własnymi zębami, i poszarpał palcami, i spalił ogniem moich oczu, aby już jej więcej nie czytał Izraelita żaden!

Zatrzymał się na chwilę dla odetchnięcia, a Eli, nie odrywając oczu od ziemi, wyrzekł zniżonym i jakby nieśmiałym głosem:

— Tate! wszak to nieprzyjaciele nasi!

Bolesny uśmiech przesunął się po zbielałych wargach starca.

— Nieprzyjaciele? — powtórzył. — Słuchaj, Eli! niech pamięć twoja cała zbierze się w twojej głowie i niech tobie przypomni tą straszną porę, kiedy w naszej biednej chacie w Orchowie taka nędza była... kiedy ja roboty nie miał, a moja żona chorowała i z wielkich boleściów stękała, a wy na półkach leżeli i z głodu i chłodu jęczeli... Aż jednego dnia twój brat, Mendel, który wtedy małym bachurem był, zlazł z półki i poszedł w pole, i leżał w polu między zagonami, siny cały jak umarły... Wtedy ojciec tego młodego pana, którego ty chcesz zgubić, przyniósł twojego brata na swych rękach do naszej chaty, a ta piękna panna, co wtedy jego narzeczoną była, oddała naszego Mendela jego matce, i cieszyła ją, i swoim oddechem moje sine dziecko rozgrzewała... I potem my już nigdy takiego głodu i takiej nędzy nie cierpieli, bo pan Orchowski czynszu od nas nie brał, i kartofli nam dawał i drzewa na opał; a jak twoja matka umarła, przyszedł znów sam do mojej chaty, i mówił mnie dobre słowa, i w rękę mnie włożył dziesięć rublów. Ot, jakim nieprzyjacielem naszym był ten pan, którego syna ty chciał zgubić!... Czy ja tobie o tem nie mówił? czy ty tego nie pamiętał?

Eli milczał długo.

— Ty, tate, mówił mi kiedyś o tem, ale ja zapomniał i nigdy to wszystko przed pamięcią moją nie stanęło. Ale teraz ja przypomniał sobie... Ten pan Kajetan był dobry człowiek i wiele nam dobrego robił. Nu, to on jeden... ale oni wszystkie? co oni wszystkie nam Żydom dobrego robią?

Starzec wstrząsnął głową pół-smutnie, pół-gniewnie.

— Gdzie to ty widział, Eli, — rzekł — żeby człowiek, co sam nic nie ma, mógł drugim wiele dawać? A zresztą, co my, Żydzi, dla nich robimy? My pod nimi doły kopiemy, my ustami swemi na nich plujemy, my do nich tyłem odwracamy się, my ich oszukujemy!

Tym razem Eli podniósł się ze stołka i, z uniesieniem wielkiem, z ogniem w oczach, zawołał:

— Ny, tate, to wszystko prawda! my im tak robim! Ale dlaczego oni takie pyszne, i takie rozrzutne, i takie głupie, że ich oszukać można?

Stary Judel zatrząsł się na ten wykrzyk syna.

Ozwała się w nim namiętna, izraelska natura; namiętnie też zawołał:

— Dlaczego oni pyszne i rozrzutne i oszukiwać się dają? A dlaczego my zabobonne i ciemne? dlaczego my szachraje? dlaczego my takie brudne?

Uspokoił się nieco po chwili, lecz zawsze z drżeniem głębokiego zmęczenia i wzruszenia mówił dalej:

— Jeden tylko Pan trzyma w rękach swoich sądy nad ludźmi. A człowiek... kiedy bardzo mądry jest i sprawiedliwy, to on wszystko bratu swemu, człowiekowi, przebaczy i śmiać się z niego, ani kamienować go nie będzie... Ale żeby człowiek mądry i sprawiedliwy był, trzeba, żeby on widział daleko, bardzo daleko... Jak on zobaczy początek wszystkiego, to zobaczy także, jak z różnych gruntów różne wyrastają ludzie, i jak na różnych drogach różne do nich przyczepiają się grzechy... On zobaczy, że z grzechów ojców wyrastają grzechy synów, jak jabłka z jabłoni, a potem spadają na ich głowy...

Ostatnie słowa Judel wymówił bardzo cicho.

Sterane chorobą i wiekiem siły jego upadały i rwały się pod wpływem silnych wzruszeń, pracowitego natężenia myśli i długiego mówienia. W oczach jego, ogarniających wciąż spojrzeniem pochyloną głowę syna, zapalały się i gasły z kolei błyski dziwne, przypominające ostatnie drgania, i podnoszenia się i opadania gasnącego w lampie płomienia.

Po chwili jednak, głosem zniżonym i drżącym, mówił jeszcze:

— Eli! Eli! ty jesteś bardzo rozumny, ale ty nie miał czasu... i ty o tem nie myślał i tego nie zrozumiał, że złe nie urodzi nigdy dobrego... że jeżeli nieszczęście wielkie nie jest synem wielkiego grzechu, to będzie ono jego wnukiem... ale zawsze będzie... Bo tak Pan Bóg w swojem prawie napisał, że

pszenica rodzi tylko pszenicę, a z kąkolu wyrasta kąkol... nie dziś, to jutro... ale wyrasta... A gdzie dwóch ludzi na jednej ziemi mieszka, tam oni sobie albo przyjaciele, albo wrogi muszą być. Jeżeli oni sobie wrogi, to jeden drugiemu w robocie przeszkadza i nieszczęście robi... a jeżeli oni przyjaciele, to jeden drugiemu pomaga i ze szczęścia jednego wyrasta szczęście drugiego... Ot, jak mój rozum gada. A teraz ty posłuchaj, jak gada moje serce.

Położył na piersi białą swą przezroczystą dłoń i mówił zwolna, ale ciszej, coraz ciszej:

— Jak mój mały Mendel wylazł z mojej nędznej chaty i leżał na polu, pomiędzy zagonami, siny cały prawie od głodu i prawie nieżywy, tak lud żydowski wyszedł ze swego kraju i chodził po świecie, między innymi narodami, blady cały od wielkich strachów i boleściów, trzęsący się i uciekający od prześladowań strasznych. I tak, jak ten pan wielmożny podjął mego Mendela z ziemi i wyratował jego od śmierci, tak wtedy był jeden naród na świecie, który lud żydowski do swoich piersiów przycisnął i na swojej ziemi posadził, i żyć jemu w spokojności pozwolił. Eli! Eli! czy tobie twoje serce nic nie gada? czy twoje sumienie nie zatrzęsło się od tego wszystkiego, co ja tobie powiedział?

Eli milczał.

Wzrok jego tkwił w ziemi; na całej twarzy malowało się uczucie, podobne do przerażenia, jakie ogarnia człowieka wtedy, gdy spostrzega, że podwaliny, na których budował gmach całego życia swego, kruszą się i łamią, gdy czuje, że z wnętrza jego znikają, bezwiednie może, noszone dotąd uczucia i myśli, a wstępują do niego nowe, nieznane, i w sumienie jego i w serce zapadają głęboko.

Podniósł po chwili powieki, z pod których ukazały się źrenice, zwilgocone wzruszeniem.

— Tate! — rzekł — powiedz ty mi jeszcze rzecz jedną. Jeżeli my, Żydzi, pogodzim się z nimi i za braci swoich uważać ich będziemy, a dzieciom naszym ich grunt damy pod nogi, co będzie wtedy z zakonem naszym? Czy on zniknie razem z chałatami, które my z siebie pozdejmujem? Czy my pójdziem razem z nimi w ich kościołach modlić się i ich Bogu pokłon oddamy?

Judel nie odpowiadał długo.

Pierś jego nie pracowała już tak gwałtownie, jak wprzódy, owszem, zdawało się, że spadł z niej uciskający ją ciężar cho-

roby, że wstępować w nią zaczynała głęboka jakaś, słodka cisza. Ale oczy starca wydawały się więcej zapadłemi, niż przed godziną, a powieki jego, w dół zwisłe, i ręce, na poręczach fotelu złożone, uderzały martwą niemal nieruchomością.

Po chwili dopiero przemówił szeptem cichym i urywanym:

— Dwóch Bogów niema, Eli. Jeden jest Bóg, Pan — dla nas i dla nich... Był u nas niegdyś mędrzec wielki... imię jego było: Hillel... Izrael zwał go słodkim Hillelem... On dwóch pogan, co do niego przyszli, nauczał zakonu... a co on im mówił? »Kochaj brata swego, jak siebie samego!« i powiedział im: »oto cały zakon, dany przez Pana... reszta z ludźmi przyszła i z ludźmi przejdzie«... I przyjdzie pora, że ludzie o zakon Pana kłócić się nie będą, ani wojen ze sobą prowadzić i jeden drugiego oszukiwać i gubić... Przyjdzie pora...

Umilkł, ale usta jego poruszały się długo jeszcze wewnętrznym, niedosłyszalnym szeptem.

Na twarz całą padł mu blask dziwny; zdawałoby się, że spłynął na nią i oświecił ją łagodny, srebrny promień księżyca. Po chwili ręce jego drżące podniosły się nieco w górę.

— Eli! — szepnął — pójdź tu do mnie, blizko... niech ja na twojej głowie ręce moje położę... Ty był zawsze gwiazdą w mojem oku... perłą najdroższą w koronie mojej głowy... Ty rozumny i dobry!... Idź... idź do naszych braciów Żydów i wołaj do nich wielkim głosem... żeby oni szli do światłości i... żeby oni z wielkiej rzeki mądrości pili nietylko tę wodę, co pływa po wierzchu, ale i tę, co pod spodem cicho sobie szumi...

Po tych słowach milczenie zaległo w izbie. W kilkanaście sekund dopiero potem, jak lekkie szemranie w dal odlatującego wiatru, zaszeleścił wśród ciszy szept starca:

— Niech błogosławieństwo Abrahama, Izaaka i Jakóba będzie z tobą!... niech twoje ciało będzie zawsze zdrowe, a twoja dusza... czysta!...

Wraz z ostatniem słowem Eli uczuł, że dłonie starca osunęły się z przechylonej głowy jego. Tknięty okropnym błyskiem prawdy, porwał się z klęczek. Judel leżał na fotelu swym... nieruchomy.

Eli z głośnym okrzykiem rzucił się na ojca, dotykał głowy i rąk jego, obejmował go ramionami, całował jego czoło i policzki. Daremnie!... nic już głębokiego snu starego Judela przerwać nie mogło; tylko promień zachodzącego słońca, ukośnie

przez okno padający, rzucił na białą, jak marmur, twarz umarłego Żyda blask różany, i po śnieżnych włosach igrał mu rubinową wstęgą...

A dusza jego?...

O! jeżeli gdziekolwiek, poza tą ziemią kędyś wysoko i daleko, istnieje przybytek, w którym gromadzą się dusze, co stąd, jak ptaki, odleciały — to dusza izraelskiego starca tego podążyła w sfery najwyższe i połączyła się z duszami wszystkich tych, którzy wielkimi i świętymi byli, nie przez panowanie, nie przez blask zewnętrznych bogactw lub powierzchowności cnót, ale przez dosięgnięcie pojęciem najwyższych, najświętszych prawd ludzkości, przez zawieszenie uczuć i wzroku na świetlistych szczytach jej ideałów!

* * *

Czy zaśmiejecie się ze mnie, czytelnicy moi, jeżeli wam powiem, że w Żydzie Judelu, w owym krawcu ubogim, który przez lat dziesiątki żył suchym kawałkiem chleba i w podartem obuwiu roznosił sporządzone przez się roboty po okolicznych dworkach, że w tym wyrobniku pokornym, cierpliwym, nieuczonym i nieznanym, mieszkała wielka, błogosławiona dusza?

XI.

Zdala od labiryntu wązkich, krętych uliczek, składających żydowską dzielnicę, w innej zupełnie stronie miasta, wśród czystego, świeżego powietrza, wznosił się gmach wysoki i szeroki, w mnogie, wielkie, jasne okna, w obszerne dziedzińce i ogrody zaopatrzony. Był to przybytek nędzy, choroby i nieszczęścia wszelakiego, zostający pod strażą i opieką kilkudziesięciu niewiast, przybranych w czarne szaty i białe zasłony, a noszących wzniosłą nazwę Sióstr Miłosierdzia.

Gdy, wskutek naglących zaleceń lekarza i troskliwych starań państwa Fabianostwa, do gmachu tego wniesiono i na łożu złożono młodą kobietę, której zapadłe policzki i czarne, wklęsłe oczy rozpłomienione były ogniem gorączki, z której ust wyrywały się co chwila nieprzytomne, bezładne wyrazy i wykrzyki,

lekarz, przybyciu jej obecny, stanął na progu wielkiej, widnej sali i usługującym tam kobietom zadał pytanie:

— Gdzie jest Siostra Franciszka?

— Siostro Franciszko! — zawołało w odpowiedzi parę głosów niewieścich.

Na wołanie to, w oddalonym zakątku sali, z nad łoża boleści, przy którem klęczała, podniosła się zwolna kobieta w czarnej szacie, z twarzą ocienioną fałdami białego kwefu i przyciszonym, łagodnym głosem wyrzekła:

— Oto jestem. Czy kto mnie potrzebuje?

Lekarz wskazał jej pokój, sąsiadujący z salą, niewielki, lecz widny, wysoki, w którym spoczywała świeżo przybyła chora.

Stanęli oboje we drzwiach pokoju.

Zakonnica badawczem, troskliwem okiem rzuciła na powierzoną opiece jej nieszczęśliwą istotę, i miała już zbliżyć się do łoża cierpiącej, gdy lekarz zatrzymał ją giestem i spojrzeniem.

— Obraz zmienności losu, dziwacznych kolei przeznaczenia! — rzekł, wskazując na chorą. — Czy wiesz, Siostro, kto jest ta pani wynędzniała, przez wszystkich opuszczona, przytułek jedyny znajdująca pod dachem, pod którym chronimy naszych biedaków, nędzarzy? Jest ona córką możnego, dostojnego domu; była podobno piękną, majętną, wielbioną... potem zaś nizko, bardzo nizko upadła. Więcej może, niż kto inny, potrzebuje ona duszy słodkiej, cichej i przebaczającej, którąby nad nią czuwała. Dlatego też powierzamy ją twojej wyłącznej opiece, Siostro Franciszko.

Kobieta, do której zwrócone były te słowa, stała milcząca i, ze splecionemi na piersi rękoma, wpatrywała się w twarz chorej, jakby z góry już odgadnąć chciała wszystkie potrzeby jej chorego ciała i wszystkie bóle, nurtujące nieprzytomnego teraz jej ducha.

Chorą kobietę ogarnął był sen gorączkowy, wśród którego ręce jej białe i chude poruszały się jednak niespokojnie pomiędzy opływającemi białą pościel falami kruczych włosów, a z ust jej, szeptem bezdźwięcznym, lecz wyraźnym, płynęły bezładne słowa.

— Orchów! — szeptała — zaprowadźcie mię do Orchowa! Tam jest Mieczyś... mój brat... Ja wiem, Ildefonsie, że brat, czy obcy, to wszystko jedno... ale zaprowadź mię do Orchowa... do mego brata!...

Na odgłos tych wyrazów oczy zakonnicy szybko przeniosły się na twarz lekarza.

— Kto jest ta pani? — szepnęła.

— Lila Ręczycowa, z domu Orchowska, córka Kajetana Orchowskiego.

Pod czarną szatą zakwefionej kobiety przebiegło ledwie dostrzegalne drgnienie. Szybkim, szybszym niż zwykle, a cichym bardzo krokiem przystąpiła do łoża i, schylona nad chorą, przeciągłe spojrzenie utopiła w jej twarzy, jakby w tych rysach, zmienionych burzami życia, szukała słabego choćby odbicia obrazu jakiegoś, pogrzebanego głęboko w uciszonem i zrezygnowanem jej sercu, lecz teraz podnoszącego się przed wzrokiem jej pamięci w pełnem świetle minionej dawno, choć nigdy nie zapomnianej przeszłości.

Niema a smętna kontemplacya ta trwała przecież krótką tylko chwilę, poczem miękkie, w sztuce łagodzenia cierpień wprawne ramiona zakonnicy otoczyły wiotką kibić chorej, starannie ułożyły ją na białej pościeli i lekko, pieszczotliwie odgarniać poczęły z rozgorzałego jej czoła splątaną gęstwinę włosów.

Lila otworzyła oczy...

Przed wzrokiem jej, w którym przebiegł chwilowy błysk przytomnej myśli, jak gwiazdy smutne a łagodne, świeciły szafirowe, łzą osrebrzone, głęboko z pod bladego czoła patrzące, oczy Siostry Franciszki.

— Kto tu jest przy mnie? — zapytała, siląc się na przypomnienie sobie i zrozumienie wszystkiego.

— Ja jestem przy tobie! Siostra twoja w Bogu i ludzkości!

— Siostra? — zawołała chora z nieprzytomnym znów śmiechem — to nieprawda! niema na świecie sióstr ani braci!

Potem, wodząc oczyma dokoła siebie, z nowem wysileniem zapytała:

— Gdzie ja jestem?

— Jesteś, biedne dziecię, w przytułku cierpienia i pociechy, smutku i miłości...

Przeszywający uśmiech zatrząsł piersią chorej. Oczy jej rozgorzały.

— Miłości? — zawołała — nieprawda! miłości wcale na świecie niema!... Nic niema... zimno... ciemno... Ratujcie!

— Gwałtowne wstrząśnienia moralne... — szepnął lekarz,

obok zakonnicy stojący — przeziębienie... siły wycieńczone!... Trudna, bardzo trudna będzie nam robota z tą chorą, Siostro Franciszko!

* * *

W parę dni potem, do szpitalnego pokoju weszła wraz z lekarzem kobieta, osłonięta czarną woalką, spływającą ze skromnego kapelusza.

Szybko przystąpiła do zakonnicy, czuwającej nad łożem chorej, podniosła woalkę, a ukazując twarz, pełną cichego wzruszenia, rzekła:

— Jestem żoną Mieczysława Orchowskiego... j e j brata... Jeżeli pani pozwolisz, będę tu przepędzała jak najwięcej czasu, aby, w razie powrotu chorej do przytomności, ujrzeć ona mogła, że nie jest opuszczoną, ni wzgardzoną przez swoich.

— Niech będą błogosławieni wszyscy, którzy w progi te wchodzą z miłosierdziem na ustach i przebaczeniem w sercu! — szepnęła Siostra Franciszka.

Podały sobie ręce, a gdy lekarz badał stan chorej, usiadły jedna obok drugiej we framudze okna. Oczy zakonnicy tkwiły długo w twarzy przybyłej kobiety; policzki jej, na które kwef biały rzucał przejrzyste cienie, zabarwiły się bladym rumieńcem wzruszenia.

— Jesteś pani żoną pana Mieczysława Orchowskiego? — zaczęła — mieszkasz więc... zapewne w Orchowie?

— Tak, Siostro.

— Czy...

Tu pod ciężkiemi fałdami czarnej sukni głos mówiącej drgnął i zawahał się na chwilę.

— Czy byłaś pani kiedy w Białowoli?

— Nieraz... Czy znasz, Siostro, to miejsce, że cię ono tak obchodzi?

— Urodziłam się tam i wzrosłam; pochowałam tam całą prawie rodzinę swoją i rozstałam się z krótkiem swem życiem światowem.

Michalina zdawała się tkniętą nagłem przypomnieniem jakiemś.

— A więc — zaczęła — jesteś, Siostro, tą młodziuchną Franią, o której...

Zatrzymała się nagle i spuściła oczy, jakby żałując słów wymówionych.

Ale miękka dłoń zakonnicy spoczęła na jej ręce.

— Dokończ, pani — szepnęła.

W głosie jej był dźwięk prośby.

Michalina podniosła wzrok i śmielej już dodała:

— O której Kajetan Orchowski długo, długo... z żalem i czułością mówił w przedchwili skonu synowi swemu...

Tym razem powieki opadły na źrenice Siostry Franciszki. Dwie wielkie łzy wypłynęły z pod spuszczonych jej powiek i stoczyły się na ręce nieruchomo splecione.

Michalina ze zdziwieniem patrzała na siedzącą obok niej kobietę.

Z ust męża swego znała jej historyę, wiedziała więc, że nad głową tą, pochyloną teraz w głębokiej zadumie, przepłynął już szereg lat długich. A jednak powierzchowność Siostry Franciszki nie nosiła na sobie cech starości. Twarz jej, o rysach ściągłych i łagodnych, gładka była, żadną zmarszczką nie zarysowana, a powlekała ją cera przejrzystej niemal bladości.

W szafirowych oczach jej, lekko wklęsłych, płonął ogień spokojny, lecz świadczący o pełni uczucia i myśli. Na całej powierzchowności jej rozlewała się dziewiczość, nie wyłączająca dostojnej powagi, skupiona w sobie zaduma, nie wyłączająca czujnej i gorliwej czynności.

Znać było, że dusza ta, niewinna a silna, boleśnie zraniona niegdyś, a teraz uspokojona, posiadała cudowny zdrój jakiś, w którym czerpała siłę wiecznego odmładzania się i odradzania. Zamyślenie jej jakkolwiek smutne snadź i głębokie, bo łzy z oczu jej wyciskające, trwało bardzo krótko.

Zaledwie lekarz odwrócił się od łoża chorej, szybkim, cichym krokiem przystąpiła ku niemu i z uwagą pełną skupienia słuchała jego zaleceń.

Słuchała ich też i Michalina.

— Pozwolisz, Siostro, abym ci pomagała? — rzekła z prośbą w głosie.

Siostra Franciszka potwierdzająco skinęła głową.

— Będziesz mnie pani wyręczała wtedy, gdy starań moich zażądają inni.

Odtąd dwie te kobiety nie odstępowały ani na chwilę łoża chorej, czuwając nad nią razem, lub z kolei.

Wieczorem, gdy zamykały się bramy zakładu, a rządząca w nim reguła nie dozwalała na pozostawanie w ścianach jego

osób obcych, Michalina odchodziła, aby wrócić nazajutrz, o najwcześniejszej, jak można było, godzinie.

Lila nie odzyskiwała już ani na chwilę przytomności; umysł jej napełniony był wciąż strasznemi widziadłami, wśród których ukazywały się jej najczęściej obrazy pustyń jakichś i przepaści, przejmujące ją śmiertelną grozą. W ustach jej powtarzał się ciągle prawie wyraz:

— N i c! — wymawiany przez nią czasem z martwem prawie zniechęceniem, czasem z gwałtowną rozpaczą i trwogą.

Uczucie i pojęcie pustki jakiejś bezgranicznej ścigało wciąż nieprzytomne jej myśli.

Niekiedy, gdy wymawiała imiona brata i kochanka, w głosie jej zdawała się przez chwilę dźwięczeć tęsknota; ale wnet potem wybuchała nieprzytomnym śmiechem i, niby ptak, wyuczony mechanicznego wymawiania słów pewnych, powtarzała słowo w słowo wszystkie przeczące, szyderskie zdania, przejęte z ust człowieka, który był pierwszym mistrzem uśpionej niegdyś jej myśli i ostateczną przyczyną jej zguby.

Raz tylko wspomniała niewyraźnie i przelotnie o swem dziecku.

Siostra Franciszka pochwyciła wzmiankę tę na jej ustach.

— Czy ona ma dziecię? — zapytała, zwracając się do Michaliny.

— Tak; śliczne, pięcioletnie dziecię, które od kilku miesięcy zostaje w naszym domu. Teraz jednak przywiozłam je z sobą do miasta, sądząc, że przyjdzie może chwila, w której widzieć je i uścisnąć zażąda...

— Gdzież zostawiasz pani to dziecię, przychodząc tutaj?

— Zostawiam je pod opieką krewnej i przyjaciółki mojej, Róży Ręczycówny.

Na to imię twarz Siostry Franciszki zajaśniała ciepłem przyjaznem uczuciem.

— Znam pannę Różę — rzekła. — Była chwila, w której, zmęczona życiem pustem i bezcelowem, jakie zmuszona była prowadzić w świecie, smutna, zniechęcona do macierzyńskiego domu, chciała wstąpić do zakonu naszego...

— A tyś jej to odradziła, Siostro Franciszko?

— Tak, bo zdawało mi się, że do naszego twardego życia dostatecznie usposobioną nie była, że zdolności jej i skłonności wiodły ją na inną drogę. To też udała się ona potem do pani i wiem dobrze, jaki wpływ stanowczy i zbawienny wywarłaś na umysł jej i postanowienia.

— Nie mniej też, owszem, daleko więcej, Róża zawdzięcza tobie, Siostro. Tyś pierwsza w serce jej i umysł wlała to pogodne i rozumne uspokojenie, które tak konieczne jest dla dokonywania pracy wszelkiej.

— Choroby moralne równie ciężkiemi i strasznemi bywają, jak choroby fizyczne. Leczyć jedne i drugie, o ile sił starczy, jest obowiązkiem naszym i jedynym celem naszego istnienia — z prostotą odparła zakonnica miłości.

Domawiała właśnie słów ostatnich, gdy do pokoju weszła dość młoda jeszcze kobieta, w skromnym ubiorze, z pięcioletniem dzieckiem, które wiodła z sobą za rękę. Była to Róża Ręczycówna, nie owa już rumiana, hoża, pół-płocha i zalotna, półrozdrażniona i gniewna dziewczyna, która matce swej, pani Malwinie, towarzyszyła w sąsiednich wizytach; ale kobieta dojrzała i spokojna, ze świadomą sobie myślą na twarzy, z łagodną powagą w oku.

Była to także znana w mieście całem z gorliwości swej i wysokiego ukształcenia nauczycielka, dająca się od niedawna poznać w kraju, jako pracowita i utalentowana pisarka.

Z wdzięcznym szacunkiem pochyliła się nad ramieniem Siostry Franciszki, uścisnęła Michalinę i zbliżyła się do chorej.

— Biedna, biedna Lila! — szepnęła.

Lila nie poznała ani towarzyszki młodości swej, ani swego dziecka.

Michalina tymczasem czytała we framudze okna list, przez Różę jej wręczony.

Było to pismo Mieczysława, w którem donosi żonie, że w dniu poprzednim właśnie dokonał się urzędowy opis Orchowa.

»Po raz pierwszy w życiu — pisał Mieczysław — »cieszyłem się z tego, żeś przy mnie nie była, żeś nie pa»trzała na akt ten, mający dla nas tak smutne znaczenie. »Nie rozpaczam, hamuję w sobie zbyt gwałtowne uniesie»nie, ale z głębokim smutkiem w przyszłość naszą patrzę. »Ratunku żadnego już nie widzę. Niegodziwiec, który jest »sprawcą naszego nieszczęścia, pragnie podobno jak naj»prędzej strony te opuścić; przedtem jednak chce wy»drzeć od nas własność nieszczęśliwej siostry mojej, którą »mu ona tak lekkomyślnie odstąpiła. Przyśpiesza on wszel»kimi środkami sprzedaż Orchowa, która też zapewne

»wkrótce nastąpi. Jedyny człowiek, który mógłby mieć na »Poryckiego wpływ niejaki, a dla nas dzielną stać się po»mocą, Eli Makower, odbywa po śmierci ojca swego zwy»kłą u Izraelitów ceremonię odsiadywania żałoby, podczas »której nie wolno mu widzieć się, ani rozmawiać z nikim.

»Tak więc, na teraz przynajmniej, żadnej niema »nadziei!

»Bądź jednak mężną, Michasiu, i przedewszystkiem »nie wracaj tu, nie odstępuj biednej Lili. Jeżeli zdołamy »uratować jej życie, przygarniemy ją do serc naszych, »a w jakąkolwiek stronę świata los nas rzuci, jakiekolwiek »troski i ciężary dźwigać nam odtąd przyjdzie, podzielimy »się z nią chlebem naszym i ciepłem naszego rodzinnego »ogniska, które, jako jedyne, lecz nieocenione dobro, ca»łem i nienaruszalnem wyniesiemy z rozbicia wszystkich »najdroższych naszych zamiarów i nadziei«.

* * *

Dzień za dniem przechodził, a Lila przytomności nie odzyskiwała. Nadeszło wreszcie przez lekarza zapowiedziane przesilenie choroby.

Po nocy strasznie burzliwej, w krzykach i szamotaniu się gwałtownem spędzonej, chora otworzyła oczy omglone i, zupełnie prawie przytomnym wzrokiem powiódłszy dokoła, poznała stojącą u wezgłowia jej Michalinę.

Patrzała na nią długo i zdawała się zbierać rozpierzchłe myśli.

— Michasiu! — rzekła ledwie dosłyszalnym szeptem.

A gdy przywołana kobieta pochyliła się nad nią, zapytała:

— Czy was już wypędzono z Orchowa? czy bardzo, bardzo mną pogardzacie?

Siostra Franciszka przystąpiła do chorej z palcem do ust przyłożonym i zaleciła jej milczenie. Lila wpatrywała się w twarz jej przez chwilę.

— Nie wiem, kto jest ta pani — szepnęła — ale śniłam o niej ciągle... ciągle... Zdawało mi się, że to anioł... tylko, że czarną suknię ma na sobie...

Poruszyła się żywiej nieco na pościeli i znowu napół nieprzytomnie spytała:

— Czy widzieliście kiedy czarną lilię?...

Umilkła i zamknęła oczy.

Michalinie powrót ten do pamięci i przytomności wydał się zwiastunem blizkiego wyzdrowienia.

Siostra Franciszka jednak, po chwili zastanowienia, wstrząsnęła smutnie głową.

— Nie zawsze tak bywa! — szepnęła żonie Mieczysława na ucho, myśl jej zgadując.

Obie kobiety z niepokojem żywym wpatrywały się w lekarza, gdy w pół godziny potem przybył dla odwiedzenia chorej. Chłodna jednak i poważna twarz człowieka nauki nie zdradzała niczem myśli jego. To też wysunęły się one za lekarzem i, przymknąwszy drzwi za sobą, rozmawiały z nim dość długo.

Gdy wróciły na zwykle swe stanowisko, ujrzały Lilę siedzącą na łóżku, z włosami w nieładzie i twarzą zalaną łzami.

Oczy jej pałały.

— Słyszałam wszystko — rzekła słabym bardzo głosem. — Doktór mówił, że żyć nie będę... że siły moje wyczerpały się zupełnie... że... zgasnę, jak świeca... Zresztą — dodała po chwili, opadając na poduszki — mniejsza o to! Co mi po tem pustem, strasznem życiu... w którem nic niema... nic! nic!

Zamknęła znowu oczy, a z pod powiek jej na twarz śmiertelnie bladą sływaży łzy obfite.

Dwie czuwające kobiety zamieniły spojrzenia pełne boleści. Właściwa pewnym chorym delikatność słuchu i niespokojna ciekawość Lili pozwoliły jej dosłyszeć słowa lekarza, chociaż za drzwiami pokoju i bardzo cicho wymówione.

Usiadły przy łożu i miały właśnie odezwać się do chorej słowami uspokojenia, gdy ona, nie otwierając oczu, ozwała się nagle i dość głośno:

— Poco ja żyłam?

Potem, przez kilka godzin, nic już więcej nie powiedziała. Posłusznie, mechanicznie prawie przyjmowała lekarstwa, które podawała jej Siostra Franciszka, ale nie otwierała oczu i nie podnosiła głowy z poduszek.

Na czole jej, powlekającem się coraz głębszą bladością, spoczywała milcząca, napół posępna, napół apatyczna zaduma; pierś podnosiła się słabo, zaledwie dostrzegalnie.

Nad wieczorem, wezwana przez Michalinę, przybyła Róża, z małym synem Lili.

Siostra Franciszka wzięła dziecię za rękę i przyprowadziła je do łóżka.

— Lilo! — szepnęła Michalina — spójrz na Konradka.

Otworzyła oczy i patrzała na dziecko zrazu dość obojętnie. Potem jednak poprosiła, aby umieszczono je blizko przy niej. Z wysileniem widocznem ujęła drobną rączkę chłopczyny, który spoglądał na nią szeroko otwartemi, zdziwionemi oczyma. Widocznie nie poznawał matki, zmienionej bardzo, a oddawna nie widzianej.

— Konradku!... — szepnęła chora — czy nie poznajesz mnie?...

Dziecku na płacz się zbierało. Wystraszonym wzrokiem szukał on wciąż twarzy Michaliny.

— Konradku! — żywiej już i jakby niepokojem jakimś tknięta powtórzyła chora — popatrz na mnie... ja jestem twoją mamą!...

Na te słowa dziecię, jakby przestraszone, zeskoczyło z łóżka i, wyciągając ręce ku Michalinie, zawołało:

— To moja mama!

Lila nie rzekła nic. Bolesne tylko drgnienie przebiegło po jej twarzy.

Legła znowu wśród bieli poduszek nieruchoma, z zamkniętemi oczyma.

Około północy ocknęła się i, zapuszczając wzrok w głąb sali, zdawała się z wysileniem wielkiem ścigać wzrokiem krzątającą się w przyległej sali Siostrę Franciszkę.

Widać było, że chciała ją przywołać, ale zabrakło jej głosu i siły.

Natomiast od łoża jej podniosła się Michalina i, spełniając życzenie chorej, przywołała do niej zakonnicę.

— Chciałabym z panią pomówić — szepnęła Lila, gdy Siostra Franciszka zbliżyła się do niej i usiadła na krawędzi jej łóżka.

— Nazywaj mnie Siostrą, drogie dziecię — szepnęła zakonnica, przesuwając ręką po splątanej gęstwinie jej włosów.

— Niema na świecie sióstr, ani braci! — opryskliwie rzuciła chora. — Wszystko to przesąd!

Zakonnica nie odpowiedziała nic. Pochyliła się tylko niżej i z niezmienną łagodnością zapytała:

— O czem chciałaś mi mówić?

— Czy pani dawno tu jesteś? tu, w tym domu, gdzie sami tylko chorzy i nieszczęśliwi?

— Bardzo dawno — odparła zakonnica.

— Dlaczego pani zostałaś Siostrą Miłosierdzia?

Siostra Franciszka odpowiedziała spokojnie:

— Nie widziałam dla siebie szczęścia wśród świata i chciałam być, o ile mogłam, użyteczną cierpiącym braciom moim.

Nastąpiło chwilowe milczenie.

Chora przerwała je pierwsza:

— Może pani rozgniewa się na mnie... ale cóż to mnie już teraz obchodzić może? Czy pani wprzód jeszcze... dawniej... dawniej kochała kiedy kogo?

Tym razem na spokojnej twarzy Siostry Franciszki wybiło się żywe wzruszenie i chwilowe wahanie się. Sądziła jednak, że powinnością jej jest odpowiadać na pytania tej do dna zaniepokojonej, w przedchwilę śmierci ciężko łamiącej się z samą sobą duszy.

— Tak, — odparła po chwili milczenia — niegdyś... kochałam.

Oczy chorej błysnęły.

Wkrótce przecież znużona, przymknęła je i rzuciła krótkie pytanie:

— Kogo?

— Człowieka z piękną, szlachetną duszą, ale słabą wolą.

— A on kochał panią?

— Chwilę.

— A potem?

— Potem... pojął inną za żonę.

Lila otworzyła znowu oczy, które teraz jaskrawym zapaliły się blaskiem.

— O! jakże go pani znienawidzieć musiałaś... jak musiałaś mu złorzeczyć!

Przerażenie nieledwie odmalowało się na twarzy Siostry Franciszki.

— Ja — wyrzekła — miałabym nienawidzieć? O! drogie dziecię! nienawiść jest brzydkiem bardzo uczuciem i dziękuję Bogu, że nie miało ono nigdy przystępu do serca mego. Ja *jego* zawsze kochałam, tak jak za pierwszych dni młodości, błogosławiłam życiu jego i codziennie przy modlitwie każdej posyłałam do Boga jego imię...

— Kochałaś go pani?... tyle lat... nie widząc?...

— Tak, dziecię, i dziś jeszcze, choć on już nie żyje, wspomnienie o nim pozostało we mnie czystem i świętem.

— I nie pokochałaś już pani nigdy nikogo więcej?

— Nigdy, nikogo, dziecię!

Lila milczała znowu, a potem z gorączkową ciekawością pytała dalej:

— A gdy pani zamknęła się już w tych murach, gdy przestałaś widywać świat i ukochanego swego, a widziałaś tylko same cierpienia i słyszałaś same jęki, czy nie tęskniłaś pani, nie cierpiałaś?

— Tak, dziecię, cierpiałam wiele!

— A! — zawołała chora i w oczach jej błysnęło dziwne jakieś wewnętrzne uradowanie — nie byłaś więc pani szczęśliwą?

— Owszem, dziecię moje, bywałam i bywam nieraz bardzo szczęśliwą!

Szyderski uśmiech przebiegł po białych ustach Lili.

— Cierpiałaś pani i byłaś szczęśliwą?... nie rozumiem tego!...

— Miewałam i miewam chwile wielkiego szczęścia...

— A! teraz rozumiem! Musiałaś pani od czasu do czasu widywać człowieka, którego kochałaś.

— Od chwili, w której przestąpiłam te progi, nie widziałam go ani razu, a on nie wiedział, gdzie i czy żyję... Ale, biedne dziecię moje, bywały dni i noce takie, w których siadywałam nad łożami istot ludzkich nieszczęśliwych, na ciele chorych, na duszy starganych...

Przerwała sobie na chwilę.

Ciężko jej było stawiać obraz wewnętrznych, świętych uciech swych przed oczy kobiety, ściganej i dręczonej przez mroźne widma pustki i nicości.

Ale ona nalegała:

— I cóż? cóż, pani?

— Wtedy, — ciągnęła dalej Siostra Franciszka — gdy, dłonią moją opatrzona, usypiała snem słodkim i krzepiącym zbolała głowa bliźniego, gdy, słowami memi ukołysane, milkły choć na chwilę burze jego ducha, gdy skłoniłam go, aby zwątpiały i upadający pod brzemieniem sierocej doli wzniósł oczy ku niebu i do Boga zawołał wraz ze mną: »Ojcze mój!« wtedy byłam szczęśliwą... i dziękowałam Bogu za tę moc pociech i ulg, którą złożył w mych ręku, tak jakbym może nigdy Mu dziękować nie mogła za wszystkie bogactwa i uciechy świata.

Nieśmiała zrazu i wahająca się twarz Siostry Franciszki

zajaśniała przy ostatnich wyrazach blaskiem czystym i gorącym, a splecione ręce jej podniosły się w górę, poruszeniem pełnem radości.

Lila nie spuszczała z niej oczu.

— Dziwna rzecz! — szepnęła — dziwna! dziwna...

— A jednak — dodała po chwili niemej zadumy — jest na świecie jedna tylko świątynia i jeden ołtarz... osobistego szczęścia!

Domawiała właśnie ostatnich wyrazów, gdy do mrocznego pokoju, z oddalonej strony gmachu, przypłynął dźwięk jakiś dziwny.

— Franiu! Franiu! — wołał wśród ciszy nocnej głos przeciągły, żałosny.

Siostra Franciszka wyprostowała się i uczyniła poruszenie takie, jakby powstać i odejść miała.

— Kto to pani woła? — zapytała Lila.

— Brat mój... obłąkany...

— Gdzie on jest?

— Tam, w przeciwległej budowli, gdzie mieszkają wszyscy nasi obłąkani...

— I to brat pani rodzony?

— Rodzony... pozbawiony rozumu od dzieciństwa.

— Pocóż on pani woła?

— Chce mię ujrzeć zapewne... woła tak zawsze, gdy mię długo nie widzi.

— I pani nie lękasz się obłąkanego człowieka?

— Pielęgnuję go od najmłodszych lat moich... Wyjednałam u zwierzchności naszej, aby go tu umieszczono przy mnie.

— Dlaczego pani to uczyniłaś?

— Jest to mój brat!

— Franiu! Franiu! — powtórzyło się oddalone wołanie, ze zdwojonym teraz, złośliwym dźwiękiem.

Zakonnica powstała i zmierzała ku drzwiom. Lila wiodła za nią wzrokiem.

— Siostro! — zawołała nagle.

Po raz pierwszy imieniem tem nazwała swą opiekunkę.

— Czego chcesz, dziecię moje?

— Jesteś dobrą, Siostro, bardzo dobrą!... Czy uczynisz dla mnie to, o co cię będę prosiła?

Odpowiedzią na to pytanie był pocałunek, który Siostra Franciszka złożyła na jej czole.

— Powiedz mi, Siostro... — zaczęła Lila, ale nie dokończyła zrazu.

Pierś jej podnosiła się szybko i ciężko, w zmąconych oczach migotały byskawice.

— Nie byłam szczęśliwą — ciągnęła dalej — nic nikomu dobrego nie zrobiłam.. Chciałabym wiedzieć... poco żyłam?

Usłyszawszy dziwne to pytanie, zakonnica pochyliła się nad nią i długo, łagodnie, zcicha mówiła jej słowa uspokajające. Słowa te przecież nie trafiły snadź do umysłu ni serca Lili, bo twarz jej nie utraciła ani na chwilę wyrazu dręczącej niespokojności.

Parę godzin potem przepędziła znowu w milczeniu i nieruchomości zupełnej.

Nad ranem cichym głosem przywołała do siebie Michalinę.

— Michasiu... — rzekła — czy ty bardzo kochasz Mieczysia?

— Lilo, — odparła kobieta — brat twój jest mi droższym nad wszystko!

— I nigdy nikogo, prócz niego, nie kochałaś?

— Nigdy, Lilo.

Milczała chwilę.

Potem zapytała znowu z wyraźnem drżeniem w słabym głosie:

— Michasiu! czy ty jesteś szczęśliwą?

— Bardzo, zupełnie szczęśliwą — odparła kobieta.

Chora gwałtownym ruchem zarzuciła obie ręce nad głowę.

— I ta jest szczęśliwą! — szepnęła — wszystkie one szczęśliwe!... Czemuż ja...

Umilkła i zwróciła twarz ku ścianie. Usta jej szeptały niewyraźne słowa jakieś.

O bardzo wczesnej godzinie rankiem do pokoju chorej weszła Róża.

Chora zwróciła twarz ku pokojowi, a poznając Różę, zawołała na nią, aby się zbliżyła.

Promyk tajemnego zadowolenia przesunął się po posępnej jej twarzy.

— Róziu, — zaczęła — dlaczego ty nie zostałaś przy swojej matce, przy cioci Malwinie?

— Mama teraz nie ma swego domu. Zresztą chciałam mieć zajęcie jakieś... jakiś cel życia.

Wlepiła w nią wzrok badawczy, przenikliwy.

— Czy ty, Róziu, szczęśliwą jesteś?

Dziewczyna zawahała się.

Boleśnie jej było przyznawać się do szczęścia wobec tej niedoli.

— Jestem spokojną i zadowoloną — odrzekła.

Chora wypuściła rękę jej ze swej dłoni i z głębokiem westchnieniem rzuciła się na poduszki. Po chwili jednak szepnęła znowu:

— Róziu, wszyscy mówią o tobie, że jesteś bardzo rozumną, że książki piszesz... Musisz więc wiedzieć... i powiesz mi... ale powiesz prawdę?

— Mów, mów, Lilo!

— Nachyl się ku mnie, blizko, bo sił już nie mam.

Róża pochyliła się tak, że uchem swem dotykała niemal ust chorej. Wtedy dwoje czarnych, palących się źrenic wpiło się w twarz jej myślącą i łagodną, spojrzeniem pełnem uporczywego, gwałtownego błagania, a drżące wargi chorej szepnęły:

— Powiedz mi... poco ja żyłam?

Całą odpowiedzią na wracające wciąż to pytanie były łzy, które błysnęły w oczach trzech obecnych kobiet.

Około południa, Mieczysław, smutny, poważny, stanął w progu pokoju.

Lila, która od dwóch godzin mówić i poruszać się przestała, otworzyła oczy.

Na widok brata twarz jej drgnęła, a ramiona, ostatniemu wysileniu woli posłuszne, wyciągnęły się ku niemu.

— Mieczyś! — wymówiła nieco głośniej. — Przyszedłeś do mnie... nie pogardzasz mną... czy mi przebaczysz?

Pochylił się nad nią i gorące pocałunki złożył na czole jej i ręku. Coś, jakby uśmiech ulgi i słodyczy, przesunęło się po drętwiejących jej ustach, które przecież wyszeptały jeszcze:

— Ty taki dobry jesteś... Mieczysiu!... ty mi powiesz...

I raz jeszcze wyraz błagalny, pokorny, pełen bólu przeszywającego i prośby, rozjaśnił mącące się jej źrenice. Z wysileniem wielkiem zarzuciła obie ręce na szyję pochylonego brata i ledwie dosłyszalnie rzekła:

— Powiedz mi... poco ja żyłam?

I to było już ostatnie słowo biednego jej życia.

XII.

Eli Makower, ubrany w bezkształtną szatę z grubego płótna, przez dziewięć dni spełniał żałobny izraelski obrządek, siedząc na nizkiej ławie i posypując głowę swą popiołem. Spełniała obrządek podobny i żona jego, Chaja, i starsze dzieci jego. Milczenie i smutek głęboki zalegały przez czas ten tak gwarne przedtem, wesołe, pełne ruchu mieszkanie.

Chaja przecież kiedy niekiedy wydawała zniżonym głosem rozporządzenia gospodarskie, a czasem też, przypominając sobie najulubieńszego, utraconego dziś syna, zapłakała głośno.

Ale Eli, wciąż milczący, siedział z głową w obie dłonie ujętą i myślał.

Po raz pierwszy przepędzał on czas tak długi w ciszy zupełnej, w oddaleniu od zewnętrznych spraw świata, w nieprzerwanem rozważaniu ubiegłych lat życia.

Gdy nakoniec dziesiątego ranka powstał z ławy, przywdział na siebie strój zwyczajny i, wziąwszy czapkę, wyjść miał na ulicę, Chaja zatrzymała go przy drzwiach.

— Eli! — rzekła — na włosach twoich pozostało jeszcze dużo popiołu. Pozwól, niech go otrząsnę!

Powiodła dłonią po włosach męża, ale to, co mniemała być popiołem, nie spadało z jego głowy.

— Hörst! — zawołała Chaja — co to jest? Ty, Eli, dużo siwych włosów na głowę swoją dostał.

Eli zbliżył się do lustra i, spojrzawszy na włosy swe, które w istocie przez dziesięć dni ubiegłych z rudawych i lśniących stały się popielatemi, nie rzekł ani słowa i wyszedł na miasto.

Udał się najprzód do ustronnej kamieniczki, w której mieszkał Ildefons Porycki.

Wszedłszy na schody, usłyszał w pokojach na pierwszem piętrze donośny, swarliwy głos kobiecy, panujący nad chórem dziecinnych głosików.

— Kto tam mieszka? — zapytał służącego, który ukazał się na schodach.

— Żona i dzieci pana agenta — odpowiedział służący.

— A gdzie podziała się ta pani, co tu wprzódy mieszkała?

— Ta pani umarła wczoraj w szpitalu Sióstr Miłosierdzia.

Usłyszawszy odpowiedź tę, Eli stał chwilę z pochyloną

głową; poczem zaczął zwolna w zamyśleniu wstępować na drugie piętro domu.

Rozmowa Elego z głównym agentem »Domu pośrednictwa« nie trwała dłużej nad pół godziny, poczem Żyd, chowając papier jakiś do kieszeni, opuścił kamieniczkę i udał się do jednego z hotelów miejskich.

— Czy mieszka tu pan Mieczysław Orchowski? — zapytał hotelowego sługę.

Odpowiedź była twierdząca.

— A jest teraz w domu? Gdzie jego pokój?

Wskazano mu pokój Mieczysława.

Mieczysław, na widok wchodzącego Izraelity, podniósł z nad dłoni twarz bladą, zmęczoną bolesnemi wzruszeniami i powitał przybyłego z chłodną powagą.

Eli laskę swą umieścił w kącie pokoju i, na milczący giest gospodarza, usiadł naprzeciw niego na krześle. Usiadł, obie dłonie złożył na kolanach, pochylił nieco głowę i milczał. Rozmowa, którą prowadzić miał, była mu snadź tak nadzwyczajną, że nie wiedział, jak i od czego ją zacząć.

Mieczysław z lekkiem zdziwieniem przypatrywał się chwilę zmienionej twarzy Elego, głębokim bróżdom, które poryły czoło jego, i gęstej siwiźnie, przyprószającej jego włosy.

— Wydajesz mi się pan, panie Makower, zmienionym bardzo... — zaczął pierwszy.

Eli podniósł na twarz jego spojrzenie.

— Pan zmienił się także bardzo... bardzo! — rzekł. — Żebym ja nie wiedział tego, co wiem, to mógłbym myśleć, że pan tylko co wstał z ciężkiej choroby.

— Cóż dziwnego? — odparł Mieczysław. — Siostra moja wczoraj umarła.

— A pięć dni temu urzędnicy opisali panu Orchów — dokończył Eli.

Mieczysław nic na uwagę tę nie odpowiedział.

Zdawało się, że odbiegła go wszelka chęć odzywania się do serca lub sumienia człowieka, którego miał przed sobą.

Po chwili jednak milczenia rzekł:

— Obaj, panie Makower, ponieśliśmy w tych czasach straty ciężkie i bolesne. Słyszałem, że ojciec pana, ten sędziwy i zacny starzec, którego poznałem niedawno, żyć już przestał.

Eli podniósł ku niemu wzrok zwilgocony.

— Dziękuję panu, — rzekł — że pan dobrze wspomniał o moim starym ojcu. Ja jego kochał, i szanował i strzegł, jak

oka w głowie. On umarł... Nu, cóż robić? taka już kolej na świecie, że starzy ludzie umierają...

Zatrzymał się chwilę, a potem mówił dalej:

— Że ja straciłem ojca i jak ja jego straciłem, o tem wszyscy ludzie wiedzą. Ale ja stracił także syna mego najstarszego, którego ja najwięcej ze wszystkich dzieci moich lubił, i stracił dużo pieniędzy, a jakim sposobem, o tem ja nie powiem nikomu, bo to największy mój wstyd i największa moja boleść.

Milczał znowu chwilę.

— Ja jestem teraz — ciągnął dalej — jak ten podróżny, co długo, długo prędkim krokiem szedł jedną drogą i myślał, że ta droga dobra, aż nagle zobaczył, że droga ta prowadzi do smutków i do błota...

Podniósł wzrok na twarz Mieczysława i zapytał:

— Jak pan myśli? co zrobić powinien taki podróżny, który widzi, że droga jego jest niedobra i że, idąc nią, zrobił wielką omyłkę?

Mieczysław, który ze wzrastającem zajęciem patrzył na mówiącego tak Izraelitę, wszedł w myśl jego i odpowiedział:

— Podróżny taki, panie Eli, jeżeli ma jeszcze dość chęci i sił po temu, powinien opuścić drogę, który uznał za niedobrą, i wejść na inną.

— Tak i ja myślę zrobić — rzekł Eli z uśmiechem, który rozjaśnił pobladłą twarz jego.

Wyprostował się, oko mu błysnęło.

— Nie jestem ja jeszcze stary człowiek — rzekł — i sił mam w sobie dużo. I dzieci ja mam młodsze, o których myśleć mi potrzeba, żeby one nie zginęły, tak jak tamten zginął; i sumienie ja mam, które muszę oczyścić; i ojca starego ja miał, którego muszę posłuchać!...

Mówiąc to, wyjął z kieszeni surduta arkusz papieru we czworo złożony, i rozwinąwszy go, położył na stole przed Mieczysławem.

— Niech pan na to pismo okiem swojem rzuci — rzekł — i niech pan z niego wielką pociechę do serca swego weźmie.

Mieczysław przebiegł oczyma podane sobie pismo, a na twarzy jego ukazało się zdumienie, zmieszane z radością.

Było to własną ręką agenta głównego nakreślone formalne pokwitowanie z odbioru sumy, wskutek przekazu Lili od Mieczysława mu należnej.

Pokwitowanie to, przedstawione właściwym władzom,

uchylić miało grożącą majątkowi Orchowskiego sprzedaż publiczną.

— Jakim sposobem zdołałeś pan uzyskać to pokwitowanie z sumy, któremu w każdym razie synowi Lili wypłacę kiedyś co do grosza? — zapytał Mieczysław, uderzony tym niespodziewanym postępkiem Izraelity.

— Jakim sposobem ja od tego łajdaka pisanie to wydarł?— uśmiechając się, przerwał Eli. — Nu, już ja na niego wiele sposobów miałem. On był w mojej mocy; ja o nim różne takie rzeczy wiedział, że gdybym mu kazał przez kij skakać, to onby skakał. Ale jeżeli pan myśli, że to już wszystko, z czem ja dziś do pana przyszedł, to pan się bardzo myli. Niech pan posłucha o tem, co ja panu jeszcze dziś przyniósł...

Milczał przez chwilę, jakby myśli swoje zbierał i rozjaśniał, a potem zaczął znowu:

— Pan jest dobry gospodarz i pracowity człowiek, ma pan głowę uczoną i ręce nie leniwe; ale to nic nie pomoże... Pan w swoim Orchowie nie zaprowadzi takiego gospodarstwa, jakie tam powinno być, dopóki pan nie będzie miał gotowych pieniędzy, i na postawienie nowych budynków, i na inwentarz, i na osuszenie tej wielkiej łąki, co to za lasem kępami już porasta, i na inne jeszcze rzeczy. A skąd pan teraz może wziąć gotowych pieniędzy? Jeżeli pan ich pożyczy od naszego Szwarca, to on od pana pięćdziesiąt procent na rok weźmie, a za rok, jak pan jemu nie odda, on poda do sądu i znowu panu Orchów opiszą... Ale panu potrzeba pieniędzy, i ja ich panu pożyczę... nie na pięćdziesiąt procent, jak Szwarc... Eli Makower, chwalić Boga, lichwiarzem nigdy nie był.. ja ich panu na dziesięć, nu, na ośm procent pożyczę... Ja pieniędzy dużo stracił, to prawda, ale zostało mi jeszcze niemało.

Mieczysław powstał, zdziwiony i wzruszony.

— Dziękę panu — zaczął i ku Elemu dłoń swą chciał wyciągnąć; ale Izraelita, nie przyjmując podawanej sobie ręki, rzekł:

— Niech mi pan ręki nie podaje, dopóki my naszej rozmowy nie skończymy. I niech pan mnie nie dziękuje, dopóki pan się nie dowie, czego ja za to wszystko, co dla pana zrobiłem i zrobię, wzajemnie żądać będę. My, Żydzi — dodał z uśmiechem — nie przywykli nic darmo robić, ani dawać. A najprzód, jak ja panu moje pieniądze pożyczę, to pewny będę, że pan mi je z umówionym procentem odda, bo wiem, że pan jest człowiek akuratny, pracowity i liczyć umie. Względem tych pienię-

dzy więc, co ja ich pożyczę, gadania i dziękowania być nie powinno. Ale jak pan swój Orchów dobrze zagospodaruje, jak się w nim będzie rodzić bardzo dużo żyta i pszenicy, to ja z tego wielkie także wyciągnę korzyści. Mnie się zdaje, że ze wszystkiego, co ja wprzódy powiedział, pan już odgadł, że agentem »Domu pośrednictwa« ja dłużej nie będę.

Ja umyślił sobie do kupieckiego stanu powrócić, a jak ja kupcem znowu zostanę i w orchowskich stronach zamieszkam, to im więcej tam będzie naokoło bogactwa i urodzajności, tem większy dla mnie handel i zarobek. Otóż ja chcę kupować wszystko, co pan będzie miał do sprzedania, po takich cenach, jakie wypadną, a tylko z góry pana proszę, żeby pan mnie pierwszeństwo zawsze zostawiał i żebym ja mógł nazywać się orchowskim kupcem.

Słowa powyższe Eli mówił z zupełną śmiałością i pewnością siebie. Znać było, że, obrachowując korzyści materyalne, jakie dla stron obu wyniknąć mogły z zawieranego przezeń przymierza wzajemnej pomocy, znajdował się on na właściwym sobie, dobrze znanym i zbadanym gruncie. Trudniej mu znacznie przychodziło wyrazić swe myśli, tyczące się bardziej oderwanych przedmiotów... a jednak do wyrażenia ich przywiązywał on snadź wagę wielką, bo po chwili, nieśmiały trochę wzrok podnosząc na Mieczysława, zaczął znowu:

— Mój stary ojciec miał ze mną przed śmiercią swoją długą rozmowę. Ach! jaka to była rozmowa! A w tej rozmowie on mnie powiedział, że jak różne narody idą od początku swego stworzenia po różnych drogach, tak do nich przylepiają się różne wady i grzechy. To wielka prawda; ale ja sobie w mojej głowie to jeszcze do niej dodał, że przylepiają się do nich i różne zalety, do tych takie, a do tamtych inne. My, Żydzi, dalej widzim od panów; tam, gdzie idzie o pieniądze, o korzyści, każdą robotę około tego prędzej od panów zaczniem, a jak już zaczniem, to chodzim koło niej pilnie. My przewidujący jesteśmy i cierpliwi, my kawałkiem chleba z główką cebuli możem żyć, byle tylko tego dobić się, czego chcemy. A dlaczego my tacy jesteśmy? Dlatego, że nasi ojcowie i dziadowie tacy byli, i nas do tego przyuczyli, i w krew naszą i w nasze serce to weszło. U panów z takiemi rzeczami bardzo kiepsko idzie. Dlatego panowie biedne robią się i bardzo dużo tracą i cierpią. Ale panowie mają to, czego u nas niema. Panowie mają delikatny rozum i dobrze wiedzą, co to honor, co to edukacya i jaka ona powinna być, żeby ten człowiek, co z tej rzeki pije, nie brał w sie-

bie tej tylko wody, co po wierzchu pływa, ale napił się także tej, co pod spodem szumi. A dlaczego panowie wszystko to wiedzą i mają? dlatego, że ojcowie i dziadowie panów byli ludzie honorowi i oświeceni. Otóż mnie się zdaje, że dobrzeby było, gdybyśmy tem, co mamy, jedni z drugimi dzielili się: gdyby panowie od nas nauczyli się być przewidujące, obrotne i wytrwałe, a nas uczyli, co to jest prawdziwy honor i prawdziwa edukacya. Czy pan zrozumiał, co ja myślę? Może ja źle powiedział?

— Panie Makower, — rzekł Mieczysław — słowa pańskie są tak jasne i zrozumiałe, jak rozumną i szlachetną jest myśl, która je podyktowała.

Na twarz Elego wybił się wyraz żywego zadowolenia.

— Nu, — rzekł — ja bardzo kontent jestem z tego, że pan mnie zrozumiał. Ale ja jeszcze nie wszystko powiedział. Ja stracił syna... on nie umarł... on przepadł. Nu, co robić? już ja jego nie wyratuję. Ale ja nie chcę, aby inni moi synowie tak samo poprzepadali, albo żeby oni wyrośli na takich edukowanych puryców, co to żadnego gruntu pod nogami nie mają, a są jak chorągiewki na dachach i w którą stronę wiatr powieje, czy ku sprawiedliwości, czy ku niesprawiedliwości, czy ku honorowemu postępkowi, czy ku podłemu — w tą oni obracają się. Ja moje dzieci kocham i chcę im edukacyę dawać, i chcę, żeby z nich prawdziwe ludzie byli... Ale jak to zrobić?... tego nie wiem... i nikt z naszych Żydów nie wie. Nu, ja przychodzę już do końca mego mówienia. Ja panu dobrze zrobił i jeszcze więcej zrobię. Czy pan mnie za to nauczy, co ja mam dla moich dzieci robić, żeby oni dobre, rozumne i szczęśliwe byli, nie takie jak... tamten... mój syn, co przepadł? Czy pan mi pokaże, jaki to ma być ten grunt, o którym mnie mój stary ojciec gadał, że jak kto jego pod nogami swemi nie ma, to chodzi po świecie, jak pijany, aż w rów głęboki upadnie?

Wymawiając ostatnie słowa, Eli powstał. Silne wzruszenie, wzruszenie myśli i serca, aż do podstaw wstrząśnionych wielkim, przerażającym ciosem, odmalowało się na jego twarzy.

— Panie Makower... — zaczął Mieczysław.

Ale Izraelita przerwał mu znowu:

— Niech pan jeszcze nie mówi. Ja jeszcze wszystkich myśli moich nie wypowiedział. Ja pana znam i wiem, że pan na moje pytanie odpowie: »dobrze!« Ale to nic nie pomoże, i jeżeli my dla siebie zostaniem obcymi, to jeden od drugiego nic nie skorzystamy. Jabym chciał przyjacielem pańskim być, przyjacie-

lem prawdziwym, takim, co do pańskiego domu przyjdzie i radzić mu będzie, i całym rozumem swym podzieli się z panem; takim, co nie będzie u pana, jak gość, co przy progu siada i któremu wielki honor robią, jeżeli szklankę herbaty podadzą, ale takim, przed którym serce i wszystkie myśli otwierają się. A może i pan też nie pogardzi domem Żyda i przyjdzie czasem na jego dzieci spojrzeć, i zdanie swoje o nich wydać, czy one źle rosną, czy dobrze, tak, jak ten Żyd znowu patrzeć będzie na pańskie interesa i mówić, czy one dobrze idą, czy źle. Ot i wszystko. Ja to wziął z ust mego starego ojca i z tego ciężkiego doświadczenia, które ja przebył, i z długiego, bardzo długiego myślenia. Jak panu zdaje się? czy te myśli dobre są i czy pan się na nie zgodzi?

— Myśli twoje, panie Eli, rozumne są i zacne, a w czyn zamienione, zbawić mogą od wielu nieszczęść! — z gorącem uczuciem i radośnie rozjaśnionem czołem odparł Mieczysław. — Przymierze wzajemnej pomocy i przyjaźni, które mi ofiarujesz, przyjmuję z radością.

Eli miał już twarz rozpogodzoną zupełnie. Na ostatnie słowa Mieczysława skinął głową potwierdzająco, uśmiechnął się i rzekł:

— A czy pan wie, czego trzeba, aby takie przymierza, jak nasze, zawierały się często? Ja panu powiem. Trzeba, żeby my, Żydzi, mogli panów szanować. Ja pana szanowałem, a z tego szacunku urodziła się w mojem sercu dla pana... wielka przyjaźń.

Podali sobie ręce i połączyli je długim uściskiem. Na twarzach ich jaśniały uczciwe, serdeczne uczucia: wiara w przyszłość i dobra nadzieja.